

π

Sajgon

ANDRÉ

LE GAL



Le Gal Andre

Sajgon

Paryż, lata 30. Timo Auber, nieślubny syn milionera, dorasta nieświadom swojego pochodzenia. Utalentowany iluzjonista, występuje w jednym z kabaretów; jest oblegany przez młode aktoreczki. Niespodziewanie dowiadyuje się od matki, że wkrótce odziedziczy część fortuny po ojcu. Niestety, matka ginie tragiczną śmiercią w wypadku, a on sam zostaje niesłusznie oskarżony o zabójstwo pewnego pasera. Ucieka do Sajgonu. O wrobienie go w zbrodnię podejrzewa przyrodniego brata Maxence'a, głównego spadkobiercę. W Sajgonie powodzi mu się doskonale: zarabia dużo pieniędzy, zgłębia wschodnie sztuki miłości. Tymczasem w Paryżu zaocznie zapada na niego wyrok - kara śmierci. Po anonimowym donosie Timo zostaje aresztowany i przewieziony do obozu karnego. Udaje mu się uciec, staje się natomiast celem płatnych zabójców. Postanawia powrócić do Paryża, odnaleźć sprawcę swoich nieszczęść i dokonać zemsty.

Rozdział 1

Louise myślała, że Celestin kpi sobie z niej, kiedy wspomniał, że chciałby nadać mającemu przyjść na świat dziecku imię Timoleon — o ile oczywiście będzie to chłopiec. Wybuchnęła śmiechem.

— Wiedz, droga Louise, iż wiązę wielkie nadzieje z imieniem Timoleon. Imię to nosił mój ojciec — oznajmił Celestin.

— To, że tak nazywał się twój wielce szanowny ojciec, nie ma nic do rzeczy. Mamy rok tysiąc dziewięćset szesnasty i takie imię traci myszka, jest niemodne od niepamiętnych czasów. Dlaczego nie nazwać go po prostu Jules?

— Żeby powiększyć niezliczone grono Julesów we Francji? — Teraz Celestin był rozbawiony.

Louise wzruszyła ramionami. Może jednak urodzi się dziewczynka... Dziesiątego grudnia 1916 urodziła chłopczyka, któremu postanowiła nadać imię Timoleon. Celestin Ruffaud był wniebowzięty.

Celestin Ruffaud, posiadacz ogromnej fortuny, odkrył piękno i urodę życia u schyłku swych dni. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, jego kawalerski żywot zaczął się od małżeństwa. Aż do pięćdziesiątego roku życia był poważny i pracowity. Jego ojciec, przedsiębiorczy sklepikarz Timoleon Ruffaud,

wpadł na doskonały pomysł stworzenia sieci sklepów spożywczych, słynnych Comptoirs Parisiens i w niedługim czasie stał się posiadaczem znacznego majątku. W początkach roku 1900 kupił pałacyk na obrzeżach Lasku Bulońskiego, winnicę w Szampanii i zamek w Périgord. Célestin był jedynakiem osieroconym przez matkę, wychował się w prowadzonych przez księży internatach, przeznaczonych dla dzieci zamożnych mieszczan. Kiedy dorósł, poświęcił się pracy w przedsiębiorstwie ojca, wykazując przy tym powagę, zaangażowanie i wszystkie inne niezbędne cechy, jakimi powinien wykazać się dobry uczeń i dobry syn. Gdy w wieku lat pięćdziesięciu wciąż był kawalerem, ojciec doszedł do wniosku, że czas postarać się o spadkobierców. W tym celu zaaranżował małżeństwo Celestina z Mathilde Marin de Lespildou. Oto jak przedstawił sprawę synowi: „Nie kochasz jej? Dajmy spokój tym głupstwom rodem z romansów dla kucharek. Jest szpetna? Zapewne! A teraz pomówmy o jej posagu: firma Huiles et Savonneries de Provence!”. Ciężkie przejścia mogą być przyczyną wielkich przemian. W przypadku Celestina pożycie małżeńskie, nie do zniesienia z powodu zgryźliwego charakteru Mathilde, spowodowało pojawienie się nieznanego dotąd uczucia: chęci buntu. Przyjście na świat syna, któremu nadano imię Maxence, tylko wzmogło wstręt. Już od pierwszych lat życia chłopiec był całkowicie podporządkowany matce, Célestin Ruffaud zaś stał się zupełnie innym człowiekiem. Zarządzanie rozkwitającym przedsiębiorstwem Comptoirs Parisiens powierzył plenipotentowi, a w jego garderobie pojawił się smoking, elegancki płaszcz i lśniący jedwabny kapelusz.

Rozpoczął więc nowe życie i w ciągu trzech lat zmienił się nie do poznania. Można przypuszczać, że świętej pamięci Timoléon Ruffaud, który spał snem wiecznym w grobowcu na Pére-Lachaise, nie pochwalałby tej odmiany. Każdy dzień rozkosznej egzystencji Celestina składał się z następujących po sobie przyjemności. Rzadko wstawał przed południem i na

pierwsze śniadanie kazał sobie podawać herbatę i jajka na miękko z kawiozem. Po południu odwiedzał swoje konie wyścigowe, które trzymał w jednej ze stajni za hipodromem Longchamp. Wieczory pieniły się szampanem wśród przyjaciół z Jockey Clubu. Odwiedzał też liczne kabarety, a dzień kończył kolacją w Rocher de Cancale albo u Maxima. Z czasem Célestin zupełnie zrezygnował z życia rodzinnego. Niekiedy spotykał Mathilde w holu posiadłości przy Avenue du Bois, a ona pozdrawiała go kwaśno, krzywiąc się i wydymając usta: „Zalatuje od ciebie stajnię, mój drogi”. Mówiła też: „Jakim cudem udaje ci się utrzymać równowagę, mimo takiej ilości alkoholu?”. Célestin nie odpowiadał, kłaniał się tylko, uchylając cylindra.

Czy Célestin Ruffaud był potworem, czy nie podlegał prawom natury? Jego syn Maxence nie budził w nim żadnych ojcowskich uczuć. Uważał go za skrytego ponuraka, a gdyby nie bigoteria i szpetota Mathilde, stanowiące niepodważalną gwarancję wierności, zadawałby sobie pytanie, czy aby jest jego ojcem. „Jest do niej podobny, mawiał Célestin. Cherlawy, bo wciąż trzyma się matczynej spódnicy. Usta ma pogardliwie skrzywione, patrzy na wszystkich z góry. Mathilde wniosła mi w posagu nie tylko prasy do wyciskania oliwy i foremki do mydła. W jej kufrze znajdował się też bachor imieniem Maxence. Z racji szacunku, jaki żywię dla pamięci mojego ojca, nigdy nie pozwolę, by ta kreatura objęła po mnie kierownictwo przedsiębiorstwa”.

Los Célestina odmienił się pewnego wrześniowego dnia roku 1915. Przebywał właśnie na pierwszym piętrze pałacyku przy Avenue du Bois. Drzwi do jego pokoju były otwarte i słyszał krzątające się pokojówki. Dźwięczny głos nucił jakąś melodię. Odwrócił się. W progu stała bardzo młoda kobieta, właściwie dziewczyna. Zamilkła, a jej policzki poczerwieniały. Tak oto poznał Louise. Miała zaledwie dwadzieścia lat, jasnoniebieskie oczy i wąską talię przepasaną białym fartuchem. On zaś lat pięćdziesiąt pięć i nerwowo obracał w palcach diamen-

tową spinkę fantazyjnego jedwabnego krawata. Wstrząs był gwałtowny, a zarazem błogi. To przedziwne drgnienie serca mogło skończyć się katastrofą. Na Celestina czyhały najgorsze cierpienia; mógł zostać okradziony, upokorzony, zdradzony i ośmieszony, lecz los nad nim czuwał. Zakochał się po uszy.

Rozdział 2

W roku 1919 Célestin wyprowadził się z pałacyku przy Avenue du Bois i zamieszkał razem z Louise w pobliżu Hal.

Timolcón, który odziedziczył po matce jasnoniebieskie oczy i ciemne włosy, zwracał uwagę przechodniów. Często gratulowano jego urody Celestinowi i Louise, czego dzieciak, rzecz jasna, nienawidził. Niektóre damy posuwały się wręcz do tego, że całowały go w policzek. Wycierał go wtedy energicznie rękawem, by zetrzeć ślad upokorzenia. Nie znosił, kiedy traktowano go jak miłe zwierzątko.

Zresztą w jego dzielnicy nie brakowało zwierząt, które uważał za ogromnie interesujące. W lecie i w zimie roiło się od tresowanych czworonogów, które ich właściciele pokazywali na dziedzińcu przed kościołem Świętego Eustachego, na placu Beaubourg, na skrzyżowaniu Etienne-Marcel i przed pawilonami Baltard. Timo — rodzice już po dwóch latach zrezygnowali z Timoléona — przeciskał się przez tłum gapiów i klaskał na widok brunatnego niedźwiedzia grającego na tamburynie, trzymanego na uwięzi przez tresera ubranego w pluchy i tyrolski kapelusik. Siedząc na ramionach ojca, przyglądał się z rozdziawioną buzią ozdobionym różowymi kokardami białym pudlom, które dreptały w koło na tylnych łapkach. Pojawiali się tam treserzy wszelkich możliwych gatunków zwierząt. Wciąż przybywali nowi aktorzy niekończącego się przedsta-

wienia: skaczące małpy, kaczy balet pod przewodnictwem maestra ubranego w beret, konie potrafiące liczyć, czy węże wraz z zaklinaczami. Jednak najciekawszymi okazami byli ludzie. „Mieszkańcy antypodów, kuglarze, połykacze ognia i akrobaci są aktorami w ulicznym musicalu”, mawiał Célestin. W pogodne wiosenne i letnie wieczory prowadzał Louise i Tima, by mogli podziwiać ulicznych artystów. W gruncie rzeczy sam znajdował upodobanie w tych pokazach, szczególnie zaś gustował w sztucznych iluzjonistów i prestidigitatorów.

Trudno było powiedzieć, który z nich — Timo czy jego ojciec — przyglądali się im z większym zachwytem. Obaj promienieli, gdy któryś ze sztukmistrzów wyciągał królika z kapelusza, gołąbka spod kamizelki czy kilka polnych myszy z mankietu.

Spośród wszystkich prestidigitatorów, iluzjonistów i sztukmistrzów urządzających pokazy przy bramie Saint-Denis czy na esplanadzie przed Hôtel-de-Ville, jeden zasługiwał na szczególnie gorące owacje Célestina. Był to wymizerowany rudzielec, mówiący z silnym angielskim akcentem, który niczym komendant wiejskiego posterunku policji wykrzykiwał głośno, wybijając rytm na bębnieku:

— Szczęśliwi paryżanie, nie zasłużyliście na to, lecz korzystajcie z okazji: oto przesławny Ted Rooster znów znalazł się wśród was!

Przybywa, by pokazać wam niespotykane nowe sztuki!

Tu przerywał bicie w bęben.

— ...Które to sztuki wprawiły już w zadziwienie jego rodaków z Soho oraz Piccadilly.

W tym momencie przemieniał pałeczki w dwie jedwabne wstęgi, jedną błękitną, drugą czerwoną.

— Car Mikołaj Drugi zmusił go, by spędził lato w petersburskim pałacu, gdzie zabawiał carewicza. Sułtan Konstantynopola odznaczył go orderem Rycerzy Sulejmana.

Kiedy odkładał bębenek na ziemię, wylatywała z niego para gołębi, które siadały na jego kapeluszu.

— Szlachetny władca otomański pragnął zatrzymać go przy sobie, ku uciesze hurys ze swego haremu. Szczęściem jednak sławny Ted Rooster jak nikt potrafi zniknąć i znów pojawić się tam, gdzie mu się spodoba. Po tym przemówieniu następował zdumiewający pokaz magii, podczas którego rozłożone w wachlarz karty stawały się synogarlicami, króliki dobyte z cylindra rozsypywały się w konfetti, a krawat w grochy należący do widza z pierwszego rzędu, przecięty na pół wielkimi nożycami, dzięki jednemu dotknięciu czarodziejskiej różdżki znów był cały i nietknięty. Kiedy pierwsze cienie kładły się u stóp drzew na dziedzińcu Świętego Eustachego, rodzina kierowała się w stronę mieszkania przy ulicy Rambuteau. Timo, rozmarzony, kładł się do łóżka. W kieszeniach jego kamizelki kłębiły się myszki, sztywno maszerowały pudle, gołębie wyfruwały z bębna, a Ted Rooster wyciągał zza kołnierza asa pik. Świat pełen był magii, więc mógł zasnąć spokojnie.

Nienawiść i chciwość bardziej pobudzają przenikliwość umysłu niż miłość i szczodrość. Mathilde Ruffaud prędko domyśliła się, że jej małżonek „zadurzył się w jakiejś młódce”. Z początku nawet się ucieszyła, ponieważ ta nowa fanaberia była mniej kosztowna niż poprzednie wyskoki. Jednak to, czego się dowiedziała, zaniepokoiło ją. Pewnego zimowego dnia roku 1923, kiedy zbliżały się siódme urodziny Tima, zażądała, by mecenas Le Fort doprowadził do oficjalnego spotkania z jej mężem. Doszło do ostrej wymiany zdań.

— Mniejsza z tym, że jestem ofiarą niewierności małżeńskiej — powiedziała Mathilde. — Nie dbam też o to, że zadajesz się z motłochem. Mam jednak podstawy, by obawiać się, że twoje poczynania mogą zaszkodzić interesom naszej rodziny.

— Wyrażaj się jasno — przerwał jej Celestin. — Wysługujesz się jakimiś nędznikami, żeby mnie szpiegować. Kto to jest i od jak dawna?

Mathilde nie dała zbić się z tropu.

— Twoje postępowanie nie upoważnia cię do pouczania mnie. Pewne osoby, powodowane współczuciem, powiadomiły mnie o twoich postępkach... Jesteś ojcem chłopca noszącego imię Timoleon, jak twój ojciec, urodzonego dziesiątego grudnia tysiąc dziewięćset szesnastego roku. Ma więc siedem lat.

— Bardzo proszę, przejdźmy do rzeczy.

— Mecenas Le Fort i ja chcielibyśmy dowiedzieć się, czy go uznałeś.

— Niczego bardziej nie pragnąłem, musiałem jednak z tego zrezygnować

— odpowiedział Celestin. — Zdaję sobie sprawę, jakie kłopoty prawne mógłbym ściągnąć sobie na głowę. Timoleon nosi nazwisko Auber i w dokumentach napisane ma „ojciec nieznany”. Przyznaj, moja droga, że to istna farsa: Maxence oficjalnie jest moim jedynym synem, choć w niczym mnie nie przypomina. Nie mogę zaś uznać Tima za swego syna, choć kocham go z całego serca. Dwóch synów, jeden i drugi nieuznany, choć każdy w inny sposób!

— Masz czelność żartować, ja tymczasem nie jestem w nastroju do żartów. Mecenas Le Fort i ja żywimy poważne obawy, że zechcesz uczynić Timoleona jednym ze swych spadkobierców.

— Doprawdy, trudno by mi było tego dokonać. Celestin łągał w żywe oczy. Tak jak obawiała się Mathilde,

umieścił rzecz jasna w swym testamencie zapis, na mocy którego Timo odziedziczy część majątku nieprzypadającą ustawowo jego rodzinie, a więc jedną czwartą dóbr, które w przeciwnym wypadku dostałby Maxence, co stanowiło całkiem pokaźną sumę.

Ponadto nie ustawał w wysiłkach, by zapewnić Louise i Timowi dostatnie życie. Każdego tygodnia, gdy w środę o dwunastej przychodził do mieszkania przy ulicy Rambu-teau — bowiem aby uniknąć skandalu, Celestin spędzał trzy dni tygodnia w swej „małżeńskiej” siedzibie — szedł z Louise do sypialni, wyjmował z szafy kasetkę i wkładał do niej pół tuzina złotych dwudziestofrankówek.

— Kiedy mnie zabraknie, nie zagrozi wam bieda — tłumaczył. Teraz, gdy zbliżał się koniec roku 1923, kasetka była pełna, a Celestin przeczuwał zbliżający się mrok najdłuższej z nocy. Uporczywy ból w piersiach był zapowiedzią długiej podróży. Lękał się śmierci i niekiedy myśl o otwierającej się przed nim otchłani przerażała go. Szybko się jednak opanowywał; w końcu nie ma znaczenia, co będzie się z nim działo. Myślał raczej o Louise, która zostanie sama w wielkim mieście, bez opieki, z małym dzieckiem. Patrzył na Tima i myślał o tym, że nie będzie przyglądał się, jak jego syn dorasta. Zaczął żyć zbyt późno i z żalem będzie żegnał ten świat.

Celestin wyzionął ducha w swoim pałacyku przy Avenue Foch. Ze względu na konwenanse poprosił o ostatnie namaszczenie. Jakaś godzinę po zakończeniu pośmiertnej toalety do zmarłego dopuszczono jego prawowitą małżonkę i syna. Oczy Mathilde były suche i obojętne. Maxence, który miał już siedemnaście lat i nosił garnitur oraz krawat (czarny, ze względu na okoliczności), przez kilka minut stał sztywno, na baczność. Nagle podszedł do łoża i padł na kolana. Zdjął okulary i zaczął łkać z twarzą ukrytą w dłoniach. Mathilde wzruszyła ramionami, obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Wstrząśnięta śmiercią Célestina Louise czuła się tak, jakby odebrano jej przeszłość. Wydawała się sobie obcą osobą i gdyby nie poczucie obowiązku wobec Tima, nie pojawiłaby się na otwarciu testamentu. Popełniłaby jednak wówczas poważny błąd.

Aby zadbać o wiarygodność testamentu, Celestin zdeponował go u trzech notariuszy. Jednym z nich był mecenas Edouard Le Fort, zaufany powiernik Mathilde, teraz już wdowy Ruffaud.

To właśnie on dokonał prezentacji, żywo gestykulując.

— Pani Mathilde de Lespilidou, wdowa po zmarłym. Mathilde siedziała sztywna i nieruchoma. Notariusz mówił dalej:

— Pan Maxence Ruffaud, syn zmarłego. Trybunał handlowy wyraził zgodę na korzystanie przezeń z przysługujących mu praw, mimo iż nie osiągnął jeszcze pełnoletności.

Maxence skinął głową. Ciemny garnitur, wykrochmalony przypinany kołnierzyk i okrągłe okulary sprawiały, że ten siedemnastoletni chłopak wyglądał na znacznie starszego.

— Oto więc treść testamentu.

Zebrani usłyszeli wymieniane kolejno wielkie liczby, jakimi odtąd miało wyrażać się bogactwo Maxence'a i jego matki. Kiedy Le Fort doszedł do wzmianki dotyczącej Louise i jej syna, Mathilde zamarła.

— *Zapisuję Timoleonowi Auberowi, synowi Louise, urodzonemu dziesiątego grudnia tysiąc dziewięćset szesnastego roku, całą część majątku pozostającą poza zachowkiem, czyli jedną czwartą należących do mnie akcji przedsiębiorstwa Comptoirs Parisiens o wartości trzydziestu milionów franków w złocie.*

Mathilde wydała dźwięk podobny do syknięcia:

— Łajdak!

Notariusz Le Fort nie podniósł wzroku. Pobladła, z twarzą wykrzywioną nienawiścią, wdowa nie potrafiła powstrzymać wściekłości.

— Proszę przyznać, mecenasie Le Fort, że już wiele lat temu przejrzelśmy na wylot złodziejskie sztuczki mojego męża!

— Pani Ruffaud — ośmielił się powiedzieć notariusz — mimo wszystko mówi pani o zmarłym.

W tej chwili Maxence, który dotąd siedział nieruchomo, wstał z krzesła.

— Mój ojciec nie żyje, zgoda — zaczął, a w jego głosie słychać było złość. — Proszę mi jednak powiedzieć, czy to umniejsza jego hańbę? To indywiduum, które nie żyje i zaczęło już gnić w ziemi, zachowało się jak kanalia.

Nie panując nad sobą, młody człowiek wymierzył potężnego kopniaka biurku prawnika.

— Jakim prawem ten człowiek, który był ponoć moim ojcem, mnie okradł?

— Przecież zadysponował tylko częścią majątku poza zachowkiem — wybąkał notariusz.

— Podkreślam, że ten testament jest wyrazem jego złej woli wobec naszej rodziny i wobec mnie. Potwierdza, że mój ojciec dokonał machinacji, mającej na celu pozbawienie mnie części dóbr, które mi się należą. Mój ojciec? Jak mógłbym nazywać ojcem tę zimną istotę, która traktowała mnie z najwyższą pogardą? Dlaczego był wobec mnie tak okrutny? — mówił Maxence przez łzy. — Odrzucił moją miłość, odepchnął mnie już w chwili narodzin!

Mathilde spojrzała na syna z dezaprobatą. Taki brak opanowania był zdecydowanie w złym guście.

— Doskonale — ucięła. — Skoro tak, zaskarżymy ten testament.

Dzięki luidorom przynoszonym raz w tygodniu Louise, Célestin uchronił ją przed troskami związanymi z życiem codziennym, mogła więc poświęcić się całkowicie wychowaniu Tima. Nie było to trudne zadanie. Chłopiec był uważny, spokojny, zawsze posłuszny, można by go stawiać za przykład wszystkim łobuziakom, od Hôtel-de-Ville po bramę Saint-Martin.

„Taki młody, a już umie się zachować, nie mogła nadziwić się matka. Jaki umiar, dystynkcja, żadnych brzydkich słów, w ogóle nie kaprysi.

Doprawdy, wzorowe dziecko, nie można tego lepiej ująć...". Jeśli chodzi o jego urodę, zastanawiała się z niepokojem, jak za parę lat jej syn zdoła opędzić się od awansów, jakie z pewnością czynić mu będą kobiety.

Może był tylko odrobinę zbyt małomówny, jakby nieco znudzony, ale gdyby nie to, Timo byłby chodzącym ideałem.

W liceum imienia Karola Wielkiego uczeń Timolçon Auber zgarniał wszystkie nagrody i zbierał same pochwały. Kiedy miał lat dwanaście, zaczął uczyć się greki. Zapewne pod koniec pierwszego trymestru znów otrzymałby pochwałę od rady

klasowej, wydarzyło się jednak coś nieoczekiwanego, co zrujnowało jego szkolną karierę.

Pewnego grudniowego poranka, podczas lekcji łaciny, w jego klasie pojawił się wychudzony chłopak o jasnych włosach i śmiałym spojrzeniu. Miał na sobie czarny fartuszek, a taki strój zarezerwowany był dla uczniów klas niższych, wydawał się więc całkowicie nie na miejscu. Kiedy woźny wyszedł, profesor od łaciny przedstawił klasie nowego ucznia.

— Panowie, oto wasz nowy kolega. Nazywa się Anselme Dubreuil. Zdaje mi się, że jest wolne miejsce pośrodku, obok pana Aubera. Odtąd to pana miejsce.

Timo zdjął tornister z krzesła, żeby nowy mógł usiąść. Chłopcy popatrzyli na siebie i pozdrowili się skinieniem głowy.

Timo prędko zorientował się, że nowo przybyły jest nieukiem, prawdziwym nieukiem, który obnosi się ze swoją ignorancją. Już drugiego dnia Timo spytał go, zdumiony, podczas przerwy:

— Jak to, nie znasz drugiej deklinacji?

Przerośnięty chudzielec odparł kpiącym i ironicznym „czyżby?” i dodał, puściwszy oko: „A jak myślisz, czy Hektor zna tę twoją drugą deklinację?” — i uniósł połę fartucha, wyciągając z kieszeni spodni duże pudełko po zapalkach. Położył je na pulpicie i ostrożnie otworzył. Timo zajrzał, wewnątrz coś się poruszało.

— Widzisz? — powiedział nowy. — To jest mój przyjaciel, Hektor. Jest myszą, ale nie byle jaką! To samiec. Hektor jest wojownikiem. W końcu to syn Priama i wnuk Menelaosa.

Timo parsknął śmiechem. Nowy być może nie znał drugiej deklinacji, ale wiedział niejedno, a były to rzeczy ciekawe, choć niemające nic wspólnego ze szkolnym programem.

Anselme Dubreuil był kiepskim uczniem i znalazł się w liceum Karola Wielkiego wyłącznie dzięki interwencji Ministerstwa Wojny. Nie tylko nie znał podstaw wszystkich przedmiotów, a zwłaszcza łaciny, ale był też opóźniony o rok w stosunku do programu. Wszyscy jednak musieli przyznać, że życie obeszło

się z nim okrutnie. Jego ojciec, oficer wysokiej rangi, zginął podczas ostatniej ofensywy francuskiej w Pikardii. Na domiar złego, wkrótce potem na chorobę płuc umarła jego matka. Jak powiadano, zapadła na nią z rozpaczy po śmierci męża. Chłopcem zaopiekował się podstarzały wuj, który był drukarzem w Pont Marie, i jego żona.

Anselme był o rok starszy od Tima i zachowywał się nie jak przystało na czternastoletniego chłopca, ale jak swawolny nastolatek. Ponieważ zdrobnienie od jego imienia Anselme brzmiało Ans, polecił Timowi, by ten zwracał się do niego Hans, wymawiając to imię z niemiecka.

Należy pamiętać, że pod koniec lat dwudziestych wciąż żywe były nastroje antyniemieckie. Gdy więc rozeszła się wśród uczniów piątej klasy wieść, że Dubreuil — noszący imię Hans — jest Szwabem, uznano, że należy go prześladować, podobnie jak Tima, który jest zdrajcą, zasługującym na ten sam los. Hans był wysoki, więc przewyższający ich liczbą napastnicy zbierali solidne ciągi i dopóki Timo przebywał w jego towarzystwie, mógł czuć się bezpieczny. Zazwyczaj jednak dzieci są tchórzliwe i działają stadnie, toteż Timo, kiedy był sam, to znaczy w drodze do domu, wpadał w zasadzki. Na rogu ulicy czy w bramie jakiegoś budynku czaiła się cała banda łobuziaków. Bronił się zaciekle, a gdy wracał do domu, miał obtarte kolana i zaczerwienione policzki. Matka gniewała się na niego, ale były to tylko pozory. Louise tak naprawdę nie miała nic przeciwko temu, żeby Timo tak dzielnie sprawiał się w sztubackich bijatykach. Nie wiedzieć czemu, zawsze myślała o swym zmarłym towarzyszczu życia jako o uosobieniu odwagi. Timo był więc odbiciem ojca. Czegóż więcej można było pragnąć?

Rozdział 3

Louise musiała się z tym pogodzić. Timo, który na początku roku uczył się tak dobrze, nie przejdzie do następnej klasy. Nie uzyskał nawet zgody na powtórzenie roku.

Czy jednak rzeczywiście musiał się dalej uczyć? Kiedy będzie pełnoletni, zostanie posiadaczem ogromnej fortuny. Nie uważając nieuctwa za zaletę, Louise była jednak przekonana, że najważniejszy jest rozwój moralny syna, i dlatego znajomość z Hansem Dubreuilem uważała za ważniejszą, choćby nawet Timo miał za to zostać usunięty z liceum. Było to dość nieoczekiwane postawienie sprawy, choć niepozbawione logiki. Louise Auber nie wiedziała jednak, na czym polega przyjaźń między Timem i Hansem, którego uważała, popadając w lekką przesadę, za dobroczyńcę syna.

Przy każdej sposobności obaj chłopcy wyruszali na coraz śmielsze wyprawy do pulsujących życiem dzielnic Paryża. Nie włączyli się po Halach, gdzie ich obecność przeszkadzała tragarzom i dostawcom oraz wprawiała w zakłopotanie ulicz-ników, którzy pojawiali się tam w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Wzdłuż bulwaru Sebastopol ciągnęło się królestwo straganów tandeciarzy. Dla Hansa i Tima nie było tam niczego ciekawego. Handlarze za bezcen sprzedawali gospodyniom domowym pościel, obrusy i zastawę stołową. Znacznie bardziej inte-

resujące były uliczki przylegające do bulwaru, gdzie grupki gapiów gromadziły się wokół stolików do gry w trzy karty. Tutaj zbierali się wyłącznie mężczyźni, zwykle kilkunastu, a banknoty stufrankowe przechodziły z rąk do rąk. Chłopcy wciskali się między dorosłych, by obserwować przedstawienie.

— Gdzie jest as pik? Pośrodku? Niestety, panie żołnierzu, jest na spacerze po prawej stronie! Nie płacę. Pieniążki zostają u mnie. Żołnierz niechętnie odchodził. Krąg graczy zacieśniał się wokół stolika, z kieszeni wyskakiwały kolejne banknoty, a chłopcy wpatrywali się w karty.

— I gdzie jest as pik? — pytał właściciel stolika.

— Pośrodku! — stwierdzał jeden z graczy, rzucając plik banknotów. Timo chciał krzyknąć: „Nie, as pik jest po lewej!”, a oszust potwierdził:

— Niestety! As pik wybrał się w podróż poślubną... na lewo! Pewnego dnia Hans zwrócił uwagę na te szczególne uzdolnienia Tima.

— Masz niezłe oko do kart. Skąd ta umiejętność?

— Nie ma tu niczego tajemniczego, mój drogi. Przyszedłem na świat w tej dzielnicy. W letnie wieczory moi rodzice zabierali mnie ze sobą, żeby oglądać magików i szulerów.

— To może byś zagrał? Moglibyśmy zdobyć trochę forsy — podsunął Hans.

— Na to jeszcze za wcześnie. Nie wszystko zrozumiałem, ale wokół tych skrzynek z kartami dzieją się dziwne rzeczy. Myślę, że oni mają współników. Jestem pewien, że jeśli ktoś za dużo wygra, zajmują się nim przyjaciele prowadzącego grę.

W następnym tygodniu, jakby na potwierdzenie podejrzeń Tima, podczas kolejnej partii gry w trzy karty rozpętała się bijatyka. Lawina ciosów pięścią i kopniaków wymienianych przez graczy, właściciela stolika i jego przyjaciół zamieniła róg Sebasto i ulicy Torcy w istne piekło. Hans złapał Tima za ramię i wyciągnął z zamieszania.

— Masz rację. Tu dzieją się dziwne rzeczy. Zaczekamy parę lat, żeby dowiedzieć się więcej.

Kiedy po raz pierwszy zapuścili się ulicą Saint-Denis za skrzyżowanie Etienne-Marcel, nie mieli zbyt tęgich min, choć udawali brak zainteresowania dla tego, co mieli przed oczami. W każdej bramie, w każdym korytarzu, w każdym wejściu do budynku tłoczyły się dziesiątki kobiet czekających na klienta. Inne przechadzały się ulicą, wymachując torebką, wypinając piersi ściśnięte skórzanym gorsetem, ukazując nogi spod uniesionej sukni. Ich oczy błyszczały jak węgle, wargi płonęły. Wokół uwijali się mężczyźni, odbywały się szybkie negocjacje. Damy dziwiły się na widok dorastających chłopców, którzy pojawili się w tej dżungli. Niektóre z nich mówiły: „Uciekajcie stąd, bo powiem waszym rodzicom, że się tu kręcicie!”. Z kolei inne wykazywały więcej zrozumienia: „Chodźcie tu, małe świntuszki, przecież nie będziecie zabawiali się pod kołdrą do końca życia! Razem z koleżanką rozprawimy was raz-dwa, zrobimy z was mężczyzn”.

Szybko znużyło ich to widowisko. Wtedy Hans wymyślił nową rozrywkę. Nie chodziło już o dziecinne igraszki, mieli zaznać pierwszego dreszczu emocji, wchodząc na drogę przestępstwa. Dzielnicę Hal, okolice Sébasta i bramy Saint-Denis o każdej porze dnia i nocy przemierzali zamożni panowie, przybyli tu w poszukiwaniu występnych przygód. Byli to zazwyczaj dojrzały mężczyźni, pragnący odetchnąć zepsutym powietrzem i odpocząć od układowego mieszczańskiego życia. Dziwki nazywały ich „michasiami”, a gracze w trzy karty i ich wspólnicy po prostu frajerami. Hans zauważył, że osobnicy tego typu mają szczególną tendencję do nagłego rozstawania się ze swoim portfelem. Nie było tygodnia, a nawet dnia, żeby któryś z nich nie krzyczał na całe gardło, przeciskając się przez tłum przechodniów: „Łapać złodzieja!” Hans przyjrzał się też sprawcom: młodzi, około piętnastu lat, zręczni i szybcy, a co więcej, często ubrani w eleganckie spodnie i getry, kraciaste atłasowe kamizelki i obcisłe marynarki z szerokimi klapami.

Patrząc na nich, czuł się jak dziecko. Uznał więc, że czas dorosnąć.

— Timo, trzeba zająć się czymś poważnym — tłumaczył przyjacielowi.

— Chyba tylko my chodzimy do tej najciekawszej z dzielnic miasta, nie czerpiąc z tego żadnych korzyści!

— Jaki masz plan? — spytał z zaciekawionym Timo.

— Najprostszy i najskuteczniejszy. Będziemy śledzili burżuja, który przyszedł się łajdaczyć. Wybierzemy sobie jakiegoś grubego i bogatego. Ja jestem wyższy, a więc silniejszy. Rozpędzę się i wpadnę na niego od tyłu. On się przewróci, a ty szybko wyciągniesz mu portfel z kieszeni marynarki.

— To jest kradzież — zauważył Timo.

— Przywłaszczenie — sprostował Hans głosem, w którym brzmiała pewność.

Kilka dni później, pewnego czerwcowego popołudnia, uznali, że czas przystąpić do działania. Na placu Saints-Innocents pojawił się odpowiedni mieszczuch. Rozglądał się niepewnie dookoła i wyglądał, jakby tylko na nich czekał. Podeszła do niego jakaś dziewczyna, kołyszając biodrami, w kok miała wpiętą egretę. Szepnęła mu coś do ucha i mężczyzna ruszył za nią do hotelu po drugiej stronie ulicy, rzucając za siebie ukradkowe spojrzenia. Przed chłopcami pojawiła się perspektywa oskubania ofiary idealnej.

Szedł bez pośpiechu ulicą Ferronnerie. Był bardzo wysoki, ubrany jak nie z tego stulecia — w szary surdut włożony na jedwabną kamizelkę. Miał fantazyjny szeroki krawat ze srebrną szpilą i cylinder. Potrafił kogoś na chodniku, przeprosił, unosząc kapelusz, i ruszył w dalszą drogę. Hans dał znak Timowi, nadszedł czas, by zaatakować.

— Teraz. Ja go przewrócę, a ty bierz portfel. Wszystko odbyło się w mgnieniu oka. Rozpędzony Hans

przewrócił mężczyznę, który upadł na ziemię z okrzykiem zaskoczenia.

Timo podbiegł, uklęknął obok niego i wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni surduta. Nic. Poczul zimny pot przerażenia. Sięgnął do kieszeni z drugiej strony. Też nic!

Nagle poczuł na karku żelazny uchwyt czyjejś dłoni i usłyszał głos ochrypli jak z koszmaru.

— Ejże! O co chodzi? — Mężczyzna nie krzyczał, nie był zagniewany, a raczej zdziwiony. — Hej! *My boy*, nic mi się nie stało, nie przejmuj się. Czy mieszczuch niczego nie rozumiał? To Anglik. Czy Anglicy są tak głupi, że nie wiedzą, kiedy ktoś próbuje pozbawić ich portfela?

Wokół natychmiast zgromadziła się grupka ciekawskich. Timo zobaczył przed sobą nieprzeniknioną zasłonę dziesiątek par pończoch. Dryblas wciąż trzymał go za kark. Wstał, wspierając się na nim. Przez tłum przepchnął się sierżant policji.

— Ten nicpoń chciał pana obrabować? — zapytał.

— W żadnym wypadku, panie policjancie. Poślizgnąłem się na chodniku, a ten chłopiec chciał mi pomóc.

Timo czuł paznokcie mężczyzny wpijające się w szyję.

— A to dziwne — mruknął policjant, przyglądając wąsa.

— Nic w tym dziwnego, drogi przyjacielu, to mój bratanek. Timo nie wiedział, co się z nim dzieje, w każdej chwili spodziewał się aresztowania albo że zlincuje go tłum. Tymczasem Anglik, którego właśnie napadł, chwilę potem uratował mu życie. Nie wiedział, co powodowało jego niedoszłą ofiarą, ale musiał przystać na takie rozwiązanie. Mężczyzna zdjął wreszcie rękę z jego karku, pochylił się i podniósł cylinder leżący na ziemi. Wyprostował się i patrząc z góry na sierżanta, powiedział:

— Panie policjancie, to dziecko przestraszyło się, że coś mi się stało.

Mieszkam dwadzieścia metrów stąd, więc wezmę go do siebie na herbatę. Do widzenia.

Położył dłoń na ramieniu Tima na znak, że w dalszą drogę ruszają razem. Zdezorientowany sierżant zasalutował, przykładając palec do daszka kepi.

Mężczyzna zdjął kapelusz, ściągnął surdut i rzucił na łóżko. Timo otworzył usta ze zdziwienia, ponieważ Anglik, którego

próbował obrabować, miał tylko jedną rękę. Aby ukryć kalectwo, wypchał czymś prawy rękaw surduta, a na końcu przyszył rękawiczkę. W kamizelce, ze zwisającym pustym rękawem koszuli, ten wysoki nieznajomy o rudych włosach i zielonych oczach mógł wzbudzić strach w czternastoletnim chłopcu. Jednak Timo z każdą chwilą czuł się coraz bezpieczniej. Twarz Anglika nie wydawała mu się obca.

— Trochę tu ciasno — powiedział mężczyzna, siadając — ale zawsze to lepsze niż cela w więzieniu, nie sądzisz?

Wybuchnął gromkim śmiechem i dał znak Timowi, żeby usiadł.

— A więc to tak, *my boy*, bierzemy się do napadania na szacownych obywateli z czwartej dzielnicy?

— To był... — wymamrotał Timo ze spuszczonego wzrokiem.

— Tak, wiem, to był pierwszy raz.

— Pan mi nie wierzy — stwierdził chłopiec ze smutkiem. — Ale ja mówię prawdę.

— Wiem. Brakuje ci doświadczenia w obrabianiu kieszeni. Zastanawiasz się, dlaczego cię nie wydałem... Odpowiedź: *top secret!*

Nagle Timo się wyprostował.

— Ted Rooster! — krzyknął.

Mężczyzna znów wybuchnął homeryckim śmiechem. Chłopak wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Nadal jest pan magikiem? — spytał. Anglik wskazał ruchem głowy klatkę z ptakami.

— A jak ci się wydaje, po co ktoś trzymałby w domu kilkanaście gołębi i papużek falistych, nie licząc kakadu, o ile nie ma źle w głowie? Te ptaszyska są straszne. Ani chwili ciszy, zawsze któreś trzepocze skrzydłami, skrzeczy albo skubie pióra innego. Zaletą królików jest to, że są cichsze. Natomiast wadą, że dużo więcej jedzą.

— Trzyma pan gołębie, ale nie robi pan pokazów?

— Jak dotąd uważałem, że nie jestem jeszcze gotowy.

— Będzie pan robił sztuki jedną ręką? — zainteresował się Timo.

— Otóż to, *my boy*. Wczoraj Ted Rooster był największym magikiem świata. Jutro będzie nim znów, choć jest jednoręki. — Nagle spoważniał.

— Mijają właśnie cztery lata, odkąd straciłem rękę w wypadku samochodowym. Od tego czasu codziennie ćwiczę, od świtu do nocy, jak skazaniec, jak potępieniec!

Anglik otworzył szufladę stołu znajdującą się na wysokości jego brzucha i wyciągnął z niej talię kart.

— Po czterech latach ćwiczeń udało mi się osiągnąć całkiem niezłe wyniki.

Objął palcami talię, karty zaczęły migać w jego dłoni.

— Tasować karty jedną ręką... Niewykluczone, że na całym świecie jest nas nie więcej niż trzech, którzy potrafimy tego dokonać.

Jednym ruchem ułożył talię w wachlarz, potem pokazał ją chłopcu tak, żeby ten mógł zobaczyć kartę na wierzchu — asa kier. Położył talię na stole i odwrócił kartę: as kier.

— Dlaczego pan pokazuje mi te sztuki? — spytał Timo.

— Nie uwierzysz. Od czterech lat nie miałem ani jednego widza, ty jesteś pierwszy. Ponieważ przypuszczam, że niczego nie zauważyłeś, czuję się podniesiony na duchu.

— Ale dlaczego ja?

— Ponieważ sprowadziło cię do mnie przeznaczenie. Mówiąc, wyciągnął z talii trzy karty i rozłożył je na stole. Odwrócił środkową.

— As kier. Idzie na prawo, idzie na lewo, znów na prawo. Gdzie teraz jest?

Ted Rooster powtarzał numer z trzema kartami przez dobry kwadrans. As kier pomykał we wszystkie strony i choć chłopiec przyglądał się palcom Teda z odległości paru centymetrów, ani razu nie zdołał go znaleźć.

— Konkluzją tego pokazu, *my boy*, jest to, że straciłbyś całą fortunę.

— Czy pan oszukuje?

— Nigdy, przenigdy nie wymawiaj tego słowa, chłopcze!

To tylko zręczność, manipulacja, nic więcej. Wystarczy ukryć kartę w dłoni i gotowe.

- Żaden gracz nie zdemaskuje takiej sztuczki! — wykrzyknął rozentuzjasmowany Timo. — Jest pan nie do pokonania.

— To się okaże w przyszłym tygodniu — powiedział spokojnie Rooster.

— A to dlatego, że w przyszłym tygodniu odbędzie się mój publiczny występ w charakterze prowadzącego grę w trzy karty na Sebasto. A propos, chciałbym poprosić cię o pewną przysługę w zamian za wielkoduszność, jaką ci dziś okazałem. Ciebie i twojego przyjaciela, tego, który mnie przewrócił.

Rozdział 4

— Zostać wspólnikiem Teda Roostera?! — roześmiał się Hans Dubreuil.

— Nie masz do zaproponowania czegoś mniej niebezpiecznego?

— Pękasz?

Przez kilka miesięcy młodzi ludzie pełnili obowiązki skutecznych, a czasem nieustraszonych wspólników najbardziej zdumiewającego z jednorękiich prestidigitatorów. Technika mogła wydawać się prosta, wymagała jednak sporo zimnej krwi, spostrzegawczości i umiejętności szybkiego podejmowania decyzji.

Nauka rozpoczęła się od opanowania strachu. W grupie grających należało panować nad sercem, które podchodziło do gardła, i nogami zniecka zaczynającymi drżeć. Trzeba było bezustannie mieć uśmiech kogoś, kogo bez reszty wciągnął karciany wir. Nikt nie miał prawa dostrzec nawet cienia niepokoju — oto podstawowa zasada.

Timo wykazał się wyjątkowym talentem. Przepychał się między graczami stojącymi w sporym półokręgu przed skrzynką Teda Roostera i pytał.

— Psze pana! Mogę zagrać? Anglik odmawiał.

— Za młody jesteś.

Zgodnie z przewidywaniami, ktoś z tłumu zawsze protestował przeciwko takiej niesprawiedliwości.

— No co, Angolu, boisz się tego małego?

Narzucony przez publiczność wspólnik był jednym z wielkich wynalazków Roostera, szczytem finezji w dziedzinie manipulacji. „Nie zapominaj, że w naszym zawodzie najcenniejszym sprzymierzeńcem jest ludzka głupota”, mawiał.

Timo wygrywał kilka razy, a potem zgadzał się grać do spółki z innym graczem; wówczas zaczynał regularnie przegrywać. Zanim oszukany zdołał się zorientować, pojawiał się Hans, mówiąc: „Wracaj do domu, matka woła”. Timo zniknął niepostrzeżenie, zostawiając partnera samego. I zaczynało się skubanie.

Po dwóch latach opanowali ten numer do perfekcji. Rooster był mistrzem w swoim fachu. Niekiedy praca wspólników bywała dość trudna, ponieważ oskubani do gołego gracze usiłowali odzyskać pieniądze. Kiedy stawali się naprawdę groźni, trzeba było interweniować, żeby wyciągnąć Roostera z opałów. Młodzieńcy udawali wtedy, że gonią jeden drugiego i wpadali z impetem w grupkę gapiów. Udając, że się biją, wywoływali zamieszanie, a jednoręki salwował się ucieczką. Drugi sposób polegał na tym, by krzyknąć „Gliny!”. Gracze rozbiegali się na wszystkie strony, niczym stadko spłoszonych szpaków. W jednym i drugim przypadku chodziło o to, żeby nie wpaść w łapy oszukanych. Timo i Hans zawsze się wymykali. Mieli wzrost dorosłych mężczyzn, ale w wieku szesnastu lat byli zręczni i szybcy. Ich „artystyczna współpraca” z Tedem Roosterem kwitła.

Tym razem jednak Louise była więcej niż zaniepokojona. Zdawała sobie sprawę, że Timo wszedł na niebezpieczną drogę. Pewnego dnia 1933 roku postanowiła porozmawiać poważnie z synem. Uznała, że musi uczulić go na pewne sprawy.

— Nie wróciłeś wczoraj wieczorem do domu. Zamartwiałam się o ciebie. Przecież masz dopiero siedemnaście lat.

— Poszedłem do kabaretu. Hans potrafi nawiązywać znajomości. Louise zrozumiała, ale nie chciała nalegać.

— Twój ubiór nie zapowiada niczego dobrego — westchnęła smutno. —
Chciałam jednak porozmawiać z tobą o czymś innym.

Sięgnęła po egzemplarz „Petit Journal” i podała go synowi. Wziął go
zdziwiony i przebiegł wzrokiem pierwszą stronę.

— No i co? — mruknął.

— Przeczytaj artykuł w prawym dolnym rogu.

Timo znów rozłożył gazetę, znalazł artykuł i przeczytał głośno:

— *Zmiany w kierownictwie Narodowego Ruchu Byłych Kombatantów.*

Maxence Ruffaud obejmuje stanowisko przewodniczącego... Ruffaud —
powtórzył Timo. — Ruffaud to nazwisko mojego ojca, prawda?

— Twój ojciec nazywał się Celestin Ruffaud — potwierdziła Louise. —
Maxence też jest jego synem, urodził się dziesięć lat wcześniej niż ty. Ma
więc teraz dwadzieścia siedem lat.

— Nigdy mi o nim nie mówiłaś.

— Jest wiele rzeczy, o których nigdy ci nie mówiłam. Timo zamyślił się
na chwilę, po czym zaczął czytać dalej:

— *Po burzliwym zebraniu odbywającym się w czasie obrad kongresu
Narodowego Ruchu Byłych Kombatantów, najbardziej prawicowa
frakcja aktywistów zdołała pozyskać znaczne wpływy w Radzie
Kolegialnej. Ku ogólnemu zaskoczeniu zwycięzcą w głosowaniu na
przewodniczącego został Maxence Ruffaud. Z nieznanymi jak dotąd
przyczynami niektórzy elektorzy kolegium, zwani w terminologii ruchu
„wielkimi elektorami”, będący dotąd zawziętymi przeciwnikami
Ruffauda, opowiedzieli się za jego kandydaturą. Ogłoszenie wyników
wywołało wielką wrzawę w hali Grand Palais, gdzie odbywało się
zebranie. Dały się słyszeć okrzyki, wśród których dominowały określenia
takie, jak „sprzedawczyki”, „korupcja” i „zdrajcy”. Podczas swojego
przemówienia, nowy przewodniczący Ruffaud przywrócił spokój,
przypominając, że wyłożył znaczne sumy, przyczyniając się w ten sposób
do założenia i odnowienia partii kombatantów, nie można więc mieć
wątpliwości, co do jego uczciwych zamiarów.*

Uspokoiwszy w ten sposób zebranych, przewodniczący Ruffaud nakreślił swój program działania. Wszystko wskazuje na to, że Ruch Byłych Kombatantów skłaniać się będzie ku polityce ultrapravicowej. Maxence Ruffaud wielokrotnie nawoływał do „oczyszczenia szamba zwanego demokracją za pomocą radykalnych metod”. Wymieniono też nazwisko pisarza Charles'a Maurrasa. Przypomnijmy, że Maxence Ruffaud jest absolwentem politechniki. Odziedziczył po ojcu przedsiębiorstwo Comptoirs Parisiens, znaną sieć sklepów spożywczych, jest również właścicielem dziennika „Odnova Narodu”.

— Wygląda na to, że mój przyrodni brat chce oczyścić naród z brudów, do których niewątpliwie należę — zauważył Timo.

Spojrzał na matkę i doznał czegoś w rodzaju olśnienia.

— O ile dobrze zrozumiałem, mój ojciec, Célestin, miał ogromny majątek?

— Gigantyczny.

— I to właśnie ten... Maxence wszystko odziedziczył? — Na jego twarz szybko powrócił uśmiech. — A jaka jest moja rola w tej historii? W końcu też jestem synem Célestina Ruffauda.

— O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Ty także jesteś spadkobiercą. Zgodnie z prawem, otrzymasz swoją część spadku, gdy osiągniesz pełnoletność.

Timo przestał się uśmiechać.

— A jak duża jest ta część?

— Odziedziczysz j edną czwartą— Louise zawiesiła głos — ...czyli zapewne ponad trzydzieści milionów franków w złocie!

Timo snuł się po Paryżu do późnego wieczora. Chodził po mieście, które nagle stało się dla niego obce. Idąc bulwarami, doszedł do Café de la paix. Wciąż na nowo przypominał sobie każde słowo wypowiedziane przez matkę. Odziedziczyć trzydzieści milionów franków w złocie! Za każdym razem, gdy o tym pomyślał, ogarniała go radość. Pamiętał też dobrze dalszy ciąg rozmowy. Louise podała mu dokument składający się z kilku stron maszynopisu.

— Przeczytaj, to jest wyrok trybunału paryskiego, wydany w zeszłym tygodniu. Dziewięć lat temu, po śmierci twojego ojca, Maxence i jego matka próbowali uzyskać kasację testamentu Cécile. Zatrudnili dziesiątki adwokatów i notariuszy. W końcu jednak możemy czuć się bezpiecznie. Trybunał stwierdza, że jesteś uprawniony do wejścia w posiadanie jednej czwartej majątku twojego ojca. Jest jednak pewien warunek: biorąc pod uwagę renomę, jaką cieszy się firma Comptoirs Parisiens, nie będziesz mógł otrzymać spadku, jeśli kiedykolwiek wejdiesz w konflikt z prawem.

To zaniepokoiło Tima.

— Przecież każdy może wejść w konflikt z prawem. Wystarczy, że coś pójdzie nie tak przy grze w trzy karty i wszyscy wylądujemy na komisariacie.

Louise łagodnie pokręciła głową.

— Musiałbyś dopuścić się bardzo ciężkiego przestępstwa, żeby stracić prawo do spadku. Tu jest mowa o popełnieniu zbrodni. Mam nadzieję, że tak straszny wyrok nigdy nie będzie ci groził. Chciałabym jednak, żeby perspektywa przyszłego bogactwa sprowadziła cię ze złej drogi.

— Wydaje mi się, że wędruję drogą przez las przy wtórze śpiewu ptaków.

— Mnie zaś się zdaje, że ta droga wiedzie skrajem przepaści.

Timo uznał, że robi najlepiej, zachowując dla siebie oszałamiającą wiadomość o tym, że za dwa lata stanie się multimilionerem. Następnego ranka udał się jak zwykle na lekcję do Teda Roostera. Mistrz stwierdził jednak, że jego uczeń jest roztargniony.

— Gdzie ty jesteś, Timo? — pytał. — Na jakiej planecie? Za kilka dni dajesz pokaz przy bramie Saint-Martin. Gdyby chodziło o grę w trzy karty, poradziłbyś sobie — w ciągu tych trzech lat zrobiłem z ciebie gracza pierwszej klasy. Tym razem jednak będą to pokazy magii, a to zupełnie co innego. Jeżeli się

nie skoncentrujesz, gołębie nie wyfruną z twojego rękawa, kości nie znikną spod kubków, a króliki nie wyskoczą z cylindra, choćbyś nie wiem jak walił w niego różdżką. Bez koncentracji nie ma dezorientacji.

„Dezorientacja” stanowi najważniejszą część zawodu magika. Polega na przyciągnięciu uwagi publiczności w takie miejsce, gdzie nic się nie dzieje. W tym Timo był niezawodny. Występował przed publicznością liczącą sto, dwieście osób i nikt nie potrafił wyjaśnić w racjonalny sposób tego, co jak twierdził, było wynikiem działania mocy nadprzyrodzonych.

„Zdezorientowani” gapie klaskali, tymczasem Timo ukrywał turkawę pod kamizelką. Ubrany w jasny garnitur Hans obchodził tłum ze słomkowym kapeluszem w ręku.

„Świat jest tylko iluzją”, mawiał Rooster, który jednak zrezygnował z wykonywania zawodu iluzjonisty. Timo wypłacał mu procent od zysków — jako honorarium za zdradzenie sekretów magicznych sztuczek.

Przedstawienie przynosiło krociowe zyski i Anglik mógłby zadowolić się tym źródłem dochodu. Kiedy jednak ktoś praktykował magię przez całe życie, ukochał tę sztukę tak bardzo, że nauczył się od nowa tych samych sztuk, posługując się tylko jedną ręką, niechętnie myśli o przejściu na emeryturę. Wielki Rooster kręcił się więc wśród widzów, pozbawiając ich zegarków i portfeli.

Upodobanie jednorękiego iluzjonisty do tej dość niezwykłej formy magii podsunęło Hansowi pomysł na opracowanie scenki kabaretowej.

Przybrawszy dumny tytuł impresaria, chłopak zdołał załatwić przesłuchania u właścicieli kilku teatrzyków. Dyrektor Czerwonego Osła na Pigalle był zachwycony. Tak więc Timo porzucił chodniki w pobliżu bramy Saint-Martin i zaczął co wieczór występować na scenie tego słynnego paryskiego kabaretu. Wybierał jednego z widzów do numeru z kieszonkowcem. Poza nieszczęśnikiem, który z niczego nie zdawał sobie sprawy, cała sala śmiała się do rozpuku.

Po przedstawieniu Timo i Hans zamawiali ostrygi i szampana w restauracjach przy bulwarze Clichy albo na Butte Montmartre.

Przyłączali się do nich inni artyści kabaretowi, tworząc wesołą kompanię. W ten sposób Timo poznał Nini, która tańczyła kankana w Moulin de la Galette. Miała dwadzieścia lat, tak samo jak on, i tak spieszyło jej się na spotkanie ze swoim chłopakiem, że po przedstawieniu nie traciła czasu na rozczesywanie loków, odpięcie wstążek i zmycie makijażu.

Nini bardzo lubiła Tima. „Jesteś prawdziwym kieszonkowcem, mówiła. Skradłeś moje serce, gdy tylko na mnie spojrzaleś”. Nie rozpaczła, kiedy jej ukochany magik zaczął spędzać noce w łóżku Wielkiej Lei. Wielka Lea również nie wylewała łez, kiedy zaczął z powodzeniem zalecać się do Królowej Saby, orientalnej tancerki rodem z Lisieux. „Jesteś księciem”, mawiała Królowa. Chciała w ten sposób powiedzieć, że jej kochanek odznacza się wdziękiem i dystynkcją. Dotyczyło to również tego, jak elegancko reguluje rachunki tak słone, że ktoś inny spadłby z krzesła. Timo już za rok miał dostać spadek i ostatecznie uwolnić się od ograniczeń materialnych. Na razie trzeba było jednak skądś brać środki potrzebne, by wieść życie księcia. I znów Hans znalazł rozwiązanie. „Są w Paryżu miejsca potajemnych spotkań, często w zwykłych prywatnych mieszkaniach, gdzie mieszcuchy zabawiają się grą w karty”.

Jeśli chodzi o podejrzone przedsięwzięcia, Hans wykazywał niezwykle zmysł organizacyjny. W ciągu kilku dni zdołał dowiedzieć się, gdzie gra się o duże pieniądze. Wystarczyło kilka partii i dochody Tima wzrosły dwukrotnie. W przeciwieństwie do występów w kabarecie podczas gry w pokera strach ścisnął mu żołądek. Dobrze wiedział, jaki los czeka gracza przyłapanego na oszustwie. Był jednak tak zręczny, że nic podobnego mu nie groziło. Ponadto Ted Rooster nauczył go podstawowych sztuczek, takich jak podwójne rozdanie, machinacje przy tasowaniu czy rozdawanie kart ze spodu talii. „*Cold blood*”, mówił. W chwili, kiedy jedni gracze zgarniają wygraną, a inni oplakują stracone pieniądze, działaj z zimną krwią. A przede wszystkim nigdy nie zapominaj o naczelnej zasadzie

pokera: najpierw trzeba przyglądać się przeciwnikom, by z ich zachowania odgadnąć, co mają w ręku. I jeszcze jedno: nigdy nie bądź zachłanny i pamiętaj, żeby przegrać w odpowiedniej chwili".

Hans, który sam przyznawał, że do kart ma dwie lewe ręce, brał jednak udział w grze jako wspólnik przyjaciela. Udawali, że się nie znają, dzięki czemu kiedy Tim rozdawał karty, Hans miał „świetną rękę”.

Grając dwa razy w tygodniu, Timo nie musiał już obawiać się rachunków za wystawne kolacje.

Co tydzień odwiedzał matkę. Uważała, że jest niezwykle elegancki i radosny. On ze swej strony nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Louise zwiędła przedwcześnie w samotności. Nie przypominała już tej błękitnookiej pokojóweczki, która skradła Célestinowi serce. Gdy skończyła czterdzieści lat, jej włosy zaczęły siwieć, a wokół oczu rysowały się zmarszczki.

Tego dnia, pierwszego grudnia 1935 roku, rozmowa między Louise i jej synem przybrała poważniejszy ton.

— Czytałeś ostatnio „Le Petit Journal”? — zapytała Louise.

— Chyba wiem, co masz na myśli — Timo skinął głową. — Mój przyrodni brat, Maxence, cieszy się sporym zainteresowaniem prasy.

— Boję się tego człowieka — wzdrygnęła się Louise. — Jest podobno jednym z założycieli tych bojówek, słyszałeś o tym?

Głos Tima zabrzmiał głucho.

— Kameloci Króla. Widziałem ich z bliska. Młodzi, ubrani na czarno, w szarych kapeluszach. Sprzedawali „L'Action française” i w kilku rzucili się z kijami na jakiegoś przechodnia. Kiedy już go skatowali, wskoczyli do czekającego na nich samochodu.

— I twój przyrodni brat przechwala się, że te kanalie działają pod jego patronatem! Nie ma nic z twojego ojca, w jego żyłach płynie zimna jak lód krew matki, Mathilde.

Nie mogła się powstrzymać i chwyciła Tima, siedzącego obok niej na kanapie, za rękę.

— Mam złe przeczucia, Timo. Boję się.

— Boisz się Kamelotów? Nie mam z nimi nic wspólnego, w końcu policja wszystkich ich zamknie.

Louise wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju, jakaś myśl nie dawała jej spokoju.

— Timo, mam bardzo złe przeczucia — powtórzyła. — Uważaj na siebie, synku, bardzo uważaj.

Zapadał mglisty grudniowy zmierzch. Latarnie na ulicy Ferronnerie świeciły pomarańczowym blaskiem. Rooster zapalił lampki oliwne w dużym pokoju, który służył mu za całe mieszkanie.

Spoglądał poważnie na przyjaciela.

— Posłuchaj, chcę cię ostrzec. Grozi ci niebezpieczeństwo.

— Jakiego rodzaju?

— Tego nie udało mi się dowiedzieć. Być może ktoś podejrzewa, że oszukujesz przy pokerze, i chce cię przyłapać na gorącym uczynku.

Timo skrzywił się z niedowierzaniem.

— Nigdy nie przeciągam struny. Podczas gry jestem ostrożny, możesz mi wierzyć, bardzo ostrożny. Wątpię, by ktokolwiek zdołał mnie przyłapać.

— I ja tak sądzę. A jednak dzieje się coś dziwnego. Powiedziano mi, że jakiś facet stara się grać w tych samych partiach, co ty. Niejaki Joncaille.

— Jak wygląda?

— Niski, pulchny, koło czterdziestki. Wygląda pocziwie, ale to łajdak, dobrze znany w półświatku.

— A z czego jest znany?

— To oszust i paser.

Timo uniósł palec do góry, już wiedział, o kim mowa.

— Mam! Ten twój Joncaille wygląda raczej na notariusza albo bankiera niż na bandziora. Nie bardzo wiem, czego może ode mnie chcieć.

— Przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie — powiedział Rooster bezradnie. — Próbuje przyłapać cię na manipulacji.

Tego samego wieczoru rozegrana została partia pokera w pewnym apartamencie przy bulwarze Hausсмanna, pod wysokimi sufitami ozdobionymi sztukaterią. Timo poszedł tam w towarzystwie Hansa. Zapomniał już o ostrzeżeniach mistrza Roostera. Koło północy jeden z graczy, który przegrał parę tysięcy franków, zrezygnował z gry, a jego miejsce zajął inny. Hans nie rozumiał, dlaczego Timo przerwał na chwilę grę.

Dwie godziny później, kiedy obaj szli przez noc bulwarem Hausсмanna w poszukiwaniu taksówki, Hans usłyszał wyjaśnienie.

— Po prostu zobaczyłem, że pojawił się Joncaille. Rooster twierdzi, że ten typ coś przeciwko mnie knuje i dlatego gra w tych samych partiach co ja.

— W rzeczy samej, widzę go zawsze, kiedy gramy razem — zauważył Hans.

— A ja widzę go również wtedy, kiedy gram bez ciebie. Zauważyłeś w jego zachowaniu coś podejrzanego?

— Nie. To tłuścioch o wytrzeszczonych oczach. Chcesz wiedzieć, czy oszukuje? Odpowiedź brzmi: stanowczo nie.

— A więc nasz drogi Rooster niepotrzebnie się niepokoi — skonkludował Timo.

Następnego dnia Timo i Hans, stwierdziwszy, jak dużo wygrali w pokera podczas ostatnich trzech tygodni, postanowili trochę odpocząć. Aby uczcić sukces, zaprosili około dwudziestu gości na kolację do Café de la paix. Tak się składało, że był to 10 grudnia 1936, a więc Timo przy okazji urządził swoje dwudzieste urodziny. Dodatkowym powodem do świętowania były „tymczasowe zaręczyny” z Liii, wesołą rudowłosą dziewczyną, która śpiewała w Czarnym Kocie, doprowadzając do łez

najzatwardzialszych bandytów dramatyczną interpretacją piosenki *Oto białe róże dla mojej pięknej mamy*.

Po tygodniu hucznego świętowania w portfelu Tima ukazało się dno. Postanowił odkuć się podczas partii pokera organizowanej w pewnej rezydencji w dzielnicy Saint-Germain. Z ulgą stwierdził, że tym razem Joncaille'a nie ma. W ciągu dwóch godzin oskubał czterech graczy i na odchodnym stwierdził, że nie ma w tym żadnej jego zasługi, bo „z takimi kartami nikt nie mógłby przegrać”.

Następnego dnia o jedenastej rano ze snu wyrwało go gwałtowne dobijanie się do drzwi. Minęła chwila, nim przyszedł do siebie i wstał. Łomotanie do drzwi wzmogło się. Krzyknął gniewnie: „Chwilę, już idę!” i odsunął zasuwę.

— Hans? Co ty tu robisz? Dlaczego masz taką ponurą minę?

— Timo, nie przyszedłem bez powodu — powiedział Hans.

— Domyślam się. Przyszedłeś powiedzieć mi o czymś nieprzyjemnym.

Hans wskazał przyjacielowi fotel.

— Będziesz musiał być dzielny, mam dla ciebie dwie wiadomości.

Timo czuł, że to wstęp do czegoś strasznego. Usiadł.

— Dwie wiadomości? — Podniósł wzrok na Hansa. — Chcesz powiedzieć: dwie złe wiadomości?

Hans milczał przez chwilę, po czym powiedział grobowym głosem:

— Dwie bardzo złe wiadomości.

Rozdział 5

— Zeszłej nocy jedna dziewczyna zabrała mnie do siebie, w okolicę Pont Marie — zaczął Hans. — Skorzystałem z tego, żeby dziś rano odwiedzić moich przybranych rodziców. Dowiedziałem się od nich, że twoja matka nie żyje.

— Jak to się stało? — zapytał Timo z suchymi oczami.

— Wyszła rano po zakupy. Kiedy przechodziła przez Sebasto, nadjechał jakiś samochód i ją potrafił. Upadając, uderzyła głową o krawężnik.

Świadkowie mówią, że zginęła na miejscu.

— A kierowca samochodu?

— Uciekł. Wiadomo tylko, że był to wóz marki Bugatti i jechało nim dwóch mężczyzn.

— Nie znaleźli tego kierowcy?

— Nie — odpowiedział Hans ponuro. — W chwili wypadku nikomu nie przyszło do głowy, żeby zapisać numer. Jeśli facet ma szczęście, nigdy go nie znajdą.

Timo ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać. Nagle wyprostował się i otarł oczy.

— Daj mi kilka minut. Ubiorę się i pójdę do matki, żeby ucałować ją po raz ostatni.

— Nie możesz do niej iść — powiedział Hans, zakłopotany. — Zresztą przewieźli ją już do kostnicy. Pochowają ją jutro. Wydała dokładne dyspozycje co do swojego pogrzebu

i wszystko z góry opłaciła. Jedna z sąsiadek ma dopilnować, żeby jej wola została wypełniona.

— No to pójdę do kostnicy, żeby ucałować ją po raz ostatni — uciał Timo.

— Do kostnicy też nie możesz pójść. Zdumiony Timo odłożył ubranie na oparcie fotela.

— Nie rozumiem. Dlaczego nie mogę iść do kostnicy?

— Jak ci mówiłem, są dwie złe wiadomości — wyjaśnił Hans z wahaniem w głosie. — Oto druga z nich: szuka cię policja.

Timo usiadł na fotelu, z którego przed chwilą wstał.

— Szuka mnie policja? Wyobrażają sobie, że to ja prowadziłem samochód, który potracił moją matkę?

— Jasne, że nie! Tak się złożyło, że zginął ktoś jeszcze. Zamordowany został niejaki Joncaille.

— Przykro mi. Pokój jego duszy. I co z tego?

— Ci z Quai des Orfèvres są przekonani, że to ty go zabiłeś. Dziś rano w Czerwonym Ośle był komisarz i dwóch inspektorów. Szef nie zna twojego adresu. Byli wściekli i zagrozili, że oskarżą go o utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości. Wiedzą, że twoja matka nie żyje i że będziesz chciał zobaczyć ją przed pogrzebem. Możesz być pewny, że w tej chwili na Quai de la Râpée czeka już cała masa gliniarzy, żeby założyć ci bransoletki.

— Kto by pomyślał — mruknął Timo, zupełnie zdezorientowany. — Kiedy zginął Joncaille?

— Zeszłej nocy. Nie widziałem cię wczoraj wieczorem! Gdzie byłeś? Byłeś z Liii w jakiejś restauracji?

— Pytasz, czy mam alibi? Wczoraj po występie poszedłem na partyjkę pokera. Sam.

— Szkoda, że mnie z tobą nie było. Ja spędziłem wieczór w Apollu, co oznacza, że widziało mnie z pięćdziesiąt osób. Nie będziesz miał ze mnie pożytku, jako z fałszywego świadka.

— Nie potrzebuję fałszywych świadków — oświadczył Timo, wzruszając ramionami.

— Wyobrażasz sobie, że ci, z którymi grałeś w pokera, zapewnią ci alibi? Nie łudź się! Przysięgną, że nawet nie wiedzą, co to takiego poker.

Timo czuł, że to wszystko go przerasta. Wolał już zająć się śmiercią Joncaille'a, ponieważ bał się, że śmierć matki pogrąży go w rozpacz.

— Dlaczego podejrzewają akurat mnie? Tego Joncaille'a widziałem tylko przy pokerze, nawet nie wiem, gdzie mieszkał.

— Ja też się zastanawiam dlaczego właśnie ty. I dlaczego gliny zaczęły tak od razu cię szukać?

Timo wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

— Jak zginął Joncaille? — spytał.

— Został zasztyletowany. Ponad dwadzieścia pchnięć nożem.

— Dlaczego miałbym go zabić? — zastanawiał się Timo.

— Wkrótce się dowiemy. Razem z glinami w Czerwonym Ośle był też reporter „Paris-Soir”. Będzie artykuł w wieczornym wydaniu.

— Jak to się stało, że policja od razu zaczęła mnie szukać, chociaż prawie nie znałem ofiary?

— To bardzo niepokojące — przyznał Hans. — Wszystko dzieje się tak, jakbyś był z góry uznany za mordercę.

— To jakiś absurd — stwierdził Timo.

Nie mógł już odsuwać od siebie myśli o śmierci matki.

— Pójdę do kostnicy zobaczyć matkę. Trudno, najwyżej mnie aresztują

— powiedział cicho.

— Twoja matka nie żyje. To znaczy, że nie ma jej nigdzie, a zwłaszcza w kostnicy.

— Ale co to wszystko znaczy?! — wybuchnął Timo. — Przecież jestem niewinny, policja nie może mnie aresztować. Nie mają żadnych dowodów, żadnych poszlak ani żadnego motywu.

— Metoda stosowana przez panów z Quai des Orfèvres polega na tym, żeby najpierw przytknąć, a potem udowodnić. — Hans przeszedł do rzeczy: — Ile osób wie, że tu mieszkasz?

— Chyba tylko Liii. Śpi w moim pokoju.

— Dziś wieczorem będzie występowała w Czarnym Kocie. Policjanci będą tam na nią czekali i ją przesłuchają. Poda im twój adres.

— Może powiedziec jej, żeby siedziała cicho?

— Może jeszcze, żeby poszła za ciebie do więzienia? Masz kilka godzin, żeby opuścić to miejsce. Wrócę tu późnym popołudniem. Poszukam ci jakiejś kryjówki na parę dni. Może w tym czasie policja znajdzie prawdziwego mordercę Jon-caille'a.

Hans podszedł do przyjaciela i położył rękę na jego ramieniu. Ten gest zirytował Tima, który gwałtownym ruchem zrzucił rękę Hansa.

— Jestem twoim przyjacielem. — Hans wyglądał na zmieszanego.

Timo nie odpowiedział. Myśłami był gdzie indziej. Popatrzył na Hansa, jakby doszedł do jakichś wniosków.

— A jeśli chodzi o śmierć mojej matki — powiedział sucho — jesteś pewien, że to był wypadek?

Dubreuil rozłożył bezradnie ręce.

— Chyba tak. Z tego, co słyszałem, bugatti jechał z dużą prędkością bulwarem Sebastopol, kiedy twoja matka przechodziła na drugą stronę.

— Przecież bugatti to typowo bandycki samochód, nie uważasz?

— Do czego zmierzasz?

— Do czego? Jakiś facet, którego widziałem zaledwie parę razy, został zasztyletowany, podejrzewają mnie, nie mając żadnych dowodów, i zamierzają aresztować mnie przy zwłokach mojej matki... Nie przyszło ci do głowy, że ją także mogli zamordować?

— Nie. Taka możliwość nie wchodzi w grę — uciał Hans stanowczo. — Wolę zastanawiać się nad czymś dużo pilniejszym, czyli nad twoją ucieczką. Idę poszukać jakiegoś miejsca, w którym będziesz mógł się ukryć. Wrócę przed wieczorem.

Postaraj się spędzić ten czas jak najlepiej. Jeszcze jedno: pilnuj, żeby Liii nie wyszła z mieszkania.

Timo nie odpowiedział. Wydawało mu się, że nie ma prawa wymagać czegoś takiego od dziewczyny, która jest tylko przelotną miłostką. Już teraz czuł się odcięty od świata. Rozpacz przeradzała się w milczenie. Liii obudziła się wczesnym popołudniem. Weszła do salonu w długim szlafroku z falbankami i uniosła dłoń, zasłaniając oczy przed światłem. Od razu zorientowała się, że z jej kochankiem dzieje się coś dziwnego. — Timo, dlaczego siedzisz tak nieruchomo? Stało się coś? Nie odpowiedział. Podeszła bliżej i zobaczyła, że ma czerwone i opuchnięte powieki. Dotknęła czołem jego czoła.

— Ktoś tu niedawno był. Słyszałam odgłosy rozmowy. Nie musisz nic mówić, już rozumiem. Dowiedziałeś się o śmierci kogoś bliskiego. Twojej mamy?

Timo potwierdził skinieniem głowy. W oczach miał łzy. Liii pogładziła go po włosach.

— Wiem, co czujesz. Rok temu przeżyłam to samo. Widywałam ją rzadko, a jednak kiedy powiedzieli mi, że umarła, poczułam się opuszczona. Byłam znowu małą dziewczynką, która zgubiła mamę w tłumie.

Liii musiała nalegać, żeby Timo pozwolił jej zostać.

— Pod wieczór będziemy musieli się rozstać — powiedział. Skinęła głową. Dodał więc: — Być może nigdy się już nie zobaczymy. Z początku była zaskoczona jego słowami, ale nie domagała się wyjaśnień.

— Będę na ciebie czekała — obiecała. — Ale jeśli nie będziesz już chciał mnie widzieć, nie miej wyrzutów sumienia. Będziesz pięknym wspomnieniem.

Hans wrócił wieczorem. Lampki oliwne, przerobione na lampy elektryczne, wypełniały salon przyćmionym blaskiem o lekko różowym odcieniu.

— Spakowałeś się? Doskonale. A Liii?

— O niczym nie wie.

— To bez znaczenia. Tak czy inaczej, musimy stąd zniknąć, i to bezzwłocznie.

— Dowiedziałeś się czegoś? — spytał Timo.

— Jeszcze godzinę temu nic nie wiedziałem — wyciągnął z kieszeni płaszcza złożoną gazetę. — Na szczęście niejaki Pierre Monnier, dziennikarz z „Paris-Soir”, jest kopalnią informacji na temat zabójstwa Joncaille'a.

Podał dziennik Timowi, który czuł się tak zmęczony, że poprosił go o przeczytanie artykułu na głos. Hans rozłożył gazetę.

— Przed wszystkim musisz wiedzieć, że twoje zdjęcie umieszczono na pierwszej stronie, duże na trzy szpalty. Musieli zgarnąć fotografię z holu Czerwonego Osła. Tytuł nie pozostawia wątpliwości: *Magik morderca. Czeka cię kilka niespodzianek. Dziś rano o godzinie ósmej Valentine Dumay, która przyszła posprzątać dom antykwariusza mieszczący się przy ulicy Seine w Aubervilliers znalazła ciało Leona Dutertre 'a. Otrzymał on około dwudziestu ciosów nożem, od górnej części uda po twarz. Śledztwo prowadzone pod kierownictwem komisarza Mahuziera wykluczyło możliwość, by sprawcą był przypadkowy włóczęga, ponieważ Dutertre sam otworzył zabójcy drzwi. Ponadto z kasy pancерnej znajdującej się w gabinecie ofiary znikła znaczna suma pieniędzy. Nie ma więc wątpliwości, że zbrodni dokonano w celach rabunkowych. Leon Dutertre figurował w aktach prefektury policji. Był wielokrotnie karany za współudział w kradzieży i paserstwo. Swojemu upodobaniu do przedmiotów wykonanych ze złota zawdzięczał przydomek „Joncaille” **, którym nazywano go w środowisku przestępczym.

* *joncaille* — w paryskiej gwarze „złotko”, od *jonc* (gwar.) — złoto

Podejrzenia policji skierowały się natychmiast na osobę Timoleona Aubera, alias Timo, iluzjonistę występującego w Czerwonym Ośle. Kilku świadków potwierdza, że podejrzany koło pierwszej w nocy pukał do drzwi Dutertre 'a. W chwili obecnej wina magika jest bezsporna, nie wiadomo natomiast, jakie motywy nim powodowały. Można przypuszczać, że Auber chciał odzyskać pieniądze, które przegrał do Dutertre'a w pokera.

Timo drgnął.

— Ja chyba śnię!

— To nie sen, to koszmar. Słuchaj dalej. W wyniku rewizji przeprowadzonej w mieszkaniu Louise Auber, matki zabójcy, znaleziono nóż ze śladami krwi. Komisarz Mahuzier twierdzi, że jest to narzędzie zbrodni.

— A więc pętla została zaciśnięta — westchnął Timo. — Jest dowód. Nie wiem, co powiedzieć, to wszystko to kompletny absurd.

— Nie wierzę w absurdy — odpowiedział Hans. — Nie ma tu niczego absurdalnego. Masz motyw: chcesz odzyskać pieniądze przegrane w pokera. Sędzia śledczy uzna to za całkiem prawdopodobne. Rozpoznali cię świadkowie, a ty nie masz alibi. Jeśli chodzi o narzędzie zbrodni, znaleźli je po prostu u twojej mamy. Absurd to nie jest właściwe określenie, powiedziałbym raczej, że to spisek.

Timo pokiwał głową.

— Zgadza się z tobą, to spisek.

— Nie wyglądasz na zaskoczonego — stwierdził Hans. — Nie widzę powodu, dla którego ktoś mógłby uknuć spisek przeciwko tobie. A ty? W ciągu kilku minut Timo zdradził przyjacielowi swoją tajemnicę. Powiedział, kim był jego ojciec i o tym, że dostanie ogromny spadek w dniu osiągnięcia pełnoletności, czyli 10 grudnia 1937, a więc za niecały rok.

— Teraz wszystko staje się jasne - podsumował Hans. — Dobry policjant musi szukać tego, kto odniósł korzyść ze

zbrodni. W tym wypadku nie ma wątpliwości, że chodzi o twojego przyrodniego brata, Maxence'a Ruffauda. To przypuszczalnie on wszystko zorganizował. Wiadomo, że jego partia ma różne powiązania, szczególnie w policji, i to na wysokich szczeblach.

— To właśnie dlatego komisarz Mahuzier uznał mnie za winnego, nim jeszcze rozpoczął śledztwo.

— I właśnie dlatego nigdy nie zdołasz dowieść swojej niewinności. Musisz natychmiast zniknąć, uciekać.

— Masz jakiś pomysł, do jakiego kraju powinienem się udać?

— Na razie do żadnego. Najlepiej, żebyś pojechał do Marsylii. Rooster naskrobał list polecający do jednego ze swoich przyjaciół. Poczekasz u niego na statek. Dokąd popłyniesz? To się zobaczy. Najważniejsze, żeby ulotnić się, i to jak najprędzej.

W bufecie Dworca Liońskiego kelnerzy ubrani w kamizelki i czarne muszki, przepasani długimi białymi fartuchami, roznosili tace z kufkami piwa, talerzami pełnymi smażonych kiełbasek i garnirowanej *choucroute*, obsługując dziesiątki stolików i setki klientów. W tej ogromnej restauracji panowała gorąca atmosfera radości ze spotkań i emocji towarzyszących wyjazdom. Hans uznał to miejsce za odpowiednie, właśnie ze względu na zgiełk.

— Idealne warunki do przeprowadzania dyskretnych rozmów — wyjaśnił. — A więc zamieszkasz u niejakiego Roberta Burnsa. Stary Rooster ręczy za niego. Możesz być spokojny.

— Jeśli chodzi o powody do niepokoju, to i tak mam ich pod dostatkiem — zauważył Timo. — Skoro o tym mowa, mój przyrodni brat, Maxence Ruffaud, najwyraźniej gotów jest na wszystko, byle nie dopuścić, bym odebrał spadek. Zlecić zabójstwo tylko po to, żeby mnie w to zrobić! Nie cofa się przed niczym.

Uniósł kufel, wypił duży łyk piwa i szybkim ruchem otarł pianę z ust.

— Jeżeli policja mnie przyskrzyni, stanę przed sądem. Mogę przypłacić to głową. Jeśli chodzi o te moje trzydzieści milionów spadku...

— Najważniejsze, żebyś pozostał na wolności i przy życiu, jeśli to możliwe.

Hans odprowadził Tima do wykładanego mahoniem przedziału pierwszej klasy w wagonie Towarzystwa Wagons-Lits. Znając niechęć przyjaciela do ostentacyjnych gestów, po prostu uścisnął mu dłoń.

— Za tydzień przyjadę do Marsylii i przywiozę ci pieniądze. U tego przyjaciela Roostera będziesz bezpieczny. Uważaj jednak, nie pozwól, by trafili na twój ślad.

— Od czasów gry w trzy karty rozpoznaję gliniarza na kilometr — zapewnił Timo.

— Gliniarze nie są najgroźniejsi. Maxence dysponuje doskonale zorganizowaną siatką. Oczywiście ma swoich ludzi w policji, w wymiarze sprawiedliwości i w wojsku, ale również w światku przestępczym. Musisz też uważać na tragarzy, kontrolerów w pociągu, kierowców taksówek. Organizacja wciąga w swoje szeregi także uczciwych ludzi pracy. Bądź więc ostrożny.

Świt kładł ogniste odblaski na powierzchni morza. Marsylski taksówkarz z dworca Saint-Charles zaczynał właśnie pracę i był w doskonałym humorze.

— Stary Port i nabrzeże to najlepsze miejsce, żeby przywitać się z Marsylią. Mówił pan, willa Apollinaris? O tej godzinie malarz jeszcze śpi.

— Mówiono mi, że mieszka tam Robert Burns.

— Tak, tak. Bob, angielski malarz. Naprawdę ma talent, kupiłem od niego obrazek na urodziny żony. „*Pointu*” przycumowany przy *Callelongue*. Wygląda zupełnie tak, jakby właśnie

miał wyruszyć na połów. Musi pan wiedzieć, że z Bobem dosyć trudno się dogadać, więc jeśli się go obudzi o dziewiątej rano, może rozpętać się prawdziwe tornado!

Żadnego tornada jednak nie było. Timo pociągnął za sznurek dzwonka przy drewnianej bramie wiodącej do willi Apollinaris. „Willa” okazała się drewnianą chatką w głębi ogrodu, wokół której rosło kilkanaście drzew oliwnych. Po chwili pojawił się, utykając, mężczyzna w panamie, niebieskim swetrze i białych spodniach, korpulentny, koło pięćdziesiątki.

— Przyszyła mnie Rooster.

— Mój stary przyjaciel Rooster! Masz szczęście, bo dzisiaj wczesnie wstałem.

Kiedy weszli do chaty, wziął list, który podał mu Timo, przeczytał go i wetknął do kieszeni.

— Tutaj będziesz bezpieczny, mój drogi Timo. Ted pisze, że musisz jak najszybciej wyjechać za granicę. Szuka cię policja?

— Oskarżają mnie o zbrodnię, której nie popełniłem.

— Popełniłeś czy nie, nie moja sprawa. Ted prosi, żebym ci pomógł, więc pomogę. Będziesz potrzebował fałszywych dokumentów. Znam kogoś, kto jest bardzo zręczny. Nie jest tani, ale za talent trzeba płacić.

Wskazał na płótna ustawione pod ścianą, nadające prowansalskiemu salonowi wygląd malarskiej pracowni.

— Wiem z doświadczenia, że trzeba się cenić. Paszport kosztuje dwa tysiące franków. Masz tyle?

Timo skinął głową.

— Będziesz musiał wybrać kraj. Znasz jakieś obce języki?

— Nauczyłem się trochę angielskiego od Roostera.

— Anglia to niezły pomysł. Kłopot w tym, że mało statków pływa z Marsylii do Anglii. Jeżeli masz policję na karku, nie ma co zwlekać.

Najwcześniej odpływa „Marianne-Pacha”, jest zacumowany przy nabrzeżu Joliette. Wyrusza jutro po południu.

— Ale za tydzień ma przyjechać mój przyjaciel i przywieźć pieniądze...

— Nie możesz czekać cały tydzień, to zbyt ryzykowne. Panowie alfonsi z dzielnicy Opery i Panier mają w okolicy swoje domki letniskowe, w Goudes albo Callelongue, a więc kręci się tu pełno szpicli. Możesz mi wierzyć, mądrze postąpisz, wsiadając na „Marianne-Pacha”. Ile ci zostanie po zapłaceniu za paszport?

— Około trzech tysięcy franków.

— „Marianne-Pacha” płynie na Daleki Wschód, aż do Jokohamy. Zastanawiam się, dokąd można kupić bilet pierwszej klasy za trzy tysiące.

— Przecież nie muszę podróżować pierwszą klasą.

— *My God!* Przecież płynąc trzecią klasą z biedakami, nie zapewnisz sobie żadnych szans na przyszłość.

Po południu Bob Burns udał się na ulicę Saint-Ferréol do siedziby przedsiębiorstwa transportowego. Kupił bilet do najbardziej oddalonego miejsca, do którego można było dotrzeć za trzy tysiące franków... Do Sajgonu!

Timo patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

— Ależ, panie Burns... Ja muszę uciec za granicę. Sajgon to przecież Francja!

Teraz z kolei Anglik wyglądał na zdziwionego.

— A jakie to ma znaczenie? Sajgon znajduje się po drugiej stronie planety. Przybędziesz tam, nim pojawi się jakikolwiek list gończy. Poza tym dobrze znam kolonialnych policjantów, byłem na Jamajce i w Kenii. Możesz mi wierzyć, między hamakiem i szklaneczką rumu trudno im znaleźć czas na pracę. Zresztą dlaczego mieliby się tobą interesować? Masz tutaj nowe dokumenty. Odtąd nazywasz się Timothée Lamy. Te papiery są lepsze niż prawdziwe... Uwierz mi, Sajgon to idealne miejsce.

— Wyląduję w Sajgonie bez grosza — narzekał Timo. Burns wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni. Wyciągnął z niego kilkanaście banknotów i podał je Timowi.

— Tutaj masz parę tysięcy. Twoja sprawa, żebyś je dobrze wykorzystał. Podróż z Marsylii do Sajgonu na pokładzie

„Mariette-Pacha" trwa trzy tygodnie. To wystarczy, żeby dorobić się niezłej fortunki.

Timo patrzył na niego z niedowierzaniem.

— Jak mam się do tego zabrać? Zacząć od włamywania się do kabin? — zapytał z ironią.

Burns uniósł brwi.

— Młodziak jeszcze z ciebie, *mister* Timo! Nie przyszło ci do głowy, że w pierwszej klasie na „Mariette-Pacha" zetkniesz się z ludźmi zaliczającymi się do najbogatszych na tej planecie? Zaprzyjżnij się z jakimś maharadżą albo uwieź córkę potentata kauczukowego, nieważne. Salon pierwszej klasy na takim statku pełen jest chodzących kas pancernych. Otwórz tylko jedną z nich, a będziesz bogaty do końca życia.

Rozdział 6

Timo stał na pokładzie spacerowym pierwszej klasy, dopóki francuski brzeg nie zniknął mu z oczu. Daleki był od melancholii, nie miał wcale wrażenia, że wraz z widokiem ojczyzny pograża się w niebycie jego utracona młodość.

Menu restauracji pierwszej klasy na statku (*foie gras*, kurczak z Bresse w białym sosie z czarnymi truflami pokropiony *saint-julien*) oraz wpływ morskiego powietrza mają to do siebie, że podnoszą na duchu życiowych rozbitków. Po zjedzeniu deseru Timo nie mógł doczekać się chwili, gdy zacznie działać. Składając serwetkę, mimo woli zatarł ręce. Do Sajgonu mieli przybyć za trzy tygodnie. Burns twierdził, że tyle czasu wystarczy, żeby się dorobić. „Zaprzyjaj się z jakimś maharadzą, uwiedź córkę potentata kauczukowego”. Timo ze swej strony nie zamierzał wzbogacić się, polegając na zrządzeniu losu, stawiającym na jego drodze przygodnych znajomych. Postanowił dorobić się jeszcze przed przybyciem do Kochinchiny, dzięki swym uzdolnieniom do gry w karty. *Maître d'hôtel*, dość młody mężczyzna w czarnych spodniach i białym spencerze, o dyskretnie wypomadowanych włosach, dbał o to, by podróżnym niczego nie brakowało.

— Pierwszy raz mamy przyjemność gościć pana na pokładzie — zwrócił się do Tima. — Alkohole i cygara znajdzie pan w palarni. Kasyno umiejscowione jest nieco z tyłu. Otwiera

się o północy... Oczywiście dziś nastrój jest nieco przygnębiający, ale proszę się nie niepokoić, płyniemy ku słońcu.

Jego przewidywania okazały się trafne. Kiedy tylko minęli Sycylię, kasyno zaczęło działać na pełnych obrotach. Timo przechadzał się między stolikami, rzucając od czasu do czasu żeton na zielone sukno. Ruletka tak naprawdę go nie interesowała, tutaj nie mógł nic zdziałać. Ciekawszy był stół do bakarata. Bakarata jako gra karciana ściąga pokerzystów. Po jakimś czasie znuzeni mało emocjonującą grą prawdziwi hazardziści odchodzą od zielonego stolika. Rozpoznają podobnych sobie po pewnych charakterystycznych znakach i organizują partię pokera.

Pierwsza partia na pokładzie „Marianne-Pacha” rozegrała się, gdy statek płynął wzdłuż wybrzeży libijskich, w kabinie otyłego i zamożnego Egipcjanina. Poza nim brało w niej udział czterech graczy, do których zaliczał się Timo.

„Karciane sztuczki zostaw dla kabaretu, mawiał Rooster. Przy pokerze nigdy nie żongluj kartami”. Ku swemu zaskoczeniu Timo stwierdził, że jeden z graczy wykonuje pokaz „żonglerki” kartami, kiedy tylko dostaje talię do ręki! Niemiec w wieku około trzydziestu lat nie był zawodowcem, jeśli chodzi o karty, ale nie brak mu było zręczności. Coś tu jednak nie pasowało. Niemiec rozdawał karty z oszałamiającą szybkością. Bardzo się starasz, żeby zwrócić na siebie uwagę, pomyślał Timo. Myślisz może, że wszyscy będą wypatrywali oczy, by przyłapać cię na oszustwie? Ja, mój stary, mam co innego do roboty. Zresztą chyba nie tylko ja ignoruję twoje sztuczki, obliczone na frajerów!

Rzeczywiście, siedzący naprzeciwko niego tusty Egipcjanin miękkim ruchem wziął karty do ręki. Timo wciąż udawał, że jest pod wrażeniem sztuczek Niemca. Cały czas patrzył jednak kątem oka na Egipcjanina, po którego czole spływały kropelki potu. Ze strachu. Nagle zobaczył to, czego oczekiwał: Egipcjanin podmienił kartę. Zrobił to nawet szybko. Oczywiście była to amatorszczyzna, ale dość zgrabnie wykonana. Timo ani

drgnął, odłożył karty i odmówił udziału w licytacji. „Beze mnie...”. Znalazł się przy jednym stoliku z szulerem i jego współnikiem! Coś takiego jeszcze mu się nie zdarzyło. Jak powinien się zachować? Mógłby bez trudu przyłapać Egipcjanina na gorącym uczynku, wystarczyło zażądać policzenia kart po zakończeniu rozgrywki. Czy powinien pozwolić działać tym dwóm oszustom? Tak nakazywałyby zapewne ostrożność, ale co wtedy zostanie dla niego?

Gra ciągnęła się do trzeciej rano. Dwóch z pięciu graczy zostało dokładnie oskubanych. Jeden z nich, trzydziestoletni Holender, syn majątnego kupca jedwabnego z Dżakarty, wypisał weksel na rzecz Egipcjanina, spłacając w ten sposób swój dług. Zrobił to z uśmiechem, ponieważ był wystarczająco zamożny, by pozwolić sobie na tak dżentelmeński gest. Drugi z oskubanych, handlujący diamentami Syngalez o ciemnobrązowej skórze, również bez oporów zgodził się zapłacić gotówką. Aby zademonstrować *fairplay*, stwierdził, że ureguluje wszystko „co do grosza”, jak to ujął. Niemiec i Egipcjanin roześmiali się głośno, schlebując ofiarom, jak to zwykle robią oszuści. Timowi natomiast wcale nie było do śmiechu. Musiał zachowywać się dyskretnie i zadowolił się skromną wygraną w wysokości kilku tysięcy franków. W tym tempie, nawet gdyby podróż do Sajgonu miała trwać sześć miesięcy, nie wyjdzie na brzeg jako bogacz. Niemiec zaproponował rewanż na następny dzień, a obaj przegrani wyrazili zgodę. Egipcjanin kazał się prosić, Timo odmówił.

Spośród pasażerek pierwszej klasy szczególną uwagę zwracała Laurence. Panowie uważali, że jest zachwycająca — smukła, wielkie zielone oczy i czarne włosy, opadające lokami na ramiona lub upięte w schludny kok, jeszcze podkreślały jej koci wdzięk. Zachwyty mężczyzn budziły rozdrażnienie kobiet: „Subtelna, cudowna, wspaniała, cóż to za brednie, mój drogi. Chcesz znać prawdę? Ta twoja piękność wygląda jak dziwka”.

Czy Laurence zdawała sobie sprawę, że jest tematem rozmów i kością niezgody w sprzeczkach między mężczyznami i kobietami? Oczywiście, że tak. Czy mogłaby nie zauważyć spojrzeń, jakie kierowały się na nią, gdy wchodziła do baru lub przemierzała salę restauracyjną? Czy można było nie zauważyć panów, którzy pod nieobecność małżonek starali się zawrzeć z nią znajomość?

— Panienko, proszę pozwolić zaprosić się na drinka — mówił uwodziciel.

Na co Laurence odpowiadała:

— Nie panienko, tylko pani. Może być koktajl aleksandra. Niemal każdy z podrywaczy uważał, iż wykaże się niezwykłym polotem, pytając:

— Aleksandra to pani imię?

Laurence usiadła obok Tima na wysokim taborecie przy barze. Kobieta, której przybycie stało się po raz kolejny tematem ożywionych rozmów tego wieczoru, ubrana była w opinającą biodra i piersi białą wieczorową suknię i wyglądała na przygnębioną. Z małej złotej torebki wyjęła czerwone pudełko papierosów marki Craven. Timo pochylił się w jej stronę i podał jej ogień.

— *Madame*, czy mogę zaproponować pani szklaneczkę? — zaryzykował.

Na jej niechętej dotąd twarzy pojawił się wyraz ulgi, jakby nagle spotkała ją miła niespodzianka. Miała przed sobą chłopaka o delikatnych rysach, kruczoczarnych włosach i jasnoniebieskich oczach. Właściwie jeszcze dziecko!

Przekonanie, że za chwilę zostanie odprawiony, dodawało Timowi pewności siebie.

— Czy zauważyła pani, że odkąd opuściliśmy Marsylię, oboje wyróżniamy się tym, że samotnie jadamy kolacje?

— Możliwe.

Na jej wargach zaczynał igrać leciutki uśmiech.

— Pomyślałem więc, że może warto trzymać się razem? Czemu nie mielibyśmy przeżywać wspólnie naszej samotności?

Pozwoliła sobie na chwilę zdziwienia, potem roześmiała się dźwięcznie, ukazując piękne zęby. Miała do czynienia z dzieciakiem, to jasne, ale musiała przyznać, że znakomicie grał światowca.

— Mam nadzieję, że nie okaże się pan nudny.

— Ja, nudny? Pani mnie obraża! Gotów jestem uczynić wszystko, aby razem spędzone chwile zbyt nie dłużyły. Jeśli trzeba, sprawię, że zniknie widelec.

— Połknie go pan?

— Na szczęście nie muszę narażać mojego przełyku, by dokonać takiego cudu. Po prostu posłużę się siłami tajemnymi.

— To bezpieczniejsze! — orzekła Laurence.

— Nic podobnego. Diabeł nie znosi konkurencji na swoim terytorium.

Rozdział 7

— Nie licz na dyskrecję załogi — szepnęła Laurence do ucha kochanka.

— Zachowuj się cicho, wracając do kabiny.

— Czego się boisz?

— Twoja naiwność mnie wzrusza. Od dwudziestu lat jestem żoną urzędnika francuskiej administracji zamorskiej, zajmującego wysokie stanowisko w Sajgonie.

— Twój mąż o niczym się nie dowie — powiedział Timo z lekceważeniem, które rozdrażniło Laurence.

— „Mariette-Pacha” to już Sajgon — ucięła. — A Sajgon nie różni się niczym od innych miast kolonialnych. Głównym zajęciem białych mieszkańców są plotki.

— Czyżby twój mąż interesował się pogłoskami? — spytał Timo obojętnie.

Laurence uśmiechnęła się rozbawiona.

— O tak, mój mąż jest wielkim amatorem pogłosek. Co więcej, na tym polega jego zawód.

— Wciąż nie rozumiem — poskarżył się Timo, który nagle zaczął słuchać jej bardzo uważnie.

— Mój mąż nazywa się Maurice Lemaire...

— A więc?

— Zapomniałam, że to twoja pierwsza podróż do Indochin. Mój mąż, Maurice Lemaire, jest znany z tego, że pełni w Sajgonie i we francuskiej administracji zamorskiej bardzo szczególną rolę.

— No, rzeczywiście, jeżeli jego obowiązkiem jest zbieranie wszystkich plotek krążących po mieście...

— Nie bądź głuptasem, mój drogi — powiedziała Laurence wyrozumiale.

— Mój mąż odpowiada za służby, które określa się mianem *sécurité*. Ich rola polega na zbieraniu informacji dotyczących wietnamskiego ruchu niepodległościowego, nacjonalistów i komunistów.

— Gliniarz?

— Gliniarz polityczny — uściśliła Laurence. — Nie byłoby dobrze, gdyby na nasz temat krążyły jakieś plotki.

— Ktoś, kto pozwala swojej żonie, kobiecie tak pięknej jak ty, podróżować samotnie na „Mariette-Pacha”, sam otwiera na oścież drzwi wszelkim plotkom.

— Mąż mi ufa.

— Czy aby słusznie? Twarz Laurence stężała.

— Nie bądź niemiły... Jesteś pierwszą skazą na dwudziestu latach absolutnej wierności.

— Jesteś mężatką już od dwudziestu lat?

— A tak, od dwudziestu! Tyle, ile trwa twoje życie od samych narodzin... Miałam dwadzieścia lat i nudziłam się w Saint-Ló w dolnej Normandii. Maurice Lemaire był dalekim kuzynem mojego ojca. Miał czterdzieści lat i właśnie objął stanowisko administracyjne w Sajgonie. To wszystko wydawało mi się takie romantyczne... Daleki Wschód, Azja i jej tajemnice, słodycz Sajgonu... Krótko mówiąc, oświadczył mi się, a ja go przyjąłam.

— Skoro jesteś taka piękna w wieku czterdziestu lat, wyobrażam sobie, jak musiałaś wyglądać, kiedy miałaś dwadzieścia.

Laurence się zaczerwieniła.

— Bardzo ci dziękuję.

— To on, twój mąż, powinien ci dziękować — ciągnął Timo. — Mając czterdzieści lat, ożenić się ze wspaniałą kobietą o dwadzieścia lat młodszą to dobry interes.

— Maurice potrzebował żony. Pięknej albo i nie, to nie było istotne — westchnęła Laurence ze smutkiem.

— W czym więc problem?

— Plotki, wciąż plotki! W Sajgonie mężczyzna, który ma czterdzieści lat, a wciąż się nie ożenił, to otwarte drzwi dla wszelkich insynuacji.

— Niezbyt to wszystko romantyczne — zauważył Timo. — A nuda? Nudziłaś się w Saint-Ló. W Sajgonie też?

— Sto razy bardziej. — Laurence uśmiechnęła się promiennie. — Życie w koloniach to rejs po oceanie nudy. Przyjęcia, koktajle, wizyty i rewizyty...

— Istnieją kobiety, które biorą sobie kochanków. To znakomita rozrywka.

Laurence spochmurniała.

— Mnie to nie dotyczy — powiedziała ostro. — Mogę kochać się tylko z miłości.

Przez chwilę Timo nie wiedział, co ma o tym myśleć. Ta kobieta chyba właśnie wyznała mu miłość, choć nie wprost, a to nie przypadło mu do gustu. Parę chwil wcześniej dała mu też do zrozumienia, że w jej małżeństwie nie było miłości. Czy miał przez to rozumieć, że nigdy nie kochała się ze swoim mężem?

— Znalazłam doskonały sposób, by uniknąć kolonialnej nudy — oznajmiła Laurence. — Oddaję się literaturze. Napisałam już trzy powieści. Z tego właśnie powodu ostatnie sześć miesięcy spędziłam w Paryżu. Zależało mi, żeby moja trzecia powieść została wydana. — Widać było, że jest z siebie dumna. — Udało mi się. Podpisałam z umowę z wydawcą i za kilka miesięcy ukaże się *Metyska o zielonych oczach*.

— Gratuluję. Życzę ci, żeby książka odniosła wielki sukces. A o czym opowiada?

— O świecie kolonialnym, który dobrze znam. Nawiasem mówiąc, parę okazji z tego świata możesz podziwiać nawet tutaj, w salonach pierwszej klasy.

— Czy Fajsal Faouzy do nich należy?

— Ten wielki Egipcjanin, który wciąż przesiaduje w kasynie?

— Wiesz, dokąd płynie?

— Chyba do Kantonu — odpowiedziała zaintrygowana Laurence. — W czymś ci przeszkadza?

— Gra w pokera.

— Ma prawo.

— Ale nie ma prawa uniemożliwiać mi gry. W pierwszej klasie podróżuje pewna liczba gołąbków, które chciałem oskubać, żeby nie wylądować w Sajgonie z pustymi kieszeniami.

— Chyba się tego spodziewałam — Laurence znów położyła się obok Tima. — Domyślałam się, że jesteś po trosze bandytą.

Timo zerwał się i zaczął się szybko ubierać.

— Ja, bandytą? Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Moi rodzice byli ludźmi z zasadami, pochodzę z dobrej rodziny i odebrałem staranne wychowanie. Poczucie uczciwości, jakie mi wpojono, zabrania wszelkiego matactwa.

Laurence włożyła szlafrok z czerwonego jedwabiu i stanęła przed nim.

— Przepraszam — szepnęła.

Młodzieniec objął ją. Lewą dłonią dotknął jej karku.

— Nie mówmy już o tym — powiedział. — Rodzice nauczyli mnie, że nie wolno przywłaszczać sobie czyichś pieniędzy.

Cofnął rękę, trzymając między palcami złotą dwudziestofrankówkę.

— Wolno mi jednak zachować pieniądze, które znalazłem! Laurence patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Timo chwycił monetę kciukiem i palcem wskazującym drugiej ręki.

— Na przykład ten ludwik, którego właśnie wyciągnąłem z twojego ucha, należy do mnie, bo go znalazłem!

Patrzyła na niego zafascynowana.

— Jesteś cudowny, to niesłychane!

— Powiedzmy skromniej, że jestem obdarzony nadnaturalnymi zdolnościami.

Dłoń Tima znikła w kieszeni marynarki. Wyciągnął talię kart.

— Tasowanie kart lewą ręką!

I karty zaczęły furkotać w jego dłoni.

— Jesteś świadkiem jedyne go w swoim rodzaju ćwiczenia, którego nauczył mnie mój stary mistrz Rooster, adept brytyjskiej szkoły kartomagii.

Laurence była zachwycona. Karty w rękach Tima układały się w wachlarze, w pakiety po dziesięć sztuk, a kier pojawiał się, znikał i znów powracał. Dotknęła palcem czubka nosa chłopaka.

— A więc dlatego interesujesz się Faouzym! On też oszukuje podczas gry.

— Bardzo przepraszam, droga Laurence — odpowiedział Timo stanowczo — Faouzy oszukuje, a ja manipuluję.

Schował karty do kieszeni.

— Jesteś prawdziwym prestidigitatorem! — wykrzyknęła, wciąż oszołomiona tym, co właśnie zobaczyła.

— Artystą... To był zresztą mój zawód, byłem artystą kabaretowym.

— Czegoś tu nie rozumiem — zastanowiła się nagle. — Dlaczego Faouzy przeszkadza ci grać w pokera?

— Nie przeszkadza mi w sensie dosłownym. Tylko że na tym statku jest za ciasno dla nas dwóch. Przy tego typu działaniach trzeba nade wszystko dbać o zachowanie dyskrecji. Fajsal Faouzy nie jest wirtuozem manipulacji i mógłbym go przyłapać na gorącym uczynku. Obawiam się jednak jego reakcji... zwłaszcza że ma współnika.

— A więc pozwól mu oszukiwać i uprawiaj swoją sztukę na boku.

— Niestety, liczba ptaszków do oskubania na pokładzie „Marianne-Pacha” nie jest nieograniczona. Jest miejsce dla jednego dobrego gracza, a nie dla dwóch.

— A więc odbierz od niego pieniądze, które kradnie innym graczom!

— Wtedy szybko znalazłbym się za burtą. Myślę, że osobnik jego pokroju zdolny jest do wszystkiego, żeby pozbyć się rywala.

Laurence objęła go w pasie i przytuliła się mocno.

— Nie martw się, kochany — szepnęła — znajdziemy jakieś rozwiązanie. Rankiem, dziesiątego dnia rejsu, z pokładu „Marianne-Pacha” można było dostrzec wybrzeże Egiptu. Wszyscy pasażerowie pierwszej klasy byli zachwyceni, choć w gruncie rzeczy widzieli jedynie białą linię wybrzeża na horyzoncie. Statek miał przez trzy dni stać na redzie w Port Saidzie u ujścia kanału, a potem zawinąć do Suez. Wszyscy cieszyli się na niezwykle przeżycia. Jednak Timo nie był w najlepszym nastroju.

— Daj spokój — starała się go rozweselić Laurence — nie komplikuj sobie życia! Czy nie jesteś szczęśliwy?

To pytanie wyprowadziło młodego człowieka z równowagi.

— Ależ tak! Szaleję ze szczęścia! Kochamy się przez sześć godzin dziennie i przez sześć godzin dziennie jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi! Zdecydowanie, wszystkie kobiety są takie same. Mówią „kocham cię”, więc jeśli ty mnie też kochasz, nic innego się nie liczy. Otóż nie jest to prawdą, moja kochana Laurence, planeta nie przestaje się obracać, podczas gdy my się kochamy, a „Marianne-Pacha” płynąć będzie swoim kursem, aż w końcu dopłynie do Sajgonu. Ja zaś znajdę się tam z pustymi kieszeniami.

— Ale ja tam będę.

— Będiesz mnie utrzymywała, płaciła mi pensję? Nie chcę rozpocząć życia w Azji jako utrzymanek.

Laurence próbowała go uspokoić, lecz on z każdą sekundą był coraz bardziej rozdrażniony.

— Ale ja... — zaczęła. Timo rozżłościł się na dobre.

— Ty jesteś kobietą, i do tego mężatką. Chciałabyś, żebym jadł ci z ręki? Żebym pełzał u twych stóp, chcesz mnie upokorzyć...

— Timo, mój kochany... —próbowała powiedzieć Laurence.

— Miłość, mój kochany, kocham... Oto, do czego ogranicza się twoje słownictwo! „Kocham cię, ale masz tańczyć, jak ci zagram.

Zrozumiano?". Oto twój sposób myślenia. Nie potrzebuję pieniędzy, bo przecież ty mi je dasz. Otóż nie, pieniądze to wolność! Chcesz, żebym przybył do Sajgonu bez grosza przy duszy, żeby trzymać mnie na smyczy.

— Timo, jak możesz tak mówić?

W tej chwili jednak zrozumiała, że musi zmienić taktykę. Popatrzyła mu w oczy.

— Faouzy uniemożliwia ci zdobycie pieniędzy? Wobec tego należy go wyeliminować.

Timo uspokoił się nagle, jakby wybuch złości go zmęczył.

— Nigdy nikogo nie zamordowałem i nie mam zamiaru tego robić — powiedział bezbarwnym głosem.

— Nie chodzi o to, żeby kogokolwiek zabijać. Zastanawiałam się nad twoim problemem, który leży mi na sercu bardziej, niż sobie wyobrażasz. Trzeba unieszkodliwić Faouzy'ego.

— Dzięki za informację.

Laurence nie pozwoliła wyprowadzić się z równowagi tym ironicznym tonem.

— Jest tylko jedno rozwiązanie. Trzeba postarać się, żeby wysiadł w Port Saidzie. Chyba wiem, jak do tego doprowadzić.

Popatrzyła na niego, chcąc się upewnić, że słucha jej uważnie.

— Opowiadałeś mi przecież, że twój numer w kabarecie polegał na odgrywaniu kieszonkowca?

Timo potwierdził.

— Powiedziałeś, że potrafisz gwizdnąć widzowi zegarek i portfel tak, że nikt tego nie zauważy?

— I co z tego? — Timo był zirytowany i zaciekawiony jednocześnie.

— A czy możesz zrobić coś odwrotnego? To znaczy równie dyskretnie włożyć portfel do kieszeni?

— O ile nie jest zbyt duży — odpowiedział Timo.

— Jeśli wszystko się powiedzie, i nie straciłeś zręczności, nasz przyjaciel Fajsal Faouzy dostanie zakaz przebywania na pokładzie „Marianne-Pacha”.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem obmyślonym przez Laurence. O dziesiątej rano nastąpiło spotkanie na *lower decku* (a właściwie zderzenie, w myśl zaleceń Roostera co do „dezorientacji”), podczas którego Timo zwał Egipcjaninowi portfel.

W południe ukryta w swojej kabine Laurence wsunęła do niego jedwabne etui zawierające diamentowe kolczyki, złoty pierścionek z rubinem i szafirami oraz wizytówkę jubilera z Sajgonu, zaświadczejacą, że klejnoty zakupione zostały przez panią Laurence Lemaire.

O trzeciej po południu, gdy „Marianne-Pacha” zatrzymał maszyny i czekał w odległości kilku mil od Port Saidu na przybycie holownika, który miał pilotować go przez Kanał Sueski, Timo oparł się o reling obok otęłego Faouzy'ego.

— Jest pan rodowitym Egipcjaninem — zagaił — musi więc pan być wzruszony, widząc znów ten piękny kraj.

Faouzy się napuszył. Schlebienie uczuciom takim, jak poczucie narodowej dumy, jest znakomitym sposobem dezorientacji.

— O, płynie nasz holownik — zauważył Timo. Egipcjanin odwrócił się i w tym momencie odzyskał portfel, choć nawet nie wiedział, że go stracił.

W kajucie kapitana rozbrzmiewał gromki głos dowódcy statku.

— Panie Faouzy — mówił kapitan — pani Lemaire twierdzi, że ukradziono jej klejnoty. Jest przekonana, że widziała, jak wychodził pan z jej kabiny, chowając portfel do kieszeni. Zechce mi go pan pokazać?

Oślupiały Faouzy wykonał polecenie, ocierając czoło i kark wielką białą chustką.

— Pan mnie upokarza — zaprotestował. — Te podejrzenia są obraźliwe.

Kapitan od razu znalazł etui i diamenty w portfelu Egipcjanina.

— Na tym poprzestaniemy, panie Faouzy. Nie zawiadomię policji, ponieważ konsekwencje tego faktu mogłyby być zgubne dla pańskiej reputacji. Tym niemniej będzie pan uprzejmy opuścić w Port Saidzie mój statek. Za trzy dni zawinie tu „Ville de Bordeaux”. Wówczas będzie pan mógł kontynuować podróż.

Faouzy rzucił się w kierunku Laurence, ale drogę zastąpiło mu dwóch marynarzy.

— Pewnego dnia zapłaci mi pani za to, *madame*] — ryknął. Laurence odpowiedziała spokojnie:

— Złodziej ośmiela się mi grozić! To szczyt wszystkiego!

— Uknęła to pani ze swoim kochankiem, tym chłystkiem o niebieskich oczach!

Laurence wzruszyła ramionami.

— Kapitanie, ten pan najpierw mnie okradł, a teraz obraża. Pozwoli pan, że się pożegnam. Nie będę składała skargi.

Dwie godziny później, w otoczeniu sześciu marynarzy, Faouzy schodził po trapie „Marianne-Pacha” przycumowanego do nabrzeża w Port Saidzie. Postój w Suezie trwał dwa dni. Za radą Laurence Timo udał się do krawca, którego zakład mieścił się w cienistej uliczce nieopodal suku. Za fasadą skromnego sklepiku dziesiątki robotników pracowało jak w ukropie przy wtórze łoskotu maszyn do szycia. Wziąwszy miarę za pomocą sznurka, właściciel zobowiązał się dostarczyć w ciągu dwudziestu czterech godzin trzy garnitury. Nie mówił co prawda po francusku (liczba trzech garniturów została uzgodniona za pomocą palców), jednak radził sobie na tyle, żeby dać do zrozumienia, iż oferuje najwyższą jakość oraz dystyngowany styl, a to mianowicie, używając określenia „sajgon-fason”. Do Białego Miasta było już niedaleko... Timo dostroił się do atmosfery ogólnej wesołości, jaka zapanowała na „Marianne-Pacha”. Morze Czerwone usiane było setkami wyseppek i każdego wieczoru pojawiali się nowi chętni

do gry w pokera. Przez pięć czy sześć godzin trwania partii Timo miał wrażenie, że wraca do życia, a raczej, że odkrywa je na nowo. Odkąd Hans powiedział mu o śmierci matki i podłym spisku przyrodniego brata — co to za człowiek musi być z tego Maxence'a! — czuł się jak korek niesiony na fali. Kochana Laurence Lemaire — a właściwie, ile ona ma lat? Czterdzieści? A może więcej? — pomogła mu utrzymać się na powierzchni. Musiał przyznać, że pozbyła się grubego Faouzy'ego w niezłym stylu. Timo dobrze rozumiał, że chciała dać mu w ten sposób dowód miłości. Będę musiał uważać, powiedział sobie, bo potem się jej nie pozbędę. Gdy tylko przyjadę do Sajgonu i zejść ze statku, biorę nogi za pas! W oczekiwaniu na ten dzień przechodził sam siebie w karcianych sztuczkach przy pokerowych stolikach. Siedział do trzeciej rano, w samej koszuli i zgarniał, oskubywał, obrabiał, rujnował wszystkich, którzy wpadli mu w ręce. Wracił do kabiny o świcie, gdy pierwsze promienie słońca rozpałały odległe ziemie Somalii.

Statek zarzucił kotwicę na redzie w Dżibuti. Przycumowała do niego łódź przewożąca pasażerów, przerzucono trap. Na dolny pokład wspiał się podtrzymywany za łokieć przez jednego z marynarzy niewysoki korpulentny mężczyzna o szerokich ramionach. Ubiorem nie różnił się od innych pasażerów pierwszej klasy — miał na sobie biały garnitur i panamę niemal zasłaniającą twarz. Po kilku krokach się odwrócił. Co było przedmiotem jego troski? Nie trzeba było długo czekać na wyjaśnienie. Na pokład wszedł drugi członek załogi. Na plecach niósł wychudzonego młodzieńca, którego patykowate nogi usztywnione były żelaznymi łubkami.

„Marianne-Pacha" podniósł kotwicę o zmierzchu, podczas jednego z tych spektakli światła i cienia, jakie widuje się tylko nad pustynią. O północy kasyno pierwszej klasy działało pełną

parą. Timo przechodził od stolika do stolika z kilkoma żetonami w ręku, jak to miał w zwyczaju, nie tyle, by zabawiać się ruletką czy wyścigami kolejek żelaznych, ile żeby wypatrzeć chętnych do następnej partii pokera. Zauważył pasażera, który wszedł w Dżibuti. Podeszedł bliżej i stwierdził, że jest to Chińczyk koło pięćdziesiątki, łysy, o okrągłej twarzy i silnej budowie ciała. Ubrany był w obowiązkowy elegancki jasny garnitur z czerwonymi wyłogami i czerwonym krawatem. Zajęty był partią bakarata.

— Panie Cheng, ile kart? — spytał krupier.

— Wystarczy — odpowiedział Chińczyk z kamienną twarzą. Położył karty na stole, a krupier skinął głową.

— Bank przegrywa dziesięć do jednego.

Przysunął szczęśliwemu graczowi stos żetonów. Pan Cheng rzucił krupierowi żeton wartości tysiąca franków.

— To dla pana — powiedział, a żaden mięsień jego twarzy nie zdradzał najmniejszego śladu emocji.

Tym razem, myślał Timo, trafiła mi się gruba ryba. Pan Cheng, skoro tak się nazywa, jest typem hazardzisty. Zaciągnę go do pokerowego stolika i posłużę się ciężką artylerią, czyli sztuczkami na najwyższym poziomie, a wynikiem tego będzie całkowite ogołocenie pana Chenga. Ten facet to krezus, jestem tego pewien. A więc strzeżcie się, Chiny! Nie przybędę do Sajgonu z pustymi rękami.

Timo nadal przechadzał się między stolikami pokrytymi zielonym sukniem. Na pozór pochłonięty grą w bakarata, pan Cheng przyglądał mu się spod półprzymkniętych powiek.

Rozdział 8

„Mariette-Pacha" wpływał na Morze Chińskie. Stojący na obszernym pokładzie nawigacyjnym oficerowie przyglądali się przez lornetki wybrzeżom Malezji i wysepkom Archipelagu Sundajskiego. Morze usiane było mnóstwem łodzi i statków. Imponujące dżonki o żaglach z bambusowej plecionki przepływały obok rudowęglowców czy masowców wszelkich rozmiarów oraz pochodzenia i całej chmary kutrów rybackich.

Pan Cheng oparł się o reling obok Tima. Uniósł kapelusz w geście pozdrowienia.

— Wspaniały widok, czyż nie, drogi przyjacielu? — zagadnął.

Timo, z niejakim zaskoczeniem unosząc rękę do słomkowego kapelusza, grzecznie odwzajemnił pozdrowienie. Już od dwóch tygodni, czyli od postoju w Dżibuti, na próżno starał się nawiązać kontakt z Chińczykiem, a oto trzy dni przed przybyciem do Sajgonu ten sam z siebie nawiązuje znajomość! W samą porę, bo jak dotąd wirtuozowski talent pokerowy młodzieńca nie zapewnił mu jeszcze spodziewanego bogactwa. Kilka tysięcy franków uszczkniętych tu i tam — od angielskiego dyrektora banku podróżującego do Hongkongu, od filipińskiego biznesmena, specjalnego wysłannika Quai d'Orsay, który roztrwonił środki przeznaczone na misję i przysiągł sobie, że nigdy więcej nie siądzie do pokera. Rezultat? Wygranych

pieniędzy mogło wystarczyć na trzy tygodnie życia w Saj gonie, niewiele więcej. Trzeba więc było — używając wyrażenia hazardzistów — „podskoczyć” ku wyższym stawkom i zgarnąć naprawdę duże pieniądze. Pan Cheng niewątpliwie dysponował znacznymi środkami finansowymi. Timo niejednokrotnie widział, jak gra *va banque*. A teraz ten idealny do oskubania ptaszek przysiadł tuż obok niego.

— Te wszystkie statki w południowej części Morza Chińskiego to piękny widok, prawda? — mówił dalej pan Cheng. — Europejczycy często nie zdają sobie sprawy z tego, że Azja to także morze.

— Popołniają błąd — zgodził się uprzejmie Timo.

— Mieszkańcy Azji lubią krótkie podróże — podjął pan Cheng. — Ocean między Szanghajem a Dżakartą jest wprost zatłoczony. Zresztą najlepszy dowód na to mamy przed sobą. Wspaniałości Azji witają nas kwietnym klombem, nenufarami unoszącymi się na powierzchni stawu.

Zdezorientowany Timo popatrzył na Chińczyka ze zdziwieniem, które nie uszło uwagi jego rozmówcy.

— Zaskoczyły pana moje słowa? — spytał pan Cheng. — Biali zawsze są zdumieni poetycznością Azjatów. Musi pan wiedzieć, że wiele takich kwiecistych słów zawiera truciznę.

— O czym właściwie pan mówi?

Pan Cheng był najwyraźniej rozbawiony.

— Francuzi nie mają poczucia piękna swego własnego języka. Użyję więc innych słów, mniej wyszukanych. Chciałem po prostu powiedzieć, że pośród tych dzonek, statków i okrętów, które pan widzi, znajdują się statki pirackie.

Timowi aż zaparło dech w piersiach.

— Piraci? Tacy, którzy napadają na inne statki? — zapytał z przejęciem.

Pan Cheng wybuchnął śmiechem.

— A jak pan myśli, co innego mają do roboty piraci? Napadają na statki, to jest sens ich istnienia, ich zawód polega

na atakowaniu statków i przywłaszczaniu sobie ładunku. Nie zajmują się jednak tylko ładunkiem. Przy okazji mordują marynarzy, którzy się bronią, zresztą także tych, którzy się nie bronią. To zależy od ich humoru. — Pasażerów również?

— Wiem, o czym pan myśli. Proszę się nie niepokoić, tutaj nic nam nie grozi. „Mariette-Pacha” jest zbyt dużym statkiem, żeby piraci uznali ryzyko za opłacalne. Wiedzą, że załoga jest dobrze uzbrojona. Niemniej podróże mniejszymi jednostkami pasażerskimi czy też statkami przewożącymi towary z wyspy na wyspę są znacznie bardziej niebezpieczne. Jak mówiłem, najpiękniejsze kwiaty są najsilniej trujące.

— Ale po co napadać na podróżnych? — zapytał Timo.

— Pasażer i przewożony towar przynoszą największe zyski, szczególnie jeśli pasażer jest białym, Europejczykiem lub Amerykaninem. To wielki rarytas, krociowe zyski!

Słowo „rarytas” zirytowało Tima, który zaczął się zastanawiać, czy pan Cheng powie coś wreszcie „normalną” francuszczyzną.

— Dolary, tysiące dolarów uzyskane jako okup za jedną osobę! Każdy pirat to panu powie: *Biały is goodpidgin*. Proszę wybaczyć nędznym bandytom chińskiego morza, że wymawiają słowo *business* jak *pidgin*. Ich angielski jest dość szczególny, jak się pan domyśla. Nawiasem mówiąc, tak właśnie określa się ten język — *pidgin English*.

— Ci piraci są chińskiego pochodzenia?

— Tak, w większości. Uważają się za spadkobierców Czarnych Bander. Nigdy pan nie słyszał o Czarnych Banderach? Ja, który urodziłem się w Kantonie, mogę pana zapewnić, że nieraz o nich słyszałem, gdy byłem młody! „Jak nie będziesz grzeczny, przyplyną Czarne Bandery i cię zabiorą. Zakują cię w łańcuchy pod pokładem dżonki i będą cię karmili szczurami”.

— Bajki, żeby straszyć dzieci.

— W rzeczy samej, byłem przerażony. Proszę zauważyć, że obawianie się ich było głupotą, ponieważ w tamtych czasach,

czyli około roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego, Czarne Bandery pojawiały się tylko w Tonkinie i od czasu do czasu w południowym Yunnanie. Przy tym piraci Czarnych Bander wcale nie byli najgroźniejsi na Morzu Chińskim. Kiedy miałem dziesięć lat, spotkałem się z kimś znacznie okrutniej szym.

— Został pan porwany dla okupu?

— Mój ojciec nie uznawał takich transakcji — powiedział pan Cheng poważnie. — Niestety, kosztowało go to życie...

W jego maleńkich czarnych oczkach pojawił się bezlitosny błysk.

— O ile zdołano się dowiedzieć, napastnicy pochodzili z Filipin. Ukryli się w ładowni podczas postoju w Manili i pojawili się, gdy wypłynęliśmy na morze. Mój ojciec chciał stawić im czoła — był właścicielem statku — zgromadził wokół siebie załogę, sześciu ludzi uzbrojonych w pistolety. Mnie ukrył za workiem zboża. Podczas starcia ucięto mu szablą głowę, która potoczyła się za worek, aż do moich kolan.

Timo wzdrygnął się.

— Od tego czasu — ciągnął pan Cheng — zalecam kapitanom wszystkich statków należących do przedsiębiorstwa przewozowego, którego jestem właścicielem, żeby nigdy nie sprzeciwiali się bandytom, jeśli ci wejdą na pokład. Bo widzi pan, jeśli chodzi o piratów, najlepszym sposobem jest dostrzec ich z daleka i unikać za wszelką cenę. — W spojrzeniu Chińczyka pojawiły się figlarne iskierki. — Na przykład pana zauważyłem od razu i starannie unikałem.

— Słucham?! — Timo wytrzeszczył oczy. Pan Cheng przybrał uspokajający ton.

— Jak pan zapewne zauważył, nie jestem już najmłodszy. Ponieważ podobnie jak większość Azjatów gram od urodzenia, tak samo jak mój ojciec, obdarzony jestem instynktem, dzięki któremu potrafię rozpoznać ludzi dotkniętych tym nałogiem. Przyglądałem się panu w kasynie, przechodził pan między stolikami spokojnie i z zimną krwią. Gra nie jest nałogiem, któremu pan ulega. — Chińczyk zgiął się w lekkim ukłonie. —

Proszę nie zrozumieć źle tego, co panu powiem. Nie jest pan graczem, jest pan artystą. W gruncie rzeczy jest pan piratem, a ja unikam piratów.

— Nie jestem nikim podobnym — oburzył się Timo.

— Ależ owszem — odrzekł rozbawiony pan Cheng. — Miał pan zamiar dokonać abordażu na mojej osobie podczas partii pokera, proszę nie zaprzeczać. Postawię sprawę jasno: na pokładzie tego statku znajduje się nasza wspólna znajoma, pani Lemaire, Laurence, jeśli pan woli.

Odwiedziła mnie specjalnie po to, żeby opowiedzieć o pana zaletach.

— Laurence Lemaire miesza się do spraw, które jej nie dotyczą — przerwał gniewnie Timo.

Pan Cheng znów przybrał uspokajający ton.

— Po co się tak unosić? Laurence jest wyjątkową kobietą. Ma co prawda czterdzieści lat i być może uważa pan, że jest za stara, jak na pańskie upodobania. Jeśli tak, musi pan wiedzieć, że nie zgadzam się z takim osądem. Laurence, małżonka pana Lemaire'a, wysoko postawionego urzędnika francuskiego i mojego przyjaciela, w moim odczuciu jest niezwykłą pięknoscią. Trzeba być ślepcem, żeby nie zauważyć jej wielkich zielonych oczu, świetlistych, preraphaelickich.

— Co takiego? — zdziwił się Timo.

— Ależ tak, wyjątkowych, moim zdaniem jedynych na tej planecie. Nie mówiąc już o jej sylwetce, silnej lecz smukłej, lub o jej pięknie zarysowanych ustach i czarnych włosach opadających puklami na ramiona... — Chińczyk spojrział Timowi prosto w oczy. — Jestem wobec pana grzeczny i uśmiecham się, ale bardzo mnie pan rozgniewał. Laurence uległa pana urokowi. Została podczas tego rejsu pańską kochanką, a pan nisko ceni sobie jej względy. Złości pana to, że rozmawiała ze mną o panu, ale czy zdaje pan sobie sprawę, jakim poniżeniem jest dla niej opowiadanie o swej miłości nędznemu Chińczykowi? Co stanie się z panem po przybyciu do Sajgonu? To jest przedmiotem jej troski. Zademonstrował jej pan w kabinie umiejętności magika, umie pan sprawiać, że znikają przed-

mioty, karty przenoszą się z miejsca na miejsce... Muszę przyznać, że narobiła mi apetytu.

— Dlaczego miałyby pana interesować moje umiejętności?

— Mają dla mnie znaczenie, ponieważ staną się zaczątkiem naszej przyjaźni, mój drogi Timo. Jestem wielkim amatorem magii, to także typowa cecha azjatyckiej duszy. Tak się składa, że organizuję również przedstawienia tego rodzaju, to znaczy jestem właścicielem kabaretów, jak pan by je nazwał, choć w chińskim wydaniu wyglądają nieco inaczej.

— Wydawało mi się, że jest pan właścicielem morskiego przedsiębiorstwa transportowego — zauważył Timo z ironią.

— Tylko ludzie Zachodu mogą wyobrażać sobie, że należy poświęcić się jednemu rodzajowi działalności. Jutro naszym oczom ukaże się przylądek Saint-Jacques, popłyniemy w górę rzeki do Sajgonu i przybijemy do nabrzeża Messageries. Wówczas powie mi pan, czy zechce przyjąć moją propozycję.

— Szybko podejmuje pan zobowiązania, panie Cheng. Skoro unikał mnie pan przy pokerze, nie mógł się pan przekonać, jakie mam talenty. Być może jestem tylko kiepskim oszustem.

— Nie przypuszczam, panie Timo — odparł Chińczyk głosem, w którym brzmiała pewność siebie. — Jeśli jednak serce tak panu dyktuje, proszę przyjść po południu do mojej kabiny i pokazać, co pan potrafi.

O szóstej wieczorem, gdy pośród pól ryżowych położonych w oddali, w delcie Mekongu, zaczęły zapalać się małe światełka, Timo zastukał do drzwi kabiny pana Chenga. Chińczyk zaprosił go do środka w niezwykle uprzejmy sposób. W salonie największego apartamentu pierwszej klasy obok iluminatora ustawiono fotel na biegunach. Siedział w nim szczupły młodzieniec ubrany w szkarłatne jedwabne kimono, które wydawało się zbyt obszerne. Uniósł głowę opartą na poduszkach i skinął Timowi na powitanie. Jego oczy błyszczały. Rozchylone na wysokości kolan kimono odsłaniało

wychudzone nogi wzmocnione łubkami, kończące się żelaznymi trzewikami.

— Mój syn Yen-fu — przedstawił go pan Cheng. — Wielki miłośnik książek, teatru i wszelkich cudowności. Innymi słowy po prostu Chińczyk. Będziemy pana widzami.

Pomimo kalectwa Yen-fu sprawiał wrażenie człowieka obdarzonego pogodą ducha.

Timo zrobił przedstawienie *close up*, siedząc przy okrągłym stoliku tuż obok widzów. Przy każdej karcianej sztuczce twarze Yen-fu i jego ojca rozjaśniały się z zachwytu.

— Moje wycucie mnie nie omyliło! — wykrzyknął Cheng. — Przy pokerze straciłbym majątek.

Po numerze z „ambitną kartą”, która zawsze znajduje się na samej górze talii, pan Cheng zakończył pokaz. Wstał.

— Nie ma co czekać do jutra, żeby zawrzeć naszą umowę. Jeśli zgodzi się pan występować w moich teatrach — a wyglądają one całkiem inaczej niż to, co zna pan z Paryża, bo u mnie jest znacznie zabawniej i sympatyczniej — nie będzie pan musiał martwić się o pieniądze.

Timo również wstał.

— Magia to mój zawód. Przyjmuję pana propozycję — powiedział.

— Jestem szczęśliwy. Proszę zająć pokój w hotelu Continental, który mieści się na rogu ulicy Catinat i bulwaru Norodom. Odwiedzę pana w porze wieczornego aperitif. Porozmawiamy o *pidgin*, czyli o interesach. Następnego dnia po południu „Marianne-Pacha” zaczął płynąć powoli w górę rzeki Sajgon. Wody Morza Chińskiego i ujścia rzeki w okolicach przylądka Saint-Jacques były przejrzyste i błękitnozielone. Woda w górze rzeki była ciemniejsza, niosła brązowy muł wypłukany przez tysiące jej dopływów w Kochin-chinie, Rachs i Arroyo, nawadniających ciągnącą się aż po horyzont szachownicę pól ryżowych poprzecinanych niewielkimi groblami. Gdziekolwiek widać było wieśniaków, którzy z gołymi nogami, w kapeluszach, prowadzili bawoły o wywi-

niętych na zewnątrz rogach. Azja witała ich spokojnym pięknem krajobrazu pod sklepieniem pastelowego nieba, łagodnie zniżającego się aż ku wzgórzom na horyzoncie.

Niespodziewanie, za kolejnym zakrętem rzeki, pojawił się Sajgon, uwieńczony ugrowymi wieżami katedry. Setki czyściutkich domków stojących wzdłuż wysadzanych zielonymi drzewami alej — Białe Miasto. Stłoczeni przy relingu pasażerowie pierwszej klasy machali tłumom przybyłym, by powitać „Mariette-Pacha” na nabrzeżu Messageries. Większość stanowili francuscy oficerowie lub urzędnicy kolonialni i choć ich pobyt w Sajgonie miał charakter tymczasowy, uważali to miejsce za swoją ojczyznę. Wracali do domu.

Laurence przytuliła się do pleców kochanka.

— Nie zapominaj, że będziemy kochali się przez całe życie — wyszeptała.

Timo się odwrócił. Bezsprzecznie Laurence była niezwykle piękną kobietą, a kiedy statek przybijał do nabrzeża Messageries, jej zielone oczy harmonizowały z lazurem nieba. Nie był jednak związany z nią aż tak mocno i czuł się zagrożony, gdy mówiła, że zawsze będą do siebie należeli.

Laurence wyczuła jego rozdrażnienie. Mówiła jednak dalej:

— Prześlę ci wiadomość do hotelu. Spotkamy się potajemnie...

— A twój mąż?

— Nie przejmuj się moim mężem. Co będziesz robił w Sajgonie? Nie udało ci się wygrać zbyt wiele w pokera.

— Wystarczy mi na parę tygodni w Continentalu. Jestem jednak spokojny, pewien Chińczyk, niejaki pan Cheng... Wyglądał na pewnego siebie. Czy pan Cheng to ktoś wpływowy?

— To przywódca wspólnoty kantońskiej w Szolonie, chińskim mieście w pobliżu Sajgonu. Podobno jest niezwykle bogaty. Bogaty i niebezpieczny.

„Mariette-Pacha” siłą rozpędu dobił do nabrzeża Messageries. Oczekujący na statek tłum był niejako odzwierciedleniem osiemdziesięciu lat kolonizacji. W pierwszym rzędzie, przed

pobielonymi wapnem i przyozdobionymi trójkolorowym sztandarem budynkami portowymi, widoczne były białe garnitury i stroje khaki. Kobiety w lekkich sukienkach chroniły się przed słońcem pod kwiecistymi parasolkami. Z tyłu stali mieszkańcy Indochin, czekający na krewnych lub przyjaciół. Mężczyźni mieli na sobie czarne bluzy, a kobiety bezrękawniki z białego i czerwonego jedwabiu, wypuszczone na białe spodnie trzepoczące w podmuchach popołudniowego wiatru. Stanowili grupę zwartą i milczącą. Opodal czekały w szeregu riksze. Jakiś Europejczyk — po sześćdziesiątce, o krągłej twarzy przekreślonej siwiejącym wąsem i przerzedzonych włosach — uniósł panamę i pomachał Laurence. Odpowiedziała mu ruchem ręki. Timo poczuł, że przywiera do niego jeszcze mocniej.

Po zejściu z trapu młodzieniec wmieszał się w tłum białych. Wokół całowano się, ściskano, wybuchał śmiech. Idąca kilka metrów przed nim Laurence wskazała tragarzom uginającym się pod ogromnymi walizami limuzynę marki Packard, zaparkowaną w pobliżu portowych budynków. Po paru minutach, gdy Timo szedł w kierunku rikszy, a koło niego tłoczyło się dziesięciu kulisów oferujących swoje usługi, jego uwagę zwróciło poruszenie w grupie zgromadzonej wokół trapu trzeciej klasy. Policjanci w białych mundurach i kolonialnych kaskach prowadzili młodego Wietnamczyka, ubranego w nieskazitelny, doskonale skrojony garnitur i szary filcowy kapelusz, w stronę znajdującego się nieco na uboczu piętrowego budynku. Mężczyzna rzucił Timowi spojrzenie pełne wyniosłej pogardy.

Rozdział 9

Pałac Norodom był siedzibą administracji Kochinchiny. Co prawda Unia Indochińska obrała za swą stolicę administracyjną Hanoi w Tonkinie, ale działalność jej biur znajdujących się w Sajgonie była nie mniej istotna. Należy przy tym uściślić, że była istotna na sposób czysto kolonialny, czyli nierychliwy.

O godzinie ósmej rano pojawiał się jeden z białych urzędników, by nadzorować przybycie pracowników wietnamskich. Wszyscy nosili ciemne garnitury z wciętymi w pasie marynarkami i beżowe kapelusze, wywodzili się z warstw wykształconych kasty, będącej oparciem dla rządów władców Annamu. Od zwykłych skrybów po zastępców dyrektorów poszczególnych biur, mogli pochwalić się wykształceniem na różnym poziomie, ale pisali po francusku bez błędów, a większość z nich znała dzieła Balzaka i Wiktora Hugo. Pracowali osiem godzin dziennie, byli sumienni i małomówni.

Biali urzędnicy, nawet ci najniższej rangi, przychodzili do pałacu Norodom godzinę później. Ubierali się w jasne garnitury, panamy lub borsalino i odnosili się do swoich wietnamskich kolegów z pogardą, zwracając się do nich per ty, co było, rzecz jasna, jednostronne.

Tymczasem wykształcenie tych kolonialnych gryzipiórków powinno skłaniać ich do większej pokory. Zostali zatrudnieni w Sajgonie po zakończeniu służby wojskowej, którą odbywali w intendenturze marynarki wojennej lub

piechoty. Mało który mógł pochwalić się dyplomem ukończenia jakichkolwiek studiów. Co zaś do dzieł Wiktora Hugo i *Komedii ludzkiej*... Otrzymywali jednak wynagrodzenie dwukrotnie wyższe niż tubylczy koledzy, a wydajność ich pracy była odwrotnie proporcjonalna do zarobków, czyli żadna.

Jako urzędnik działający poza strukturami kolonialnej administracji Maurice Lemaire zajmował w pałacu Norodom obszerny gabinet wyposażony w wentylator. W przeciwieństwie do innych wysoko postawionych funkcjonariuszy państwowych, którzy wybierani byli w drodze konkursu organizowanego przez elitarną uczelnię École de la France d'Outre Mer, Maurice Lemaire doszedł do wysokiego stanowiska w nietypowy sposób. Przybył do Azji czterdzieści lat temu i rozpoczął pracę w kan-tońskiej filii pewnej lionńskiej fabryki jedwabiu. Jakim cudem zdołał zdobyć tak wysokie stanowisko w administracji, nie zdając żadnego egzaminu? Sajgońscy urzędnicy nie wypowiadali się na ten temat. Wiedziano, że znał parę dalekowschodnich języków, w tym dialekt kantoński, i że oddał kilka cennych przysług. Jakich i komu? Tego nie wiedział nikt.

Pan Thau usłyszał, jak administrator Lemaire, którego był sekretarzem, wchodzi do swojego biura. Pan Thau nazywał się tak naprawdę N'Guyen Thau. Miał wygląd intelektualisty o wyszukanych manierach, szczupłego mandaryna z siwą bródką i o bystrym spojrzeniu. Był wielbicielem języka francuskiego. Wieczorami w swoim domku nieopodał katedry, gdy znużyła go lektura Konfucjusza, przy świetle świec i w oparach kadzideł pisał wiersze po francusku, mówiące o kwiatach podarowanych dziewczynie oraz rozpaczy rozdzielonych kochanków.

— Czy pan administrator zjadł dziś swą miseczkę ryżu? — zapytał ugrzecznionym tonem.

Maurice Lemaire doskonale znał tę formułkę, będącą dosłownym tłumaczeniem wietnamskiego „jak się pan miewa?”. Stało się to tradycyjnym żartem w kontaktach między oboma panami.

— Miseczkę ryżu i *noc nam* — odpowiedział.

Ponieważ *noc nam* robi się z niemal zepsutych ryb, przechowywanych w glinianych naczyniach i solance, stwierdzenie to zawsze wywoływało wesołość pana Thau.

— Niemożliwe — odpowiadał — żaden biały nigdy nie zdoła przełknąć nawet najmniejszego kęska *noc nam*.

W ten sposób odbyła się ceremonia porannego powitania. Tym razem jednak pan Thau dodał jeszcze:

— Proszę nie zapomnieć, panie administratorze, że pan główny gubernator Kochinchiny życzy sobie widzieć pana w swoim gabinecie. Administrator Lemaire wziął z biurka kilka teczek i wyszedł.

Gubernator generalny Kochinchiny, Leon Heuzie, chudy sześćdziesięcioletek o krótko ostrzyżonych siwych włosach, już od czterdziestu lat sprawował rozmaite urzędy w Azji, z czego dwadzieścia spędził w Kochinchinie. Wystrój jego biura w pałacu Norodom z dwoma oknami balkonowymi wychodzącymi na ogród botaniczny świadczył o zamiłowaniu do sztuki i rzeźby azjatyckiej, szczególnie zaś annamickiej. Na długim stole można było podziwiać cały zbiór statuetek z brązu, delikatnych pędzli, pergaminów pokrytych ideogramami i strzał wojowników Meo. Na ścianach wisiały annamickie maski, był też kiel słońca oprawiony w złoto. Sofa przykryta była skórą tygrysa.

Gubernator wskazał swemu współpracownikowi fotel przy stole.

— Zapoznałem się z pańską notą dotyczącą powrotu do Indochin jego wysokości Bao Dai, króla Annamu — zaczął gubernator, a w jego spojrzeniu pojawił się figlarny błysk. — A propos, co wiemy o prywatnym życiu Jego Wysokości Bao Dai?

— Ma w tej chwili dwadzieścia trzy lata...

— To wiem — przerwał gubernator. — Wstąpił na tron dziesięć lat temu, wtedy miał lat trzynaście. Znam jego dane z urzędu stanu cywilnego.

— Kilka miesięcy temu ożenił się z bardzo ładną kobietą o imieniu Nam Phong.

— Nie wydaje mi się, żeby towarzyszyła mu we Francji...

— To dlatego, panie gubernatorze, że jego wysokość Bao Dai ma skomplikowane życie osobiste.

— Potwierdza pan pogłoski krążące po całych Indochinach i w Ministerstwie Kolonii? Proszę mi powiedzieć prawdę, czy jego wysokość Bao Dai jest hulaką?

Lemaire był wyraźnie zakłopotany.

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, panie gubernatorze. Cesarz został wychowany we Francji, zgodnie z wolą pana Alberta Sarrauta. Był bardzo dobrym studentem, uzyskał dyplom z nauk politycznych w wieku dwudziestu lat.

— To mi nie pasuje do portretu birbanta—mruknął gubernator.

— Tyle że należy do tego dodać upodobanie Jego Wysokości do pewnych luksusów związanych z naszą kulturą, jak na przykład sportowych samochodów czy gry w polo w Bagatelle, panie gubernatorze. Aby dopełnić obrazu, muszę wspomnieć o jego skłonności do ładnych kobiet, kasyn oraz do gry w pokera. Jeśli chodzi o polowanie na słonie...

Leon Heuzic znów przybrał urzędową minę.

— Mieliśmy mówić o zagadnieniach politycznych.

— Panie gubernatorze — rzekł Lemaire — niektóre fakty odkryte przez służby bezpieczeństwa, którymi kieruję, zasługują, jak mi się zdaje, na pańską uwagę. Pewna sekta, która pojawiła się około dziesięciu lat temu i działa parę kilometrów od Sajgonu, niebezpiecznie zyskuje na znaczeniu. Oceniam, że obecnie liczy ponad pięć tysięcy członków.

— Co to za fanatycy?

— Mówię o sekcje Cao Dai. Panie gubernatorze, pozwolę sobie nie zgodzić się z pańskim określeniem. Członkowie tej sekty nie są, jak pan to powiedział, fanatykami. Owszem, oczekują rychłego przybycia mesjasza imieniem Cao Dai, ale głoszona przez nich filozofia nawiązuje do czystych wartości annamickich.

Gubernator Heuzie był zachwycony tym, co usłyszał. Nie dał jednak tego po sobie poznać i spytał:

— Może pan powiedzieć coś więcej?

— Filozofia Cao Dai głosi powrót do taoistycznych źródeł kultury indochińskiej, jednak także do źródeł buddyjskich i pragnie pogodzić całość z naukami Konfucjusza. Należy dodać, że krzewiona przez nich wiara głosi, iż Wietnam i Francja są ukochanymi dziećmi Bożymi, oczywiście każde ze swej strony. Wydałem moim agentom polecenie, by obserwowali działalność sekty. Przypuszczam, że w przyszłości może okazać się niebezpieczna.

— Doskonale, panie administratorze. Zechce pan informować mnie o rozwoju wydarzeń — powiedział gubernator spokojnie.

— Muszę też powiadomić pana o obecności w Sajgonie pewnego tonkinczyka dobrze znanego moim służbom, niejakiego N'Guyena Tat Thanha, zawodowego rewolucjonisty, znanego lepiej pod pseudonimem Ho Chi Minh.

— Powraca z Francji, jeśli się nie mylę — zauważył gubernator.

— Poniekąd tak, ponieważ przez jakieś dziesięć lat mieszkał w Paryżu. Poznał tam francuskich syndykalistów, którzy wpoili mu idee rewolucyjne. Na kongresie w Tours wybrał obóz komunistyczny. Wprowadziłem do jego otoczenia kilku moich agentów.

— A jeśli chodzi o ruch nacjonalistyczny?

— Tutaj sytuacja nadal jest niespokojna — poinformował administrator Lemaire. — Wszędzie tworzą się stowarzyszenia kulturalne złożone z annamickich intelektualistów. Większość z nich wywodzi się z rodzin kochinchińskiej burżuazji. Wydają gazety... Muszę przyznać, że niektórym z nich nie brak stylu.

Gubernator Heuzie uważał, że ci młodzi ludzie to tylko kulturowi mieszkańcy, z definicji pozbawieni stylu. Nie mógł więc powstrzymać się od uwagi, którą wygłosił ze źle skrywaną irytacją:

— Można się spierać co do rzekomych zalet tych pseudointelektualistów. Jeszcze jakieś „powroty z Francji”?

— Wciąż dokonujemy aresztowań, przesłuchujemy, robimy rewizje i dotyczy to nie tylko rodzin sajgońskich intelektualistów, lecz także właścicieli ziemskich w delcie Mekongu. Wie pan doskonale, panie gubernatorze, że główne więzienie, mieszczące się dwie ulice stąd, nie pozwala na zatrzymanie większej liczby więźniów. Prosiłbym więc o interwencję w sprawie przychylnego rozpatrzenia projektu powiększenia obozu karnego na archipelagu Poulo Condore, oddalonym o jeden dzień żeglugi od przylądka Saint-Jacques.

— Decyzja należy do pana gubernatora generalnego Unii Francuskiej i ministra kolonii — odpowiedział Heuzie. — Może pan jednak być pewny, że jeśli trzeba będzie zapewnić stosowne miejsce pobytu nacjonalistom i komunistom, zrobię wszystko co w mojej mocy. Gubernator Heuzie wstał tak niespodziewanie, jakby jego długie wychudzone ciało zaopatrzone było w sprężyny. Spotkanie dobiegło końca. Lemaire również wstał.

— Zanim pana pożegnam — powiedział administrator — muszę pana powiadomić, że wczoraj wieczorem poleciłem aresztować Gilberta Giu, kiedy schodził z pokładu „Marianne-Pacha”.

— Czy to aby nie syn pana N'Guyena Giu, mandaryna i lekarza uprawiającego tradycyjną medycynę? Dlaczego kazał pan go zatrzymać?

— Postanowiłem zatrzymywać na trzy dni wszystkich „powracających”. Trzeba pokazać, że republika bezlitośnie przeciwstawi się wszelkim wywrotowym działaniom.

Gubernator spojrział na niego ze zdziwieniem, lecz po chwili na jego twarz powrócił kpiący wyraz.

— O ile dobrze rozumiem, panie administratorze, stosuje pan karę więzienia przed popełnieniem przestępstwa, jako czynnik zniechęcający. Według logiki takiego systemu wkrótce pojawi się nowy koncept prawny: kara śmierci stosowana prewencyjnie.

Rozdział 10

Przez ostatnie godziny nocy padał deszcz, ciężki od upału. Jeszcze późnym rankiem krople wody spływały po gałęziach bananowców rosnących w ogrodzie. Lekki wietrzyk przeganiał ostatnie chmury. Laurence rozejrzała się po pokoju, spoglądając przez moskitierę. Jej wzrok spoczął na mahoniowej toalecie z lustrem i na trzcinowym fotelu, na którym przed pójściem do łóżka położyła ubranie. Odsunęła zasłonę z lnianych koronek i wstała.

Urząd gubernatorski Kochinchiny przydzielił administratorowi Lemaire'owi jedną z najpiękniejszych rezydencji. Okna wznoszącej się na płaskowyżu willi wychodziły na ogród, w którym rosły tamaryszki i bananowce, kwiaty i kępy bambusów. W obmurowanej sadzawce zasilanej wodą ze źródła rozkwitły kwiaty lotosu.

Kiedy dwadzieścia lat temu Laurence przyjechała do Sajgonu, wyrafinowana egzotyka tego ogrodu od razu chwyciła ją za serce. Za to urządzenie willi wprowadziło w zakłopotanie. Osobowość Maurice'a, który aż do czterdziestki wytrwał w kawalerskim stanie, odcisnęła swoje piętno na tym miejscu. W ciągu kilku tygodni Laurence dokonała przewrotu pałacowego. Mahoniowe komody, niskie stoły pokryte laką i obszerne trzcinowe fotele przydały domowi azjatyckiej subtelności. Z biegiem lat

pojawiły się też dzieła sztuki: khmerskie lub tajskie posąжки, chińskie tapiserie przedstawiające średniowieczne zmagania wojowników, porcelana z Laosu. Gubernator Kochinchiny, Leon Heuzic, wynosił pod niebiosa gust małżonki administratora Lemaire'a, a ona traktowała te pochwały z całkowitą obojętnością.

Z szelestem jedwabnej tuniki podeszła do niej Saho i podała jej szlafrok. Saho była młodą i bardzo ładną Wietnamką, miała zaledwie osiemnaście lat. Należała do służby zatrudnianej przez państwa Lemaire, którzy mieli też kucharza — zwyczajowo nazywanego annamickim słowem *bep* — pokojowego i praczkę oraz dwóch ogrodników i dwóch szoferów. Obowiązki Saho polegały wyłącznie na usługiwaniu Laurence — *badam patronne* — spełnianiu jej zachcianek, pomaganiu przy toalecie i zabiegach kosmetycznych, wcieraniu we włosy maści nadających im miękkość i połysk.

Laurence włożyła szlafrok i uściskała młodą Annamitkę.

— Tęskniłam za tobą, Saho — powiedziała.

— Nie było pani sześć miesięcy, pani Laurence — powiedziała służąca francuszczyzną zabarwioną wietnamskim akcentem — to długo.

Modliłam się do Buddy, żeby nie przydarzyło się pani nic złego.

W myślach Laurence pojawił się obraz Tima. Czy przydarzyło jej się coś złego, czy dobrego? Wiedziała tylko tyle, że nie może bez niego żyć.

Opuściłam Sajgon w dobrym zdrowiu, pomyślała, a wracam z Francji chora na najgorszą z chorób.

— Czy znalazła pani w Paryżu wydawcę swojej powieści? Laurence wyszła na werandę, gdzie stał stolik nakryty do śniadania. Usiadła, wzięła dzbanek i nalała sobie filiżankę herbaty.

— Czterej wydawcy, z którymi się skontaktowałam, chcieli wydać moją powieść — powiedziała obojętnie.

Jej myśli znów opanował Timo. Co robił wczoraj wieczorem? Czy spędził go w Continentalu? Wypiła łyk herbaty, odstawiła filiżankę i zapaliła papierosa.

— Muszę przekazać pilną wiadomość do hotelu Continental — oznajmiła.

— Już idę — odpowiedziała Saho.

— Nie, poznałoby cię i od razu byłoby wiadomo, że przychodzisz ode mnie.

— Czy to bardzo ważne? — spytała Saho.

— Nie ma dla mnie nic równie ważnego. — Laurence zgasiła nerwowo papierosa.

— Rozumiem — powiedziała Saho słodko. — Czy jest pięknej krwi? Czy potrafi recytować wiersze, które tak radują serce kobiety?

Laurence zaprzeczyła ruchem głowy i pogładziła służącą po włosach.

— Jest bardzo pięknej krwi, ale nic mówi wierszy.

— Powróciła pani z Francji, mając wielką miłość w sercu — stwierdziła Saho ze smutkiem. — Znam sposób, żeby dyskretnie przekazać wiadomość. Jeden z kelnerów w Continentalu jest narzeczonym mojej młodszej siostry. Wsunie liścik pod drzwi pani ukochanego.

— Mojego ukochanego... — powtórzyła Laurence z powątpiewaniem.

— Jeśli zechce pani go spotkać, to będzie łatwe — mówiła Saho. — Obok domu mojego ojca, na końcu ulicy Pellerin, znajduje się dom schadzek, do którego przychodzą biali, panowie z płaskowyżu, ale również wojskowi. Ma francuską nazwę, Czułe Spojrzenie. Łatwo można się do niego dostać, przechodząc przez dom mojego ojca. Baya to stara kobieta, bardzo dobra. Pani narzeczony wejdzie głównym wejściem, a pani przez dom mojego ojca, i nikt się niczego nie dowie.

Laurence wciągnęła Saho do pokoju. Usiadła przy toalecie z owalnym lustrem, otworzyła szufladę i wyjęła z niej blok papieru listowego oraz koperty. Napisała szybko parę linijek, wsunęła kartkę do koperty i podała ją Saho.

— Nie zapomnij powiedzieć narzeczonemu siostry, że to bardzo ważna wiadomość.

— Nie zapomnę i będę modliła się do Buddy, żeby pani nie była nieszczęśliwa. Ale ja wiem, że biały mężczyzna jest okrutniej szy od tygrysa. Biały mężczyzna nie potrafi pieścić kobiet ani z zewnątrz, ani od wewnątrz.

Timo skończył właśnie pisać list do Hansa, właściwie było to tylko parę słów, żeby podać mu swój adres — hotel Continental, Sajgon — i powiedzieć, że za miesiąc napisze więcej i opowie szczegółowo o swoim nowym życiu, a także, jak radzi sobie z pracą.

O dwunastej w recepcji hotelu pracownik przekazał mu kartkę od pana Chenga, przyniesioną osobiście przez nadawcę. *Jest południe i rzadko się zdarza, żeby podróżny wstał już o tej porze, spędziwszy swoją pierwszą noc w Continentalu. Pozostawiam więc pana w objęciach Morfeusza. Będę niezwykle zaszczycony, jeśli dziś wieczorem zechce pan wybrać się do Szolonu. Będzie pan moim gościem w lokalu Oddech Smoka. Proszę przyjść kolo jedenastej, to nocna chwila niebiańskiego brzasku. Proszę wziąć riksę, nie ma kulisa, który nie znalazłby tego miejsca. Yen-fu i ja płoniemy z niecierpliwości, oczekując chwili, gdy będzie pan razem z nami. Proszę przyjąć wyrazy przyjaźni od mojej skromnej osoby.*

Zdecydowanie, panie Cheng, pański francuski nie przestaje mnie zadziwiać, pomyślał Timo. Otworzył szafę i wyjął z niej kremową marynarkę. Włożył ją, zapiął celulooidowy kołnierzyk i zawiązał biały krawat. Nagle usłyszał jakiś szelest i odwrócił się. Pod jego drzwi ktoś wsunął kopertę. Podszedł, podniósł ją i obejrzał z obu stron. Na kopercie nie było ani adresata, ani nadawcy. Wiedział jednak, od kogo jest list, zanim jeszcze go otworzył.

Mój ukochany, jesteś tak blisko, a jednak nie mogę Cię zobaczyć, pieścić i wielbić. Zaledwie jeden dzień bez Ciebie i czuję się taka zagubiona. Nie dość tego, ku mojej rozpaczynie muszę towarzyszyć mężowi do Hue z powodów protokolarnych

związanych z powrotem cesarza Bao Dai do Indochin. Nie wrócą przed upływem tygodnia. Tygodnia! Nie zobaczę Cię przez cały tydzień! W każdej sekundzie będą o Tobie myślała.

W czwartek skończy się ta męka. Wtedy wrócę i wreszcie będziemy mogli się kochać. Przyjdź w czwartek późnym popołudniem na ulicę Pellerin, niedaleko chińskiego Arroyo. Jest tam dom schadzek pod nazwą Czułe Spojrzenie. Tam się spotkamy.

Laurence.

PS Tylko nie zgub tego adresu: Czułe Spojrzenie, ulica Pellerin, niedaleko chińskiego Arroyo.

Timo zgniótł list i kopertę w kulkę i wrzucił do kosza.

Na tarasie Rotundy gromadziła się klientela złożona z białych, ale mniej zamożnych niż mieszkańcy Continentalu. Lokal znajdował się w pobliżu portu i Arroyo, stanowiąc najdalej wysunięty przyczółek zachodniej części miasta. Za ścianą gęstych cedrów rozpoczynał się mroczny obszar pól ryżowych. Ciężkie powietrze przecinały skrzydła wentylatorów.

Ani jednej kobiety, tylko mężczyźni, wychudzeni, tonący w zbyt obszernych białych garniturach, z podkrążonymi oczami, zapadniętymi policzkami, pożółkłą skórą. Koloniści z mroku, którzy skubali końcami palców owoce liczi. Za piętnaście jedenasta Timo wszedł do jednej z licznych rikszy czekających przy stopniach wiodących do Rotundy. Kulis w kapeluszu z palmowych liści i z gołymi nogami rzeczywiście wiedział, dokąd ma się udać.

— Oddech Smoka, najlepszy lokal w Szolonie. Pojedziemy bulwarem Gallieni.

Oddech Smoka był bardzo dziwnym miejscem. Mieścił się w dwupiętrowym budynku ozdobionym szyldem przedstawiającym błękitnego smoka o hipnotyzujących czerwonych oczach. Oświetlany pochodniami korytarz prowadził do sali, której

ściany obite były złotą tkaniną pokrytą chińskimi znakami. Kilkanaście młodych kobiet ubranych w tuniki i szerokie jedwabne spodnie śpiewało rytmiczną melodię, akompaniując sobie na gitarach o dziwnych kształtach. Włosy splecione w długie warkocze, pomalowane powieki i róż na policzkach nadawały im nierzeczywisty wygląd porcelanowych lalek. Bransolety ze złota i jadeitu, naszyjniki z kości słoniowej i pierścionki z diamentami świadczyły o wywoływanych przez nie uczuciach.

Przed Timem wyrósł Chińczyk, młody i bardzo wysoki, ubrany w nieskazitelną ciemny garnitur.

— Piękne dziewczyny, prawda? — zagadnął. — Tancerki z Kantonu! Timo nie zdążył zapytać, co właściwie oznacza określenie „tancerki”, ponieważ wysoki Chińczyk dał znak, żeby szedł za nim.

— Pan Cheng czeka na pana.

Weszli w następny korytarz, mroczniej szy niż poprzedni. Po obu stronach mijali malutkie pokoiki, w których leżące na matach wynędzniałe istoty paliły opium.

W sali restauracyjnej na pierwszym piętrze wokół każdego z setki gości zgromadzonych przy wielkich stołach uwijały się grupki kelnerów. Na twarzy pana Chenga malował się zachwyty.

— Jestem głęboko szczęśliwy, widząc pana, mój drogi Timo — powiedział uradowany.

Przeszli obaj przez wielką salę restauracyjną i usiedli przy stoliku z boku. Mijani klienci kłaniali się panu Chengowi z szacunkiem. Byli to sami Chińczycy, w dojrzałym wieku, większość z nich ubrana na sposób zachodni, tylko niektórzy nosili tradycyjne kaftany.

— Kazałem przygotować dla pana posiłek według przepisu z mojego kraju — oznajmił Cheng.

— Chiński? — zapytał Timo.

— Ależ skąd. Kantoński. Płetwy rekina i prosiak w lace.

Chińczycy nie mają na tyle delikatnego żołądka, żeby jeść potrawy tego rodzaju. Jest też wino. Czy sądzi pan, że Chińczycy są wystarczająco wyrafinowani, żeby pić wino, czarne wino z Kantonu? Wiem dobrze, co się mówi: że Szolon jest chińskim miastem. Ja na to odpowiadam, że jest po części chińskim miastem. Kontrolę nad Szolonem sprawują cztery wspólnoty, Chaw-Chaw, hannańczycy i Szanghaj czycy, ale czwarta ze wspólnot nie ma w sobie nic chińskiego, są to bowiem kantończycy. Jestem zresztą przewodniczącym Kongregacji Kantończyków.

Czy pan Cheng mówił poważnie, czy żartował? Timo nie potrafił się zorientować. Kelner postawił na stole rodzaj rondla z palmowego drewna. Pan Cheng uniósł pokrywę, ze środka uniósł się obłok pary.

— Płetwy rekina trzeba przyrządzać na parze, tak jak się to robi w Kantonie — wyjaśnił pan Cheng.

Chińczyk wziął dwie pałeczki, zanurzył je w naczyniu i wydobyl kawałek ryby, który położył na talerzu Tima.

— Wbrew swej złej reputacji — mówił Cheng — rekiny zjadają mniej ludzi niż ludzie rekinów. Nawiasem mówiąc, nigdy nie trzeba wierzyć w reputację. Niektórzy Chińczycy twierdzą, że płetwa rekina pobudza w mężczyźnie uśpione pożądanie. To czysty idiotyzm, jak zresztą wiele innych stwierdzeń wygłaszanych przez Chińczyków.

Nagle zaczął wpatrywać się intensywnie w Tima.

— Mam własne poglądy na pochodzenie odczuć erotycznych i wiem dobrze, że pana błękitne oczy robią na mnie większe wrażenie niż płetwa rekina, a nawet całe to zwierzę.

Timo osłupiał. Pierwszy raz zdarzyło mu się, żeby jakiś mężczyzna zdradzał się z pożądaniami do niego.

Zarzuciwszy haczyk, pan Cheng ciągnął z wyraźnym upodobaniem:

— Czy pan wie, co mówi się w języku mandaryńskim o błękitnych oczach? Że są skrawkami nieba, które spadły na głowę.

Timo odłożył widelec, na jego twarzy widoczne było zdecydowanie i zimny gniew.

— Panie Cheng — wycedził — podczas podróży na „Mariet-te-Pacha” wspominał pan, że mogę u pana pracować, ponieważ jestem iluzjonistą. Jeżeli są jakieś inne powody, dla których się spotkaliśmy, wolę od razu wrócić do Sajgonu.

Pan Cheng wybuchnął śmiechem.

— Proszę się nie niepokoić, jesteśmy tu po to, by rozmawiać o interesach i o niczym innym.

Wskazał palcem sufit.

— Słyszysz pan?

Timo podniósł wzrok. Z góry dobiegały odgłosy świadczące o wielkim ożywieniu.

— Nad nami znajduje się część lokalu przeznaczona dla graczy — wyjaśnił Cheng. — Tam uprawia się hazard po azjatycku. Góry piastrow stawiane na byle co, ostrza o czterech kolorach, trzydzieści sześć zwierząt, *tai-sio*. W tej chwili przyjmowane są zakłady na pojedynki.

— Walka bokserska? — spytał zaciekawiony Timo.

— Coś gorszego. Partia pokera jeden na jednego, zmagania dwóch mistrzów.

— Rozumiem — odpowiedział Timo, który znów poczuł się swobodniej.

— Mówiąc o płetwach rekina, wspominałem panu, drogi Timo, że nie znoszę fałszywych reputacji — podjął Cheng. — Od kilku tygodni pewien pokerzysta z Szanghaju doprowadza do ruiny tutejsze szulernie. Również i tutaj wygrał tyle partii, że klienci uważają go za niepokonanego. Niektórzy zaczynają traktować go jak kogoś w rodzaju boga. Co to, to nie! Trzeba pokazać temu chłystkowi, gdzie jego miejsce. Jak najprędzej i w wielkim stylu.

— Czy to ja mam ukrócić jego bezczelność i ściągnąć go na powrót w szeregi śmiertelników? — spytał Timo.

— Otóż to. Musi pan to zrobić! — stwierdził Cheng stanowczo. — Musi pan rozgnieść tego robaka. Za dwie godziny wyjdzie stąd, płonąc ze wstydu.

— Czy to manipulator? — zapytał Timo.

— To nędzny oszust, który uważa się za artystę. Stawi mu pan czoło. Dwaj sędziowie będą pilnowali, by walka przebiegała zgodnie z zasadami. Jeśli przyłapie go pan na oszustwie, pozostanie mu tylko powiesić się na latarni.

— A jeżeli przegram?

— Czyż taka rzecz może się zdarzyć? W obecnej chwili notowania pańskiego przeciwnika są wyższe niż pańskie, stawki obniżą się nieco w ostatnim momencie. Ja postawię na pana trzy miliony piastrów. Sam pan widzi, że nawet przez myśl mi nie przemknęło, iż mój przyjaciel Timo mógłby nie wyjść zwycięsko z tego starcia.

Atmosfera panująca na drugim piętrze w Oddechu Smoka była zdecydowanie odmienna od wykwintu restauracji i żywo kontrastowała z anielskim spokojem kantońskich tancerek. Pliki banknotów przechodziły z rąk do rąk setek Chińczyków, a towarzyszyła temu nieopisana wrzawa. Pośrodku sali, która była największą szulernią Szolonu, urządzono specjalny ring dla potrzeb niezwyklej walki pokerzystów. Ogrodzono go drewnianą barierką, za którą tłoczyli się kibice. Wewnątrz stał stół nakryty zielonym suknem, na który padało żółte światło lampy zwisającej z sufitu. Przy stole siedziało czterech mężczyzn; po jednej stronie obok siebie dwóch szacownych Chińczyków w ciemnych bezrękawnikach i jedwabnych czapkach, spoglądających beznamiętnie na teatr działań wojennych. Szanghajski mistrz był rozebrany do pasa, potężnie umięśniony, miał płaską twarz, a na głowie zawiązaną czerwoną szarfę. Spoglądał wyniośle na przeciwnika o białej skórze i błękitnych oczach. Sędziowie zwrócili się do Tima, oznajmiając mu, że do niego należy pierwsze rozdanie. Młody człowiek, obojętny na okrzyki publiczności i postawę przeciwnika, który najwyraźniej chciał go zastraszyć, rozdał karty. Przybysz z Szanghaju rzucił

okiem na swoje i wymienił dwie. Timo ledwie spojrzał na karty. Był zadowolony z tego, co zobaczył.

— Wchodzę! — powiedział odruchowo po francusku.

Niewzruszony pośród tłumu podekscytowanych widzów, pan Cheng zapalił cygaro. Zaciągnął się głęboko, odczekał kilka sekund i z rozkoszą wypuścił dym.

Rozdział 11

— Nie rozumiem, dlaczego zabraliście mnie panowie do tych ponurych kazamat — protestował Timo. — Chcecie mnie aresztować?

— Timothée Lamy... — mruknął inspektor Giraudet. Jak wszyscy inspektorzy służb kierowanych przez Lemaire'a był osobnikiem rasy mieszanej. — Moje wyczucie mówi mi, że pana dokumenty są fałszywe. Na twarzy Tima, spokojnego jak podczas pokerowej rozgrywki, odmalowało się zdumienie.

— Ależ co pan mówi? — zapytał z udanym rozbawieniem.

— Przybył pan do Sajgonu miesiąc temu na „Mariette-Pacha”, wsiadł pan na statek w Marsylii — odezwał się drugi z agentów, Cham.

— Macie panowie dobre informacje.

Giraudet i Cham nie odpowiedzieli, udając, że nie zwracają najmniejszej uwagi na jego słowa.

— Nie mam nic do ukrycia — zapewnił Timo. — Nie mieszkam w Sajgonie, tylko w Szolonie, czego panowie chyba się domyślają, skoro zostałem zatrzymany na bulwarze Gallieni. Przewodniczący wspólnoty kantońskiej, pan Cheng, był tak uprzejmy, że oddał do mojej dyspozycji jeden ze swoich apartamentów.

Mówiąc o panu Chengu, Timo posłużył się główną kartą,

która miała mu zapewnić spokój. Nie wiedział dokładnie, w jakich relacjach pozostaje chiński biznesmen z francuską policją, przypuszczał jednak, że w istotnych i że może mu się to teraz przydać. Postanowił iść na całość.

— Nawiasem mówiąc, pan Cheng ceni mnie wystarczająco wysoko, żeby zaoferować luksusowy apartament, w którym są dwa meble pokryte laką, a nawet łoże z baldachimem.

— I za to pan Cheng panu płaci? — spytał Cham wyraźnie dwuznacznym tonem.

— Słucham pana?

— Za łoże z baldachimem?

Spojrzenie, którym Timo obdarzył inspektora, było jak ze stali.

— Wolę nie próbować się domyślać, co znaczą te insynuacje, panie inspektorze — odparł zimno.

— Nie ma co się tak unosić, mój panie — odpowiedział policjant. — Nie jest dla nikogo tajemnicą, w każdym razie nie dla nas, że przewodniczący kantońskiej wspólnoty Cheng ma słabość do młodych mężczyzn. Ponoć utrzymuje cały harem chińskich młodzieńców.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Nie interesują mnie takie pomówienia. Giraudet nadal miał pogardliwą minę, ale przybrał uspokajający ton.

— Wybitni przedstawiciele chińskiej wspólnoty, tacy jak pan Cheng, mają wyrafinowane gusta — mówił. — Dla nich pieśczęty efeba są częścią sztuki miłosnej. Mniejsza jednak o upodobania pana Chenga. Jakie jest pańskie źródło utrzymania?

— Pełnię rolę preceptora syna pana Chenga, Yen-fu.

— Może pan to uściślić? — poprosił Giraudet.

— Uczę tego młodego człowieka, obdarzonego niezwykle inteligencją, historii Francji i opowiadam mu o życiu w Paryżu. Pomagam też doskonalić francuski. On ze swej strony wprowadza mnie w tajniki języka chińskiego.

— Uczy go pan także oszukiwać przy grze w karty? — spytał Cham.

— Pana stwierdzenie jest obelżywe — odparł Timo. Giraudet zrobił minę mówiącą, że Timo nie ma powodu się obrażać.

— Już pierwszego dnia w Szolonie, w lokalu o nazwie Oddech Smoka zgniótł pan na miazgę gracza z Szanghaju, który uważał się za niepokonanego. Ci, którzy na niego stawiali, na pewno nie zapomną tej partii. Został zmuszony do opuszczenia Sajgonu. W ciągu tego miesiąca nie poniósł pan ani jednej porażki, co zaczęło nas niepokoić...

— Po prostu jestem zawodowcem, i to dobrym.

— Stał się pan kolejnym bożyszczem szolońskich pokerzystów, niech pan nie zaprzecza. Wieści o tym już do nas dotarły. Co wieczór w szulerniach pana Chenga tłoczą się całe masy graczy, którzy chcą pana zobaczyć albo z panem zagrać. Podobno jest pan olśniewający. Jednak mimo wszystko mało nas obchodzi, w jaki sposób pan zarabia — mówił Giraudet. — Zostawimy pana w spokoju dopóty, dopóki nie będzie pan stanowił zagrożenia dla porządku publicznego.

Timo nie musiał udawać zdziwienia, tym razem było ono absolutnie szczere.

— Nie wie pan, co znaczy „zagrożenie dla porządku publicznego”? — wtrącił Cham. — Wyjaśnię: zagrożeniem tego porządku są działania antyfrancuskie, podżeganie pracowników plantacji przeciwko ich nadzorcom czyli *cais*, wydawanie antykolonialnych gazet, głoszenie zgniłej propagandy za japońskie pieniądze, spiskowanie z komunistami...

— Nie mam nic wspólnego z podobnymi działaniami — oświadczył Timo.

— Zna pan Gilberta Giu? Timo otworzył szeroko oczy.

— Owszem, znam Gilberta Giu. Wielokrotnie spotykałem go w apartamentach Yen-fu. Uczy go historii Azji.

— Może pan sobie pogratulować tej odpowiedzi — uciał

Giraudet. — Gdyby pan twierdził, że go nie zna, przysporzyłby sobie pan kłopotów.

— Nie wiem, dlaczego miałbym udawać, że nie znam Gilberta Giu. Przecież to nie żaden gangster.

— A co pan może o tym wiedzieć? — przerwał mu Cham. Wyraźnie wzbierał w nim gniew. — Wiemy coś niecoś na ten temat. Chce wygnać wszystkich białych i zrobić w pałacu Norodom swoją siedzibę. Zadaje się z Japońcami, żeby szerzyć zamęt.

— Trudno mi w to uwierzyć — mruknął Timo.

— Nie musi pan w nic wierzyć. Gdyby to zależało od nas, udowodnilibyśmy panu, że lepiej nie wpadać w nasze łapy.

Inspektor Giraudet nie panował nad sobą. Podniósł się i stanął przed Timem.

— Gilbert Giu to „powracający z Francji”, wbij pan to sobie do głowy. To nacjonalista, śmieć.

Cham również wstał i zaczął przechadzać się długimi krokami po pokoju. Teraz on podszedł do Tima.

— Wie pan, co to znaczy wpaść w nasze łapy?! — wrzasnął. — Wszyscy „powracający”, ci synkowie żółtych mieszczuchów, którzy byli w naszych biurach, mogą o tym opowiedzieć. Dowie się pan, co sądzą o naszych pieszczołach, o szpilkach pod paznokciami i do czego służy lutownica. My też jesteśmy Azjatami i stosowanie tortur jest częścią naszego wykształcenia.

Szorstkim gestem podał Timowi paszport.

— Oddaję go panu. Moim zdaniem jest fałszywy, i to jeszcze jak! Pewnie jesteś pan awanturnikiem, gangsterem, który uciekł przed policją. Niech pan uważa na siebie, bo jak nie będzie miał się pan na baczości, zrozumie pan, dlaczego lepiej za wszelką cenę unikać aresztowania przez służby specjalne sajgońskiej policji.

Pan Cheng, otwierając drzwi, miał niezadowoloną minę. Siódma wieczorem nie była porą stosowną na wizyty. Przeszkadzono mu w jakimś prywatnym zajęciu, zapewne bardzo

intymnym, ponieważ pospiesznie włożył błękitne kimono, usiane wyhaftowanymi czerwoną nicią konikami morskimi. Oblicze Chińczyka rozpogodziło się jednak na widok Tima.

— Proszę wejść, mój drogi Timo — powiedział. Siedziba przewodniczącego wspólnoty kantończyków w Sajgonie przypominała buddyjski klasztor. Pół tuzina budowli o dachach przywodzących na myśl pagody, ustawionych wokół ogrodu, w którym rosły bananowce i kępy lotosów. Tak jak w klasztorze, z budynku do budynku przechodziło się drewnianymi zadaszonymi łącznikami. Nad ramieniem pana Chenga Timo zobaczył sylwetkę chłopca — mógł mieć najwyżej trzynaście lat — który wychodził z jednego z domów. Pan Cheng spostrzegł zmieszanie gościa i rozbawiło go to.

— Moje życie prywatne jest wyłącznie moją sprawą — stwierdził — ale wiem dobrze, że jest pan człowiekiem wielkich zalet i dyskrecji. Ruszyli przez ogród.

— Wiem także, że jest pan człowiekiem subtelnym — mówił dalej Cheng. — Tylko istotna przyczyna mogła skłonić pana do zakłócania moich chwil wypoczynku.

— Zostałem zatrzymany przez policję — powiedział Timo. Pan Cheng nie przerwał przechadzki, słowa Tima wydawały się nie robić na nim najmniejszego wrażenia. Popatrzył na niego bystrymi oczkami.

— Zatrzymany? Mam jednak przyjemność oglądać pana na wolności — zauważył żartobliwie. — Powiada pan, zatrzymany przez policję... Ale jaką policję? Tutejszą policję w białych mundurach i kolonialnych kaskach, której obowiązkiem jest kierowanie ruchem i kontrolowanie rikszy? Czy też żandarmerię, która pilnuje, żeby nie dochodziło do burd między marynarzami i żołnierzami piechoty? Wyrażajmy się ściśle, bardzo proszę. Czy policjanci, o których pan mówi, byli rasy mieszanej?

— Tak — potwierdził Timo, nieco zdziwiony tym pytaniem. — W rzeczy samej zostałem zatrzymany dziś po południu na bulwarze Gallieni przez inspektorów Giraudeta i Chama,

obaj byli rasy mieszanej. Zaprowadzili mnie do biura mieszczącego się w pobliżu pałacu gubernatora.

To wyjaśnienie przykuło uwagę pana Chenga. Zatrzymał się.

— Giraudet i Cham, powiada pan? Czy użyli wobec pana przemocy?

— Nie, chociaż chęci im nie brakowało. Żywią szczególną nienawiść do białych.

— Nie tak wielką jednak jak do żółtych. — Pan Cheng zachichotał. Zaraz jednak spoważniał.

— Proszę się nie niepokoić, mój drogi Timo, podejmiemy działania, które zapewnią spokój pana umysłowi. Jutro zabiorę pana w podróż.

Chińczyk dostrzegł wyraz zaskoczenia na twarzy swego rozmówcy, co wyraźnie go ucieszyło.

— Proszę się nie niepokoić, to nie będzie długa podróż. Udamy się Drogą Mandarynów do Hue, gdzie w pałacu cesarskim będziemy obecni przy ceremonii *Nam Giao*, podczas której jego wysokość Bao Dai przyjmie hołd od swego ludu. W tym świętym dniu i my złożymy mu wyrazy szacunku.

— Pokłon przed cesarzem Annamu uchroni mnie przed prześladowaniami sajgońskiej policji? — Timo nie krył sceptycyzmu.

— Ależ oczywiście. Niech pan nigdy nie zapomina, moje dziecko, że zawsze dobrze jest znać moźnych tego świata. Czy pan wie, co w języku annamickim znaczy Bao Dai? „Opiekun wspaniałomyślnych”. Otóż to właśnie jest największa z pańskich zalet. Czy pan wie, drogi Timo, co pięknego jest w pańskiej duszy? Wspaniałomyślność.

Rozdział 12

Od niepamiętnych czasów, zgodnie z tradycją sięgającą dziejowych mroków znacznie dawniejszych niż pierwsi cesarze Annamu, w Azji kolor niebieski kojarzony jest z wiosną, świtem i kierunkiem wschodnim. Cesarz Bao Dai, przybywając ze swych apartamentów w Błękitnym Pałacu, przeszedł przez wschodnią część Zakazanego Miasta. Annamicki władca siedział w uroczystej pozie ze skrzyżowanymi nogami w lektyce niesionej przez szesnastu żołnierzy gwardii przybocznej. Jego oczy patrzyły w dal, siedział nieruchomo, odziany w jedwabie i brokaty. Za cesarzem kroczył długi orszak, niosący setki proporców. Książęta, mandaryni i eunuchowie recytowali długą melopeję, która rozbrzmiewała niczym pomruk gromu pośród łomotu bębnow i kotłów z brązu. Ceremonia trwała trzy godziny. Pałacowi notable, książęta będący „kolumnami imperium” i zwykli dworzanie gięli się ku ziemi, wypowiadając wiernopoddańcze formuły. Cienkie bródki zmiatały ziemię na znak czci. Siedzący pośrodku ogromnej sali tronowej cesarz Bao Dai przyjmował hołdy poddanych. Trzy godziny trwał bez najmniejszego poruszenia lub choćby drgnięcia twarzy — zgodnie z rytuałem dworu annamickiego. Po prawej stronie cesarskiego tronu ustawiono łożę dla cudzoziemców. Większość z około stu zaproszonych stanowili

Francuzi. Ale czy tak naprawdę byli oni cudzoziemcami? Co do tego nikt nie miał złudzeń. Aleksander Varenne, gubernator generalny Unii Indochińskiej i wpływowa postać w szeregach Socjalistycznej Partii Radykalnej, mówił w swym przemówieniu

O przyjaźni łączącej Annam i Francję, o wspaniałości kultury indochińskiej, której wcieleniem jest ósmy spadkobierca cesarza Gia Longa i o tym, że *Republika Francuska stała się potężną protektorką tej kultury*. Bao Dai pozostał niewzruszony wobec tych słów, tak jak nakazywał bezwzględnie dworski rytuał Hue. Hipokryzja tego przemówienia nie uszła jednak jego uwagi, tak samo jak dostrzegli ją wszyscy mandaryni i dworzanie.

Siedzący w łoży dla cudzoziemców pan Cheng ubrany był w ceremonialny strój białych — szare spodnie, kamizelkę i frak. W ręku trzymał cylinder. Po jego prawej stronie, w takim samym stroju uszytym poprzedniego dnia przez najlepszych krawców w Szolonie, Timo przez chwilę upajał się wyobrażeniem, że jest kimś naprawdę ważnym. Przelotny wyraz dumy na jego twarzy został zauważony przez pana Chenga.

— Elegancją przewyższa pan, i to znacznie, wszystkie cudzoziemskie osobistości.

Niezadowolony z tego, że przyłapano go w chwili pychy, Timo wzruszył ramionami.

— Ależ zapewniam pana — upierał się pan Cheng — bardzo panu do twarzy w tym stroju wizytowym, w szarych spodniach i fraku. Ten strój, choć nieco śmieszny, podkreśla pańską urodę. Ach, Timo, zachwyca mnie pan.

— Panie Cheng, to nużące.

— Ależ doprawdy, proszę popatrzeć na to zgromadzenie — upierał się pan Cheng. — Któż mógłby z panem rywalizować? Nawet pan Komoko, konsul japoński, który uważa się za najpiękniejszego mężczyznę Sajgonu, wygląda jak strach na wróble. Zresztą siedzi dwa rzędy za nami, może pan się przekonać na własne oczy.

Timo się odwrócił. Pan Komoko pozdrowił go ukłonem, zgiąwszy się wpół.

— Trzeba powiedzieć, że fryzura przypominająca miotłę nadaje panu Komoko wygląd pomyleńca — szepnął Timo. — Trudno uwierzyć, że to konsul Japonii.

Niewzruszony pan Cheng wyjaśnił tym samym tonem:

— To dobrze się składa, bo nie jest konsulem Japonii.

— Zaraz, przecież przed sekundą powiedział pan...

— „Japoński konsul” to jego przezwisko. Pan Komoko jest właścicielem zakładu noszącego nazwę Uśmiech Gejszy, lupa-naru, w którym są same Japonki. Mieszkańcy Sajgonu mają zwyczaj nazywać to miejsce „japońskim konsulem”, a więc pan Komoko jest japońskim konsulem! Timo czuł, że wzbiera w nim niepohamowany śmiech. Uroczysta poza cesarza na wielkim tronie, mandaryni bijący pokłony i składający hołdy, głębokie dźwięki deklamacji w rytm uderzeń gongu... Patos tej uroczystości przypominał równie pochyłą kończącą się przepaścią. Opuścił głowę i uszczypnął się w nos. Pan Cheng mówił dalej cichym głosem:

— Ten japoński konsul to bardzo wyrefinowane miejsce... Ceremoniał ciągnie się może trochę zbyt długo, ale cierpliwość zostaje nagrodzona.

Timo u progu katastrofy usiłował zachować powagę, tymczasem środkiem esplanady chwiejnym krokiem maszerował szwadron dwudziestu bojowych słoni, których dosiadali młodzi mężczyźni w turbanach z niebieskiego jedwabiu

— Czy personel japońskiego konsulatu odznacza się szczególną urodą?

— spytał Timo jednym tchem.

— O tak, wielką — potwierdził Cheng z uznaniem. — Personel japońskiego konsulatu złożony jest z dwudziestu bardzo ładnych młodych Japoniek. Niektórzy twierdzą, że wśród tych dwudziestu bardzo ładnych młodych Japoniek jest także jeden Japończyk.

Timo o mało nie ryknął śmiechem. Łzy napłynęły mu do oczu.

— Z jakiej racji pan Komoko znajduje się w łoży honorowej? Jako właściciel burdelu?

— Nic podobnego — wyjaśnił śmiertelnie poważnym tonem Cheng. — Jest tu w charakterze szpiega.

Timo zakrył usta dłonią. Tym razem nie zdołał opanować śmiechu, ale zdołał powstrzymać go na tyle, żeby wydać z siebie tylko coś w rodzaju pisku. Niektórzy goście siedzący koło nich zaczęli okazywać zniecierpliwienie.

— Jest pan dobrze poinformowany, panie Cheng — stwierdził Timo.

— Och, to tajemnica poliszynela. Nawet Jego Wysokość Bao Dai o tym wie.

Poirytowany szeptami dochodzącymi z tylnych rzędów, gubernator Kochinchiny odwrócił się i rzucił Chengowi i Ti-mowi karcące spojrzenie. Młodzieniec zamarł przerażony, natomiast pan Cheng, nie zważając na ściągnięte brwi gubernatora, zgiął się w pokłonie. Obok gubernatora siedział mężczyzna, dość otyły, koło pięćdziesiątki, tak jak wszyscy goście wciśnięty we frak. Teraz i on się odwrócił. Administrator Lemaire uniósł ze zdziwieniem brwi na widok dwóch rozbawionych widzów.

Timo zeszywniał. Obok administratora siedziała kobieta ubrana w lekką sukienkę i kapelusz z szerokim rondem. Kiedy i ona spojrzała za siebie, Timo nie był zaskoczony. Laurence uczestniczyła w uroczystościach u boku swego męża. Popatrzyła mu prosto w oczy, a jej spojrzenie było zielone i świetliste. Timo dostrzegł w nim najpierw zdumienie, a potem błysk gniewu.

Goście zagraniczni zaczęli składać kolejno pokłony przed cesarzem.

Zgodnie z etykietą Jego Wysokość Bao Dai odpowiedział na setkę pokłonów wyniosłym spojrzeniem, głowę wciąż trzymając prosto i nieruchomo, pomimo ciężaru diademu z dziewięcioma smokami.

Następnie goście zagraniczni rozproszyli się, idąc w stronę monumentalnej bramy pałacu. Pan Cheng szepnął Timowi, że musi opuścić go na kilka chwil. Przyspieszył kroku i zrównał się w Maurice'em Lemaire'em i jego żoną, którzy szli parę metrów przed nimi, i pociągnął administratora za rękaw.

— Maurice, wiedziałem, że będzie mi dane szczęście spotkania ciebie. Skłonił się przed Laurence, która odpowiedziała na to znie-smaczoną miną.

— Pani Lemaire wybaczy, że porwę jej męża na krótką chwilę. Laurence wiedziała, że Timo jest tuż za nią, czuła jego obecność, niemal jego oddech na swoim ramieniu.

— Jesteś piękniejsza niż zwykle. — Zrównawszy się z nią, zaczął od komplementu.

Laurence nie odpowiedziała. Patrzyła przed siebie, na jej twarzy malowały się zimny gniew i determinacja, a serce biło jak oszalałe. Timo położył rękę na jej przedramieniu.

— Dlaczego udajesz, że mnie nie znasz? — spytał. Nie odezwała się.

— Skąd to zachowanie? Rozstaliśmy się miesiąc temu po opuszczeniu pokładu „Mariette-Pacha”, dziś spotykamy się przypadkiem, nie ma w tym niczego zdrożnego — podniósł nieco głos. — W każdym razie dla mnie jest to przypadek szczęśliwy. — Postanowił udawać, że nie wie, o co chodzi.

Laurence wreszcie na niego spojrzała. W kącikach jej oczu błyszczały łzy.

— Mogłam spodziewać się po tobie wszystkiego, beztroski, lekceważenia, a nawet grubiaństwa, ale taka arogancja...

— Nie rozumiem...

— Nie rozumiesz swojego zuchwalstwa?

— Należy mi się chyba jakieś wyjaśnienie — powiedział Timo stanowczo.

— Wychodziłam ze skóry, żeby przekazać ci wiadomość, a ty nawet na nią nie odpowiedziałeś!

— Jaką wiadomość?

— Nie dostałeś żadnego listu?

— Żadnego.

Laurence poddała się. Poczowała zalewającą ją falę szczęścia. Otarła palcem mokre od łez oczy. Czyżby nadszedł kres jej cierpień?

— Mój ukochany, mój najdroższy — szepnęła. Ponieważ Maurice Lemaire i Cheng skończyli rozmawiać i skierowali się w ich stronę, Laurence wyjęła z torebki ciemne okulary. Nie mogła się jednak powstrzymać; zbliżyła się do Tima, musnęła jego rękę końcami palców w koronkowej rękawiczce.

— Przyjdź jutro po południu do Czułego Spojrzenia, na końcu ulicy Pellerin. Będę na ciebie czekała. Już na ciebie czekam.

Pan Cheng był właścicielem samochodu marki Plymouth, najnowszego modelu, który zaledwie rok temu opuścił fabrykę w Detroit. Jako hedonista pod każdym względem, wpływowy Chińczyk, równie szeroki w ramionach, jak krągły w pasie, chętnie oddawał się rozkoszy kierowania samochodem. Za każdym razem, gdy na Drodze Mandaryńskiej z Hue do Sajgonu wysoka karoseria plymoutha podskakiwała na wybojach, pan Cheng wydawał cichy okrzyk radości. Korzystając z zakrętu, poważił się na gest śmielszy niż zazwyczaj.

— Panie Cheng — wykrzyknął Timo — zdaje mi się, że położył pan rękę na moim udzie.

— Czy to aż tak niemiłe? — spytał Chińczyk, zauważając stanowczy wyraz twarzy pasażera. — Doskonale, nie będę nalegał. Świat zmysłów obcy jest Francuzom. Muszę panu powiedzieć, mój drogi Timo, że sztuka kochania we francuskim wydaniu przywodzi na myśl raczej krycie kozy niż anielskie pieszczoty. Natura, obdarzając was okazałych rozmiarów przyrodzeniem, splatała wam tym samym złośliwego psikusa. W rezultacie nie widzicie niczego poza końcem własnej kuśki! Czy wie pan, że azjatyckie kobiety nigdy nie kochają się z białymi dla rozkoszy? Przede wszystkim dlatego, że to monstrualne przyrodzenie, którym tak się chlubicie, napawa je lękiem. Uważają, że gra nie jest warta świeczki. Krótka zabawa,

mało przyjemności, a do tego ryzyko wewnętrznych uszkodzeń. My, Azjaci — Annamici, Khmerzy, Indonezyjczycy — krótko mówiąc, narody o krótkich fiutach, musieliśmy jakoś nadrobić tę ułomność. Tak powstała nauka Tao, nauka Drogi. Szczęście polega na poznaniu mądrości, a mądrość to równowaga... My, ludzie o małych kuśkach, nauczyliśmy się panować nad sobą, przedłużać rozkosz, by dzielić ją z naszymi partnerkami. Wynaleźliśmy tysiące i miliony pieśczoł. Proszę mi wierzyć, Azjatki nie zadowolilyby się pospiesznym seksem, na który skazane są kobiety europejskie.

— Ale te europejskie kobiety, o których pan mówi, drogi panie Cheng, nie wydają się zainteresowane waszą sztuką miłosną.

— Białe kobiety nie znoszą pokonanych. Żadne kobiety nie znoszą pokonanych. Pociągają je zwycięzcy. Nie chodzi tu bynajmniej o prostytutkę. Jest to po prostu wspomnienie czasów, gdy byliśmy jeszcze zwierzętami. Samice wiedzą, że najsilniejsi z samców najlepiej będą bronili małych.

— O ile dobrze rozumiem, panie Cheng, kobieta powinna kochać się ze słabymi, a mieć dzieci z silnymi.

Timo skupił się, jakby nagle przyszła mu do głowy jakaś myśl.

— Trudno mi jednak wyobrazić sobie pana jako pokonanego, panie Cheng. Nawiasem mówiąc, czasem odwiedzają przecież pana Europejki, ciemnowłose, jak mi się zdaje, i dość korpulentne.

— Dobrze się panu zdaje, Timo, bardzo dobrze. Angelica i Graziella bliskie są doskonałości. Każdego dnia dziękuję losowi, że zechciał postawić je na mej drodze. A czy wie pan dlaczego?

— Nie mam pojęcia.

— Ponieważ te dwie wspaniałe osoby dysponują wdziękami, jakich pozbawione są Azjatki. Wielkie piersi, tłuste pośladki, no i futerko, ach jakie futerko... Cud nad cudami! Futro na podbrzuszu białych kobiet. Boskie uczucie, gdy palce zagłębiają się w ten wilgotny gąszcz.

Zapał, z jakim przemawiał pan Cheng, był tak rozbrajający, że Timo postanowił skierować rozmowę na temat, który intrygował go od ceremonii intronizacyjnej cesarza Bao Dai.

— Panie Cheng, jakie stosunki łączą pana z panem Le-maire'em? — zapytał.

— Jakie stosunki? Ależ jak najbardziej przyjazne. Poznałem Maurice'a Lemaire'a trzydzieści lat temu w Kantonie. Był wówczas księgowym w pewnym lionńskim przedsiębiorstwie jedwabnym, pracował w tutejszej jego filii. Ja zaś byłem odpowiedzialny za kupowanie towarów, byłem rzecznikiem i przedstawicielem różnych zagranicznych firm. W tych czasach Maurice nauczył się języka kantońskiego.

— Pan Lemaire mówi po kantońsku? — zdziwił się Timo.

— I to biegle. Dam panu radę, moje dziecko: Maurice Lemaire wygląda na drobnego urzędnika, ale proszę nie dać się zwieść pozorom.

— Nie wiem, czy jest drobnym, ale urzędnikiem jest z pewnością — orzekł Timo. — W łoży zajmował miejsce obok gubernatora Kochinchiny.

— Owszem, można go nazwać urzędnikiem — zgodził się Cheng — ale to tylko kamuflaż. Maurice Lemaire jest szefem służby bezpieczeństwa.

— A więc przełożonym inspektorów Giraudeta i Chama? — Timo aż drgnął ze zdziwienia.

— Giraudet i Cham nagabywali pana na osobiste życzenia Maurice'a Lemaire'a.

— Z jakiego powodu?

— Chodzi o kobietę, mój drogi Timo, ściślej mówiąc, o jego kobietę, o żonę.

— Tak więc wysłuchał pan zwierzeń zazdrosnego męża — westchnął Timo, siląc się na beztroski ton.

— Prostota pańskiego rozumowania mnie zniechęca. Jak również pańska naiwność. Maurice Lemaire, dzięki swemu stanowisku, może zadać panu druzgocący cios. To zresztą dał mi do zrozumienia w imię starej przyjaźni.

— Panie Cheng, powiedzmy to krótko i wyraźnie: pan Lemaire, szef służby bezpieczeństwa, dowiedział się, prawdopodobnie z jakiegoś donosu, że byłem kochankiem jego żony podczas podróży z Francji na pokładzie statku „Marianne-Pacha”.

— Otóż to — potwierdził Chińczyk.

— W związku z tym dziś polecił panu przekazać mi radę, żebym nigdy więcej nie próbował spotykać się z Laurence.

Pan Cheng wybuchnął swoim charakterystycznym wysokim śmiechem.

— Szanowny Timo, brakuje panu podstawowej wiedzy na temat istot ludzkich. Właśnie z tego powodu, z powodu nieznaności duszy ludzkiej, nigdy nie uda wam się zapanować nad światem.

— Nie mam ani cienia ambicji, by panować nad światem, panie Cheng!

— Niech pan nie udaje głupiego, moje dziecko. Mówię o białych w ogóle, którzy nie odznaczają się bystrością umysłu. Nie próbują zastanawiać się nad tym, co myślą ich bliźni. Weźmy Annamitów: biali gardzą nimi, upokarzają ich i ośmieszają, ani przez moment nie biorąc pod uwagę tego, że w ten sposób budzą w ich sercach nienawiść. Z tego właśnie powodu biali są znienawidzeni w całych Indochinach, od Phnom Penh po Hanoi. Dlatego też pewnego dnia będziecie musieli odejść.

— Jeszcze zobaczymy, kiedy przyjdzie co do czego, panie Cheng.

Tymczasem chciałbym wiedzieć, co powiedział o mnie pan Lemaire.

— Ach tak, odszedłem od tematu... A więc, odkąd znam Maurice'a, a jak mówiłem, poznałem go trzydzieści lat temu w Kantonie, jego upodobanie do młodych chłopców nie uległo najmniejszej zmianie. Jest zresztą bardzo wybredny. Potrzeba mu chłopców wysokich i szczupłych. Ja ich dla niego znajduję

i robię to z przyjemnością, wyświadczając mu tym przysługę.

— W jaki sposób dotyczy to mojej osoby? — zapytał Timo oschle.

— W żaden! — Cheng znów zaśmiał się radośnie. — Jednak dzięki tym przysługom mogłem go zapytać, dlaczego kazał swoim sługusom pana nagabywać.

— I co panu odpowiedział?

— Chce, żeby zdał pan sobie sprawę, iż nieostrożnością byłoby nie posłuchać jego rad. Mógłby pan wówczas spodziewać się poważnych przykrości ze strony jego zbirów.

— Ale czego on w końcu chce? Żeby przestał widywać się z jego żoną? Przecież nie spotkałem się z nią od przybycia do Sajgonu...

— To właśnie panu zarzuca.

Timo chciał już wreszcie zakończyć tę rozmowę.

— Panie Cheng, zechce mi pan to wszystko wyjaśnić?

— To przecież proste. Jak już tłumaczyłem, Maurice Lemaire interesuje się przede wszystkim młodymi Azjatami, zwłaszcza Chińczykami, a szczególnie kantończykami. Z erotycznego punktu widzenia kobiety go nie pociągają. Nie żywi jednak niechęci do swej żony, przeciwnie — lubi ją, rozumie pan, jak siostrę. Chciałby też, żeby była szczęśliwa. Poza tym atmosfera panująca w domu zależy od dobrego humoru jego żony. Czy to jasne? Tymczasem od opuszczenia pokładu „Marianne-Pacha” Laurence nie jest szczęśliwa. Jest nawet bardzo nieszczęśliwa. Nic nie mówi, nie śpi, nie je, pali papierosa za papierosem, zaniedbuje swoją powieść... Krótko mówiąc, Laurence jest zakochana. A w kim jest zakochana? Zakochana jest w pewnym młodym człowieku, który przypomina pana niczym brat bliźniak.

— I cóż?

— Jak to „i cóż?”. W tej sytuacji Maurice Lemaire prosi, by zechciał pan znów spotkać się z Laurence, kochać się z nią i sprawić, by wierzyła, że uwielbia japańskie sztuki... Co ja mówię? Chodzi o to, żeby ją uszczęśliwić!

— Świat na opak! — zaśmiał się Timo z niedowierzaniem.

— A czy może pan mi powiedzieć, pod jakim względem świat nie jest wywrócony na opak?

Plymouth wjechał do Sajgonu szeroką ulicą wysadzoną tamaryndowcami, wiodącą wzdłuż toru wyścigowego. Była siódma wieczorem i nad stolicą Kochinchiny zapadła noc. Aleja Chasseloup-Laubat rozświetlona była rozproszonym blaskiem ulicznych latarni, z bulwaru Charner i tamtejszych lokali dobiegały dźwięki „filipińskich” orkiestr. Gdy mieli wjechać w ulicę Catinat, czerwieniącą się od świateł palarni opium, Cheng wskazał Timowi scenkę rozgrywającą się przed wejściem do bistro o nazwie Krwiopijca.

— Czyż można sobie wyobrazić piękniejszy widok po zachodzie słońca?
— spytał Cheng.

Do samochodu marki Delahaye wsiadały dwie ciemnowłose kobiety o wydatnych biustach i szerokich biodrach wciśniętych w opięte suknie.

— Angelica i Graziella dają dziś wieczorem przedstawienie — oznajmił Cheng. — Odwołam się do mojej pamięci i przytoczę słowa mędrca: „To, co najpiękniejsze na tym świecie, jest zawsze w zasięgu ręki”.

Rozdział 13

Kochinchina drzemała w niezmiennej pogodzie. Mijały kolejne dni i miesiące pod nieskazitelnie błękitnym niebem, przy dźwięku wentylatorów.

Od czerwca do października trwała pora monsunowa i wówczas nieruchomy lazur zasnuwały chmury. Niewybrukowane ulice Sajgonu zalewały nagłe przypiływy. Popołudniami niebo nad Białym Miastem ciemniało i spadały z niego ciężkie krople ulewy. Ulicami płynęły strumienie i właściciele rikszy podwijali spodnie do kolan, a na ich kapeluszach z palmowych liści połyskiwały kropelki wody.

Francja była daleko, bardzo daleko i czytając listy od Hansa, które odbierał z poste restante, Timo miał wrażenie, że coraz bardziej się oddala. List, który przyszedł w czerwcu 1937 roku był dziesiąty z kolei. Timo mieszkał wówczas w Szolonie już od roku i wydawało mu się, że błogie leniwe dni ciągnąć się będą w nieskończoność.

Jednak słowa Hansa ożywiły wspomnienia i otworzyły rany, przepełniając Tima głębokim smutkiem.

Drogi Timo z Sebasto,

Droga nie jest zbyt stroma, ale wydala mi się bardzo długa. Mówię o drodze wiodącej z dzielnicy Hal naszego dzieciństwa i kończącej się na cmentarzu Pere-Lachaise.

Wczoraj Ted Rooster został odprowadzony na miejsce wiecznego spoczynku, w towarzystwie bardzo skromnego konduktu. Gdybym nie zmobilizował mojego wuja i ciotki oraz właściciela kabaretu Czerwony Osioł wraz z pewnym iluzjonistą, znalazłbym się w nim sam, nie licząc koni ciągnących karawan i woźnicy. Wiem, że ta wiadomość będzie dla Ciebie przykra. Stary Ted był Twoim mistrzem, nauczył Cię wszystkiego, powierzył Ci tajniki swojej sztuki. Uważał, że postąpił słusznie i że potrafiłeś rozwinąć i udoskonalić jego popisowe numery. Nasz drogi Edward Rooster śpi więc snem wiecznym w wielkim ogrodzie, tam daleko, jak śpiewała Liii, ta ładna ruda, którą może jeszcze pamiętasz, a która pyta o Ciebie za każdym razem, gdy się spotykamy. Rooster został pochowany niedaleko grobu Twojej Matki. Złożyłem na nim bukiet kwiatów.

Czy kiedyś wrócisz do Paryża? Musisz wiedzieć, że dwa tygodnie temu odbyło się posiedzenie sądu, zostałeś uznany za winnego zabójstwa Joncaille 'a i skazano Cię zaocznie na śmierć. W tej właśnie sprawie mam dla Ciebie zadziwiające wiadomości.

Wciągu miesiąca, który upłynął od mojego ostatniego listu, zmieniło się to i owo. Porzuciłem kabaret, ponieważ zupełnie nie mam talentu w tej dziedzinie, mogę najwyżej pełnić rolę pomocnika artysty, wiedziałem więc, że w tym zawodzie nie ma dla mnie przyszłości. Podczas partii pokera przypadkiem poznałem dyrektora pewnej gazety. Nie jestem „manipulatorem”, jednak dzięki silnemu instynktowi samozachowawczemu stałem się niezłym graczem. Człowiek ten zaproponował mi wymianę swojego karcianego długu na posadę w jego dzienniku. Mieli wakat na stanowisku dziennikarza, więc się zgodziłem. Pełniąc obowiązki zawodowe, udałem się tydzień temu na kongres Ruchu Byłych Kombatantów, bohaterów wojennych, czyli stowarzyszenia, którego przewodniczącym jest nie kto inny jak Maxence Ruffaud. Pod pretekstem wywiadu z liderem tego ruchu znalazłem się twarzą w twarz z Twoim przyrodnim bratem. W jego gabinecie na Avenue Foch byliśmy tylko my dwaj. Poszedłem tam z bardzo złymi zamiarami — wsunąłem do kieszeni płaszcza mojego browninga. Nie dbałem o konsekwencje tego czynu, byłem zdecydowany wymierzyć sprawiedliwość.

Maxence Ruffaud to mężczyzna trzydziestodwuletni (jest o dziesięć lat starszy od Ciebie), choć okazała łysina znacznie go postarza. Okrągłe okulary sprawiają, że wygląda na tego, kim jest, czyli na intelektualistę. Unika ostentacji w ubiorze, nosi grafitowy garnitur, koszulę ze złamanym kołnierzykiem, jedwabny krawat i kamizelkę. Zadziwiła mnie żywość jego spojrzenia. Jeśli zaś chodzi o przebieg spotkania, był on więcej niż zaskakujący.

Od razu wyjąłem z kieszeni rewolwer. Maxence Ruffaud ani drgnął. W jego oczach nie było lęku. „Przyszedł pan mnie zabić, stwierdził. Czy z własnej inicjatywy? Jeśli nie, kto pana przysłał? Tak czy inaczej, zechce mi pan podać przyczyny tego zabójstwa”.

Opowiedziałem mu o Tobie i wtedy wyraźnie się zmieszał. Powiedział, że chce się wytłumaczyć, a więc go wysłuchałem. Usłyszałem, co następuje: „Kto odniósł korzyść ze śmierci pasera imieniem Joncaille? Ja? Nie przypuszczam. Oczywiście może mi pan nie wierzyć. Tym niemniej w żadnym stopniu, ani większym, ani mniejszym, nie odpowiadam za morderstwo, z którego przyczyny Timolcon Auber został skazany na śmierć. Nie ulega wątpliwości, że dokonano tu jakiejś machinacji. Wbrew temu, co pan sobie wyobraża, odczułem głęboki smutek, kiedy dowiedziałem się z prasy, że uznano mojego przyrodniego brata za winnego. I znów nie mogę pana zmusić, żeby mi pan wierzył, ale to przecież mój przyrodni brat... Tak bardzo chciałbym go poznać! ”.

Zapytałem go, co ma na myśli, mówiąc „ machinacja ”. Wytłumaczył mi.
„ Tak, dokonano machinacji. Pana przyjaciela padł ofiarą niecnego spisku. Kto za tym stoi? Tego nie wiem ”.

„ Jest pan przewodniczącym skrajnie prawicowej partii, która ma sekretne powiązania z policją. Z pewnością jest pan dobrze poinformowany ”.

„ Nie przeceniając roli powiązań, o których pan mówi, rzeczywiście jestem dość dobrze poinformowany. Dowiedziałem się, że ktoś knuje zbrodnię w celu skompromitowania mojego brata”. Tutaj poprawił się:
„ mojego przyrodniego brata”.

„ Chce mi pan zamydlić oczy? To pan skorzystał na całej sprawie, zgarnął pan cały spadek Tima ”.

„ Pieniądze przypadające mojemu przyrodniemu bratu stanowią ledwie setną część mojego osobistego majątku ”, powiedział, wzruszając ramionami.

„ A więc wiedział pan, ale nie zrobił pan niczego, żeby zapobiec zbrodni? Nie ostrzegł pan Tima? ”.

„ Poleciałem przekazać ostrzeżenie Tedowi Roosterowi”. „ A więc twierdzi pan, że nie jest pan winny zabójstwa tego pasera i przypisania owej zbrodni Timowi? ”.

„ Słowo honoru, nie mam nic wspólnego z tą sprawą, odpowiedział spokojnie i tonem tak stanowczym, że trudno mu było nie uwierzyć. Nie wiem, gdzie w tej chwili znajduje się mój przyrodni brat i nie próbuję się tego dowiedzieć. Pan zapewne jest lepiej poinformowany. Proszę mu przekazać, że nie jestem w żaden sposób odpowiedzialny za spisek, którego padł ofiarą ”.

Widać było, że mówi szczerze, i poczułem się głupio z rewolwerem w ręku. Zapropozował mi szklaneczkę sherry, przyjąłem poczęstunek.

Rozmawialiśmy przez prawie godzinę. W dalszym ciągu listu znajdziesz streszczenie. Najpierw Maxence Ruffaud oświadczył mi, że podjął wszelkie możliwe działania, by doprowadzić do

kasacji oskarżenia. Pewien zdumiewająco dobrze poinformowany reporter z „Paris-Soir” ujawnił fakty kompromitujące komisarza Mahuziera, który prowadził śledztwo i zgromadził dowody przeciwko Tobie. Jakim cudem zwykły reporter uzyskał dostęp do poufnych raportów komisji dyscyplinarnej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych? Krótko mówiąc, pomimo tych usiłowań Twój przyrodni brat nie zdołał doprowadzić do umorzenia sprawy. Skądinąd wszystko wskazuje na to, że jakieś potężne siły sprzysięgły się przeciwko Tobie. Za czyją sprawą? Kilku dziennikarzy stworzyło bardzo niekorzystny wizerunek Twojej osoby, jako karcianego oszusta i rozpustnika. Wygląda na to, że w Ministerstwie Sprawiedliwości „cieszyłeś się” szczególnym zainteresowaniem. Kto kryje się za tymi posunięciami? Kto odniósł korzyść z tej zbrodni? Polityczni przeciwnicy Twojego przyrodniego brata w końcu zorientują się, że to jemu przypadnie należny ci spadek, a to przedstawi go w nader niekorzystnym świetle.

Oto więc wielka nowina: Maxence Ruffaud chce Cię odnaleźć i przekazać Ci Twoją część spadku, by uwolnić się od podejrzenia, że to on czerpie korzyści z czyichś niecnym postępów. Jesteś więc bogaty, Timo, bardzo bogaty. Trzydzieści milionów franków w złocie! Nawet gdybyś oskubał w pokera wszystkich Chińczyków z Szolonu, a nawet całej Azji, nie zgromadziłbyś takiej fortuny. Trzydzieści milionów franków w złocie! Na koniec muszę powiadomić Cię o fakcie, który pogrążył mnie w głębokim smutku. Wiem, że to będzie dla Ciebie wstrząs. Maxence Ruffaud twierdzi z całym przekonaniem, że śmierć Twojej Matki najprawdopodobniej nie była przypadkowa. Żeby wyrazić się jasno: Twoja Matka nie padła ofiarą nieostrożnego kierowcy. Utajnione śledztwo wykazało, że samochód marki Bugatti, który ją potracił, czekał już od godziny na jej wyjście z domu.

Samochód ten od kilku dni krążył po okolicy. Szofer, który potrącił Twoją Matkę, nie był złym kierowcą. Był mordercą. Pamiętaj, że myślami wciąż jestem z Tobą.

Twój przyjaciel

Hans

Pod spodem widniało postscriptum napisane innym kolorem atramentu. Drogi Timo z Sebasto, dobrze się stało, że zwlekałem prawie tydzień z wysłaniem tego listu. Wczoraj Maxence Ruffaud skontaktował się ze mną i udałem się do siedziby jego partii, Partii Bohaterów i Byłych Kombatantów. Budynek usytuowany przy jednym z Wielkich Bulwarów jest strzeżony niczym forteca. Tym razem przeprowadziłem z nim prawdziwy wywiad. Maxence skomentował bieżące wydarzenia, czyli politykę kanclerza Hitlera w Niemczech. Podzielałem przekonania Twojego brata, najinteligentniejszego i najlepiej wykształconego człowieka, jakiego dane mi było spotkać. Tak jak on uważam, że trzeba oczyścić stajnię augiaszową tej żalosnej demokracji i że kanclerz Hitler jest nadzieją Europy. Słuchając Maxence'a, podziwiałem jego zaangażowanie i erudycję, myślałem sobie, że masz szczęście, iż do Twojej rodziny należy tak wybitna osobistość. Po zakończeniu wywiadu przewodniczący Ruffaud powrócił do sprawy, w której Ty zostałeś poszkodowany. Raz jeszcze polecił przekazać Ci, że byłby szczęśliwy, mogąc Cię poznać (ponieważ podobnie jak on, jesteś synem jego ojca Celestina). Spotkanie to pozwoliłoby mu przekazać Ci trzydzieści milionów franków, będących Twoim spadkiem.

I oto dobra nowina, którą chciałem dodać do mojego listu: Maxence postanowił wybrać się do Sajgonu. Chce zapoznać się z bliska z sytuacją polityczną w Azji — tutaj

wiele się mówi o możliwym wybuchu wojny między Chińczykami i Japończykami. Zajmie się także sprawami dotyczącymi plantacji kauczukowca należącej do grupy Ruffaud, a znajdującej się w Transbassac, w pobliżu Sajgonu. Nie dopatrywałbym się w tym zrządzenia losu, ale sądzę, że to szczęśliwy zbieg okoliczności. Odpowiedz mi odwrotną pocztą, czy zgadzasz się, bym powiadomił go o Twojej obecności w Sajgonie i podał mu miejsce, w którym możecie się spotkać. Raz jeszcze zapewniam Cię, że gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości co do uczciwych zamiarów Twojego przybranego brata, z pewnością bym Cię ostrzegł. Nie musisz się obawiać. Maxence jest przesiąknięty ideałami głoszonymi przez Charles 'a Maurrasa i przywiązuje zbyt wielkie znaczenie do świętej wartości, jaką jest honor, by zechcieć zwabić Cię w tak podłą zasadzkę.

Czy to pułapka zastawiona przez jego przyrodniego brata przy mimowolnym współudziale Hansa? Z początku na pytanie, od którego przecież zależało jego życie, Timo odpowiedział twierdząco. Z czasem jednak jego myśli znów dostroiły się do leniwego życia Sajgonu i nieufność zaczęła ustępować. Po upływie tygodnia z lekkim sercem, a nawet nie bez przyływów euforii, postanowił wejść w posiadanie swego spadku i zgarnąć owe trzydzieści milionów. Napisał więc do swojego przyjaciela Hansa, że będzie szczęśliwy, mogąc poznać swego przyrodniego brata i że wyznacza mu spotkanie w barze hotelu Continental codziennie, począwszy od piętnastego maja o zmroku, w celu uregulowania sprawy sukcesji po ich ojcu Celestinie.

Timo napisał, że leży mu na sercu „spełnienie ostatniej woli ojca”. Jednak w głowie słyszał kpiący głos, który szeptem mówił mu, że nie ma co się oszukiwać i że jedynym motywem jego działania jest chciwość. Bo tak naprawdę, po co mu taka góra złota? Czyż żywot, jaki wie dzie, nie jest rozkoszny?

Timo z chęcią przyznawał, że życie w Szolonie jest niezwykle

przyjemne. Jego praca nie polegała już na grze w pokera na rachunek pana Chenga. Zyskał reputację niepokonanego, odstraszał tym samym oszustów i amatorów zakładów. Powrócił więc do fachu iluzjonisty. Jego pokaz odbywał się około północy w chińskim teatrze w Szolonie, tuż po przedstawieniu kukielkowym, w którym pokazywano walki maleńkich ludzi z wielkimi demonami, potem zaś wystawiano tradycyjne sztuki teatralne. Miejsce było hałaśliwe i zatłoczone. Kiedy wyciągał spod kamizelki pierwszego gołębia, zapadała cisza. Gdy turkawka wylatywała spod jego płaszcza, widzowie otwierali szeroko oczy ze zdumienia. Występ kończył się triumfalnie numerem, podczas którego odgrywał kieszonkowca. Publiczność, złożona z prostych robotników i szłońskich kupców śmiała się do rozpuku. Widzowie padali sobie w objęcia, z radości klepali się otwartymi dłońmi po udach. Artysta wybierał starannie swoją ofiarę spośród najgrubszych Chińczyków. Jakież to szczęście móc choćby raz zobaczyć, jak bogacz traci swoją własność.

Po przedstawieniu Timo wracał do domu, gdzie czekały już na niego dwie młodzieńki dziewczyny, które poznał w teatrze. Śpiewały tam w przerwach między numerami tradycyjne yunnańskie piosenki. Sua-Tsu i Yu-Ninh oddawały się wraz z nim wymyślnym zmysłowemu grom i choć były młodsze od kochanka, uważały go za dość niezdarne. Timo zaczynał pojmować, że *k'in*, czyli akt miłosny, przede wszystkim musi być pełen radości. Zdarzało się zresztą, że dziewczęta śmiały się do łez, widząc, jak nieudolnie usiłuje przyjąć którąś z najprostszych pozycji, takich jak „niezmienne przywiązanie”, „odkryte uszy” czy „Jednoróżec”. Laurence tymczasem wprawiała w zdumienie łatwość, z jaką jej kochanek wynajdywał tak wymyślne sposoby uprawiania miłości. „Pożądanie do ciebie pobudza moją wyobraźnię”, odpowiadał Timo.

Zrezygnowali z niezbyt dyskretnego miejsca, jakim było Czułe Spojrzenie i spotykali się teraz każdego popołudnia w garsonierze na ulicy Lorner niedaleko chińskiego Arroyo. Co miała na myśli Laurence, mówiąc, że to miejsce „har-

monizuje z ich miłością"? Timo nie mógł tam dostrzec niczego poza domem przypominającym pagodę, otoczonym ogrodem porośniętym bambusami, palmami bananowymi i kwiatami lotosu. Pokoje zagracone były najrozmaitszego rodzaju obiektami sztuki indochińskiej, na wnętrzu wyraźnie odcisnęła piętno osobowość pierwszego lokatora, oficera marynarki, który miał trochę nierówno pod sufitem i nazywał się Pierre Loti.

Laurence zbliżała się do czterdziestki i jej uroda była w rozkwicie. Nawet nie domyślała się, że to własnemu mężowi zawdzięcza szczęście, jakie znalazła w ramionach kochanka. Jej życie ułożyło się, uporządkowało i żeglowała przez nie szczęśliwie. Kilka razy w tygodniu Timo składał wizytę Yen-fu. Młody Chińczyk nie mieszkał w siedzibie pana Chenga, dzięki czemu nie ograniczał swobody ojca i zarazem unikał kłopotliwych sytuacji. Mieszkał sam w domu położonym w sercu Szolonu, niedaleko chińskiego teatru, w którym występował Timo. Udawał się tam od czasu do czasu w lektycie niesionej przez czterech kulisów.

Timo nie chciał przyjąć ani grosza za lekcje „kultury Francji”. W gruncie rzeczy były to konwersacje na wszelkie możliwe tematy, dzięki którym młody Chińczyk doskonalił swój francuski. Żeby Yen-fu nie czuł się skrepowany, przyjął oferowane mu w zamian lekcje chińskiego.

Syn pana Chenga bardzo szybko stwierdził, że jego francuski przyjaciel czyni postępy w nauce niebiańskiego języka. Bardzo szybko opanował chińskie znaki. Budowanie słów, a potem zdań, nie sprawiało Timowi żadnych trudności. Natomiast wymowa okazała się przeszkodą nie do pokonania. Yen-fu raz jeszcze wrócił do tego tematu.

— Każde chińskie słowo ma cztery tony — wyjaśnił. — Wymowa zmienia się wraz z tonem. Na ogół po pierwszym tonie następuje inny. Sylaba w tonie trzecim, po której następuje sylaba w tymże tonie, zatracą swą część wznoszącą. To przecież proste!

— Dziecinnie proste — potwierdził Timo, zaskoczony.

— Chcemy na przykład powiedzieć „Słońce przebija się przez chmury”. Powiemy więc: *Zhenzuo quing tang*. Powtórz:

— *Zhenzuo quing tang*. Yen-fu wybuchnął śmiechem.

— Timo, w ogóle nie zwracasz uwagi na tony!

— Przecież powiedziałem dokładnie to samo co ty.

— Wcale nie! Powiedziałeś: „jujuba świeci w górach”! Timo otworzył szeroko oczy ze zdumienia, a Yen-fu nie mógł przestać się śmiać. Jak zwykle jego śmiech przerodził się w kaszel i napad duszności. Słońce nie prześwitywało już przez chmury i jujuba także nie świeciła w górach. Choroba czyniła postępy z każdym dniem. Na początku lipca 1937 roku, kilka dni po tym, jak Timo odpowiedział na list Hansa, wyrażając zgodę na spotkanie z Maxence'em, Laurence powiadomiła kochanka, że wybiera się na wycieczkę w górę Mekongu śladem Thy Ay, bohaterki swojej nowej powieści, na pokładzie parowca „Battambang”, należącego do rzeczniczego przedsiębiorstwa przewozowego. Miała zamiar spędzić jakiś czas w Phnom Penh, a potem w Wientianie, gdzie nieszczęsna Thy Ay była przez pewien okres konkubina i niewolnicą wietnamskiego administratora *Résidence Generale Française*.

— Nie będzie mnie przez trzy miesiące. Czy będziesz mi wierny? Przytuliła się do Tima.

— W moim życiu nic się nie zmieni, przysięgam ci — zapewnił, unosząc lewą dłoń. — Przysięgam na wszystkie świętości...

Rozdział 14

Gubernator Heuzie dostrzegł niepokój na twarzy administratora Lemaire'a. Patrzył ze zdziwieniem, jak siadając w jednym ze skórzanych foteli w jego gabinecie, administrator stuka nerwowo palcami w teczkę trzymaną na kolanach.

— Co pana trapi, panie administratorze? — spytał Heuzie.

— Powód wezwania mnie przez pana, panie gubernatorze, oto przyczyna mojego niepokoj. Zaledwie dwa dni temu w tym samym miejscu dokonaliśmy podsumowania sytuacji politycznej i rozwoju tendencji antyfrancuskich w Indochinach. Poinformowałem pana, że nacjonaści podłożyli bombę na targowisku i że spiskujący komuniści są coraz bardziej aktywni. Tak więc pańskie dzisiejsze wezwanie jest z pewnością natury prywatnej.

— Tak pan sądzi? — Zaskoczony konkluzją podwładnego, gubernator Heuzie wyprostował się z godnością.

— Mówiąc jaśniej — ciągnął Lemaire — obawiam się, że coś przydarzyło się mojej żonie. Laurence odbywa w tej chwili podróż w górę Mekongu.

— Nie otrzymałem żadnej takiej informacji. Prosiłem pana o przybycie, panie administratorze, w sprawie, która nie ma żadnego związku z panią Lemaire.

Gubernator sięgnął po kartonową aktówkę i wyciągnął z niej kartkę.

— Powiadomiono mnie o obecności w Sajgonie człowieka ściganego przez prawo. Podaje się za Timothéego Lamy'ego, alias Timo.

Lemaire zachował kamienną twarz, ale był poważnie zaniepokojony.

— Dwaj moi inspektorzy sprawdzili jego dokumenty — powiedział. — Wydawały się w porządku.

— Jeżeli mój korespondent dysponuje dobrymi informacjami — podjął Heuzié — nasz człowiek naprawdę nazywa się Timoléon Auber, urodzony w Paryżu w roku tysiąc dziewięćset szesnastym. Został zaocznie skazany na śmierć za zabójstwo.

— Inspektorzy Cham i Giraudet nie odnieśli wrażenia, że przesłuchują kogoś tak niebezpiecznego — zapewnił administrator. — Jeśli dobrze pamiętam ich raport, ten cały Timo jest młodzieńcem w wieku około dwudziestu lat, z dobrego domu. Trudno go sobie wyobrazić w roli mordercy.

— Niemniej prawo wymaga od nas, byśmy zajęli się jego osobą — stwierdził Heuzié tonem, w którym zaczęła pobrzmiwać irytacja. — Zechce pan się tym zająć, panie administratorze.

— Będę potrzebował nakazu aresztowania — powiedział Lemaire. Gubernator Heuzié nie spodziewał się, że jego podwładny nagle zacznie tak skrupulatnie przestrzegać procedur.

— Dostanie go pan od prokuratora Sajgonu jeszcze dziś po południu. Każe pan zatrzymać tego człowieka, i to jak najprędzej. Jeśli zatrzymanie odbędzie się przed godziną osiemnastą, jutro rano zostanie postawiony przed sądem doraźnym i pojutrze wejdzie na pokład „Félix-Roussel”. Lemaire uniósł wysoko brwi.

— „Félix-Roussel”... — powtórzył. — Chce pan wysłać tego młodego człowieka do obozu na Poulo Condore?

— Nie ja tego chcę, lecz prawo.

Gubernator Heuzié położył list na stole, w otwartej teczce.

Jego twarde i zarazem zdziwione spojrzenie spoczęło na współ-pracowniku.

— Przyznam, że nie pojmuję pańskiego braku gorliwości, panie administratorze. Skazany na śmierć próbuje umknąć wymiarowi sprawiedliwości, a prawo stawia nas wobec obowiązku zatrzymania go. Czy się to panu podoba, czy nie, Sajgon jest terytorium francuskim.

— Panie gubernatorze — wtrącił Lemaire, okazując nieco większe przejęcie, niżby wypadało — czy mógłbym poznać nazwisko informatora, to znaczy donosiciela?

Postawa Lemaire'a coraz bardziej dziwiła gubernatora Heu-ziego. Wzruszył ramionami.

— To anonim. W zasadzie tego typu przesyłki zwykle kierowane są do pana. Tym razem jednak ktoś zadał sobie trud i napisał do mnie.

Gubernator kłamał. Lemaire miał zbyt dobrego nosa, żeby dać się oszukać. Był pewien, że Heuzie zna nazwisko nadawcy. W przeciwnym razie zadowoliliby się przekazaniem mu donosu drogą administracyjną i nawet by go nie przeczytał. Kto więc mógł być denuncjatorem? Jakaś persona tak wpływała, że wysoko postawiony urzędnik, a mianowicie generalny gubernator Kochinchiny, zajął się sprawą osobiście.

— Panie gubernatorze, jest jedenasta rano — zwrócił uwagę Lemaire — mogę nie zdążyć dokonać aresztowania, którego pan się domaga, przed godziną osiemnastą.

— Przecież mówił pan, że już go przesłuchiowano. Domyślam się więc, że zanotowano jego adres.

— Powiedział, że mieszka w Szolonie, a to niezbyt precyzyjne określenie.

— Mógłbym domagać się, żeby uruchomił pan swoich informatorów w Szolonie, ale mam lepszy pomysł. Niech pan zastawi swoje sieci o siedemnastej koło hotelu Continental. Nasz ptaszek z pewnością się tam pojawi.

Heuzie wstał. Spotkanie dobiegło końca.

— Jednakowoż jestem ciekaw, panie gubernatorze, skąd

nasz informator ma tak wyczerpujące informacje — nalegał Lemaire.
— Jeśli o to chodzi, wiem nie więcej niż pan, panie administratorze.
Lemaire wrócił do swojego gabinetu. Pan Thau spostrzegł jego zaniepokojenie i spytał o przyczynę.

— Kłopoty rodzinne — wyjaśnił Lemaire i dodał: — Panie Thau, wezwie pan tutaj na piętnastą inspektorów Chama i Giraudeta.
Pan Thau opuścił gabinet, skłoniwszy się z szacunkiem.

„Kłopoty rodzinne...”. Lemaire odruchowo użył tego sformułowania, ale choć było pewnym uproszczeniem, oddawało istotę sprawy. Jego żona bardzo to przeżyje. Jak zniesie wieść o tym, że jej ukochany wylądował w obozie na Poulo Condore? Maurice Lemaire wolał o tym nie myśleć. Nie chodziło zresztą teraz o myślenie, lecz o działanie. Najlepiej byłoby zaaranżować ucieczkę tego Tima. Przypomniawszy sobie, że młody kochanek jego żony jest iluzjonistą. „Nie czas teraz na znikanie gołąbków i białych myszy. To pan musi zniknąć”.

Lemaire opracował plan działania: należało jak najprędzej odnaleźć Tima, w miarę możliwości przed piętnastą, kiedy to miał przekazać rekwizycję sądową Chamowi i Giraudetowi. Musi koniecznie przeszkodzić młodemu człowiekowi w udaniu się do Continentalu o siedemnastej.

Siedząc za kierownicą swojego packarda, Lemaire przez dwie godziny krążył ulicami Sajgonu w nadziei, że znajdzie Tima, nim zrobią to inspektorzy. Kilka minut przed siedemnastą zatrzymał samochód przy chodniku na ulicy Catinat. W lusterku zobaczył idącego młodzieńca — smukłą sylwetkę w cieniu tamaryndowców.

Podniósł oczy. Cham i Giraudet szli z naprzeciwka, ubrani w szare garnitury i białe getry. Cham pierwszy zauważył Tima. Trącił kolegę łokciem i obaj mężczyźni przyspieszyli kroku.

Mijając Lemaire'a, skinęli dyskretnie głowami w jego stronę. Administrator zobaczył, jak rzucają się na Tima i powalają go na ziemię. Usłyszał krzyk bólu i gniewu. Uruchomił silnik limuzyny i wrzucił pierwszy bieg. Zatrzymał się na skrzyżowaniu przy hotelu Continental, gdy policjant kierujący ruchem uniósł do góry białą pałkę. Znow spjrzał w lusterko: daleko na chodniku przy ulicy Catinat zebrała się grupka gapiów. Przez otwarte okna packarda dochodził zgiełk głosów i krzyki. Wydawało mu się, że usłyszał coś jakby „Ruffaud! Zdradziłeś mnie, zabiję cię!”.

Sesja trybunału w Sajgonie ciągnęła się w nieskończoność. Zaczęła się właśnie pora deszczowa, powietrze było ciężkie, pół tuzina wentylatorów starało się oczyścić atmosferę gęstą od zbrodni z niskich pobudek i bezlitosnych wyroków.

Młody mężczyzna rasy białej, o czarnych włosach i jasnoniebieskich oczach, został wprowadzony przez dwóch żandarmów do boksu dla oskarżonych. Zapadła cisza.

Timo był blady ze zmęczenia, ubranie miał podarte, ale emanowała z niego siła i nieugiętość. Trzej sędziowie, dwaj Europejczycy i jeden Indochińczyk, wpatrywali się w leżące przed nimi dokumenty.

Przewodniczący Huleux, o wychudzonej, pożółkłej twarzy i zmęczonym spojrzeniu, podniósł wreszcie głowę.

— Oskarżony Timoleon Auber...

Sześćdziesięcioletni adwokat o orlim profilu i siwych włosach wstał. Szybkim ruchem podciągnął rękaw togi.

— Panie przewodniczący — powiedział tubalnym głosem — mój klient zaprzecza, jakoby tak się nazywał.

— Nazywam się Timothee Lamy, panie przewodniczący — dodał Timo stanowczo.

— W rzeczy samej, mecenasie Cremazi, to właśnie jest przedmiotem obrad sądu — odparł przewodniczący.

Poirytowany faktem, że sędzia zwrócił się do jego adwokata, a nie do niego samego, Timo powtórzył:

— Nazywam się Timothee Lamy, co potwierdzają moje dokumenty.
— Będzie pan mówił, kiedy udzielię panu głosu — uciął przewodniczący.
— Mam tu raport inspektorów Chama i Gi-raudeta, którzy aresztowali pana wczoraj późnym popołudniem. Wynika z niego, iż pana paszport został sfalszowany.

Timo nie odpowiedział, tylko patrzył przewodniczącemu prosto w oczy.

— Co pan ma na swoją obronę? — spytał sędzia.

— Chciałbym wiedzieć, panie przewodniczący — Timo mówił głośno i wyraźnie — dlaczego ci sami inspektorzy, podczas przesłuchania w lokalu należącym do służby bezpieczeństwa, stwierdzili, że nie mają zastrzeżeń do moich dokumentów.

— Nie stwierdzili niczego podobnego — odpowiedział przewodniczący, wciąż tym samym obojętnym tonem.

— W takim razie, dlaczego pozwolili mi odejść? Przewodniczący wzruszył ramionami, jakby odpowiedź była oczywista.

— Nie mieli wówczas pewności. Zgodnie z prawem Republiki, wątpliwość świadczy na korzyść oskarżonego. Tym razem jednak oskarżenie dysponuje przekonującymi informacjami na temat pana prawdziwej tożsamości.

Maurice Lemaire, siedzący za filarem w głębi sali, wyteżzał słuch, by nie uronić ani słowa. Kiedy usłyszał ostatnie zdanie wypowiedziane przez przewodniczącego, zdumiał się. Jakimi nowymi dowodami może dysponować sąd? Sam wiedział najlepiej, że to on wydał polecenie swoim podwładnym, by dokonali aresztowania, a następnie przekazali podejrzanego sędziemu śledczemu. Nie było wówczas żadnych nowych dowodów.

— Panie przewodniczący, wnoszę sprzeciw! — zagrzemiał adwokat. — Powołuje się pan na dowody, które nie są znane obronie. Domagam się odroczenia sesji.

Słowa mecenasa Cremaziego, najlepszego adwokata w Sajgonie — z którym Lemaire skontaktował się osobiście i któremu zapłacił za pełnienie roli obrońcy Tima — nie odniosły żadnego skutku.

Administrator doszedł do wniosku, że sprawa jest z góry przesądzona. Stwierdził, że nie ma pojęcia, kto w tej całej historii pociąga za sznurki.

— Nie traćmy czasu — podjął sędzia. — Informujemy obronę, że ze zdjęcia wynika, iż Auber i Lamy to jedna i ta sama osoba. Odciski palców pana klienta pokrywają się z odciskami Timoleona Aubera.

— Ależ co pan opowiada? — zaprotestował gwałtownie mecenas Cremazi. — W aktach oskarżenia nie figurują takie dowody. Nie ma w nich zresztą żadnych dowodów, są tylko same uchybienia proceduralne. Będziemy domagali się kasacji.

— Zrobi pan, co uzna za stosowne — skwitował przewodniczący. — Tymczasem zatrzymany Timoleon Auber czy też Timothee Lamy, jak pan woli, zostanie umieszczony w zakładzie penitencjarnym na archipelagu Poulo Condore.

Timo skulił się. Znów usłyszał głos przewodniczącego:

— Timoleonie Auber, od tej chwili znajduje się pan w rękach zarządu penitencjarnego na czas nieokreślony. Będzie pan czekał, aż pańska sprawa wejdzie na wokandę. Wprowadzić następnego zatrzymanego. Maurice Lemaire nie udał się do swojego gabinetu w pałacu Norodom. Zapadał już zmrok. W jego siedzibie na płaskowyżu nocne owady rozpoczęły swój koncert, a żaby kumkały, przekazując sygnały z sadzawki do sadzawki, z ogrodu do ogrodu.

Saho prasowała bieliznę Laurence w wielkim salonie zalanym różowawym światłem. Uśmiechnęła się do wchodzącego administratora, lecz po chwili na jej twarzy pojawił się niepokój.

— Skąd to zatroskanie? — spytała. — Czyżby coś się stało pani Laurence?

— W pewnym sensie — odpowiedział Lemaire. — Wydarzyło się coś, co bardzo ją zrani.

Saho natychmiast zrozumiała.

— A więc coś się stało panu Timowi?

Lemaire wpierw udał, że słowa młodej Annamitki go dziwią, ale przecież co go to obchodzi, że Saho wie o romansie Laurence i o jego przyzwoleniu na ten związek? Czas działać, a nie utrzymywać pozory.

— Zgadłaś, Saho — przyznał.

— Jakaś inna kobieta?

Tym razem Lemaire nie krył irytacji.

— Każdy ma prawo do tajemnic. — Uzmysłowił sobie, że ta uwaga brzmi śmiesznie, i opanował się. — Niestety, w tę sprawę nie jest wmieszana żadna kobieta. Timo, przyjaciel Laurence, jutro znajdzie się na pokładzie „Felix-Roussela”.

Saho popatrzyła na niego z lękiem w oczach.

— Wysyłają Tima na Poulo Condore? Do obozu? To straszne.

— Nie przesadzajmy, moja droga Saho.

— Ależ tak! Poulo Condore to archipelag nieszczęścia. Chłopak z mojej wioski spędził tam pięć lat. To był bandyta, groźny jak tygrys. Po powrocie stał się lękliwy jak owieczka.

Saho zasłoniła twarz rękami i zaniósła się cichym szlochem.

— Pani Laurence będzie taka nieszczęśliwa!

Nagle otarła łzy i znów była opanowana, trzeźwo oceniając sytuację.

— Być może lepiej nic jej nie mówić? Pani będzie myślała, że Timo po prostu ją porzucił.

— Ale czy będzie przez to mniej cierpiała? — westchnął Lemaire. — Nie mamy prawa okłamywać Laurence. Wręcz przeciwnie, musimy jak najprędzej ją poinformować. Nie mogę teraz opuścić Sajgonu, natomiast ty, Saho, jeśli chcesz pomóc swojej pani, możesz to zrobić.

— Jestem gotowa oddać dla niej życie.

— Nie wymagam od ciebie tak wiele. Jutro wyruszysz do Wientianu i przekażesz wiadomość mojej żonie. List szedłby zbyt długo i mógłby mieć fatalne konsekwencje. Twoja obecność sprawi, że będzie mniej cierpiała.

Maurice Lemaire musiał załatwić jeszcze dwie sprawy przed jutrzejszym dniem. Pierwsza to znaleźć samochód i szofera, który zawiezie Saho do Wientianu. Ta sprawa nie przedstawiała żadnych trudności. Musiał też przygotować przybycie Tima do obozu na Poulo Condore, co było dużo bardziej skomplikowane. Następnego dnia wczesnym popołudniem „Felix-Roussel” popłynie w dół rzeki Sajgon i znajdzie się na Morzu Chińskim. Wieczorem opłynie południowo-wschodni przylądek Grande Condore i pozbędzie się ładunku skazańców.

Rozdział 15

„Félix-Roussel”, statek przewożący więźniów na archipelag Poulo Condore, wyglądał jak w czasach, gdy zapewniał połączenie Dalekiego Wschodu z Marsylią i Jokohamą — czarny kadłub i biała nadbudówka. W latach trzydziestych zastąpił go „Marianne-Pacha”, a „Félix-Roussel” zaczął dostarczać setki ofiar penitencjarnemu Minotaurowi. Żaden nieorientowany marynarz żeglujący po wodach wschodniej części Morza Chińskiego nie odgadłby, że statek o tak przyjemnym wyglądzie pełnił dwa razy w miesiącu misję polegającą na przywożeniu pasażerów do królestwa strachu.

Było południe i ponad trzy godziny temu załoga statku zakończyła wprowadzanie więźniów na pokład. W trzewiach statku narastał żar, krzyki wycieńczonych skazańców mieszały się z rytmicznym łomotem dochodzącym z maszynowni. Smród zepsutej żywności i ekskrementów był tak dławiący, że wczesnym popołudniem annamiccy nadzorcy, ubrani w stroje khaki i kolonialne kaski, postanowili otworzyć kilka iluminatorów, ponieważ nawet im zaczęło to przeszkadzać. Na pokładzie „Felix-Roussela” więźniowie polityczni nie cieszyli się szczególnymi względami, ale byli traktowani po prostu po ludzku.

Na końcu pierwszego śródpokładu, w miejscu przeznaczonym ongiś dla pasażerów drugiej klasy, przydzielono im przestrzeń pod gołym niebem. Mogli więc podziwiać dżonki i sampany żeglujące po rzece Sajgon i chińskim Arroyo. Wśród więźniów politycznych widoczne były różnice społeczne. Część z nich stanowili wieśniacy z delty Mekongu, ubrani w krótkie spodnie i wyplatane kapelusze; ci siedzieli na piętach. Pozostali, odziani w białe garnitury prosto z wieszaka, kapelusze filcowe lub słomkowe, trzymali się prosto i z godnością.

Więźniów politycznych dotyczył też inny podział: uzbrojeni strażnicy rozdzielili dwie grupy niechętnie spoglądających na siebie mężczyzn. Być może powodowany solidarnością ludzi białej rasy kapitan „Félix-Roussela” na własną odpowiedzialność umieścił Tima Aubera wśród więźniów politycznych. Biały człowiek, jakkolwiek zbrodnię popełnił, zawsze wart był więcej niż zwykły azjatycki więzień kryminalny i nie mógł być poddany takim samym rygorom. Tak więc Timo, stojąc z rękami opartymi o reling, korzystał z kolonialnego przywileju i nawet o tym nie wiedział.

O balustradę obok niego oparł się młody Wietnamczyk w szarym garniturze wciętym w tali i uniósł kapelusz w geście powitania.

— Panowie łapsy nawet nie pozwolili panu zmienić ubrania — zauważył. Timo odwrócił się do niego z błyskiem nienawiści w oczach.

— Proszę wybaczyć — powiedział tamten uspokajającym tonem — ale my się chyba znamy. Nazywam się Gilbert Giu. Obaj jesteśmy preceptorami Yen-fu, syna pana Chenga.

Nienawiść w oczach Tima straciła nieco na intensywności.

— Rzeczywiście — potwierdził.

„Felix-Roussel” zadrżał. Woda za rufą statku zawrzała. Transport zesłańców wyruszał w podróż. Timo dostrzegł w tłumie zgromadzonym na nabrzeżu Europejczyka w ubraniu

kolonialnego urzędnika, pulchnego i niewysokiego. Rozpoznał Maurice'a Lemaire'a i miał ochotę pełną piersią wykrzyczeć swoją nienawiść do niego.

Wciąż uśmiechnięty Gilbert Giu pomachał ręką, w której trzymał borsalino, grupie Annamitów trzymających transparent głoszący: „Chwała tym, którzy płacą swą wolnością za poparcie dla Jego Wysokości Bao Dai”.

Po drugiej stronie szpaleru strażników uzbrojonych w karabiny inni polityczni pozdrawiali grupę manifestantów stojących u krańca nabrzeża Messageries: „Niech żyją komunistyczni bojownicy zesłani za walkę o zwycięstwo ludu!”.

Nagle Timo poczuł dziwną słabość, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. — Nic nie jadłem i nie spałem ani minuty od dwóch dni — szepnął.

Gilbert dał znak jednemu ze współwięźniów, by pospieszył mu z pomocą. Mężczyzna złapał Tima w chwili, kiedy ten stracił przytomność.

Ocucił go powiew wiatru. Leżał na drewnianej ławce i spoglądał na chmury, białe kłębuszki zawieszane wysoko w przezroczystym błękitnie. Gdy uniósł się na łokciach, ogarnął go lęk. Więcej niż lęk, strach, przerażenie, panika. Przypomniawszy sobie, że zanim zemdleł, rozmawiał z Gilbertem. Pamiętał, że tamten pytał go, dlaczego się nie przebrał. Ale kogo miał prosić o ubranie? Pan Cheng był w Kantonie, Laurence w Wientianie... Potrzebował jej, miał przed oczami jej twarz, jej spojrzenie, chciał krzyczeć, błagać: „Laurence, ukochana, zabierz mnie stąd, nie zostawiaj mnie tu!”.

Morska bryza przewiewała na wskroś jego podartą marynarkę i postrzępioną koszulę. Zaczął drżeć, łzy napływały mu do oczu. Znowu chciał krzyczeć: „Laurence, uratuj mnie! Zabierz mnie stąd! Nie zostawiaj mnie tu!”.

Więźniowie polityczni siedzieli na deskach pokładu w grup-

kach po cztery, pięć osób i pogrążeni byli w gwałtownych dyskusjach. Timo rozpoznał Gilberta. Sprawiał wrażenie kogoś, z czym zdaniem wszyscy się liczą i kto rozsądza o słuszności słów poszczególnych dyskutantów. Po policzkach Tima popłynęły łzy, lecz nagle poczuł przypływ energii, niczym koń stający dęba. Uznał, że to śmieszne tak się mazać i głupie wzywać na pomoc Laurence. Ogarnęło go dziwne uczucie, energia dużo silniejsza niż gniew, a była to wściekłość. W głębi jego jestestwa rodziła się siła. To był instynkt samozachowawczy, ale motywacją tego instynktu nie było przeżyć po to, by ocalić skórę, lecz po to, by wyrównać rachunki. „Broń się! Bij się! Odpowiedz ciosem na cios, sto razy mocniej, aż do śmierci!”.

Wstał sztywno. Gilbert popatrzył na niego, a w jego spojrzeniu była powaga. Czyżby domyślił się tej nowej siły, która się w nim narodziła? Nikt nie potrafiłby zgadnąć, jak intensywne były jego uczucia. Moja matka, moja biedna matka. Nie mogę pozwolić, by jej mordercy pozostali bezkarni. Ta siła nie pochodziła tylko z głębi jego duszy. Narastająca w nim nienawiść była dziełem matki, dawała mu ją do ręki niczym broń. Dzięki niej nie stanie mu się nic złego.

Obrócił się na pięcie i podszedł do balustrady. Rozległo się wycie syreny. Spojrzał w stronę dziobu statku. W oddali zarysowywały się już gęsto porośnięte wzgórza Poulo Condore, groźne i spokojne.

Zabrzmiały dwa kolejne gwizdki, a potem z trzewi statku dobył się dziwny pomruk, złożony ze szczęku łańcuchów, jęków, obłąkańczych krzyków, bezmiaru cierpienia.

Gilbert stanął obok Tima.

— Morski wiatr przywrócił ci rumieńce — zauważył. Timo milczał.

Znów nienawiść przychodziła mu z pomocą. Miał zadanie do wykonania, rachunki do wyrównania. Rozpacz

mogła mu w tym tylko przeszkodzić. Ukręci jej łeb, jeśli pokaże choćby czubek nosa.

Po trapie zaczęli schodzić pasażerowie pierwszej klasy: białe kobiety z dziećmi, kobiety annamickie otoczone licznym potomstwem, kilku tubylczych strzelców.

— Nie bój się — szepnął Gilbert. — Poulo Condore nie jest piekłem. Ruchem głowy wskazał więźniów zgromadzonych za szpalerem żołnierzy uzbrojonych w karabiny.

— Komuniści używają tego do celów propagandowych: „Francja jest krajem barbarzyńców, którzy zamykają antykolonialistów w tygryskich klatkach na Poulo Condore”. Tak mówią, ale nie przejmuj się, rzeczywistość nie jest taka straszna.

— Skąd wiesz? — spytał Timo oschłym tonem.

— Ej! Zachowaj zimną krew, bracie. — Szeroki uśmiech nie znika z twarzy Gilberta. — To nie jest mój pierwszy pobyt tutaj, spędziłem tu już rok, od trzydziestego drugiego do trzydziestego trzeciego.

— A co czeka więźniów kryminalnych?

— Kryminalnych? A, to inna sprawa...

Gilbert wskazał kolumnę skazańców, stojących jeden za drugim na pontonowym pomoście, skuty z sobą łańcuchem o grubych ogniwach. Większość z nich to były drobne istoty o ciemnej skórze, nagich torsach, wychudłe od zbyt częstych wizyt w palarniach opium. Inni przeciwnie: o mocarnych ramionach, byczej posturze, ze skórą pokrytą groźnymi tatużami, przedstawiającymi triumfujące jednorożce, smoki plujące ogniem i sztylety.

— Obóz dla kryminalnych znajduje się pośrodku stoku — wyjaśnił Gilbert głuchym głosem. — Piekło katolików nie może być straszniejsze.

— Ja należę do kryminalnych... — powiedział Timo.

— Wiem o tym — przyznał Gilbert uspokajająco — ale jesteś też biały. Biali nie są poddawani tym samym rygorom co

Azjaci. W dodatku jesteś pierwszym białym, którego skierowano do obozu.

— Chętnie bym się wyrzekł tego zaszczytu.

— Nie niepokój się, bracie. Przecież dowódca naszego statku przydzielił cię do politycznych. Możesz mi wierzyć, żaden biały nie byłby zdolny wymierzyć innemu białemu kary tak okrutnej, jak obóz dla kryminalnych. Wyobraziłby sobie siebie w twojej sytuacji, rozumiesz?

— Mało mnie obchodzi, czy mnie wyślą do kryminalnych, czy nie. Nie boję się niczego.

Timo wysiadł na brzeg razem z więźniami politycznymi, ale potraktowano go zupełnie inaczej. Biały nadzorca w średnim wieku, o sinej cerze, w przyciasnej koszulce i szortach khaki, podszedł do niego wraz z trzema Annamitami tak samo ubranymi i uzbrojonymi w karabiny.

— Timoleonie Auber, proszę za mną.

— Nie znam nikogo takiego — odpowiedział Timo oschle. — Nazywam się Timothee Lamy.

— To bez znaczenia — mruknął strażnik.

Jeden z annamickich żołnierzy podszedł, dał Timowi znak, żeby wyciągnął przed siebie ręce i założył mu kajdanki. Urządzenie zostało zaprojektowane z myślą o więźniach znacznie drobniejszej budowy, toteż Timo miał wrażenie, że żelazne obręcze pałą jego nadgarstki żywym ogniem.

Więźniowie polityczni ustawili się parami na pomoście. Nie założono im kajdanek ani łańcuchów. Strażnicy, wszyscy byli Annamitami, nie zastosowali wobec nich żadnych szczególnych środków ostrożności.

Zawiesili broń na ramieniu i długa podwójna kolumna więźniów politycznych ubranych w większości jak zamożni mieszczanie, ruszyła wolnym krokiem. Minęli drogę, którą udali się kryminalni, ścieżkę prowadzącą w górę zbocza i skręcili w lewo, idąc aleją, ocienioną rozcięzami i sosnami nadmorskimi, wiodącą

wzdłuż długiej piaszczystej plaży. Właściciele piróg machali im na powitanie.

Jeden ze strażników pilnujących Tima uderzeniem kolby w plecy dał znak, że teraz jego kolej. Gdy zeszli z molo, dowódca strażników wskazał mu stromą ścieżkę. Wieczorna bryza niosła zapach drzew iglastych, pieprzu i imbiru.

Przeszedłszy około pięćdziesięciu metrów, strażnicy i więźniowie skręcili w prawo w wyasfaltowaną aleję, po obu stronach której stały wille tonące w krzewach eukaliptusowych. Tu i tam rozlegały się głosy białych kobiet, nawołujących dzieci. Timo zrozumiał, że znaleźli się w dzielnicy nadzorców. Grupka mijała po drodze Annamitów w bez-rękawnikach i białych krótkich spodniach ze zgrzebnego płótna. Naczelnik obozu rezydował w pięknej willi. Przed drzwiami, siedząc na krześle, pełnił straż siwowłosa Annamita.

— Jesteśmy umówieni — brzmiało proste wyjaśnienie strażnika o sinej twarzy.

Naczelnik Roger Le Hire był drobnym człowieczkiem w okrągłych okularach i zbyt obszernym jasnym garniturze. O ile szef strażników, który wyszedł na spotkanie Tima, najwyraźniej nadużywał trunków, szef kolonii penitencjarnej z pewnością wypalił niejedną fajkę opium. Timo nie wiedział zbyt dobrze dlaczego, ale od razu przyszło mu do głowy, że ta informacja prędzej czy później może mu się przydać. Od chwili, gdy znalazł się na stałym lądzie, energii dodawała mu myśl o ucieczce.

Urzędnik dał znak nowo przybyłemu, by ten usiadł — jakby obecność kogoś stojącego potęgowała jego znużenie. Natomiast szef strażników nie czekał na pozwolenie i od razu zwałił się na zapadnięty skórzany fotel.

— Panie Auber... — zaczął naczelnik.

— Lamy — poprawił Timo.

Strażnik, który wiercił się w fotelu, usiłując wyciągnąć z kieszeni paczkę papierosów, odezwał się niezadowolony:

— Panie naczelniku, wyjaśniłem już temu smarkaczowi, że nie interesuje nas jego nazwisko.

— I miał pan słuszność, brygadierze — wpadł mu w słowo naczelnik.

Spojrzał na Tima. — Sprawa jest o tyle bez znaczenia, że od tej chwili jest pan numerem dziesięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt sześć.

Timo wyprostował się i przybrał pogardliwą postawę, z podbródkiem uniesionym do góry.

— Skazany na śmierć... — mówił dyrektor w zamyśleniu. — Pierwszy raz gościmy tu białego skazanego na śmierć, czyż nie, brygadierze?

Strażnik przytaknął skinieniem głowy, zapalając jednocześnie papierosa.

— Co więcej, to pierwszy biały, który postawił stopę na Poulo Condore w charakterze więźnia, panie naczelniku — zaznaczył.

— Jest pan ciekawostką, młody człowieku — ciągnął dyrektor zmęczonym głosem. — Ciekawostką, bez której chętnie bym się obył.

Znów zwrócił się do strażnika:

— Brygadierze Renucci, znajdzie pan w barku zieleninę. Jeśli serce panu dyktuje...

— Dziękuję, panie dyrektorze, ale nigdy nie piję absyntu przed zachodem słońca.

— To prawda, że noc jest porą wszelkich rozkoszy, na Poulo Condore tak samo jak w całej Azji. Nie dotyczy to jednak więźniów kryminalnych. —

Urzędnik przyjrzał się Timowi i dodał z ubolewaniem: —Niestety! Pan jest więźniem kryminalnym.

Znużonym gestem zamknął leżącą przed nim teczkę. Był wycieńczony opium, jego spojrzenie przypominało spojrzenie zbitego psa.

— Kapitan „Roussela” pozwolił panu odbyć podróż wraz

z więźniami politycznymi — dodał. — Na swoim statku jest pierwszym po Bogu. Ja nie dysponuję takimi możliwościami. Zostanie więc pan przydzielony do obozu numer jeden, to znaczy do obozu dla więźniów kryminalnych.

Baraki obozu dla więźniów kryminalnych znajdowały się na Grandę Condore, w miejscu zwanym Chuen Bo, co oznacza „Gniazdo węży”. Prowadząca tam droga ciągnęła się od dzielnicy administracyjnej i domu strażników, przecinała zbocze wzgórza, wiodła przez gęstą dżunglę, gdzie gnieździły się drapieżne zwierzęta, dodatkowa przeszkoda na drodze amatorów ucieczki. Opuszczając kamienistą ścieżkę, by skryć się przed pościgiem, uciekinierzy narażali się na atak małp i węży.

Jednak w Chuen Bo najniebezpieczniejsze bestie zaliczały się do rodzaju ludzkiego. Wystarczyło wejść na teren obozu, by pozbyć się wszelkich złudzeń. Kiedy Timo dotarł tam w towarzystwie strażników, budynki obozu skrywał już mrok. Trzy baraki kryte blachą, zamknięte ciężkimi kratami i oświetlone pochodniami, otaczały dziedziniec. Tu i tam na ziemi stały koryta, czasem w ich kierunku wysuwało się jakieś ramię, by zanurzyć w wodzie kubek. Witajcie w piekle Poulo Condore, z jego szaleńczymi krzykami, śmiertelnym wyciem, szczękiem łańcuchów i odgłosami bójek. W tumultcie cierpienia i nienawiści.

Na ich spotkanie wyszedł annamicki strażnik w mundurze khaki, z lampą sztormową w ręku. Oświetlała ona od dołu wychudzoną surową twarz. Postawił lampę przy swoich stopach, a jego cień tańczył na kratkach baraków. Zasalutował służbistym gestem.

— *Mata*1 numer osiemdziesiąt sześć.

Mata — strażnik więzienny rekrutujący się spośród rdzennych mieszkańców Indochin

— Spocznij — rzucił szef strażników, odpowiadając na jego salut uniesieniem palca do daszka kepi.

— Białe? — spytał annamicki strażnik.

— Jak widzisz — mruknął Renucci. — Trzeba by przypilnować, żeby nie stało mu się nic złego... Nigdy nic nie wiadomo. Jego trup mógłby tu zwabić jakąś komisję śledczą. To ostatnio w modzie.

Timo poczuł, że jeszcze raz nienawiść wyciągnie go z lepkich łap zwątpienia.

— Dziękuję za troskę, panie strażniku — powiedział. Mężczyzna zwrócił w jego stronę pijackie oblicze. Gdy minęło zdziwienie, gniew przerodził się w chichot.

— Możesz mi wierzyć, za dwa dni nie będziesz zgrywał chojraka. — Zbliżył się i zionął w twarz Tima odorem alkoholu. — Co ja mówię! Za dwie godziny będziesz strzępem człowieka.

Cofnął się i zapytał wietnamskiego strażnika:

— Masz jeszcze miejsce w baraku *caplana* Ngo Sona? *Mata* wyglądał na zdziwionego.

— Coś się znajdzie, szefie, ale...

Renucci odwrócił się do Tima i znów owionął go oparami taniego wina.

— Nie przejmuj się, *mata*. Jeżeli ten młokos zostanie ukatrupiony, nie będę po nim nosił żałoby. — Zwrócił się do Tima: — A ty, gówniarzu, słuchaj. Wiesz, co to jest *caplan* w obozie dla kryminalnych na Grande Condore?

— Dowiem się.

Renucci znów zaniósł się złośliwym chichotem.

— *Caplan* to taki herszt, którego zadaniem jest pilnowanie porządku wśród setki szumowin w jego baraku. Wybiera się zawsze najgroźniejszych bandytów, wtedy jest spokój. Są gorsi niż wszystkie gady w dżungli.

— Gady się rozdeptuje — odciął się Timo.

— Najpierw cię ukaszą. W baraku numer dwa, gdzie będziesz miło spędzał czas, *caplan* nazywa się Ngo Son. Jest

Khmerem, pochodzi z okolicy Phnom Penh i właściwie dawno należałoby go zgilotynować. Najgorszy z łajdaków, najpodlejszy zabójca nie dorasta mu do pięt. Tak jak wszyscy Khmerzy, Ngo Son nienawidzi Annamitów. Podejrzewa się zresztą, że ukatrupił ich około setki. Bardziej jednak nienawidzi Francuzów. Kiedyś razem z hordą bandytów wziął abordażem statek na Mekongu. Najpierw oskubał Azjatów, a potem wziął na bok wszystkich białych, około dziesięciu mężczyzn i kobiet. I wiesz co? Kazał ich ugotować żywcem w wielkim kotle. Więc słuchaj, gówniarzu, myślisz, że jesteś twardzielem? W ciągu dwóch dni Ngo Son zamieni cię w potulnego niewolnika.

— W ciągu dwóch dni? — prychnął Timo pogardliwie. — Tylko tyle, żeby ugotować mnie na miękko?

Strażnik Renucci znów zaśmiał się paskudnie.

— Ngo Son sprawi, że odechce ci się żartów. Ten dziwny człowiek ma szczególny zwyczaj, rodzaj ceremonii powitalnej dla nowo przybyłych w jego baraku. Nie powiem ci nic więcej. Będziesz miał niespodziankę.

Rozdział 16

Annamicki strażnik, *mata* numer 86, o nieprzeniknionym spojrzeniu i wystających kościach policzkowych, nie wyglądał na skłonnego do współczucia wobec Tima. Kiedy szef strażników i dwaj ludzie z jego eskorty opuszczali dziedziniec, podszedł do niego i potrząsnął mu przed nosem sękatym kijem.

— Numer dziesięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt sześć, poznaj mojego najlepszego przyjaciela. — *Mata* mówił bardzo dobrze po francusku, bez najmniejszego śladu cudzoziemskiego akcentu. — Nazywa się *lacadouille*. Uspokaja co bardziej nerwowych.

Strażnik wyjął z kieszeni klucz i wprawnym ruchem otworzył zatrask łańcucha skuwającego ręce Tima. Dał znak więźniowi, by podszedł do kraty zamykającej na całej długości fasadę baraku numer dwa. Odczekał chwilę i poszedł za nim.

— Więźniowie Chuen Bo nie mają prawa zbliżyć się do *mata* na odległość mniejszą niż sześć metrów — poinformował — bo jak nie, *lacadouille!* Niech też nigdy nie przyjdzie ci do głowy patrzeć *mata* prosto w oczy, a zwłaszcza obrażać go lub choćby próbować nieposłuszeństwa. Jeżeli przydzielą cię do „niebieskich”, będziesz wykonywał prace ziemne. W tej chwili buduje się kolejkę wąskotorową dla klawiszy z alei Aujard, żeby nie niszczyli sobie bucików na kamienistych drogach i żeby nie kasały ich węże. Zrozumiano?

Kazał zatrzymać się więźniowi kilka metrów od kraty baraku. Zapewne chodziło o to, by przyzwyczaić go do widoku wnętrza i z sadystyczną rozkoszą obserwować, jak dociera doń, co czeka go wewnątrz. Nagle Timo poczuł coś dziwnego: tracił oparcie, tracił oparcie... Nie należał już do świata realnego, w jego głowie rozbrzmiewało dalekie szlochanie, a do krat przyciskały się wstrętne twarze, wykrzywione w uśmiechu, bezzębne, opętane.

Strażnik wyprzedził go, podszedł do krat i z całych sił uderzył w nie kijem. Wycie, które się rozległo, przywołało Tima do rzeczywistości. Wejdzie do klatki i nie da się pożreć. Od tej chwili obóz Chuen Bo na Grandę Condore zyskał jeszcze jedną dziką bestię.

Mata 86 otworzył drzwi, ale nie wszedł do środka — czyżby chciał go przestraszyć? Timo doszedł do wniosku, że nie, strażnik sam się bał. Wychudzone cienie tańczące na ścianach w głębi baraku, w rytm drgającego płomienia pochodni umocowanej na zewnątrz, napawały klawisza przerażeniem.

Timo przeszedł przez ten przedsionek piekła z wysoko podniesioną głową. Więźniowie, wygłodzeni biedacy, wstawali z mat, podchodzili do niego i znów wracali do swych obłąkańczych tików, zwijali się ze śmiechu albo podskakiwali, jak gdyby wsiedli na grzbiet wyimaginowanego konia. Inni rzucali mu się do kolan, jeszcze inni zasłaniali głowę, spodziewając się w każdej chwili ciosu.

Wszedł do jednego z boksów, gdzie leżała zwinięta mata i koc. W przeciwległym rogu baraku widniał krąg żółtego światła. Przyczepiona liną do belki lampka oliwna oświetlała krąg graczy. Gardło ścisnął mu kwaśny odór.

Jego sąsiad był młodym Wietnamczykiem o delikatnych rysach i żywym spojrzeniu. Miał na sobie krótki bezrękawnik i białe szorty. On także mówił po francusku bez żadnego akcentu.

— Witaj w piekle szaleńców, mój bracie! — powiedział. — Nazywam się Pham, tak jak wielu Wietnamczyków. To wielka tradycja, potężna dynastia Phamów. A ty?

— Timo.

Smród stawał się nie do zniesienia, wciskał się przez jego podarte ubranie i wszystkimi porami skóry. W końcu płuca nie wytrzymały i Timo zaniósł się gwałtownym kaszlem.

— Cuchnie jak zaraza, prawda? — stwierdził rozbawiony Annamita. — Biali mają delikatne nosy.

Najwyraźniej nie przeszkadzało mu ani miejsce, ani straszliwy odór, ani istoty żyjące w takim upodleniu. Ciągnął obojętnym głosem:

— Przyznaję, że wrażenia zapachowe są dość intensywne. Zapewne zastanawiasz się, z czego złożona jest ta atmosfera. Otóż po trosze ze wszystkiego... Albo raczej z dużej ilości wszystkiego. Dominują substancje pochodzenia zwierzęcego, czyli uryna, ekskrementy, bród, ropiejące rany, a nawet zaczątki gangreny. Należy dodać do tego sfermentowaną żywność.

Kiedy atak kaszlu minął, Timo usiadł na przegrodzie. Pomału zaczął zacieśniać się wokół niego krąg więźniów o nieprzytomnych spojrzeniach. Pham wstał. Powiedział ostro kilka słów po wietnamsku i nieszczęśni szaleńcy rozplłynęli się w półmroku.

— Fascynujesz ich — wyjaśnił. — Rozumiesz, jesteś pierwszym białym, którego zobaczyli w tym miejscu... Ale wracając do zapachów, oprócz wszystkich tych smrodów czujesz też cierpkawy zapach, który unosi się niczym motylek. To opium, anielski dym — mówiąc to, wpatrywał się intensywnie w Tima. — Opium jest najlepszym sprzymierzeńcem nadzorców i *caplanów*. Wszelka siła woli ulatnia się z dymem, ponizasza się, pełzasz przed nimi, upokarzasz się, żeby dostać maleńką kulkę albo choć odrobinę osadu!

— Opium mnie nie interesuje — powiedział stanowczo Timo.

— Tym lepiej! — Wietnamczyk wyciągnął się na macie. — Zaproponuj ci dwa rodzaje ucieczki. Jedna z nich to opium.

Drugi sposób — prawdziwa ucieczka z wyspy. Nie zgadzaj się na żadną z nich. W obu wypadkach czeka cię śmierć — zamknął oczy. — Dobranoc, bracie.

Nagle uniósł się na łokciach i popatrzył na Tima z niepokojem.

— Masz ładne zęby?

— Słucham?

— Jesteś młody, pewnie masz zdrowe zęby. Pokaż! Timo wzruszył ramionami, ale posłusznie otworzył usta.

Sąsiad zbliżył się i uważnie obejrzał jego uzębienie.

— Doskonale. Możesz spać spokojnie.

Jednak tej nocy, pierwszej nocy w obozie, Timo nie zdołał zasnąć. W jego głowie kłębiły się myśli. Falami powracało dziwaczne wrażenie nierealności, echem odbijały się dziwne dźwięki, chrapanie, okrzyki przerażenia i klótnie graczy w głębi baraku. Jednak nienawiść czuwała i znów powracał do realnego świata.

Koło trzeciej nad ranem gracze w kącie baraku zaczęli omawiać coś gorączkowym szeptem. Nagle hangar przemierzył rosły cień z latarnią sztormową w ręku. Kiedy mężczyzna stanął przy jego stopach, Timo zrozumiał. To *caplan* baraku numer dwa, najgroźniejszy gad z „Gniazda węży” złożył mu wizytę. Kambodżanin Ngo Son, pirat z Zatoki Syjamskiej, zdaniem szefa strażników wcielenie potworności i okrucieństwa. Emanował zwierzęcą siłą; miał szeroką umięśnioną klatkę piersiową i potężne bicepsy. Całe jego ciało — miał na sobie tylko szorty z białego płótna — pokryte było tatuażami, przerażającym freskiem złożonym ze zwierząt z azjatyckiej mitologii i białej broni oplataną przez pytony.

Timo wstał jednym ruchem. Od tego spotkania zależało, czy pozostanie przy życiu. Nienawiść była w pogotowiu jako tarcza i miecz do obrony. Poczuł, jak napinają się jego mięśnie i zaciskają się pięści.

Herszt Ngo Son podszedł, przyjrzał mu się, a w jego spojrzeniu widać było obłąd. Potem, ku osłupieniu Tima, obdarzył go uśmiechem, a właściwie rodzajem grymasu ukazującego pozbawione zębów wnętrze jamy ustnej. *Caplan* dał mu znak, żeby zrobił to samo. Timo uznał, że ma w ten sposób odwzajemnić powitanie. Zmusił się więc do uśmiechu. Ngo Son najwyraźniej uznał jednak tę odpowiedź za niezgodną z obowiązującymi zasadami. Kazał mu uśmiechnąć się szerzej. Timo zastosował się do jego polecenia, zastanawiając się jednak, czy przypadkiem w ten sposób nie oddaje się jakiemuś poddań-czemu rytuałowi, nie wiedząc o tym.

Khmer podniósł latarnię do ust Tima, który zdziwiony spostrzegł, że *caplan* bardzo uważnie przygląda się jego zębom. Wynik inspekcji najwyraźniej nie był zadowalający, bo Ngo Son wydał z siebie coś w rodzaju pomruku, a potem odwrócił się na pięcie i wraz ze swymi dwoma przybocznymi odszedł w kierunku kręgu żółtego światła.

Następny dzień rozpoczął się, gdy tylko pierwsze promienie słońca zabarwiły na różowo Morze Chińskie. *Mata 86* obudził więźniów uderzeniami drąga w kratę baraku. Timo wyszedł jako pierwszy z cuchnącego dormitorium. Nie spał przez całą noc i trzął się z zimna. Postawił kołnierz podartej marynarki. Życie rozpoczynało się na nowo. *Mata 86* także nie spał tej nocy. Był na służbie i teraz spieszyło mu się do domu. Otumanieni zmęczeniem, a może opium, więźniowie z baraku numer dwa, którzy zbyt późno pojawili się na miejscu zbiórki pośrodku dziedzińca, zostali przywitani uderzeniami kija. Pham przyspieszył kroku i zbliżył się do Tima.

— Spałeś źle czy nie spałeś w ogóle? — spytał z uśmiechem.

— Nie zmrużyłem oka...

— Z czasem nauczysz się spać. — Popatrzył na niego rozbawiony. — Odwiedził cię w nocy Ngo Son, prawda? I obejrzał twoje zęby?

Timo potwierdził.

— Myślałem, że będę musiał walczyć o życie, a on mnie po prostu zostawił w spokoju!

— Masz zdrowe zęby — wyjaśnił Pham — a więc nie musisz się niczego obawiać. Wiem, że uważasz zachowanie Ngo Sona za bezsensowne, pozwól więc, że wyprowadzę cię z błędu. Otóż jest ono dużo mniej bezcelowe, niż się wydaje. Prawda jest taka, że szukał złotych zębów. Gdybyś takowe miał, toby ci je wyrwał.

— Wyrwał?! — krzyknął przerażony Timo.

— Jego dwaj akolici przytrzymaliby cię i siłą otworzyli usta, posługując się dużym kamieniem. W tym czasie *caplan* wyrwałby ci twoje złote zęby za pomocą zardzewiałych obcęgow.

Timo drżał, ale teraz poranny chłód nie miał z tym nic wspólnego.

— A co do Ngo Sona — mówił dalej Wietnamczyk — słyszałeś wielką nowinę, która rozeszła się lotem błyskawicy po całym baraku? Nasz *caplan*, dentysta amator, umarł dziś w nocy. Nie zgadniesz, w jaki sposób. Nie, wcale nie został zamordowany. Atak serca! Zmarł śmiercią naturalną!

Timo na próżno usiłował być twardy i osłonić się pancerzem nienawiści. Nie potrafił opanować dygotu.

— Tym lepiej — odetchnął.

— Tym lepiej? Wręcz przeciwnie, to bardzo źle — odparł Pham. — Skoro odszedł Ngo Son, *matas* będą potrzebowali nowego *caplana*. Nie mogą go wyznaczyć, pozwolą więc, by kandydaci do tego stanowiska sami wybrali następcę.

Więźniowie zaczęli ustawiać się w szeregach, oddaleni jeden od drugiego na wyciągnięcie ręki.

— W jaki sposób go wybiorą? — spytał Timo z niedowierzaniem.

— Och, nie będą przecież organizowali wyborów. Nastąpi to drogą eliminacji. Przez najbliższy tydzień będzie pełno trupów: zadźganych nożem, ze zmiażdżoną czaszką, ktoś spadnie w przepaść, kogoś otrujabieliem... Ach, przyjacielu! Nie mogłeś trafić na gorszy moment.

Po apelu dwaj annamiccy strażnicy podeszli do Tima i powiedzieli stanowczym tonem, że ma przyłączyć się do kolumny złożonej z dwudziestu „białych strojów”, którzy przygotowywali się do wymarszu z obozu. Pham opuścił miejsce pośrodku grupki i stanął tuż za nim.

— O ile dobrze zrozumiałem, dla ciebie sprawy stoją nieźle.

Odziedziczysz „biały strój” Ngo Sona.

— Jakie to ma znaczenie?

— Podstawowe. Zostaniesz zwolniony z prac budowlanych, przydzielą cię do administracji, będziesz pracował w kancelarii albo jako służący do wszystkiego w rodzinie któregoś z białych strażników. Możesz podziękować temu ohydnemu Kambodżaninowi za to, że udał się do ogrodów Buddy.

O dziewiątej rano naczelnik obozu wciąż jeszcze nie pojawił się na posterunku. Timo został więc zamknięty w poczekalni obok jego gabinetu. Usiadł na fotelu i usnął w mgnieniu oka. Koszmarne sny wydały mu się dziecinną igraszką wobec otaczającej go rzeczywistości.

O jedenastej trzydzieści Timo wszedł do gabinetu naczelnika. Skóra urzędnika miała żółtawy odcień. Najwyraźniej próbował dodać sobie rumieńców, nacierając twarz wodą kolońską. Na próżno. Nie mógł ukryć spustoszeń, jakie poczyniło trzydzieści lat palenia opium.

Natomiast dowódca strażników, Renucci, wyglądał na wypoczętego. Jego złośliwość z poprzedniego dnia znikła. Obudził więźnia niezbyt brutalnie i nawet poczęstował go papierosem. Timo doszedł do wniosku, że ta zmienność nastrojów jest wynikiem alkoholizmu. Dyrektor najpierw odezwał się właśnie do Renucciego:

— Tak więc, panie brygadierze, potwierdza pan wiadomość o śmierci Ngo Sona...

— I to śmierci naturalnej — podkreślił strażnik.

— Doprawdy, pierwszy raz się zdarza, że *caplan* obozu

numer jeden na Grandę Condore udaje się *ad patres* bez pomocy bliźniego! Ale to dla pana korzystne, numerze dziesięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt sześć — zwrócił zmęczone spojrzenie na Tima — bo to właśnie pan odziedziczy jego „biały strój”. Przejdzie pan do magazynu ubrań, gdzie dadzą panu sandały, krótkie spodnie z białego płótna i bezrękawnik w tym samym kolorze. Będzie pan pełnił w dzielnicy Aujard tę samą funkcję, co nieodżałowany Khmer Ngo Son. Na noc będzie pan wracał do baraku w obozie Chuen Bo. Jaka pracę wykonywał zmarły? — spytał Renucciego.

— Opiekował się dziećmi strażnika Orsiniego.

Timo otworzył usta ze zdziwienia. Jednak z dalszego ciągu rozmowy wynikało, że się nie przesłyszał.

— Mam wrażenie, że bardzo dobrze sprawdził się w tej roli — zauważył Le Hire.

— Wyśmienicie, panie dyrektorze — potwierdził Renucci. — W rodzinie Orsinich jest dwoje dzieci, chłopczyk ma cztery lata, a dziewczynka sześć miesięcy. Ngo Son był im bardzo oddany. Zabierał dzieciaki na plażę, małą niósł w ramionach, a chłopca trzymał za rękę. Usypiał je podczas sjesty, nucąc im stare khmerskie pieśni... Dopiero co byłem w willi Orsinich. Rodzice są we łzach, śmierć Khmera pogrążyła ich w głębokiej żałobie.

Timo nie wierzył własnym uszom.

— Rozumiem ich — powiedział dyrektor i zwrócił się do Tima: — No cóż, numerze dziesięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt sześć, już pan wie, na czym będą polegać pana nowe obowiązki. Niech pan będzie równie opiekuńczy, wykaże się w stosunku do dzieci Orsinich taką samą delikatnością, żeby nie powiedzieć czułością, co pana poprzednik Ngo Son, a będziemy umieli to docenić.

Rozdział 17

Światło i cień, oto jak przebiegało życie Tima na Poulo Condore. Piekło rozpoczynało się, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, a znikało w pierwszych blaskach świtu.

Orsini byli spokojną rodziną. Antoine i jego żona Angele pochodzili z górskiej wioski pod Ajaccio. Pobyt na więziennym archipelagu przypadł im do gustu. Podobała im się dzielnica Aujard i cień tamaryndowców, uważali to za znacznie przyjemniejsze od sajgońskiego zgiełku.

Nie przeszkadzało im też wcale to, że kilkaset metrów od ich willi mieści się obóz, zwany „Gniazdem węży”, z więźniami strąconymi na samo dno rozpaczy. Gęsta roślinność porastająca zbocze zasłaniała baraki grozy. A to, co niewidoczne, jakby nie istniało.

Antoine Orsini, podobnie jak wszyscy inni biali strażnicy, nie miał kontaktu z więźniami kryminalnymi. Jego praca polegała na nadzorowaniu więźniów politycznych, którzy byli ludźmi jak najbardziej cywilizowanymi.

W obozie numer dwa, obozie więźniów politycznych, zwanym „wioską Van Bay”, położonym pośród palm koksowych na obrzeżu piaszczystej plaży, panował spokój. Przez długi czas ład zakłócały burdy między więźniami, wynikające z przyczyn ideologicznych. Zarząd rozwiązał ten problem, każąc miesięcznym pobylem w karcerze za najdrobniejsze zakłócenie

porządku. Komuniści i nacjonaliści postanowili więc wspólnie, że na terenie Poulo Condore należy zaniechać dyskusji na temat zalet Mao Tse-tunga czy też Czang Kajsze. Odtąd nadzorowanie więźniów politycznych przez francuskich funkcjonariuszy więcej miało wspólnego z pracą dozorcę parku niż więziennego cerbera.

Antoine Orsini i jego żona Angele stanowili szczególny przypadek wśród więziennego personelu, ponieważ praca na Poulo Condore była dla nich spełnieniem najskrytszych marzeń. Uroda tego miejsca, porośnięte bogatą roślinnością zbocza, biały piasek na plażach i turkusowe morze przypominały im rodzinną Korsykę. Najlepszym dowodem na istnienie głębokich więzów między ciałem a umysłem było to, że Angele, która skończyła trzydzieści pięć lat i straciła już nadzieję, że kiedykolwiek będzie miała dzieci, zaszła w ciążę parę tygodni po tym, jak małżeństwo wprowadziło się do willi w alei Aujard.

Po pięciu latach pobytu na Grandę Condore rodzina Orsinich dochowała się dwojga dzieci. Starszy, Philippe, miał cztery lata, a jego siostrzyczka Letycja sześć miesięcy. Państwo Orsini byli przekonani, że kolejny „biały strój” nie dorówna Ngo Sonowi.

Stojąca na progu pani Orsini co chwilę przykładła złożoną chusteczkę do opuchniętych od łez oczu. Nie kryła zdziwienia na widok Tima.

— Jest pan pierwszym białym więźniem na wyspie — stwierdziła z niedowierzaniem.

Angele Orsini nie miała jeszcze czterdziestki, ale była dość szeroka w talii, o krągłych kształtach i nieco zbyt pełnej twarzy, co nadawało jej wygląd dobrotliwej babci. W jej jasnobłękitnych oczach połyskiwało coś jakby pobłażliwość, wyrozumiałość, a może nawet dobroć. Otworzyła furtkę i skinęła na Tima.

— Proszę nie mieć mi za złe, że płaczę — powiedziała, znów dotykając chusteczką oczu. — Dopiero co otrzymaliśmy

smutną wiadomość. Umarł nasz drogi Ngo Son. Był istotą pełną miłości. Nagle uświadomiła sobie, w jak godnym pożałowania stanie znajduje się jej gość: blady, z trzydniowym zarostem, ze spojrzeniem przymglonym od zmęczenia i cieniem nocnej grozy.

— Mój Boże! Biedaku! — wykrzyknęła. — Na pewno jest pan głodny! Wiem, że w „Gnieździe węży” źle was karmią. Najpierw jednak niech pan weźmie prysznic i się ogoli. Czystość ciała to radość dla duszy. Willa urządzona była prosto i wygodnie. Na parterze znajdowała się jadalnia wykładana kafelkami, kuchnia i pralnia. Poustawiane tu i ówdzie wazony pełne kwiatów i całe mnóstwo serwetek świadczyły o tym, że Angele starała się upiększyć otoczenie.

Timo może nie odnalazł radości duszy, ale prysznic i śniadanie — gorąca kawa ze smażonymi kielbaskami — pozwoliły mu odzyskać równowagę. Co więcej, gadatliwość Angele miast go drażnić, działała kojąco. Nie słuchał jej zbyt uważnie, ale dotarło do niego, że przestała już wynosić pod niebiosa Ngo Sona i zaczęła opowiadać o swojej rodzinie. Philippe, jej czteroletni synek, był często nieposłuszny i łatwo wpadał w złość; Letycja to słodkie maleństwo, uradowane z przyjścia na świat. Ona sama, Angele, czuła się szczęśliwa na Poulo Condore: „Góry, biały piasek na plaży, gęsty las — jakbym znów znalazła się na Korsyce”.

Philippe obudził się dopiero koło dziewiątej. Chłopiec miał ciemne włosy i choć był Francuzem, wyglądał na małego Annamitę — zapewne zgodnie z zasadą mimikry. Zjadł śniadanie, mając powieki ciężkie od snu. Zdziwił się na widok Tima. Angele bardzo oględnie wyjaśniła mu, że Ngo Son odszedł i teraz na plażę będzie chodził z innym więźniem w białym stroju.

— Odszedł? A dokąd? — spytał chłopczyk. A potem nagle: — Umarł?

Jego matka czym prędzej zaprzeczyła.

— Wrócił do kraju Khmerów. Będzie polował na tygrysy i łowił rekiny. Timo pomyślał, że gdyby rozkoszny Ngo Son naprawdę powrócił do rodzimej Kambodży, poświęciłby się raczej grabieniu i podrzynaniu gardeł wędrowcom podróżującym lądem, morzem i rzekami.

Angele kłamała, ale w ten sposób czciła pamięć Ngo Sona.

Parę minut po dziewiątej pojawił się ogrodnik. Rzecz jasna, również należał do „białych strojów”. Był to mężczyzna w podeszłym wieku, chudy i uśmiechnięty. Jego podbródek ozdobiony był cienką siwą bródką jak u mandarynów. Angele przedstawiła go jako pana Tronha.

— Będziemy modlili się razem w tej samej pagodzie — oświadczył, pochylając się w ukłonie przed Timem. — Chcę przez to powiedzieć, że będziemy pracowali w tym samym domu.

Pan Tronh trzymał w ręku cebulkę jakiejś rośliny wielkości sporego kartofla.

— Ogródnik szefa strażników Renucciego pożyczył mi tę bulwę *ylang-ylang* — zwrócił się do pani domu. — Zasadzimy ją koło krzaków róż. Za dwa miesiące Smok pobłogosławi nas wodą. To dobrze zrobi sadzawce z lotosami. Będzie pani miała najpiękniejszy ogród na całej alei Aujard.

Skłonił się przed Angele, potem znów przed Timem i odszedł posuwistym krokiem w głąb ogrodu.

Ojciec rodziny, Antoine Orsini, pojawił się w domu o dwunastej, żeby zjeść obiad. Był starszy od żony, miał już ponad pięćdziesiąt lat, siwe włosy i ogorzałą twarz. Wydawało się, że każda chwila życia sprawia mu rozkosz. Poznał radość ojcostwa w wieku, w którym nikt się już tego nie spodziewa.

Obóz karny na Grande Condore obfitował w paradoksy. Teraz bowiem przyszła kolej na Antoine'a, by opowiedzieć Timowi, jakim smutkiem napawa go śmierć Ngo Sona: „To był wspaniały człowiek, obdarzony wielkim sercem. Jestem pewien, że i z panem dobrze nam się ułoży”, dodał. Tymczasem, ponieważ regulamin nie pozwalał mu zaprosić więźnia na obiad, przeprosił go — najwyraźniej szczerze — i zaprowadził swojego nowego pracownika do ogrodowej altany za bambusowym żywopłotem. Na okrągłym stole przykrytym obrusem w czerwoną kratę czekały dwa nakrycia.

— W czwartki jemy potrawkę — wyjaśnił Orsini. — Moja żona doskonale ją przyrządza.

Pojawił się pan Tronh, który postawił pośrodku stołu rondel i miskę z ryżem.

— Wiem, że do potrawki w białym sosie pasowałaby szklaneczka wina — powiedział Orsini. — Niestety, regulamin zabrania mi podawania panu alkoholu. Proszę nie mieć mi tego za złe.

Pan Tronh usiadł i dał znać Timowi, żeby zrobił to samo. Przed powrotem do willi Antoine Orsini raz jeszcze popatrzył na Tima.

— Zgodnie z obowiązującą tu zasadą do więźniów należy zwracać się, używając ich numeru. Moja żona powiedziała mi, że ma pan na imię Timo. Będziemy tak do pana mówili, bo przecież będzie pan zajmował się moimi dziećmi, a ja nie chcę, żeby ludzie kojarzyli im się z numerami. Podczas posiłku pana Tronha nie opuszczał dobry humor.

— Sporo się o panu mówi w wiosce Van Bay, w obozie dla politycznych — powiedział. — Wszyscy się zastanawiają, jaką zbrodnię mógł pan popełnić. Bo widzi pan, w Indochinach istnieją dwa wymiary sprawiedliwości: jeden dla kolonizatorów, a drugi dla skolonizowanych. Nie ma pan pojęcia, ilu białych gangsterów zdarzyło się spotkać w życiu takiemu staremu

człowiekowi jak ja. Chyba kilkuset. Tymczasem, gdybym nie miał okazji pana poznać, musiałbym stwierdzić, że na Poulo Condore nie widziałem ani jednego białego więźnia.

— Z jakiego powodu pan się tu znalazł? — spytał Timo, głównie po to, żeby okazać staruszkowi zainteresowanie.

— Jestem więźniem politycznym. Wie pan, pochodzę z Północy, Tronh to nazwisko znanego tonkińskiego rodu. Najpierw byłem mandarynem pierwszej klasy u boku cesarza Khay Hanna, ojca obecnego cesarza Bao Dai. Zostałem wyniesiony do pozycji szkarłatnego stroju i funkcji kolumny cesarstwa w wieku dwudziestu pięciu lat. Mianowano mnie cesarskim przedstawicielem przy generalnym rezydencie Francji w Hanoi. Rzecz jasna, nie miałem nic do roboty. Toteż żeby czymś się zająć, zacząłem bawić się w historyka. Odtworzyłem historię kolonii francuskiej, jezuitów, misji wojskowych, kupców, admirałów... Opisałem, jak dowodzone przez francuskich oficerów wojska znacznie częściej obrywały po tyłkach, niż odnosiły zwycięstwa.

— I z tej przyczyny znalazł się pan na archipelagu? Pan Tronh wyglądał na zdziwionego.

— Ależ nie, skądże znowu. Mój pobyt tutaj zawdzięczam pewnemu artykułowi, który napisałem o Bao Dai. Określenie „cesarz kasyn” jest mojego autorstwa. I dlatego tu jestem. — W głosie pana Tronha zabrzmiał poważny ton. — Przyglądam się panu i nie wierzę własnym oczom. O jaką zbrodnię jest pan oskarżony?

— To nieistotne, nie popełniłem jej.

Pan Tronh ruchem ręki dał mu do zrozumienia, że nie zamierza go wypytywać.

— Przynajmniej zalicza się pan do „białych strojów”. W ciągu dnia będzie pan miał spokój i będzie się dobrze odżywał, a zwłaszcza dwa razy na tydzień. To znaczy wtedy, kiedy przygotowuję dla całej rodziny wietnamskie potrawy.

Pan Tronh był człowiekiem wykształconym i znającym obie kultury, azjatycką i zachodnią. Był życzliwy wobec bliźnich

i dużo mówił. Podczas godzinnego posiłku z wyraźnym upodobaniem przeskakiwał z tematu na temat. Opowiadał o tym, jak pięknie udają się warzywa na Grandę Condore, o sieciach rozstawionych w drugim końcu plaży, w które łapia się piękne ryby, a czasem nawet rekiny, co nie było pozbawione znaczenia, jeśli chodzi o ryzyko związane z ucieczką, pomijając oczywiście „łowców ludzi”, o prostytutce w obozie, zjawisku oburzającym z punktu widzenia tradycji konfucjańskiej, o rodzinie Orsinich, przemyślanych ludziach, o liceum Albert-Sarraut w Hanoi, w którym był profesorem kultury sino-annamickiej i gdzie zyskał wielu bliskich przyjaciół wśród francuskich wykładowców... Timo rozkoszował się chwilą. Nie powiedział już ani słowa.

O piątej po południu „białe stroje” z dzielnicy Aujard ustawiły się przy dźwiękach gwizdka pod tamaryndowcami w alei. Timo znów znalazł się z tyłu, obok Phama.

— Jeszcze jeden dzień w życiu więźnia spędzony beczynnym — powiedział sympatyczny Wietnamczyk. — Jestem kancelistą w księgowości obozu i nie mogę powiedzieć, że bym był przeciążony pracą. A ty?

— Spędziłem popołudnie, wylegując się na plaży i patrząc, jak Philippe, syn Orsinich, buduje zamki z piasku. To prawda, że w okolicy archipelagu pełno jest rekinów?

— Chcesz się kąpać?

— Nie, chcę uciec.

— Nie tracisz czasu! Po pierwszym dniu w obozie, w dodatku spędziwszy połowę tego dnia na byczeniu się pod palmami, już mówisz o ucieczce! Posłuchaj mojej rady: zapomnij o tym, wyrzuć tę myśl ze swojego umysłu. Ucieczka to pewna śmierć.

Druga noc w baraku numer dwa obozu „Gniazdo węży” była jeszcze mniej spokojna niż pierwsza. Zapanowała dziwna atmosfera. Gracze siedzący w kręgu żółtego światła po drugiej

stronie baraku milczeli, jakby czekali na coś z niepokojem. Tima znów odwiedziło kilku więźniów o obłąkanych oczach. Pham przegonił ich jednym zdaniem.

Koło trzeciej nad ranem ludzkie cienie, drgające na ścianie w nikłym świetle lampki, zawirowały. Pham spostrzegł, że ciężkie uderzenia i stłumione jęki obudziły także Tima.

Pochylił się ku niemu.

— Timo, nie ruszaj się — szepnął. — Nic nie słyszałeś. Niebo było jeszcze ciemne, kiedy *mata* 86 zaczął walić

kijem w kraty. Pierwszy brzask nie rozproszył jeszcze ciemności.

Więźniowie ustawili się w szeregi przy świetle pochodni. Timo stał na baczność w pierwszym szeregu, widział przed sobą rząd *matas* uzbrojonych w drągi. Przez ostatnie rzędy więźniów, te stojące najbliżej baraku, przebiegało nerwowe drżenie. Timo zrozumiał, że coś się dzieje. Kiedy szli drogą schodzącą ku morzu, a pierwsze promienie światła rozjaśniały horyzont, Pham przekazał mu najnowsze wieści.

— Wybory nowego *caplana* w toku. Sakiet Va, pierwszy zastępca Ngo Sona, został znaleziony dziś rano z nożem w brzuchu. Jak najbardziej nieżywy.

— Wiadomo, kto to zrobił? Pham położył palec na ustach.

— Sza! Niby nikt nic nie wie, ale w rzeczywistości nawet najbardziej ogłupieni przez opium nędzarze są zorientowani. Ukatrupił go Satagi, na pół obłąkany Sikh. Być może jest jeszcze groźniejszy niż Ngo Son.

Uważa się za fakira. Ponieważ umie wnikać w ludzkie umysły, domaga się stanowiska *caplana*. Będzie musiał wykazać się sporą wiedzą na temat ezoterycznej transcendencji.

Timo pomyślał, że wykształceni Azjaci — a Pham, choć był więźniem kryminalnym, z pewnością był wykształcony (zapewne pracował jako księgowy i przyłapano go na jakichś machlojkach) — posługują się językiem wyszukany, choć nieco archaicznym.

— Ciekaw jestem, czy nasz kochany fakir będzie żył jeszcze dziś wieczorem — dodał Pham, po czym przysunął się do Tima i spytał półgłosem: — Timo, może potrzebujesz pieniędzy? Mogę ci ich dostarczyć.

— Pieniądzy? — zdziwił się Timo.

— Tak, na grę albo coś w tym rodzaju...

Timo nie prosił o wyjaśnienia. Postanowił za to stopniowo poznawać tajniki Grandę Condore. Być może spędzi tu wiele lat. Musi przecież zostawić sobie jakieś niespodzianki.

Mijały dni. Więźniowie z baraku numer dwa przyzwyczaili się do obecności Tima. Z początku myśleli, że to kapuś przysłany przez Francuzów. Dziwaczy pomysł! Po dwóch tygodniach zapomnieli wreszcie o jego białej skórze i błękitnych oczach i zajęli się swoimi sprawami. Nieliczni, którzy nie byli dotknięci obłędem, oddawali się bez reszty hazardowi lub opium. W jaki sposób „czarny ryż” docierał do baraków? Dostarczali go sami *matas* i był to towar dobrej jakości, kupiony jak najbardziej legalnie, sprzedawany przez indochiński monopol.

Pan Tronh, człowiek wrażliwy i tolerancyjny, przestawał się uśmiechać, gdy podczas obiadów w altanie Orsinich rozmowa schodziła na opium.

— Z tego jednego powodu zawsze będę wrogiem Francji, mimo że jestem antykomunistą i przeciwnikiem Bao Dai, a także mimo tego, iż uważam kulturę francuską za jeden z cudów świata. Francuzi i Anglicy narzucili nam opium przemocą oraz wojną. Doprowadzili do upodlenia ludzi, którymi mieli się opiekować. Tutaj także Francuzi dostarczają czarny ryż, chociaż to *matas* zajmują się bezpośrednią dystrybucją. Kiedy myślę o tych wszystkich wyniszczonych nieszczęśnikach, o tych godnych ubolewania kulisach, którym pomieszało się w głowach przez francuską truciznę! Kiedy Wietnam osiągnie *doc lap*, niepodległość, zamkniemy wszystkie palarnie.

W oczekiwaniu na *doc lap* więźniowie, przy użyciu bambusowych fajek, doprowadzali się do szaleństwa w upiornym dormitorium. Najbardziej wynędzniali z nich zadowalali się osadem, potworną substancją, która niszczy organizm już po kilkakrotnym spożyciu.

Życie w obozie na Poulo Condore toczyło się dalej. Fakir Satagi pełnił obowiązki *caplana* baraku numer dwa przez zaledwie tydzień. Jego zmasakrowane ciało znaleziono pod koniec dnia pracy u stóp urwiska pod latarnią Morskich Jaskółek, nieopodal miejsca, gdzie „niebieskie stroje” harowały czternaście godzin na dobę przy budowie linii kolejki wąskotorowej. Jego następcą, malajski pirat wód indonezyjskich, został pewnego ranka wyniesiony z baraku niczym zdechły pies, miał zmiażdżoną czaszkę. Kolejny, który był wojownikiem z plemienia Miao, padł ofiarą potężnej dawki soku z bielunia. Znaleziono go rano, z rękami przyciśniętymi do brzucha i wybałuszonymi oczami.

W wyniku potajemnych i niełatwych negocjacji, pozostali jeszcze przy życiu pretendenci do urzędu *caplana* postanowili rozstrzygnąć sprawę nominacji następcy Ngo Sona za pomocą chińskiej gry w trzydzieści sześć zwierząt. Rozgrywka w kącie baraku trwała całą noc. Kiedy zabrzmiały pierwsze uderzenia *lacadouille 'a*, konklawe zesłańców wybrało już swojego papieża.

Wybraniec, Lam Cau, utrzymywał, że należy do sekty, która pojawiła się ostatnio na północnym wschodzie Kochinchiny, zwanej Hoa-Hao. W dowód swego oddania jej założycielowi, nader trafnie przezwanemu „szalonym mnichem”, a także by zaspokoić jego nieposkromioną żądzę bogactwa, Lam Cau wymordował setki bogatych — i biednych — wieśniaków z Transbassac.

Służba Tima u rodziny Orsinich stawała się z dnia na dzień coraz przyjemniejsza. Angele tak bardzo starała się, żeby nie

upokarzać mężczyzny pracami gospodarskimi, że Timo musiał nalegać, by pozwolono mu pomagać w domu.

Gdy podczas obiadu zasiadali pod grabami, pan Tronh opowiadał o swoich projektach ogrodniczych i udanych szczepieniach, cytował też wietnamskich poetów, choć jeśli chodzi o ten temat, Timo wykazywał bezbrzeżną ignorancję.

— Jest pan więźniem Poulo Condore i nigdy nie słyszał pan o Pham Chau Trinh? — Ogrodnik załamał ręce. — Napawa mnie to głębokim smutkiem. *Nie poddawajcie się bracia zbyt głębokiej rozpacz; bez tego, któż z was by Poulo Condore zobaczył? Znam wszystkie dzieła Pham Chau Trinha na pamięć* — powiedział mandaryn. — Ten wielki poeta narodowy spędził tu wiele czasu przed rokiem tysiąc dziewięćset czter-nastym. Jego poezja jest nieśmiertelna.

Kilka dni później Timo odkrył u wykształconego pana Tronha cechę charakteru, której się nie domyślał. Pod koniec posiłku, przy kawie, odruchowo sprawił, że zniknęła łyżeczka — magiczne sztuki do tego stopnia weszły mu w krew, że zrobił to właściwie nieświadomie.

Oślupiały Tronh poprosił, żeby Timo powtórzył sztuczkę. Timo ze śmiechem spełnił jego prośbę.

— To cudowne! — wykrzykiwał zachwycony pan Tronh. — Nadprzyrodzone!

— Nie ma w tym niczego cudownego, panie mandarynie, jest to też w znacznie mniejszym stopniu nadprzyrodzone niż dzieło Pham Chau Trinha. Jestem z zawodu iluzjonistą.

— A z kartami? — spytał zaaferowany Tronh.

— Owszem, znam parę sposobów, żeby je ożywić — potwierdził Timo, nieco zaskoczony zainteresowaniem starego Annamity.

Następnego dnia pan Tronh nie czekał na koniec posiłku i od razu położył na stole talię kart do pokera. Timo zdziwił się, bo karty były prawie nowe.

— Komuniści zakazali gier hazardowych w wiosce Van Bay — wyjaśnił zwawo pan Tronh. — Twierdzą, że skłonność do hazardu jest największą wadą Azjatów i że rewolucjoniści

muszą dawać przykład czystości. W każdym razie pierwszym posunięciem niezależnego rządu będzie zlikwidowanie kasyn i szulerni.

— A więc gdy nastanie niepodległość, pan znów znajdzie się w więzieniu — zauważył Timo.

— Tak. Ale nie szkodzi, o to będziemy martwili się później. Ponieważ nie mamy jeszcze niepodległości, korzystajmy z naszego zniewolenia! Z wewnętrznej kieszeni białej bluzy wydobył gruby plik banknotów i położył je obok kart.

— Mam tu dwa tysiące piastrów. Pożyczę panu połowę tej sumy, by mógł pan być godnym przeciwnikiem.

— A co, jeśli przegram?

— Ależ o niczym innym nie marzę! Jeśli wszystko odbędzie się zgodnie z moimi oczekiwaniami, drogi Timo, zostanie pan najbardziej zadłużonym człowiekiem w Indochinach.

Nadzieje pana Tronha rozwiały się w kilka minut. Zaślepiiony doskonałymi kartami, które dostawał z ręki, uczony pan Tronh, szacowny hazardzista, licytował wysoko, nie przypuszczając, że jego przeciwnik kontrolował każde rozdanie. Po czterech rozgrywkach odzyskał rozsądek.

— Nie będę już z panem grał — oznajmił. — Cały urok gry polega na zetknięciu z przypadkiem, czymś niedotykalnym, innym wymiarem. Pan jest silniejszy od duchów, nie ma pan jednak ich wdzięku. Jestem szczęśliwy, że wygrał pan te tysiąc piastrów. Odtąd życie wyda się panu mniej okrutne.

— Rozumiem, co ma pan na myśli — powiedział Timo zamyślony. — Będę mógł zagrać w tajnej szulerni baraku numer dwa. Będę niepokonany w każdym rodzaju gry.

Tym razem wyraz twarzy pana Tronha był wyjątkowo poważny.

— Właśnie dlatego, że będzie pan niepokonany, nie wolno panu pod żadnym pozorem mieszać się do nędznych rozgrywek więźniów kryminalnych. To prości ludzie, wie pan, uznają pana „szczęście” w grze za coś diabolicznego. Dla jednych

stanie się pan bogiem, dla drugich szatanem. W takim wypadku nie daję panu więcej niż miesiąc życia.

— A więc w jaki sposób pieniądze, które właśnie od pana wygrałem, sprawią, że życie stanie się mniej okrutne? Jakiż pożytek z tego tysiąca piastrów?

Pan Tronh pogładził swoją bródkę.

— Sądziłem, że magicy obdarzeni są zdolnością obserwacji.

— A co miałbym zaobserwować?

— Mógł pan zauważyć, że pewne damy oferują określone usługi niektórym panom w białych strojach — odpowiedział Tronh z rozbawieniem. — Nie dalej jak sto metrów stąd żona pewnego strażnika annamickiego — zdaje się, że chodzi o *mata* osiemdziesiąt sześć — z przyjemnością ugości pana w swej chacie, oczywiście pod warunkiem, że uświetni pan wizytę pewną ilością piastrów.

Timo był zaskoczony. Nie zauważył dotąd, iż żony niektórych annamickich strażników oddają się dodatkowej lukratywnej działalności. Był tak wstrząśnięty przybyciem do „Gniazda węży”, że nie w głowie mu były erotyczne przygody, a choć często myślał o Laurence, zdarzało się to tylko w środku nocy, gdy wzywał ją na pomoc.

dzieciak bywał niesforny, a nawet niegrzeczny. Wystarczyło jednak, by znikły muszelki, gdy uderzyć pięścią o pięść, i nieznośny bachor zmieniał się w zachwyconego dzieciaka. Kiedy Timo wyciągnął mu monetę — dziesięć *sapeques* — zza ucha, Philippe Orsini był uszczęśliwiony. Od tej chwili nowy „biały strój” cieszył się jego szacunkiem i posłuchem. Mały przestał wychwalać potężne mięśnie i smoka wytatuowanego na piersi Ngo Sona. Mały zwierzak znalazł nowego przywódcę stada. Autorytet zawsze wiąże się z podziwem.

Ale co się stało strażnikowi Renucciemu? Był tak nieuprzejmy w dniu przybycia Tima, a teraz z dnia na dzień był dla niego coraz miłszy. Kilka razy w tygodniu odwiedzał Orsinich w porze posiłku i dowiadywał się, co słyhać u dwóch więźniów jedzących obiad w altanie. Wypytywał pana Tronha o jego doświadczenia ogrodnicze, a wtedy były mandaryn wygłaszał pochwały roślinności i klimatu Poulo Condore. Innym razem, ku zaskoczeniu Tima, przyszedł dowiedzieć się o plany dotyczące kolejnej sztuki wystawianej przez pensjonariuszy obozu dla więźniów politycznych.

— Był już *Lekarz mimo woli*, co teraz pan wystawi, panie Tronh?

Chorego z urojenia!

— Nie. Nic z tych rzeczy. Miałem z początku zamiar przerobić na scenę *Hrabiego Monte Christo*, panie szefie — powiedział Tronh z figlarnym błyskiem w oku. — Zna pan tę powieść? Autorem jest Aleksander Dumas. Opowiada historię niewinnego więźnia, który spędził dwadzieścia lat w twierdzy. Niestety, musiałem z tego zrezygnować.

— A czemuż to?

— Niech pan pomyśli, drogi panie Renucci: niewinny, uwięziony przez dwadzieścia lat... Wszyscy przyjaciele z wioski Van Bay zwrócili mi uwagę, że coś takiego jest nie do pomyślenia pod ojcowskim okiem Francji. Musiałem więc zrezygnować z *Monte Christo*. Zamiast tego postanowiłem napisać po francusku sztukę teatralną, opartą na motywach mitu o powstaniu Wietnamu. Czy któryś z panów zna legendę o smoku,

który poślubił czarownicę, a z tego związku urodziło się pięćdziesięciu synów i pięćdziesiąt córek? Oczywiście inscenizacja będzie dość trudna.

— Będziecie gotowi na ósmego stycznia, kiedy przypada święto *Tet2*? Ile osób potrzeba, żeby przedstawić okazałego smoka?

— Około setki. To znaczy około setki na tułów i drugie tyle na głowę. Nie wiem tylko, jak sprawić, żeby nasz smok nie miał gęby suma. A do tego jeszcze krepa, obręcze i petardy, żeby obudzić smoka, gdy nastaną ciepłe dni...

— Ten pański smok jest być może łaskawy, panie Tronh, ale tani na pewno nie — stwierdził Renucci. — Pan dyrektor zadecyduje, czy kolonię stać na sfinansowanie takiego stwora.

Podczas gdy pan Tronh i strażnik omawiali korzyści płynące ze smoka, który wibrywał się aleją Aujard, Timo machinalnie sięgnął po talie kart zostawioną przez pana Tronha na stole. Nie myśląc o tym, co robi, przetasował talie jedną ręką i rozłożył karty w wachlarz w lewej dłoni. Strażnik oniemiał ze zdumienia. Pan Tronh, który znał tę sztukę, stwierdził z miną znawcy:

— To efektowne, nieprawdaż, panie szefie? Nasz przyjaciel Timo jest artystą wysokiej klasy. Manipulowanie kartami przy użyciu jednej ręki jest niezwykle trudne. A słyszał pan kiedyś o ambitnej karcie?

Zwabiona okrzykami podziwu wydawanymi przez strażnika Renucciego, w altanie zjawiała się cała rodzina Orsinich. Timo urządził więc pokaz karcianych sztuczek, jakich nauczył go Rooster. Angele trzymała córeczkę na rękach i mówiła, że to cudowne; jej zachwycony mąż powtarzał, że to niewiarygodne, a Philippe, siedzący okrakiem na krześle, klaskał z zachwytem. Gdy przedstawienie się skończyło i umilkły pochwały, pan Tronh rzucił jakby od niechcienia:

— Czy to nie byłby dobry pomysł, żeby pan Timo dał pokaz podczas święta *Tef*?

— I po co pan to mówi, panie Tronh? — spytał Renucci ze smutkiem. — Wie pan dobrze, że kryminalni nie mogą brać udziału w spektaklu ani jako widzowie, ani jako aktorzy.

— Szkoda — westchnął Tronh.

— To okropne — dodała Angele. Strażnik Renucci zawahał się.

— To smutne, że numer dziesięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt sześć został umieszczony w „Gnieździe węży” — stwierdził. Zawiesił głos, by podkreślić znaczenie tego, co miał powiedzieć. — Nie ma jednak powodu sądzić, że ta sytuacja nie ulegnie zmianie.

Timo zerwał się z miejsca. Pan Tronh podszedł do Renucciego i stanął nad nim.

— Panie szefie — powiedział stary Annamita — jeżeli wie pan o czymś, proszę nie trzymać nas w niepewności.

Renucci odwrócił się do Tima.

— Młody człowieku, nie trzeba tracić nadziei. Być może wkrótce piekło „Gniazda węży” będzie dla pana wspomnieniem.

— Proszę powiedzieć nam coś więcej — nalegał pan Tronh. Strażnik rozłożył bezradnie ręce.

— Na razie niczego nie mogę zdradzić. Musi pan jednak wiedzieć, że pewne osoby w Sajgonie nie zapomniały o panu.

Tak jak co dzień, o piątej po południu Timo stanął w szeregu wraz z innymi „białymi strojami”, mającymi ruszyć w stronę baraków „Gniazda węży”. Przez całe popołudnie spędzone na plaży, podczas gdy Philippe bawił się z innymi dziećmi białych strażników, rozważał słowa Renucciego. „Pewne osoby w Sajgonie nie zapomniały o panu”. O kim mówił? Laurence była w podróży i przypuszczalnie jeszcze przez miesiąc będzie w Wientianie. Nie mogło więc chodzić o nią. Pan Cheng pewnie nie wrócił jeszcze z Kantonu. Kim więc mogli być przyjaciele, którzy o nim nie zapomnieli?

Pham zajął swoje miejsce w szeregu więźniów z ponurą miną. Jego życzliwy uśmiech i łagodne spojrzenie zniknęły bez śladu. Timo spytał, co jest przyczyną smutku przyjaciela.

— Otrzymałem dziś dwie wiadomości — powiedział Wietnamczyk — jedną znakomitą, a drugą bardzo złą. Na szczęście ta dobra dotyczy ciebie: wbrew wszelkim oczekiwaniom dyrektor postanowił przydzielić cię do politycznych. Tak więc dla ciebie piekło „Gniazda węży” skończy się już po miesiącu. Będziesz mógł czekać na proces w spokoju, bezpiecznie, a nawet we względnym dobrobycie.

Timo nie mógł powstrzymać westchnienia ulgi. Pham mówił dalej:

— Jak się domyślasz, twoje przeniesienie do politycznych wcale mnie nie martwi. Przeciwnie, cieszę się, że ci się udało. Otrzymałem jednak inną informację, która mnie zasmuciła. Otóż kiedy aresztowała mnie policja i zostałem przewieziony na archipelag, a było to już sześć miesięcy temu, moja żona z dziećmi opuściła Sajgon. Nikt nie wie, dokąd się udali.

Odchodzę od zmysłów z niepokoju.

Tego wieczoru, po raz pierwszy, odkąd Tim go poznał, Pham poddał się rozpacz.

— Tu, na zesłaniu najcięższe ciosy dosięgają cię z zewnątrz — wyjaśnił bezbarwnym głosem. — Czego by nie mówić, tutaj zawsze można się bronić. W gruncie rzeczy tyranii *caplanów* poddają się tylko ci, którzy się na nią zgadzają. Dysponuję tu znacznymi wpływami, ponieważ potrafię czytać i pisać po chińsku i annamicku, znam też znaki *coq-ngu*, posługuję się francuskim, khmerskim i laotańskim. Najstraszniejszy *caplanje* mi z ręki, bo przecież nawet on chce wiedzieć, co dzieje się na zewnątrz, w jego poprzednim życiu. Teraz jednak czuję się podwójnie uwięziony. Pozbawiony swobody poruszania się i pozbawiony informacji.

— Może to tylko chwilowe, może wkrótce otrzymasz jakieś wieści...

— Ta sytuacja trwa już od wielu miesięcy. Bardzo źle się dzieje, że nikt nie oddaje czci naszym przodkom. Nie tylko nikt nie dba o ich groby, ale i nie ma kto składać ofiar ze świętych wizerunków. Nasi zmarli muszą czuć się porzuceni. Jak przetrwają, skoro wszyscy o nich zapomną? Co stanie się z nieszczęśnikami, którzy odeszli? Postanowiłem uciec — dodał, jakby to było oczywistym wnioskiem.

Timo milczał przez chwilę, po czym odezwał się równie spokojnym tonem, z namysłem, żeby dać Phamowi do zrozumienia, że nie sili się na ironię.

— Więźniowie Poulo Condore powinni wyzbyć się wszelkiej nadziei na ucieczkę. Ucieczka to śmierć.

— Ryzyko jest ogromne, to prawda. Rzeczywiście, bardzo często kresem drogi jest śmierć.

— Wyrażaj się ściślej, Pham. Zdarzało mi się widzieć płetwy rekinów w wodzie w pobliżu plaży. Czasami przepływają tak blisko, że każę Philippowi oddalić się od brzegu. Pan Tronh mówił mi, że to wielkie białe rekiny zwane ludojadami.

— Owszem, to straszliwe bestie — potwierdził Pham. — Jednak najbardziej niebezpieczny jest człowiek. Wydaje ci się, że poznałeś szczyt okrucieństwa w osobach *caplanów*. Dla ciebie Ngo Son i jego następcy są najbardziej odstręczającymi ludźmi. Otóż są jeszcze lepsze przykłady, albo raczej coś o wiele gorszego, i to tutaj, na archipelagu Poulo Condore. Potwory nazywa się „łowcami ludzi”. To Khmerzy najęci przez administrację więzienną w celu zapobiegania ucieczkom. Za każdego zabitego uciekiniera dostają tysiąc piastrów nagrody. Za dowód wystarczą nos i uszy ofiary. Ciała rzucają się rekinom.

— Urocze...

— I ty też wciąż myślisz o ucieczce? Jutro znajdziesz się w wiosce Van Bay. Poulo Condore stanie się dla ciebie miejscem spokojnym i bezpiecznym. Nie rozumiem, dlaczego chcesz podjąć takie ryzyko.

— Powiedzmy, że mam sprawę do załatwienia — uciął Timo. — Każdy spędzony tu dzień to stracony czas.

Pham nie zadawał więcej pytań. W głosie Tima brzmiała spokojna determinacja, a tej właśnie cechy oczekiwał od towarzysza ucieczki.

— Dopłyniemy do brzegów Kochinchiny — szepnął. — W zasadzie powinniśmy dotrzeć do brzegów Zatoki Syjamskiej. Może się zdarzyć, że południowe wiatry zepchną nas na północ, w okolice Hue. W każdym razie, dokądkolwiek dopłyniemy, oznaczać to będzie, że przeprawa się powiodła.

— Będziemy potrzebowali łodzi — zauważył Timo.

— Będziemy musieli zadowolić się tratwą z żaglem.

— W jaki sposób ją zbudujemy?

— Nie będziemy budowali żadnej tratwy — sprostował Pham — po prostu ją kupimy. Będziesz musiał się dorzucić, działając we dwójkę, zyskamy na czasie.

— A ile kosztuje ten twój okręt? — spytał Timo rzeczowo.

— Pięć tysięcy piastrów.

— Moje przeniesienie do politycznych bardzo nam się przyda. W ciągu trzech dni zgromadzę te pięć tysięcy.

— Chcesz ograbić politycznych?

— Ograbić? Zrujnować, po prostu i zwyczajnie oskubać. Polityczni czy nie, komuniści czy nacjonałiści, wszyscy Azjaci są nałogowymi graczami, od kulisa po mandaryna, wszyscy są niepoprawnymi hazardzistami. Komuniści zgrywają wielkich moralistów i zakazują gier hazardowych. Akurat!

O świcie następnego dnia, gdy kolumna „białych strojów” się rozproszyła i więźniowie rozeszli się w kierunku poszczególnych domów w alei Aujard i do biur dyrekcji, strażnik Renucci dał znak Timowi, żeby się zbliżył.

— Pan dyrektor przyjmie pana o jedenastej — oznajmił. — Dobre wieści zostały potwierdzone. Powinien pan podziękować komuś za interwencję w swojej sprawie. Może wie pan, o kogo chodzi?

— Nie mam zielonego pojęcia — odpowiedział Timo tak

szczerze, że nie można było mieć żadnej wątpliwości, co do jego niewiedzy.

— Przyznaję, że ja również nie posiadam żadnych informacji na ten temat. Musi pan wiedzieć, że jest pan nie tylko pierwszym białym więźniem na Grandę Condore, ale również jedynym więźniem kryminalnym, którego dyrekcja przeniosła do więźniów politycznych, naruszając zresztą przy tym regulamin. Wnioskuje, że opuszczenie piekła zawdzięcza pan jakiejś wpływowej osobistości, dysponującej przy tym znajomością poufnych faktów i obdarzonej talentem do perswazji. W przeddzień przybycia do obozu dla politycznych, podczas porannego spotkania „białych strojów” z alei Aujard, Pham powiadomił go o piętrzących się przeszkodach.

— Osoba, z którą się kontaktuję, właśnie powiedziała mi, że nasza tratwa została uszkodzona podczas wodowania. Wymaga jeszcze miesiąca prac. A to nie koniec złych wieści. Opóźnienie naszego odjazdu o miesiąc sprawi, że wyruszymy na morze w środku sezonu tajfunów.

— A więc skorzystamy z silniejszego wiatru — orzekł Timo szorstko. — Przed nami krótszy rejs.

Zbity z tropu tą niezbyt roztropną odpowiedzią Wietnamczyk wymamrotał pod nosem:

— Tajfun nie przyspiesza żeglugi. Tajfun zatapia wszystko, co pływa. — Po czym podjął na głos: — Jest jeszcze jedna przeszkoda.

Budowniczo wie tratwy podnieśli stawkę. Żądają dziesięciu tysięcy piastrów. Czy zdołasz tyle zgromadzić?

— Tego nie wiem. Rzecz nie polega na tym, żeby oskubać więźniów politycznych, którzy są amatorami pokera, czyli wszystkich, o ile dobrze zrozumiałem. Trudność jest innej natury: jak nalać z pustego naczynia?

Podczas południowego posiłku Timo zaproponował, że pokaże panu Tronhowi grę w trzy karty, czym bardzo rozbawił starego Wietnamczyka.

— Chcesz mi pokazać grę w trzy karty, młody człowieku? — wykrzyknął, zanosząc się od śmiechu. — Cóż za próżność!

Dowiedz się, że Azjaci znają wszystkie gry hazardowe tej planety. To my je wynaleźliśmy, rozumiesz? Wszystkie, bez wyjątku. — Dotknął palcem karty leżącej pośrodku. — Musiałbyś bardzo się postarać, żeby mnie nabrać... Gdzie jest as kier? — powiedział, naśladując prowadzącego grę. — W podróży po lewej, odpoczywa po prawej? Nic podobnego! Pozostał w swoim domku z dachem jak pagoda. As kier jest pośrodku, między dwoma towarzyszami broni!

Odwrócił kartę i zobaczył asa treflowego.

I otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

— No nie, synu, nie zauważyłem! Niczego nie zauważyłem! Jesteś lepszy, niż myślałem. — Popatrzył figlarnie na Tima. — Nie rozumiem, dlaczego wsadzono cię do więzienia. W Azji prestidigitatorzy twojej klasy uważani są za bogów, nie za przestępców. Rozumiem za to, że zamierzasz ograć swoich nowych towarzyszy.

— Co też pan mówi, panie Tronh! — Timo udał, że nie wie, o czym staruszek mówi.

— Ależ chłopcze, czyżbyś chciał mi wmówić, że przygotowujesz pokaz magii na święto czternastego lipca? Nie musisz się obawiać. Jeśli chodzi o więźniów politycznych, możesz ogrywać, kogo zechcesz!

— Nie poczuwa się pan do solidarności politycznej, panie Tronh? — zdumiał się Timo.

— Najmniejszej. Wyznawcy Bao Dai nie znoszą mnie, ponieważ nazwałem Jego Wysokość „cesarzem kasyn”. Nacjoniści wiedzą, że podejrzewam ich o chęć zamienienia francuskiego kolonializmu na kolonializm japoński. Komuniści chcą doprowadzić do tego, żebyśmy wszyscy maszerowali w jednym szeregu, a to bynajmniej nie budzi mojego entuzjazmu. Krótko mówiąc, drogi Timo, ogrywaj, kogo chcesz. Masz moje błogosławieństwo.

Jednak tego wieczoru nikt nie został ograny, ograbiony ani oskubany przez uzdolnionego Tima Auberę, ongiś z Sebasto. Wydarzenie niezwyklej wagi wywołało w barakach więźniów

politycznych wioski Van Bay dyskusje tak ożywione, że mało brakowało, a skończyłyby się bijatyką. Kolejni mówcy wygłaszali długie przemowy. Gdy któryś z nich skończył, siadał wśród widzów, wstawał następny mówca, na nowo wywołując wzburzenie publiczności.

Przemowy, proklamacje, okrzyki i wyzwiska wygłaszane były po wietnamsku. Timo nie miał pojęcia, co za zdarzenie spowodowało, że spokój obozu numer dwa przekształcił się w wybuch wulkanu. Nie wiedząc, jak zachować się wobec rozgrywającego się na jego oczach widowiska, trzymał się na uboczu, siedząc na nasypie, odgradzającym wioskę od tonącej w ciemnościach plaży.

Po jakimś czasie dołączył do niego przygnębiony pan Tronh.

— Sprawa jest poważna — powiedział. — Na szczęście wszyscy zachowują spokój.

— Co się dzieje?

— Dzieje się to — odpowiedział Wietnamczyk — że Japonia odniosła sukces w wojnie przeciwko Chinom. Dotarła do nas wiadomość, że ostatnio, a mamy koniec roku trzydziestego siódmego, po czterech miesiącach zaciętych walk, wojska Kraju Wschodzącego Słońca zdobyły Szanghaj.

Timo nie zareagował, co wzbudziło irytację Tronha.

— To przecież łatwo zrozumieć, mój chłopcze... Jak widzisz, w obozie nastąpił rozłam. Niektórzy nacjoniści odnoszą się przychylnie do Japonii. Uważają, że od czasu wojny z Rosjanami w tysiąc dziewięćset piątym Japończycy stanowią ostrze włóczni w walce przeciwko białemu człowiekowi. Inni twierdzą, że prawdziwym chorażym Azji jest Sun Jat-sen. Ci lękają się, że europejski kolonializm zostanie zastąpiony japońskim imperializmem.

— A komuniści?

— Komuniści zabawiają się napaśczeniem nacjonalistów na siebie nawzajem. Uważają, że Mao Tse-tung połączy siły z Czang Kajszekiem przeciwko Japończykom. Unikają więc zajęcia stanowiska. Przyczaili się jak tygrys ukryty w wysokich

trawach. Nawiasem mówiąc, komuniści nigdy nie kierują się impulsem, czekają na rozkazy.

— Czyje? — spytał naiwnie Timo.

— Rozkazy Kominternu, czyli rozkazy z Moskwy, jeśli wolisz. — Popatrzył na młodego mężczyznę z ubolewaniem i pobłażaniem jednocześnie. — Jak to się dzieje, że tak zupełnie nie masz pojęcia o polityce?

— Prowadzę własną wojnę — oświadczył Timo twardo. — Mam sprawę do załatwienia, reszta świata mnie nie obchodzi.

— Pozbądź się złudzeń. Reszta świata zadecyduje o twoim losie.

— A pana zdaniem, panie Tronh, jak zachowa się Francja wobec więźniów politycznych na Poulo Condore?

— Moim zdaniem ogłosi amnestię, tak samo jak w trzydziestym szóstym, i wypuści wszystkich skazanych z powodów politycznych. Rozumiem, że ta odmiana sytuacji cię niepokoi, mój chłopcze. Ty nie jesteś tak naprawdę więźniem politycznym. Co z tobą zrobią?

— Być może odeślą mnie z powrotem do „Gniazda węży” — powiedział Timo bezbarwnym głosem.

— To byłoby potworne. — Pan Tronh załamał ręce. — Krótko mówiąc, nie wahaj się, mój chłopcze.

Timo zrobił zdziwioną minę.

— Odkąd zobaczyłem cię u Orsinich, zrozumiałem, że myślisz tylko o jednym, o ucieczce — wyjaśnił pan Tronh.

Timo ruchem głowy wskazał grupki więźniów skupionych wokół ognisk przed barakami.

— Ta nowa sytuacja przeszkadza mi w ucieczce także w inny sposób — powiedział.

— Nie rozumiem.

— Aby przepłynąć morze, muszę mieć łódź. Nic specjalnego, zwykłą krykę. A na to potrzebuję pieniędzy.

— A więc? — Tronh nie rozumiał, do czego zmierza Timo.

— Nie kryłem przed panem, w jaki sposób zamierzam zdobyć pieniądze.

— Nie zapomniałem o tym — zapewnił Wietnamczyk. — Zamierzasz zorganizować coś w rodzaju zbiórki na ten cel wśród więźniów politycznych. No i co?

Tym razem Timo poczuł się zbity z tropu.

— Jak to co? To, że wszyscy ci panowie wydają się zbyt przejęci wojną między Japonią a Chinami, by oddawać się rozkoszom pokera i gry w trzy karty.

Tronh znów zrobił minę pełną ubolewania.

— Doprawdy, jesteś naiwny, mój chłopcze. Oczywiście, dziś wieczorem myśli tych panów zajmuje ważne wydarzenie, które dotyczy całej Azji. Interesują się żywo polityką, ale są także Azjatami, a to znaczy, że hazard mają we krwi. Możesz mi wierzyć, wkrótce będziesz mógł zacząć liczyć swoje piastry. Nacjoniści i komuniści zapewne wkrótce wyjdą na wolność, a wolność jest piękną rzeczą! Ale zapamiętaj moje słowa, nim ją odzyskają, stracą swoje oszczędności.

Rozdział 19

Wieczorem 20 stycznia 1938, podczas zbiórki pod tamaryndowcami w alei Aujard, Pham wyznał Timowi, że nie rozumie, co się dzieje.

— Może to miejsce tak działa? Wszyscy poszaleli! Zaledwie tydzień temu mój kontakt przekazał informację, że nasza krypa jest uszkodzona i nie może wypłynąć w morze, a cena podskoczyła dwukrotnie...

— I co z tym szaleństwem? — przerwał mu Timo.

— Nie dasz wiary: dziś po południu mój kontakt przyszedł prosto do biura, w którym pracuję, do księgowości.

— Myślałem, że spotykacie się potajemnie.

— Tym razem zrezygnował z konspiracji. Wszedł do biura pod nieobecność Renucciego. Zupełnie otwarcie powiedział mi, że prace nad naprawą naszej tratwy przebiegły szybciej, niż przewidywano. Ponadto wcale nie chodzi o żadną tratwę, jest to raczej łódź rybacka, i to prawdziwa, na której można postawić żagiel. Wzmocnili nawet burty, dla ochrony przed rekinami.

— A to dopiero! — zdumiał się Timo.

— To nie wszystko. Cena spadła w ciągu tygodnia z dziesięciu do dwóch tysięcy piastrów.

— Powiedzieli ci dlaczego?

— Mój kontakt wyjaśnił, że na całym archipelagu nie da się zgromadzić dziesięciu tysięcy piastrów, chyba że na rok po-

zbawiając pracy żony wszystkich *matas*... Kiedy będziesz miał te dwa tysiące?

— Jeszcze dziś wieczorem otwieram kasyno w wiosce Van Bay. Nie nadużywając zanadto mojego talentu, będę potrzebował na to trzech godzin.

— Gdy tylko mój kontakt wyszedł z biura — ciągnął Pham — pojawił się inny „biały strój”. Przedstawiono mi Minha jako wieśniaka z My Tho, osady w delcie Mekongu, z której pochodzi moja rodzina. Dziwne, ale nigdy przedtem go nie widziałem. To trzeci przejaw szaleństwa.

— Prawdziwa epidemia!

— Minh jest więźniem politycznym, komunistą, którego spotkałeś z pewnością w wiosce Van Bay. Powiedział mi, że darzy cię wielkim szacunkiem.

— Cóż takiego zrobiłem, że zasłużyłem na szacunek komunistycznego antykolonialisty? — spytał Timo.

— Pomiedzy politycznymi krążą wieści. Rozeszła się wiadomość, że zamierzasz uciec. Stąd jego szacunek. Zadaniem Minha jest nadzór nad intendenturą kolonii penitencjarnej. W tajemnicy odłożył dla nas dwadzieścia puszek sucharów, szynkę i trzy kanistry wody. Wystarczy na miesiąc.

— Co należy sądzić o tej lawinie dobrych wiadomości? — zastanawiał się Timo. — Mam wrażenie, że od samego początku, od mojego przybycia na Poulo Condore, jakaś ukryta ręka pociąga za sznurki i przeszkody znikają jak zaczarowane.

Pham miał inny pogląd na tę sprawę.

— Ja tam się nie dziwię, że szczęście nam sprzyja, tylko z niego korzystam. Tak więc, do rzeczy: nadal chcesz uciec? Spotykamy się zatem jutro w południe w tym miejscu. Z tymi bukłakami na plecach dojdziecie do zatoczki, w której czeka łódź, zajmie nam dwie godziny. Jeżeli będziemy mogli zapłacić, wyruszymy od razu.

— Wypłyniemy więc na morze o drugiej po południu — zauważył Timo.

— Będziemy uciekali w biały dzień?

— Mój kontakt twierdzi, że nic nam nie grozi.

— A Kambodżanie?

— Łowcy ludzi będą zajęci po drugiej stronie przylądka. Timo rzucił mu spojrzenie pytające i zarazem nieco znużone.

Pham mówił dalej:

— Mój kontakt dysponuje informacjami o innej próbie ucieczki. O świcie tratwa uciekinierów z „Gniazda węży” zostanie zauważona w południowej części archipelagu. Minie cały dzień, nim Kambodżanie ich dopadną. Przez ten czas nie będą się nami zajmowali.

— Kambodżanie ich zamordują... — wyszeptał Timo. *Matas* nadzorujący „białe stroje” wracające do obozu numer jeden gwizdkami ponaglali maruderów. Pham *zaczynał* tracić cierpliwość.

— Słuchaj, Timo, każdy odpowiada za siebie. Czy wyruszymy, czy nie, tamci uciekinierzy nie wyjdą z tego cało. Jeśli nie chcesz uciekać, powiedz od razu, ucieknę sam.

— Nie ma mowy! Jutro w południe spotykamy się, zgodnie z umową. Dwie godziny później dwa tysiące piastrow, cena łodzi rybackiej, znalazły się w kieszeni Tima, ale zdobył je w sposób zgoła niespodziewany.

Kiedy zapadła noc, siedział przez dłuższą chwilę na piaszczystej plaży. Od południowego przylądka wiał chłodny wiatr. Jeżeli się utrzyma, przeprawa do brzegów Kochinchiny może potrwać niewiele dłużej niż tydzień. W mroku rozlegały się krzyki dzikich zwierząt, ryki drapieżników, piskliwe skowoty małą, pohukiwanie nocnych ptaków i rozdzierające jęki skazańców z „Gniazda węży”.

Wkrótce do Tima dołączył pan Tronh.

— Kiedy wreszcie skończą się te polityczne debaty? — spytał Timo. — Już nie mogę się doczekać chwili, kiedy będę mógł rozruszać palce. Stary tonkińczyk usiadł.

— Będiesz mógł wykazać się talentem i pozwolić działać twemu geniuszowi, i to prędzej, niż się spodziewałeś. Będiesz mógł wyjść na scenę już zaraz.

— Doskonale... — Timo wstał szybko.

— Nastąpiła jednak drobna zmiana planów — uściślił Tronh. — Przerwano dyskusje polityczne, ale rozgrywki pokerowe również.

— Słucham?

— Nie ma się co niepokoić, mój chłopcze! Skończono z debatami politycznymi, bo ryzyko gwałtownych starć stało się zbyt wielkie. Chińskie przysłowie mówi: „Gdy brak owsa w stajni, konie się gryzą”. Wolałbym więc, żebyś nie grał w pokera, rozumiesz? Jeżeli wszyscy więźniowie obozu zostaną zrujnowani, atmosfera stanie się tak ciężka, że nie będzie można oddychać.

Timo zrobił krok w stronę starego Wietnamczyka. W jego spojrzeniu czaiła się groźba.

— Mało mnie obchodzi, że wszyscy zostaną zrujnowani! Potrzebuję dwóch tysięcy piastrow na jutro. Jeśli nie...

— Nie złość się, chłopcze! — uspokoił go Tronh. — Zorganizowałem dla ciebie pokaz magii. Przecież to twój zawód, prawda? Jesteś najlepszym magikiem, jakiego widziano w Szo-lonie, to rzecz powszechnie znana.

— Tutaj wszystko jest rzeczą powszechnie znaną—zauważył Timo kwaśno.

— Takie jest życie w koloniach, mój chłopcze. Mieszkańcy kolonii wiedzą o wszystkim, a kolonizatorzy, do których i ty należysz, prawie o niczym. Jeden z moich przyjaciół przybył tu w tym samym czasie co ty, na pokładzie „Felix-Roussela”. Był chory, więc skierowano go do infirmerii, toteż zjawił się w wiosce Van Bay dopiero wczoraj rano. Polityczni powiedzieli mu, że jesteś tutaj.

— Zdecydowanie muszę stwierdzić raz jeszcze: w obozie na Poulo Condore wszyscy wiedzą wszystko. Jak on ma na imię?

— Nazywa się N'Guyen Van Giu, a odkąd przebywał u jezuitów, nosi imię Gilbert. Powiedział mi, że dawałeś przedstawienia w jednym z chińskich teatrów w Szolonie, stąd też i następujący pomysł: zamiast doprowadzać politycznych do ruiny przy pokerze, sprawisz im radość, pokazując swój numer z kabaretu.

— Dziwaczny pomysł...

— Wcale nie. Każdy z więźniów po występie wrzuci coś do kapelusza. Strażnicy i ich rodziny też. Bez trudu zdobędziemy dwa tysiące piastrów.

— Stary Wietnamczyk przyłożył dłoń do ucha. — Widzowie już czekają i zaczynają się niecierpliwić. Azjaci uwielbiają hazard, ale też magię, tajemnice, wszystko, co niezwykle. Nie rozczaruj ich, a będą ci wdzięczni.

Przez dwie godziny przy świetle pochodni, na pospiesznie skleconej estradzie, Timo pokazywał sztuki. Karty migały w jego dłoniach, tworzyły kręgi, znikwały po lewej stronie, by pojawić się po prawej. Siedzący w pierwszym rzędzie państwo Orsini nie ukrywali dumy ze zręczności Tima. Philippe śmiał się z całego serca. Ojciec Orsini, w galowym mundurze strażnika, bił brawo. Angele, kołyszącej w ramionach Letycję, chwilami ścisnęło się serce. Wiedziała, że nazajutrz Timo podejmie próbę ucieczki. Nie będzie miał trudności z porzuceniem Poulo Condore, ale co będzie dalej? Czy zdoła dopłynąć do brzegu? Jeżeli tak, to w jakim miejscu wyląduje? Mąż zapewniał ją, że południowy wiatr utrzyma się dłużej i że przybije do brzegów Annamu zapewne nieopodal Hue. Czeką go jednak długa i bardzo niebezpieczna droga.

Na koniec przedstawienia wszyscy więźniowie zostali zaproszeni na scenę, by po kolei spróbować szczęścia w grze w trzy karty. Nikt nie wygrał. Następnie pan Tronh i Gilbert przeszli ze słomkowymi kapeluszami w rękach między publicznością, która urządziła magikowi gromką owację na stojąco. Gdy więźniowie, wciąż jeszcze oszołomieni z zachwytu, zaczęli rozchodzić się do baraków, Gilbert, który pierwszy zapełnił kapelusz, podszedł do Tima.

— Miło mi znów cię spotkać — powiedział.

Podał mu kapelusz, niczym kościelny po zbiórce na tacę.

— Tronh powiedział, że potrzebujesz dwóch tysięcy piastrów. Tutaj będzie coś około półtora tysiąca, a to zaledwie połowa tego, co zarobiłeś. Możesz wypłynąć na morze zgodnie z planem.

— Pan Tronh ci powiedział?

— Potwierdził to, co i tak wiedziałem. Chciałem ci tylko powiedzieć: bądź ostrożny, ucieczka z Poulo Condore zawsze jest niebezpieczna. Czy jesteś pewien, że wyeliminowałeś wszelkie ryzyko? Wydaje ci się, że pomyślałeś o wszystkim, prawda? O łowcach ludzi, czy łódź, na której pożeglujesz ku wolności, jest w dobrym stanie... wszystko zostało sprawdzone. Można obawiać się tajfunów, piratów, rekinów, węży morskich. To wszystko jednak nie jest tak bardzo niebezpieczne. Wielu uciekinierów ginie z ręki swoich towarzyszy podróży.

Timo wzruszył ramionami.

— To wszystko, co masz mi do powiedzenia, Gilbertcie? Wietnamczyk mówił dalej bardzo spokojnym głosem:

— Podejmujesz próbę ucieczki z Kochinchińczykiem imieniem Pham. Timo nie raczył odpowiedzieć. Niezrażony tym Gilbert spytał:

— Czy wiesz, kim on jest? Czy wiesz, na ile możesz mu zaufać?

— Pomógł mi w piekle „Gniazda węży”, to niezła rekomendacja.

— Czy wiesz, dlaczego znalazł się w obozie?

— Z powodu nieścisłości w rachunkach.

— Nic podobnego — zaśmiał się Gilbert. — Pham był handlarzem żywym towarem, dostawcą siły roboczej na plantacje kauczukowców. Ma na sumieniu dziesiątki istnień ludzkich.

— Po co mi to wszystko mówisz? — zirytował się Timo.

— Lepiej, żebyś wiedział — odparł Gilbert. — Powiedz sobie, że w razie czego Pham nie zawaha się wyrzucić cię za burzę, żeby przywłaszczyć sobie twoją część zapasów żywności. Strzeż się.

W południe Timo czekał oparty plecami o pień tamaryndow-ca w alei Aujard. Pham się nie zjawiał i zaczynało go to niepokoić. Rano jego towarzysz ucieczki nie zameldował się też na zbiórce „białych strojów”. Czyżby coś zatrzymało go w „Gnieździe węży”? W każdym razie Timo nie miał zamiaru analizować wszystkich dziwnych zdarzeń wiążących się z ich ucieczką. Wolał o tym nie myśleć, bo w przeciwnym wypadku musiałby szukać wyjaśnienia, dlaczego wszyscy znali jego plany.

Wszyscy, tylko nie strażnicy. Zresztą czy rzeczywiście strażnicy nie wiedzieli, co się szykuje? Kilka minut wcześniej, gdy prosił Angele Orsini o zgodę na udanie się do infirmerii pod pretekstem, że podejrzewa zbliżający się atak malarii, żona strażnika popatrzyła na niego dziwnie i powiedziała „Uważaj na siebie, moje dziecko. Bądź bardzo ostrożny”.

Minął kwadrans, a aleja Aujard wciąż była pusta. Liście tamaryndowców szeleściły, poruszane powiewem ciepłej bryzy. Dzielna małżonka *mata* 86 wyszła na próg domu i porozumiewawczo skinęła głową w stronę Tima.

Wreszcie na końcu alei pojawiła się jakaś sylwetka, która wyłoniła się spod arkad przy wejściu do budynków administracji.

Ulga, którą odczuł Timo, ulotniła się po krótkiej chwili. To nie Pham nadchodził pustą aleją. Mężczyzna zbliżał się i Timo z każdą sekundą był coraz bardziej pewny: nie, to nie Pham idzie mu na spotkanie, to Gilbert. Na ramieniu dźwigał marynarski worek z grubo tkanego beżowego płótna.

— Pham nie przyjdzie — oznajmił Wietnamczyk.

— Jakieś kłopoty? — zaniepokoił się Timo. — Ucieczka zostaje przełożona?

— Jego ciało znaleziono dziś rano podczas apelu więźniów baraku numer dwa.

— Zamordowany?!

— Uduszony podczas snu. Timo nie potrafił ukryć smutku.

— Uratował mi życie, kiedy przybyłem do obozu dla kryminalnych. Gdyby nie on, co by się ze mną stało?

— No cóż, jeśli uratował życie tobie, to pozbawił go wielu innych — stwierdził Gilbert. — Zresztą, niech będzie pokój jego duszy... Jeśli chodzi o twoją ucieczkę, nic się nie zmieniło!

— Rzeczywiście — potwierdził Timo stanowczo. — W gruncie rzeczy mogę poważić się na to sam.

— To nie jest dobry pomysł. Idę z tobą.

— Nie rozumiem, z jakiego powodu...

— Z takiego.

Gilbert postawił worek na ziemi, rozwiązał węzeł na sznurze, rozluźnił pętlę i włożył rękę do środka.

— Udało mi się zdobyć tego browninga i pudełko naboju — powiedział, wyciągając pistolet. — Możemy bronić się przed piratami.

— Ale dlaczego chcesz uciec? — spytał Timo. — Po co podejmować takie ryzyko, skoro najprawdopodobniej za parę tygodni wyjdiesz na wolność?

— To moja sprawa — uciął Gilbert tonem nieznoszącym sprzeciwu, po czym zastanowił się chwilę, jakby nie chciał urazić rozmówcy opryskliwym tonem. — Zresztą niech będzie, należy ci się wyjaśnienie. Jestem przywódcą podziemnej organizacji nacjonalistycznej. Chińczycy pomagają nam od wielu lat, a jeżeli Japończycy zjawią się w Sajgonie, wykończą nas Kempeitai, ich policja polityczna. Być może przy wydatnej pomocy złowrogiego Lemaire'a. Muszę wrócić na swoje stanowisko, jestem odpowiedzialny za życie kilkudziesięciu towarzyszy.

— W porządku — zgodził się Timo. — Nie zwlekajmy więc, przed nami dwie godziny marszu przez góry. Łódź czeka na nas w zatoczce nieopodal północnego krańca cypla.

Wskazał torbę, do której Gilbert chował browninga.

— Co tam masz?

— Coś, o czym zapomnieliście podczas przygotowań. Ubrania, takie, jakie nosi się w Sajgonie: dwa beżowe garnitury, koszule, buty i korkowe kaski. Mieliście zamiar przemierzać kontynent azjatycki w stroju więźniów?

— A zapasy? — przypomniał sobie nagle Timo — Suchary, bułki z wodą?

— Dziś rano spotkałem dwóch *matas*, którzy szli nadzorować kryminalnych przydzielonych do budowy kolejki. Za kilka piastrow zgodzili się przetransportować nasze zapasy swoim wozem zaprzężonym w osła. Będzie nam lżej po drodze.

— Dziwna ta ucieczka — stwierdził bezradnie Timo.

— Taak... No cóż, nie ciesz się przedwcześnie, jeszcze nie jesteśmy w Sajgonie.

O drugiej dotarli do zatoczki. W straszliwym upale, pod iskrzącym słońcem na bezchmurnym niebie, szli kamienistą drogą wiodącą zboczem nagich szczytów na skraju gęstych zarośli. Wędrówka była ciężka i niebezpieczna. Timo wielokrotnie miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. W pewnej chwili, gdy wspięli się na szczyt góry, skąd rozciągał się widok aż po horyzont skryty w niebieskawej mgiełce, dał Gilbertowi znak, żeby się zatrzymał.

— Niczego nie zauważyłeś? — spytał. Gilbert nie krył zdziwienia.

— Ależ owszem, zauważyłem Morze Chińskie po sam widnokrąg.

— A mnie się wydawało, że widziałem jakąś sylwetkę przemyskającą między skałami i sosnami.

— Urojenia uciekiniera. — Gilbert machnął lekceważąco ręką.

Łódź czekała w umówionym miejscu. Rzeczywiście nie była to żadna tratwa, tylko łódź rybacka w doskonałym stanie, zrobiona z pięknych pięciometrowych desek połączonych klinami. Ocean o szmaragdowych głębiach bielila lekka fala. Południowo-wschodnia bryza rozkosznie wydymała trójkątny żagielek, niosąc łódź daleko, bardzo daleko od

archipelagu. Spojrzawszy za siebie, Timo zobaczył, jak ciemny kształt Grandę Condore zmniejsza się pomału.

Gilbert zajął miejsce na dziobie, przy skrzyni z zapasami. Timo usiadł z tyłu, przyjąwszy rolę sternika. Jego obowiązki polegały na tym, żeby mocno trzymać między ramieniem a tułowiem wiosło, które zastępowało ster. Pełnił jeszcze drugą funkcję: niczym marynarz na bocianim gnieździe, wypatrywał w napięciu najmniejszego ruchu wokół łodzi, oczekując pojawienia się pierwszego białego rekina ludojada, najstraszniejszego z wrogów.

Zachód słońca oświetlił na pomarańczowo Morze Chińskie, a potem powoli zapadł zmrok. Mżawka wzbijana przez załamujące się fale smagała ich lodowatymi uderzeniami, poczuli ziąb.

Gilbert wyciągnął się na dnie łodzi, przesunął pod żaglem i otworzył skrzynię z zapasami. Wyjął z niej paczkę sucharów, bukłak z wodą i dwa koce. Wrócił na swoje miejsce na ławce przed żaglem i podał Timowi jeden z koców.

— A chłód? Pomyśleliście o tym?

— Ja zdrewniałem przede wszystkim od trzymania steru — powiedział Timo.

— Zostaw go. Wiatr się wzmacnia, płyniemy prosto do brzegów Annamu, nie potrzebujemy steru. Możesz mi wierzyć, nie minie tydzień, a wylądujemy w pobliżu Hue. W tamtych okolicach działają członkowie mojej siatki. Zajmą się nami.

Wietnamczyk podał mu paczkę sucharów, cały czas patrząc na fale.

— Czego wypatrujesz? — spytał Timo. — Rekinów? Od naszego wypłynięcia nie widziałem ani jednego. Może wolą atakować w nocy...

— Nie — uciął Gilbert. — Rekiny bardzo źle widzą w dzień, a w nocy są prawie ślepe. Próbują upewnić się, czy na horyzoncie nie pojawia się żadne światło.

— Powiedz mi lepiej, czego się boisz. Piratów?

— No właśnie, piratów — powiedział pospiesznie Gilbert. — Albo okrętów wojennych, francuskich lub japońskich. Rozłożył koc i zarzucił go sobie na ramiona.

— Prześpię się trzy godziny — powiedział. — Potem twoja kolej. Jeżeli przez ten czas dostrzeżesz jakieś światło, natychmiast mnie obudź. Im wcześniej zdamy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, tym lepiej.

Timo przeczuwał, że jego towarzysz ucieczki nie mówi całej prawdy. Nie obawiał się światła, jakie mogłyby się pojawić, lecz wyglądał światła, które powinno się ukazać.

Zapadła noc. Wiatr się uspokoił, lecz fala nadal kołysała łodzią.

Koło północy, kiedy zaczęła ogarniać go senność, Timo zobaczył w dali maleńkie światełko, czerwony punkt pulsujący w ciemnościach, kilka kilometrów przed nimi. Nie zaskoczyło go to, a tylko potwierdziło jego przecucia. Towarzysz ucieczki spodziewał się światła i oto światło się pojawiło.

Obudził Gilberta, który próbował zbagatelizować sprawę.

— Widzisz, Timo, miałem rację. Tutaj kręci się sporo statków. Musimy bardzo uważać.

— Nie boisz się? — spytał Timo z ironią.

— Pewnie, że się boję! Przyszłość pokaże, co to takiego.

— Piraci? — mruknął Timo, ciągle tym samym, lekko wyzywającym tonem.

— Tego bym nam nie życzył. Możliwe, że to po prostu rybacy. Na razie możesz spać, musimy oszczędzać siły.

Timo usnął w jednej chwili. Zmęczenie wzięło górę nad dojmującym zimnem, nad falą kołyszącą łodzią, nad lodowatymi rozbryzgami wody, nad rekinami, które czasem podpływały

tak blisko łodzi, że czubki ich straszliwych pysków pojawiały się tuż nad powierzchnią. Nawet choroba morska — czające się mdłości — nie mogły pokonać wyczerpania, które zamykało mu powieki i pochylało głowę na pierś. Postanowił spać tylko dwie godziny. Gilbert miał rację, należy zachować czujność.

Jednak to nie czujność, a głośnie uderzenie, któremu towarzyszyły okrzyki i energiczne rozkazy wydawane w jakimś azjatyckim języku, przywróciły go do rzeczywistości. W pierwszym brzasku świtu burta łodzi uderzała o kadłub sporych rozmiarów dżonki. Na jej pokładzie zobaczył pod światło wschodzącego słońca sylwetki przechylone przez poręcz, zajęte rozwijaniem i opuszczaniem w dół burty sznurowej drabinki.

Gilbert stał, z trudem utrzymując równowagę. Chwycił za liny i odwrócił się do Tima.

— Obudziłeś się? Prędeż, wchodzimy na pokład. Posuwając się na czworakach, żeby nie rozkołysać łodzi,

Timo dotarł do drabinki.

— To piraci? — spytał z niepokojem.

— Oczywiście, że nie! — krzyknął Gilbert i dodał: — Mamy szczęście, to tylko rybacy.

Wejście na pokład dżonki zajęło im kilka długich minut. Było to niebezpieczne przedsięwzięcie, ponieważ łódź kołysała się, a wiatr targał drabinką, która trzeszczała pod ciężarem Tima. Gdy dobrnął wreszcie do bariereki, poczuł, że chwyciły go silne ramiona i cisnęły na pokład. Upadł na brzuch, na pół przytomny. Zobaczył jak przez mgłę dziesiątki par nagich nóg. Umilkły okrzyki, rozległy się śmiechy i wesołe docinki. W jakim języku? Dziwne, przenikliwe, jakby szczerkające dźwięki. To był chiński, rozpoznawał nawet akcent i intonację. Rybacy pochodzili z Kantonu. Pomimo zamroczenia Timo usłyszał, jak wewnętrzny głos zadaje mu pytanie: co kantonscy rybacy robią tutaj, dwa tysiące kilometrów od rodzinnych stron?

Rozdział 20

Przepasani kawałkiem materiału zawiązanego z przodu na supeł na sposób azjatyckich marynarzy, członkowie załogi dżonki mieli takie same tatuaże, jak więźniowie „Gniazda węży” — smoki ziejące ogniem, węże oplatające sztylety, tygrysy o falującym futrze. Ich twarze pasowały do tych groźnych obrazów: wystające kości policzkowe, przymrużone oczy, bezzębne usta, blizny na policzkach, złamane nosy. Większość miała ogolone głowy, które w bladym świetle poranka lśniły jak wypolerowane hełmy.

Wbrew oczekiwaniom Tima ci obwiesie z piekła rodem najwyraźniej odznaczali się pogodnym usposobieniem. Przerzucali się docinkami, czemu towarzyszyły gromkie wybuchy śmiechu, i przytupywali z radości na dźwięk słów towarzyszy, które musiały wydawać im się niezwykle dowcipne. Pośrodku pokładu Gilbert naradzał się po chińsku z wysokim Azją ubranym w nieprawdopodobny mundur oficerski: białą czapkę i kurtkę z galonami oraz niebieskie spodnie podwinięte do pół łydki. Miał przy tym bose stopy. Wietnamczyk zauważył, że Timo doszedł do siebie i wstał, więc przerwał rozmowę z oficerem. Tamten skłonił się i Gilbert podszedł do Tima, torując sobie drogę między rybakami i rzucając na prawo i lewo krótkie zdania po chińsku.

— Ochłonałeś już z wrażenia, mój drogi Timo?

— Myślę, że potrwa jeszcze kilka minut, nim odzyskam przytomność umysłu. Jesteś pewien, że zostaliśmy wyłowieni przez rybaków?

— Oczywiście, że tak... Wątpisz w to?

— A co oni łowią?

— Białe rekiny. Masz coś przeciwko temu? — odparł zniecierpliwiony Gilbert.

Nagle nastrój rybaków uległ zmianie — śmiechy umilkły, nikt nie podskakiwał, a spojrzenia, teraz pełne niepokoju, skierowały się na Tima.

— Co się dzieje? — spytał.

— Rybacy czy nie, ale ci ludzie znają się na morzu — powiedział Gilbert.

— Właśnie spostrzegli oznaki zbliżającego się sztormu.

— Kiedy to będzie? — Timo wstrzymał oddech.

— Twierdzą, że za niecałą godzinę.

Kapitan dżonki wyszedł ze swojej kabiny mieszczącej się na dziobie i podszedł do załogi zgromadzonej na środku pokładu. Ruchem ręki wskazał szczyt masztu. Majtkowie o twarzach morderców bez szemrania wykonali rozkaz. Żagle z palmowych liści zaczęły drżeć na wietrze.

Następnie podszedł do Gilberta i Tima. Powiedział do Wietnamczyka kilka słów po chińsku, zasalutował i wrócił do swojej kabiny.

— Może nieźle kołysać — przetłumaczył Gilbert. — Właśnie mi to powiedział. Odpływamy jak najdalej na północny wschód, żeby nie rozbić się za dzień lub dwa o brzeg. A i to, jeśli dopisze nam szczęście...

Niebo poczerniało, wiatr wył jak opętany, dżonka jęczała i skrzypiała.

Paszczka tygrysa wyrzeźbiona na dziobnicy zaczęła wspinać się na spienione góry wody, by po chwili runąć w ciemnozieloną głębię. O pokład uderzyły pierwsze krople deszczu, a po krótkiej chwili na statek zwały się wody potopu.

Kapitan wyszedł z kabiny. Postawił kołnierz oficerskiej bluzy, nacisnął czapkę na oczy i pewnym krokiem ruszył na środek pokładu przed głównym masztem. Załoga ustawiła się przed nim w półokręgu. Mężczyzna wypowiedział kilka zdań i marynarze, lśniąc tatuażami mokrymi od deszczu, skłonili się, a następnie posłusznie udali się na rufę. Pierwszy z nich otworzył klapę wjazdu i jeden po drugim zeszli do ładowni.

Oficer skinął na Gilberta i Tima, by poszli za nim do jego kabiny. Było to niewielkie pomieszczenie o wyposażeniu zredukowanym do minimum: z jednej strony mata, z drugiej łóżko chińskiego typu zbudowane z listewek, w kącie utworzonym przez dziobnicę czajnik, krzywo ustawiony na wygaszonym koszu z węglami. Ponadto skrzynia marynarska, zupełnie nieazjatycka w stylu, podobnie jak drugi mundur oficerski, biały, ze złotymi epoletami, na których wytłoczony był herb towarzystwa San Francisco Star Line. Gospodarz ruchem ręki zaprosił gości, by usiedli na macie. Cichym głosem powiedział zdanie, które Gilbert przetłumaczył:

— Kapitan Li Fu wita nas i zaleca cierpliwość. Mówi, żeby się nie niepokoić. Sztorm jest tylko rozgniewanym smokiem, który szafuje swymi błogosławieństwami. Jego gniew zawsze w końcu mija. Pozostawało tylko czekać, aż smok skończy się złościć. Oddech gigantycznego gada wył między linami, bębnił w drzwi kabiny, wrywał wanty. Pod koniec pierwszego dnia, pośród straszliwego zgiełku burzy, rozległ się huk tak ogłuszający, jakby nadszedł właśnie koniec świata.

„Piorun uderzył w maszt, powiedział Li Fu. Deszcz ugasi pożar”.

Nagle Timo odniósł wrażenie, że w tej apokaliptycznej melodii zabrakło jednego instrumentu. Li Fu uniósł głowę i przymknął oczy. „Silnik stanął, rzekł. Deszcz gasi pożary, lecz zalewa ładownię”.

Smok zapomniał o swym gniewie i uspokoił się trzeciego dnia rano.

Kiedy Timo wyszedł z kabiny za niewzruszonym Li Fu i Gilbertem, jego oczom przedstawił się straszny widok.

Pokład usiany był strzepami żagla, maszty połamane w drzazgi, balustrady okalające pokład w tysiącach kawałków. Długi drąg steru na tylnym pokładzie został wyrwany, w niektórych miejscach w pokładzie widniały dziury, co pozwalało domyślać się, że woda dostała się pod pokład. Co stało się z nieszczęśnikami, którzy szukali tam schronienia? — Jak widzicie, dżonki są solidne. Od tysiący lat robi się je tak, by opierały się tajfunom... — stwierdził dowódca, uśmiechając się z satysfakcją.

Timo nie mógł powstrzymać myśli, że dżonki może i są solidne... ale ta jest w okropnym stanie. Nie ma żagli, nie ma masztów, nie ma steru, nie ma silnika. Ładownie są tak wypełnione wodą, że łódź zanurzyła się o parę metrów i morze, choć spokojne, chlupoce na wysokości pokładu. Poza tym, gdzie my jesteśmy? Z pewnością kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset kilometrów od wybrzeży Annamu. Sytuacja jest rozpaczliwa. Wokół zaczynają krążyć rekiny.

Li Fu w uniformie lorda admiralicji i z bosymi stopami nie przywiązywał wagi do życia bliźnich. Patrzył więc obojętnie, jak jego ludzie wychodzą na pokład. Teraz załoga nie budziła już lęku ani grozy, a raczej litość. Ale nie swojego kapitana, który pogardliwym tonem krzyknął, by zechcieli ruszać się zwawiej. Najdzielniejsi z tych wycieńczonych, ubrudzonych smarem biedaków wyciągnęli na pokład ciała martwych towarzyszy. Większość z nich pochłonęła zalewająca ładownię woda, a ich twarze o wytrzeszczonych oczach i opuchniętych wargach wyglądały jeszcze straszliwiej niż za życia.

Na zniszczonym pokładzie ułożono więc około dziesięciu trupów, a kapitan nawet nie raczył rzucić na nie okiem. Zirytowany pełnym wyrzutu spojrzeniem Tima, rzucił niedbale:

— To tylko bandyci, którzy zaciągnęli się w Malezji. Nie zasługują na więcej uwagi niż zdechłe psy.

Nim Gilbert skończył tłumaczyć, uwagę Li Fu przyciągnęły dwie ciemne plamy przemierzające się w odległości kilku mil od dżonki. Za chwilę już wszyscy zdolni do pracy mężczyź-

ni wpatrywali się w powiększające się punkty. Były to dwie duże łodzie wyposażone w silniki, które płynęły szybko w ich stronę.

— Nie spodziewam się niczego dobrego... — szepnął Timo do Gilberta.

— Ja też nie — mruknął Wietnamczyk.

— To łodzie wojenne?

— Nie sędzę. Płyną zbyt szybko, a jeśli chodzi o kształt... Moim zdaniem nie ma wątpliwości, to piraci.

Li Fu zawołał jednego z Malezyjczyków, który wydawał się najprzytomniejszy. Gilbert pochylił się do Tima.

— Dowódca jest wściekły. Strzelby i karabin maszynowy schowane pod pokładem nie nadają się do użytku.

— No proszę, nieźle, jak na rybaków... Przecież to bandyci uzbrojeni po zęby!

— To nie jest właściwa chwila, żeby dowcipkować — uciął Gilbert. — Być może za dziesięć minut nie będziemy żyli.

Kiedy łodzie znalazły się w odległości stu metrów do dżonki, można było dostrzec szczegóły. Były długie, drewniane, smukłe i wysokie, za ich rufami kipiała piana. Poręcze nadburcia pomalowane zostały na żywe mieniające się kolory. Pośrodku pokładu wznosiła się nadbudówka z desek, służąca za sterownię i schronienie dla załogi. Gilbert trącił Tima łokciem.

— Widzisz to co ja? — spytał półgłosem.

— Wygląda na to, że kiepsko z nami... — wymamrotał Timo.

Na pokładzie łodzi zobaczyli niewysokiego wzrostu mężczyzn o brązowej skórze. Na głowach mieli białe opaski z czerwonym znakiem. Stali bez ruchu. Przy dziobnicy jednej z łodzi ustawiono karabin maszynowy na trójnogu, z lufą skierowaną w niebo.

Li Fu powiedział do Gilberta dwa zdania.

— Mówi, żebyśmy się nie niepokoili, ci ludzie należą do armii generała Lao Sana — powiedział Gilbert.

— Generał Lao San... — powtórzył Timo. — Kto to taki?

— Nie mam pojęcia. Nigdy o nim nie słyszałem.

Kapitan jednej z łodzi wyszedł ze sterówki. Gilbert i Timo z duszą na ramieniu przyglądali się, jak macha ręką w kierunku dżonki, a Li Fu odpowiada na to pozdrowienie głębokim ukłonem.

Łodzie zwolniły i ustawiły się po obu bokach dżonki. Rzucono na pokład linę, którą jeden z marynarzy Li Fu przywiązał wprawnym ruchem do jedyne go słupka balustrady, jaki pozostał. Po kilku minutach na pokład wszedł kapitan piratów z dwoma marynarzami — każdy z nich miał przypasany nóż i pistolet, przez ramię przerzucony karabin z bagnetem. Kapitan był młody, nagi do pasa, na modłę konkwistadorów ubrany w zwykłe spodnie sięgające pod kolana. Podszedł do Li Fu — ten znów skłonił się unizienie — i nawiązał z kapitanem dżonki rozmowę, którą Gilbert tłumaczył Timowi.

— Co ty tu robisz, stary satrapo? — spytał kapitan wesoło.

— Tu? Nawet nie wiem, gdzie jestem.

— Rozumiem, sztorm przewrócił ci wszystko do góry nogami. Z przyjemnością podam ci twoją pozycję: czterysta *li** na wschód od Annamu...

— Niezły kawałek drogi, jak na trzy dni...

— Sztorm jest najsilniejszym z motorów, jak powiadają w moich okolicach — zgodził się gość.

Od siebie Gilbert dodał: „Zastanawiam się, z jakich właściwie okolic on pochodzi. Mówi po chińsku jakby z europejskim akcentem, hiszpańskim albo portugalskim”.

W tym momencie wydarzyło się coś, co zauważył tylko Timo. Było to tyleż nieoczekiwane, co nieprzyjemne. Nie przerywając rozmowy z Li Fu, pirat rzucił mu przenikliwe spojrzenie.

— O ile dobrze rozumiem, jesteśmy w połowie drogi między Wietnamem a Manilą — powiedział Li Fu.

— Otóż to... A nie jest to bezpieczna okolica. Kręcą się tu Japończycy.

* około 230 kilometrów

— Ochoty, żeby płynąć do Hue, nam nie brakuje — powiedział Li Fu, splatając dłonie na brzuchu. — Niestety, nie mam ani silnika, ani żagli. Za dwa dni, o ile nikt nie przyjdzie nam z pomocą, staniemy się posiłkiem rekinów.

Szef piratów ruchem głowy wskazał ciała ułożone na pokładzie.

— Masz je czym nakarmić...

— Zaspokoję dziesięć, a zwabię sto — odparł Chińczyk.

Pirat przeszedł kilka kroków po pokładzie, pogrążony w myślach.

Zawrócił i stanął przed Li Fu oraz jego dwoma pasażerami, by wygłosić dziwną przemowę.

— Posłuchaj, stary korsarzu — powiedział do wystrojonego w mundur Li Fu — jak wiesz, nie wszystkie rekiny żyją w wodzie. Ty i ja należymy do tego mięsożernego gatunku, a rekiny nie pożerają się wzajemnie. Ograbić pirata to działać na rzecz kupców. Myślę, że zgodzisz się ze mną.

Nawiasem mówiąc, nasze terytoria łowieckie są tak odległe, że nie konkurujemy ze sobą. Ponadto nie należy do zwyczajów ludzi wyjętych spod prawa szpikowanie się wzajemnie seriami z karabinu. Jeśli spotykamy się w porcie kantońskim czy jakimkolwiek innym, możemy wymieniać grzeczne skłony.

— Każde takie spotkanie jest dla mnie wielkim zaszczytem — zapewnił Li Fu.

— Co więcej, mój pan, generał Lao San, nie zamierza obrazić twojego pana, a zdaje mi się, iż jest nim szanowny Sunzi, przywódca triady Trzech Harmonii, jednej z największych potęg na Morzu Chińskim...

— Ten szacunek jest wzajemny — odrzekł Chińczyk.

— Nigdzie jednak nie jest powiedziane, że bandyta ma obowiązek pomóc drugiemu bandycie, który znalazł się w kłopotach.

— Chyba że otrzyma zapłatę — dokończył Chińczyk. — Oddam ci mój ładunek: ryż z Kochinchiny przeznaczony na rynek kantoński.

— Nie ma mowy... — uciał pirat.

Dał znak swoim ludziom, a ci w mgnieniu oka wymierzyli karabiny z bagnetami w trzech mężczyzn. Kapitan podszedł do Gilberta i jednym ruchem wyciągnął pistolet, który Wietnamczyk miał zatknięty za pasek. — Żeby nie przeszkadzał nam w rozmowie... Pirat znowu się uśmiechnął, patrząc na Li Fu.

— Twój ładunek jest mokry, bracie. Nie ma wartości.

— Masz słuszność. Ale mam w kufrze sto tysięcy piastrów — zaproponował Chińczyk.

Pirat pokręcił głową.

— Generał Lao San nie chce ani ładunku, zwłaszcza mokrego, ani piastrów. Chce złota albo meksykańów, szanghajskich dolarów.

Li Fu znów się skłonił.

— A więc, szanowny panie bracie — powiedział — los mój i moich przyjaciół jest przypieczętowany. Czeka nas śmierć.

— Twój spokój w obliczu śmierci budzi mój szacunek — stwierdził pirat. Wyprostował się, a jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Na szczęście istnieje rozwiązanie. Moje łodzie wyposażone są w potężne motory. Jedna z nich może cię doholować do Kantonu, Hajfongu albo Hue, wedle twego życzenia. W zamian...

Zawiesił głos, a potem z dziwnym uśmieszkiem i błyskiem w oczach popatrzył na Tima. Żeby nie było żadnych wątpliwości, wskazał go palcem. Wypowiedział kilka słów, których Gilbert nie przetłumaczył. W końcu wykrztusił:

— W zamian, chce zabrać cię ze sobą.

— Dlaczego mnie...? — zdziwił się Timo.

— Ponieważ masz niebieskie oczy, a generał Lao San, którego on jest pełnomocnikiem, uwielbia niebieskie oczy.

Dowódca piratów powiedział do kapitana dżonki:

— Drogi panie bracie, nie masz wyboru. Albo przyjmiesz moją propozycję, a ja każę cię odholować do Kantonu czy gdzie indziej, albo zmusisz mnie, bym siłą pojmał tego pięknego

młodzieńca, a ciebie zostawił rekinom. Dodam, że w pierwszym przypadku generał potrafi docenić twoją chęć współpracy. Być może nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo Lao San ceni sobie młodych białych o błękitnych oczach. Co prawda ten twój ma czarne włosy, a generał woli blondynów... Myślę jednak, że będzie zadowolony.

Piraci generała Lao Sana nie byli może wzorami dystynkcji i elegancji, nie zachowywali się jednak jak potwory. Dowódca traktował więźnia grzecznie i z uśmiechem, jednak sposób, w jaki przestrzegł go przed próbą ucieczki, był nieco mniej sympatyczny: *You go, you killed*, powiedział, przesuwając kciukiem po szyi, żeby nie było żadnych wątpliwości co do tego, jak należy rozumieć jego prymitywną angielszczyznę. Timo gestem ręki dał mu do zrozumienia, że nie wie, w jaki sposób mógłby uciec.

— *You go?* A dokąd niby miałbym iść? I może piechotą?

Prędzej czy później to musiało się zdarzyć, a zdarzyło się czwartego dnia rano. Bardzo wysoko na niebie pojawiła się eskadra myśliwców, niczym rój much rosnący z każdą sekundą i zbliżający się do łodzi. Nie trzeba było specjalisty, by odgadnąć, że to myśliwce japońskie.

Dowódca rzucił kilka rozkazów. W jednej chwili na mały maszt wznoszący się nad sterówką wciągnięto filipińską flagę. Jednocześnie dwaj piraci złapali Tima, otworzyli klapę w pokładzie i cisnęli go dwa metry niżej, do ładowni. Otoczyła go ciemność, jednak szybko zauważył, że przez deski pokładu przenikają promienie światła. Coraz wyraźniej widział ładunek: dziesiątki worków ryżu i skrzynie zbite ze świeżych desek. Broń? W tych niespokojnych czasach wydawało się to prawdopodobne.

Japońskie samoloty nie zainteresowały się małą łodzią uno-

szącą się na błękitnych wodach Morza Chińskiego. Nie wiadomo, czy w ogóle ją zauważyły. Nie zmieniając trasy lotu, zdążyły w kierunku któregoś z miast południowych Chin, Amoy lub Kantonu, jednego z tych wielkich portów, zamieszkałych przez miliony ludzi, wydanych na pastwę wzniesających pożary bomb zrzucanych przez wojowników Kraju Wschodzącego Słońca.

Kiedy piraci pozwolili więźniowi wejść na pokład, zapadła już noc. Łódź sunęła powoli, jej dziób unosił się na niewysokiej fali. Po niebie rozświetlonym czerwonym księżycem żeglowały pierzaste chmury. W oddali połyskiwały światła tysięcy rybackich łodzi. Dalej widać było mnóstwo kolorowych latarni, które oznaczały niebezpieczeństwa poszarpanego brzegu i całej masy wysepek.

Kapitan piratów nie był w nastroju do kontemplacji. Dał znak swoim dwóm zbirom, podnosząc rękę na wysokość oczu. Jeden z nich zasłonił oczy Tima opaską.

Pirat ostrzegł Tima w swoim praktycznym angielskim, że w jego interesie jest siedzieć cicho i nie zwracać na siebie uwagi (*You open your mouth, you killed*) i wprowadził go do sterówki. Na szczęście przez pozbawione szyb otwory wpadało do środka morskie powietrze.

Łódź wpłynęła w deltę rzeki Jangcy. Strażnik Tima nazwał tę szeroką odnogę Huangpu. Na nabrzeżach skrzypiały dźwigi, pohukiwały syreny statków handlowych, marynarze nawoływali się po chińsku. Podróż dobiegała końca. Piracki statek wpłynął do portu w Szanghaju.

Z początku Timo myślał, że może mu się tylko zdaje. Kiedy jednak silniki umilkły, był już pewny: w szanghajskim porcie unosił się potworny smród, gorszy niż odór rozkładającej się żywności czy zepsutych ryb pływających w mazucie. Był to kwaśny i zarazem słodkawy zapach zgnilizny, trupie wyziewy, które zapierają dech i wciskają się w gardło. Nie trzeba było

widzieć, żeby znać prawdę. Wokół statku na powierzchni wody unosiły się dziesiątki, setki, być może tysiące zwłok ze skrzyżowanymi ramionami, nabrzmiałymi brzuchami i wytrzeszczonymi oczami. Posadzono go na fotelu, który unieśli na swych silnych ramionach dwaj marynarze. Odór śmierci stawał się coraz trudniejszy do zniesienia, zaciskał Tomowi gardło, gniótł w piersiach. Gdy postawił stopę na twardym pokładzie jakiegoś statku, zrozumiał, że dotarł do celu. Zdjęto mu opaskę. Zorientował się, że znalazł się na okazałych rozmiarów parowym jachcie z pokładem z drewna tekowego, należącym zapewne do jakiegoś bogacza. Zobaczył schody z mahoniowymi stopniami i miedzianymi poręczami prowadzące w dół do olśniewającego salonu, pełnego wazonów z kwiatami, różowych pufów ze złotymi frędzlami i krytych aksamitem kanap. Wokół stołu z hebanu pokrytego laką, z koronkową serwetą pośrodku, ustawiono rzeźbione krzesła. Ozdobne lampy stojące koło pianina rozsiewały przytłumione elektryczne światło.

Timo opadł na fotel obity jasnozielonym aksamitem. Pomijając nastrój tego miejsca, wydawało mu się, że właściciel musi być wielbicielem amerykańskiego stylu życia. Na niskim stoliku stała lampka oliwna przerobiona na lampkę elektryczną, ozdobiona znakiem firmowym kalifornijskiego przedsiębiorstwa przewozowego Wells Fargow. Obok leżała książka oprawiona w ciemną skórę z wytłoczonymi złotymi literami: *Holy Bibie...*

Czyżby generał był WASP-em³? W końcu pozna klucz do zagadki. Ale mimo wszystko, WASP, pirat na Morzu Chińskim, żyjący w otoczeniu welurów i koronek, grający na pianinie i czytający Biblię? Timo był bardzo ciekaw, co to za typ. Wkrótce się przekonam, pomyślał i... zapadł w sen.

Obudził go dźwięk łagodny i ulotny, niczym pieszczota

³WASP — White Anglo-Saxon Protestant (ang.) — członek amerykańskiej białej elity pochodzenia anglosaskiego

nadchodząca z głębi snu. Kołysał go lekki powiew pachnący jaśminem. Otworzył oczy. Przed nim, na wyściełanym rokokowym fotelu siedziała kobieta lat około trzydziestu, ubrana w indonezyjskie sari. W uszach miała kolczyki, na szyi sznur pereł, a jej palce zdobiły pierścionki. Wpatrywała się w niego spojrzeniem tym czarniejszym, że oczy obrysowane miała czarnym ołówkiem.

— Pańska podróż skończona — powiedziała po francusku, z leciutkim hiszpańskim akcentem.

Timo wyprostował się. Kim, u licha, jest ta kobieta i dlaczego tak mu się przygląda? Zamrugał energicznie i przyjrzał jej się dokładniej: nie była młoda, ale daleko jej było do wyglądu kobiety dojrzałej. Miała zgrabną sylwetkę, pod batikiem wyraźnie rysowały się piersi. Czy pochodzi z Archipelagu Sundajskiego? A może z Borneo? Owszem, ma ciemną karnację ludów indoazjatyckich i czarne jedwabiste włosy, które opadają jej na ramiona. Jednak rysy twarzy wskazują na domieszkę krwi europejskiej, podobnie jak niezbyt wydatne wargi i cienki, wcale nie płaski nos.

— Podróż skończona... A gdzie ja jestem?

— Jest pan w Szanghaju, drogi panie, największym porcie na świecie, w środku wszechświata.

— Szanghaj... Tak przypuszczałem.

— „Santa Balboa”, jacht, na którym pan się znajduje i który należy do mnie, jest zacumowany nieopodal pańskiej ojczyzny.

Dodała do tego zdania wspaniałą uśmiech, który ukazał idealnie równe zęby.

— Ściślej mówiąc, zacumowaliśmy niedaleko francuskiej koncesji, dokładnie przy Nabrzeżu Francuskim. Pan jest Francuzem, prawda?

Timo skinął głową.

— Czy byłby pan tak uprzejmy i się przedstawił? — poprosiła kobieta. — Chętnie poznałabym pana imię, wiek, pana przeszłość, wzrost, wagę, przebyte choroby... A pańscy rodzice? Czy jeszcze żyją, czy cieszą się dobrym zdrowiem?

— Tylko tyle? — mruknął Timo. Kobieta znowu się uśmiechnęła.

— Ma pan charakter... To bardzo dobrze. Ponadto cieszę się, że pana umysł funkcjonuje prawidłowo.

Wstała z fotela i krokiem pełnym gracji podeszła do skrzynki z cygarami stojącej na stoliku na jednej nóżce. Otworzyła ją i wyjęła z niej hawanę, którą zapaliła od cienkiego drewnianego patyczka. Timo od razu rozpoznał wprawne gesty wytrawnego palacza, takie same, jak u pokerzystów palących hawanę podczas gry. Poczł zapach cygara doskonałej jakości, made in Cuba, który stłumił unoszący się w pomieszczeniu aromat jaśminu.

— Na razie — podjęła — ograniczymy się do rzeczy najważniejszych. Imię i nazwisko?

— Timothée Lamy... Nazywają mnie Timo. Czy mógłbym w zamian dowiedzieć się, z kim mam zaszczyt?

— Oczywiście. Na imię mam Maria-Consuelo, ale nikt mnie tak nie nazywa. Pochodzę z Manili na Filipinach, tak samo jak mój ojciec i dziadek. Trudnię się tym samym, co oni.

— A czym mianowicie? — spytał zaintrygowany Timo.

— Drogi panie, ma pan przed sobą wodza armii. — Kobieta zawiesiła głos, żeby słowa, które miała wypowiedzieć, zabrzmiały jak donośny wystrzał z armaty: — Ma pan przed sobą największego z piratów Morza Chińskiego. Jestem znana jako generał Lao San.

Rozdział 21

Oczekiwanie jest rakiem, który wszystko pożera. Cóż zostaje z umysłu, nastroju, talentu? Oczekiwanie wydaje związanego człowieka na pastwę szatana.

Piękna Laurence Lemaire musiała czekać dwa miesiące po powrocie z Wientianu, aż mąż dostarczy jej wieści o Timie. Pewnego styczniowego wieczoru 1938 roku administrator poprosił, żeby usiadła na sofie w salonie i zechciała go wysłuchać.

— Masz dla mnie złe wiadomości — zaniepokoiła się. — Coś się stało Timowi. Nie żyje?

— Twój przyjaciel Timo żyje. Wczoraj wieczorem Cheng przekazał mi wiadomość, że chce się ze mną spotkać. Wybrałem się więc do Szolonu, do jego kasyna Oddech Smoka.

— I co miał ci do powiedzenia?

— Timo uciekł z Poulo Condore w towarzystwie pewnego więźnia politycznego, niejakiego Gilberta Giu. Rzeczony Gilbert Giu wrócił do Sajgonu. Timo nie.

— Dlaczego ten Gilbert wrócił sam? Co stało się z Timem? Przecież uciekali razem?

— Powtarzam ci, że Timo żyje — powiedział stanowczo Lemaire i dodał:

— Został porwany.

— Czy to żart? — wyjąkała Laurence.

— Timo został porwany przez piratów na wodach środkowego Morza Chińskiego.

— Co to za piraci?

— Należą do armii generała Lao Sana.

— Co to znaczy?

— Nie wiem nic więcej. Ani kto to, ani o co chodzi.

— Brawo, panie administratorze specjalny, szefie tajnej policji — powiedziała Laurence z gniewną ironią.

— Moja droga, nie jestem informowany o wszystkim, co dzieje się w całej Azji, zwłaszcza na morzu. Cheng skontaktował się ze swoją organizacją. Za tydzień będę wiedział więcej.

— Nie wytrzymam kolejnego tygodnia! Nie mogę zamartwiać się jeszcze przez tydzień. Tydzień, cały tydzień tylko po to, żeby dowiedzieć się czegoś więcej! — Laurence nie próbowała już opanować gniewu. — Zdradziłeś mnie! — zaczęła krzyczeć.

— Moja droga, cierpienie mąci ci rozum — powiedział spokojnie administrator.

— Co ty możesz wiedzieć o cierpieniu kobiety? Zdradziłeś mnie, bo nie pomogłeś Timowi.

— Nie mam zamiaru dłużej tego słuchać — uciął Lemaire. Mówił stanowczo, bez gniewu. — Nie opowiadałem ci szczegółowo o działaniach, jakie podjąłem, by pomóc w ucieczce Timowi Auberowi, czy też Lamy'emu, ponieważ nic by ci nie przyszło ze znajomości szczegółów tej operacji.

— Szczegółów operacji! — powtórzyła Laurence tym samym kpiącym tonem.

Ta miażdżąca ironia zaczynała denerwować Lemaire'a.

— Skoro chcesz rozmawiać ze mną tym tonem, moja droga Laurence, powinnaś poznać kilka faktów. Timo, twój bohater, w żaden, ale to żaden sposób nie przyczynił się do swojej ucieczki, choć nie chcąc urazić dumy tego chłystka, urządziłem wszystko tak, by myślał, że to on wszystko zorganizował.

— Po to, by w końcu porwali go piraci... — Głos Laurence był już mniej gniewny.

— Mówisz, że nic nie zrobiłem? — ciągnął Lemaire. — Dowiedz się w takim razie, że musiałem posłużyć się pewnymi osobami, które okazały się zresztą bardzo użyteczne. Dzięki jednej z nich twój protegowany został przeniesiony z obozu dla więźniów kryminalnych w dużo przyjemniejsze miejsce, do części dla więźniów politycznych. Ta sama osoba postarała się, żeby żaden strażnik nie interesował się zbyt ucieczką twojego drogiego przyjaciela. Natomiast *matas*, annamiccy strażnicy, otrzymali niebagatelne sumy. Pan Cheng sięgnął do swojego portfela.

— No proszę! Oto satrapa z Szolonu znów pojawia się na scenie.

— Twoje żarty dowodzą niewdzięczności. Pan Cheng nie tylko dostarczył pieniądze niezbędne do przeprowadzenia operacji, ale także oddał do dyspozycji uciekinierów jedną ze swoich dżonek. Przez tydzień statek wraz z załogą wojowników czekał na nich w okolicy Poulo Condore. Mieli dowieźć Tima do Hue.

— Nie można powiedzieć, żeby osiągnęli cel...

— Moja droga — przerwał jej Lemaire — po raz ostatni proszę cię, porzuć ten kpiący ton. Tak czy inaczej ta dżonka uratowała życie twojego... — Lemaire chciał powiedzieć „żigolo”, ale powstrzymał się w ostatniej chwili — ...twojego młodego przyjaciela. Sztorm, który dwa tygodnie temu rozpętał się na Morzu Chińskim, z pewnością zatopiłby łódkę, którą moi przyjaciele kazali dla niego zbudować, choć była solidna. Dla większego bezpieczeństwa pan Cheng załatwił, by jeden z jego przyjaciół, więzień polityczny imieniem Gilbert Giu — którego zresztą znam — pełnił rolę jego anioła stróża. Ten Gilbert podjął znaczne ryzyko, chociaż mógł się spodziewać, że w związku z niepokojącą sytuacją w Chinach więźniowie polityczni zostaną zwolnieni.

Laurence zapaliła papierosa, próbując się uspokoić.

— Chcesz wiedzieć, jak daleko się posunąłem, żeby ucieczka Tima Auberera nie wiązała się z większym ryzykiem niż rejs statkiem spacerowym? Praktycznie skazałem na śmierć dwóch ludzi, dwóch nieszczęsnych więźniów kryminalnych, dla których zorganizowano ucieczkę tratwą. Ich wyprawa skończyła się fatalnie, bo była tylko sposobem na odwrócenie uwagi łowców ludzi, których nie mogliśmy być pewni. Wydałem więc dwa wyroki śmierci i możesz mi wierzyć, że to wcale nie było przyjemne! Trzeba też było pozbyć się jego towarzysza, z którym początkowo miał uciec, poczciwego księgowego, siedzącego za jakąś drobną machlojkę, niejakiemu Phama, a on...

Laurence uspokoiła się wreszcie i położyła dłoń na rękę męża.

— Wybacz mi, Maurice. Przykro mi, że zważyłam w twoje dobre chęci. Dokonałeś dla Tima rzeczy niemożliwych, teraz zdaję sobie z tego sprawę. Ale zrozum, ten chłopak...

— Za tydzień będziemy wiedzieli więcej. Cierpliwości, moja droga. Dobry humor, tak można by określić atmosferę, która zapanowała w Sajgonie po zwycięstwach armii japońskiej w Chinach. Wieczorami na tarasach kawiarni rozbrzmiewały śmiechy, towarzyszył im kołyszący rytm filipińskich orkiestr. Dlaczegoż miano by się bać Japończyków? Są dobrze wychowani i kochają porządek. Nie są tacy jak Chińczycy, ta masa robactwa, która prędzej czy później wyroiłaby się w Wietnamie. Co więcej, nie było powodu martwić się perspektywą wojny. Kiedy huczą działa, rosną ceny kauczuku.

Pewnego wieczoru Maurice zaprosił Laurence do Perchoir, nowej modnej restauracji, znajdującej się na dachu jednego z budynków przy bulwarze Norodom. Rozciągał się stamtąd widok na światła miasta, tysiące maleńkich światełek drzą-

cych w ciepłym wieczornym powietrzu. Laurence olśniewała urodą.

— Jesteś niezwykle piękną kobietą.

— Czyżby? — spytała Laurence z rozbawieniem.

— Ależ tak, wszystko w tobie doskonale się komponuje; twoje włosy spięte w kok dodają szmaragdowi twych oczu niezrównanego blasku.

— Powinieneś pisać romanse — zaśmiała się Laurence.

— Nie kpij sobie z mojej nieporadności. Im silniejsze uczucie, tym trudniej je wyrazić.

— O jakim uczuciu mówisz?

— O przeżyciu estetycznym, które zawdzięczam twojej urodzie... Trzy sznury pereł są wyśmienitą oprawą dekoltu, a wieczorowa suknia, choć sztywna, poddaje się twoim kształtom... Ale dość tych komplementów, mam dla ciebie wieści dotyczące niejakiego Tima.

Laurence zeszywniała, jej uśmiech znikł. Lemaire zamilkł pod wrażeniem tej nagłej zmiany. Po chwili podjął:

— Cheng znów okazał się szybki i skuteczny. Wiemy już na pewno, że twój przyjaciel Timo jest przetrzymywany w Szanghaju.

— Skąd wiesz, że ci piraci obrali sobie za siedzibę Szanghaj?

— Przyjaciele Chenga widzieli na własne oczy, jak pewnego dnia wczesnym rankiem przy jednym z położonych na uboczu pirsów pojawił się cudzoziemiec. Był to młody mężczyzna rasy białej, o czarnych włosach. Oczy zasłonięte miał czerwoną przepaską.

— I to był Timo... — westchnęła głucho Laurence.

— Szczegóły podane przez przyjaciół Chenga to potwierdzają — mówił Lemaire. — Zgadza się wygląd łodzi, którą go przywieziono, a także indochiński strój kolonialny podobny do lego, jaki dostarczył mu Gilbert, a nawet język, którym mówili porywacze. Posługiwali się chińskim dialektem z wpływami języka hiszpańskiego. Tak więc mamy do czynienia z piratami generała Lao Sana.

— A okup? — spytała Laurence.

— Na ten temat nic nie wiadomo...

— Może Timo odmówił podania nazwisk osób, od których należy domagać się pieniędzy?

Lemaire pokręcił z ubolewaniem głową.

— Pewien przyjaciel Chenga nawiązał już kontakt z jednym z pełnomocników Lao Sana. Potwierdził, że jego banda przetrzymuje podróżnika w wieku około dwudziestu lat, rasy białej, o jasnoniebieskich oczach. Na pytanie o okup, odpowiedział: „Nie chodzi o pieniądze. Generał uważa tego młodego białego za bardzo cenny towar. Nie sprzedaje się cennych towarów, gdy ktoś jest tak bogaty jak generał”.

— Co to może znaczyć? — Laurence była zdumiona tą dziwną odpowiedzią. Nie dając mężowi czasu na zastanowienie, pełnym determinacji głosem powiedziała: — Chcą okupu czy nie, to niczego nie zmienia. Potrzebowałam informacji i je dostałam.

— O jakich informacjach mówisz?

— Dotyczących miejsca, w którym jest Timo. Teraz już wiem, że znajduje się w szanghajskim porcie. Więcej mi nie potrzeba.

— I co zamierzasz zrobić?

Laurence nie zwróciła uwagi na pytanie męża.

— Przypuszczam, że Cheng dysponuje w Szanghaju licznymi kontaktami?

— Właśnie dostarczyłem na to dowodów.

— A ty?

— Czy mógłbym wiedzieć, dlaczego o to pytasz?

— Ponieważ będę potrzebowała pomocy przy realizacji mojego planu.

— Wciąż nie rozumiem...

W tym momencie Laurence znów zaczęła się uśmiechać, a jej oczy błyszczały dziwnie.

— To proste, mój drogi Maurice — powiedziała lekko. —

Kiedy przyjaciel wpadnie w kłopoty, trzeba go z nich wyciągnąć za wszelką cenę.

— A to znaczy...

— A to znaczy, że sama wyrwę Tima z rąk bandytów, którzy go uwięzili.

Nim upłyną trzy dni, będę w Szanghaju.

Oślupiały ze zdumienia Lemaire wybełkotał:

— Możesz to powtórzyć?

Rozdział 22

Stalowoszary kadłub DC3 zadrżał. Powoli ruszył jeden, potem drugi silnik. Najpierw rozległo się kilka eksplozji, następnie cała ich seria, która przeszła w regularny pomruk. Laurence siedziała w samolocie już od kwadransa i właśnie zaczęła dochodzić do wniosku, że fotel jest niewygodny.

Dakota oderwała się od ziemi i Laurence miała okazję po raz pierwszy w życiu doświadczyć niezwykłego wrażenia unoszenia się w powietrzu.

Patrząc przez okienko, rozpoznawała statki, okręty, dżonki i sampany na rzece Sajgon, aleje biegnące pośród zwartych skupisk białych willi, pałac Norodom przypominający wielki tort, a potem geometrycznie podzielone pola ryżowe, pośród których tu i tam usadowiły się małe wioski, dalej zaś falowało zielone morze dżungli.

Rozejrzała się po kabinie. Większość miejsc była pusta. Już wchodząc do samolotu po żelaznych schodkach z porośniętego trawą pasa startowego, zauważyła, że oprócz niej leci tylko czterech pasażerów. Za nią siedzieli dwaj angielscy oficerowie i dwaj ubrani na zachodnią modłę chińscy handlowcy, chudzi i uśmiechnięci.

Port lotniczy w Hongkongu niewiele miał wspólnego ze swojską atmosferą lotniska w Sajgonie, zwanego Tan-Son

-Nhut. Tutaj nie było trawiastego pasa startowego, tylko szerokie betonowe tory oznakowane żółtymi i białymi liniami. Zamiast lotniskowych baraków i hangaru — długi trzypiętrowy budynek z wielkimi oknami.

Inaczej wyglądał też ruch na lotnisku. W porównaniu z aerodromem w Hongkongu, gdzie startowało i lądowało codziennie około dziesięciu samolotów, Tan-Son-Nhut, gdzie w tygodniu pojawiały się trzy dewoitine i DC3, był jakby wzięty z opowieści o poszukiwaczach przygód i Aeropostale⁴. Stojąc na betonowej nawierzchni, tym bardziej odczuwało się wilgoć pory monsunowej wzmożoną przez wilgoć niesioną morską bryzą. Ryk śmigieł macdougłasów sprawiał, że atmosfera była jeszcze bardziej przytłaczająca.

W hali przylotów wiał wiatr paniki, wiatr pół bitewnych, podmuch wybuchów, pierwsze dreszcze wojny wyniszczającej Chiny. Zgromadziły się tam setki uciekinierów, niemal wyłącznie Chińczyków. Byli tam starcy w jedwabnych szatach i czepkach, idący chwiejnie, podtrzymywani przez mężczyzn w sile wieku, zapewne synów, w okrągłych okularach, ubranych w szare marynarki. Chinki w tradycyjnych strojach — wąskich spódnicach do ziemi i wciętych w pasie żakietach — siedziały wyczerpane na tobołkach, spały, trzymając w ramionach dzieci. Kilkadziesiąt osób tłoczyło się przy długim oknie, obserwując pasażerów wysiadających z samolotów, rozglądając się za krewnymi, a skrzydła wentylatorów mieszały powietrze gęste od krzyków i płaczu. Jeden z angielskich oficerów, wysoki i młody, elegancki strach na wróble ubrany w mundur khaki ściśnięty skórzanym pasem, zdjął czapkę z czerwonym otokiem i przytrzymał Laurence drzwi prowadzące do hali, a jego kolega, okrągły i czerwony na twarzy, puścił ją przodem, dając znak, by weszła. Zatrzymała się, niezdecydowana, widząc tłum.

— Proszę pozwolić, utworzę pani drogę — zaproponował wyższy z oficerów po francusku, z silnym angielskim akcentem.

⁴Aeropostale — legendarne lotnicze towarzystwo pocztowe

Po kilku minutach, tyle bowiem trzeba było, by pracując łokciami, dotrzeć do drzwi pilnowanych przez dwóch żołnierzy w beretach z czerwonymi pióropuszcami, Laurence wraz ze swymi opiekunami weszła do biura z typowo brytyjskimi głębokimi fotelami. Wyższy z oficerów tym samym tonem usztywnionej grzeczności zaprosił, by zajęła miejsce w jednym z nich. Obaj oficerowie usiedli naprzeciwko. Tutaj również docierał stłumiony odgłos zgiełku panującego w sali odlotów.

— Atmosfera paniki na lotnisku w Hongkongu to całkiem coś innego niż spokój Sajgonu, z którego pani przybywa — zauważył wyższy z Anglików, tymczasem drugi, czerwony na twarzy, milczał i wpatrywał się w Laurence natarczywie.

— Kierowca z naszego sztabu ma po nas przyjechać. Nic dziwnego, że się spóźnia, napływ uciekinierów z Szanghaju zakłóca ruch uliczny. Proszę pozwolić, że się przedstawimy.

Odwrócił głowę do swojego pulchnego kolegi.

— To pułkownik Doherty, a ja jestem major Dodds.

— Laurence Aubie.

— Przypuszczam, że zarezerwowała pani pokój w English and Caledonian? Z przyjemnością panią tam odwieziemy — oznajmił wysoki oficer.

Laurence pokręciła głową.

— W takim razie Chinese Green? — zgadywał dalej oficer. — Ale być może udaje się pani do prywatnej rezydencji? Na przykład własnej czy też siedziby pani męża... Proszę mi wybaczyć niedyskrecję.

— Nie jest pan niedyskretny, majorze. Nie wybieram się do Hongkongu.

— W takim razie do Kantonu? — dopytywał się oficer Jego Wysokości, ale już mniej pewnym tonem. — To nie będzie takie proste. To prawda, że Hongkong oddalony jest zaledwie o trzydzieści dwa kilometry od Kantonu, ale trudno jest o miejsce na promie. Możemy jednak przyjść pani z pomocą, bo kilka

naszych statków robi pół tuzina kursów dziennie. Znajdzie się miejsce i dla pani.

— Do Kantonu też nie jadę — odpowiedziała Laurence. — Jestem tu, w Hongkongu, tylko z tej przyczyny, że tu ma międzylądowanie mój samolot.

Obaj oficerowie popatrzyli na siebie zdziwieni.

— Celem mojej podróży jest Szanghaj.

— Po co pani tam jedzie? — zapytał czerwonolicy oficer. Jego policyjny ton nie zbił Laurence z tropu. Wyciągnęła paczkę cravenów. Gdy tylko uniosła papierosa do ust, drażał wyciągnął w jej stronę zapaloną zapalniczkę. Popatrzyła grubemu oficerowi prosto w oczy i odpowiedziała:

— Jadę do Szanghaju spotkać się z mężem. Sangwiniczny oficer popatrzył na nią z niesmakiem.

— Zechce pani pokazać mi swoje dokumenty... Laurence bez słowa otworzyła torebkę, wyjęła z niej paszport i podała go wyższemu oficerowi, stojącemu bliżej, który z kolei podał go pułkownikowi.

— Paszport dyplomatyczny — stwierdził tamten. Przeczytał na głos: „Laurence Aubie...” i spojrzał na nią.

— Poznałem pani męża, kiedy byłem na placówce w Szanghaju, pięć lat temu. Był już wtedy wicekonsulem. — I dodał z przesadnym zdziwieniem: — Nie wiedziałem, że jest żonaty. W tamtych czasach zachowywał się jak kawaler, oczywiście nie mam na myśli niczego zdrożnego.

— To nieistotne — powiedziała Laurence. — Wtedy jeszcze nie byłam jego żoną.

Oficer zaczął przyglądać się uważnie paszportowi. Wyciągnął rękę do góry i obejrzał wszystkie strony pod światło jedna po drugiej.

— Pani paszport jest bez zarzutu. Czy jednak jest szczery? Moim zdaniem mówi prawdę i kłamie jednocześnie.

Zmusił się do uśmiechu, co bynajmniej nie sprawiło, że jego twarz stała się sympatyczna. To, co powiedział, nie zrobiło jednak na Laurence oczekiwanego wrażenia.

— Mój przyjaciel, major Dodds — podjął grubas — nie dokonał pełnej prezentacji. Rzeczywiście nazywam się Doherty i rzeczywiście jestem pułkownikiem. Należy jednak dodać, że pułkownikiem Military Intelligence, biuro numer pięć, inaczej mówiąc, MI5. Czy pani również należy do służb francuskich? Tak mi się wydaje. Równie dobrze mogłaby to jednak być Abwehra, służby niemieckie.

— Odgadł pan tylko połowę zagadki, pułkowniku. Nie mam nic wspólnego ze światem wywiadu, a zwłaszcza z Abwehrą. Jestem Francuzką. Można jednak zastanawiać się nad tym, czy mój paszport jest, jak pan to określił, szczerzy.

— A więc? — spytał Doherty nieco łagodniej. Laurence wypuściła dym i postanowiła rzucić się na głęboką wodę.

— Odgadł pan, pułkowniku, mój paszport kłamie jak z nut.

— Robi to bardzo dobrze... Tylko tajne służby potrafią wyprodukować fałszywe papiery tej jakości. Prawdę mówiąc, nie do poznania.

— Jestem żoną dowódcy tajnej policji w Sajgonie.

— Żoną Maurice'a Lemaire'a? — spytał Doherty. — Czy pani wie, że znam Maurice'a od ponad trzydziestu lat? Po raz pierwszy spotkaliśmy się w Kantonie w roku tysiąc dziewięćset jedenastym. Doktor Sun Jat-sen proklamował właśnie republikę, a Maurice pracował we francuskiej koncesji jako kancelista jakiegoś przedsiębiorstwa tekstylnego, o ile pamiętam. — Zdziwienie brytyjskiego oficera nie było udawane. — Nigdy bym nie przypuszczał, że mój przyjaciel Lemaire ożenił się z tak piękną kobietą. Wróćmy jednak do pani podróży. Maurice wystawił pani paszport dyplomatyczny jako żonie wicekonsula Aubiego. Możliwe. To doskonały sposób, żeby przedostać się przez japońską kontrolę graniczną i wjechać do Sajgonu, a także uzyskać dostęp do francuskiej koncesji. W jakim celu?

— Poszukuję bliskiego mi człowieka, który jest więziony w Szanghaju — odpowiedziała Laurence.

— Przypuszczam, że jest więźniem Japończyków?

— Niezupełnie. — Laurence była trochę zakłopotana. — Zgodnie z informacjami zgromadzonymi przez mojego męża, znajduje się w rękach piratów.

— A o kim mowa?

— Chłopak ma dwadzieścia dwa lata i jest moim synem z pierwszego małżeństwa.

— A nazywa się?

— A nazywa się Timo Lamy... Mówił pan, pułkowniku, że trzeba mieć naprawdę ważne powody, żeby stawić czoło szanghajskiemu piekłu i japońskiej okupacji. Ale czy poszukiwanie syna nie jest wystarczającym powodem, żeby przemierzać ogarniętą pożogą wojenną Azję?

Wysoki Dodds skinął głową ze współczuciem, a niewzruszony Doherty udawał, że nie dosłyszał.

— Czy mogłaby pani opisać mi swojego syna? — spytał. Zauważył zakłopotanie Laurence i poprawił się:

— Nie pytam panią o szczegóły, chciałbym po prostu wiedzieć, czy jest przystojny.

— Mało która matka uważa, że jej syn nie jest najprzystojniejszy na świecie. — Poczowała ukłucie w piersi, gdy dodała: — Ale Timo jest naprawdę bardzo przystojny.

Pułkownik Doherty pod gruboskórną powierzchownością ukrywał wyjątkowy intelekt. W ciągu trzydziestu lat pracy policyjnej i wywiadowczej wybudował wewnątrz swego umysłu aparat do wykrywania kłamstw. Czerwona lampka była teraz zapalona, wiedział, że ta kobieta kłamie. Lampka nie paliła się jednak zbyt mocnym światłem, co oznaczało, że powiedziała tylko pół prawdy.

— Mówi pani, syn z pierwszego małżeństwa... Przepraszam, że odchodzę od tematu, wróćmy do rzeczy: czy porywacze zażądali okupu?

— Nie.

Tym razem czerwona lampka zgasła.

— Doskonale — powiedział pułkownik Doherty. — Pani syn jest przystojnym chłopcem, ma dwadzieścia dwa lata i nie

było żądania okupu. Został więc porwany przez piratów należących do armii generała Lao Sana.

Spokojna dotąd Laurence, nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

— W rzeczy samej... Ale skąd pan... Oficerowie wymienili szybkie spojrzenia.

— Postać generała Lao Sana nie jest nam obca — poinformował pułkownik z niejaką wyższością. — Doszły nas już słuchy o niektórych jego wyczynach.

Laurence zgasiła papierosa. W skroniach jej pulsowało, serce biło mocno. Pułkownik wstał i podszedł do okna wychodzącego na lotnisko.

— Niedługo odleci pani do Szanghaju.

Laurence wstała, wstał też strach na wróble, major Dodds. Obaj mężczyźni odprowadzili ją do drzwi. Położywszy dłoń na klamce, Doherty odwrócił się do niej.

— Zechce pani przekazać wyrazy przyjaźni kochanemu Maurice'owi, swemu małżonkowi... a także wicekonsulowi Aubiemu w Szanghaju, w pewnym sensie swojemu drugiemu mężowi...

Laurence za całą odpowiedź uśmiechnęła się tylko niewyraźnie.

— Jeszcze jedno — powiedział Doherty. — Jedzie pani do Szanghaju, by uwolnić syna z rąk generała piratów Lao Sana. Czy ma pani pojęcie, gdzie należy go szukać?

— Liczę na to, że wicekonsul Aubie mi to powie, a przynajmniej pomoże w poszukiwaniach.

Czy aby znów nie zapaliło się czerwone światełko? Doherty z trudem rozpoznawał kłamstwo przez niedopowiedzenie. Laurence nie wymieniła jednego nazwiska i nie podała nazwiska wpływowego członka siatki Chenga, ponieważ kan-toński przywódca z Sajgonu żądał zachowania absolutnej tajemnicy.

— Z życzliwości do pani, a także pani mężów i w ogóle w ramach ententy

— rzekł Doherty — podam pani jedno nazwisko i adres... Proszę skontaktować się z szacownym Ma

Cho-kinem. Siedziba jego przedsiębiorstwa importowo-eksportowego znajduje się w wieżowcu Britannia na Bundzie. Proszę nie zapomnieć: pan Ma Cho-kin, Britannia, na Bundzie. — I dodał ze zdziwieniem: —

Widzę niepewność na pani twarzy. Proszę się nie obawiać, to godna

szacunku osobistość i mój przyjaciel. Oczywiście powoła się pani na mnie.

— Ależ nie mam żadnych obaw w stosunku do pana szacownego przyjaciela — zapewniła Laurence.

— Ma Cho-kin — powtórzył Doherty. — Proszę nie zapomnieć, Ma Cho-kin, Britannia, na Bundzie.

— Boję się o życie mojego syna...

— Życie pani syna nie jest w niebezpieczeństwie — powiedział Doherty z przekonaniem.

— Ale mówił pan o „wyczynach” generała Lao Sana. O co chodzi? O tortury?

— Tortury, rozkosze... Zdarza się, droga pani, że Anglik nie potrafi ich od siebie odróżnić.

Przez jakiś czas DC3 leciał nad wybrzeżem chińskim. Laurence nie mogła przestać myśleć o słowach pułkownika Doherty'ego. Czy chciał dać jej do zrozumienia, że szef piratów Lao San gwałci pojmanych przez siebie młodych mężczyzn zachodniego pochodzenia?

Sangwiniaczny pułkownik Doherty mówił też o innej sprawie, a Laurence nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Obiecała mężowi i Chengowi, że dochowa tajemnicy. Obietnicy dotrzymała, ale kiedy angielski oficer wymienił nazwisko Ma Cho-kin, była zaskoczona. To właśnie Ma Cho-kin jest osobą, którą Cheng i jej mąż wskazali jako kontakt w Szanghaju. Import-eksport, budynek Britannia na Bundzie. Wniosek z tego był taki: szacowny importer-eksporter należy do siatki Chenga, to znaczy do jego tajnego stowarzyszenia, należy też do pajęczej sieci informatorów jej męża i — najnowsza wiadomość —

pracuje również dla Intelligence Service. Dochodziła powoli do wniosku, że generał Lao San również pracuje dla angielskiego wywiadu. W tej całej plątaninie domysłów i przypuszczeń zupełnie zapomniała o toczącej się w Chinach wojnie.

Pod koniec dnia dakota zaczęła zniżać lot, zbliżając się do Szanghaju i za oknem samolotu ukazała się inna rzeczywistość. W świetle zachodzącego słońca rozciągał się widok na rozległą równinę z polami ryżowymi, gdzieś urozmaiconą wzgórzami i gęstymi lasami. Tu i tam w oddali widoczne były słupy dymu. Ognie pożarów migotały jak małe światełki. Nagle, prócz huku silników DC3, Laurence usłyszała jeszcze inny dźwięk: w odległości kilkunastu metrów od iluminatora pojawiła się eskorta dwóch jednosilnikowych japońskich myśliwców, białych, z wymalowanym czerwonym kręgiem. Leciwały tak blisko dakoty, że Laurence wyraźnie widziała pilotów, wojowników siedzących bez ruchu w cienkiej, przezroczystej skorupie, w której pomarańczowo połyskiwały światełka kok-pitu. Dotąd Japończycy byli podrzędnym zmartwieniem, dużo mniej istotnym niż jej jedna, jedyna myśl. Rzeczywistość pukała jednak do drzwi. Wojna wyszła jej na spotkanie.

W poczekalni szanghajskiego portu lotniczego trzy szeregi japońskich żołnierzy z bagnietami nasadzonymi na lufy karabinów, połowymi plecakami i przytroczonymi do nich zwiniętymi kocami, powstrzymywały tłum przerażonych Chińczyków. Do posterunku straży granicznej podszedł mężczyzna koło pięćdziesiątki w zachodnim stroju — szarym garniturze i czarnym filcowym kapeluszu. Był w towarzystwie wysokiego japońskiego oficera, ubranego w wysokie buty i spodnie do konnej jazdy oraz czapkę naciśniętą na łysą głowę. Po chwili Europejczyk dał znak Laurence, żeby podeszła. Uchylił kapelusza.

— Miło cię widzieć, droga Laurence... Ci panowie nie robili trudności, wiedzą, że jestem francuskim konsulem

w Szanghaju i że jesteś moją żoną, która przybyła, by do mnie dołączyć...
Zechciej pokazać panom paszport. Czy podróż minęła pomyślnie?

— Doskonale. Lądowanie nie było tak zupełnie spokojne, ale cóż...

Wysoki stopniem japoński oficer przerzucił dokument, traktując to jak czystą formalność, i oddał go Laurence ze sztywnym ukłonem zamiast podziękowania.

Po kilku minutach Laurence zajęła miejsce w czarnym samochodzie marki Delahaye, należącym do konsulatu, obok Pierre'a Aubiego, który zasiadł za kierownicą. Gdy błysnęły reflektory, w ich żółtym świetle jej oczom ukazał się obraz zniszczenia. Droga prowadząca na lotnisko ucierpiała podczas walk znacznie bardziej niż pasy startowe. Delahaye musiał lawirować między lejami po pociskach, kopcami ziemi, wypalonymi wrakami samochodów i rozbitymi wozami. Po obu stronach japońscy żołnierze uzbrojeni w karabiny z bagnetami pełnili straż, chodząc tam i z powrotem wzdłuż wysokiego ogrodzenia z drutu kolczastego. Za tymi płotami z żelaznych cierni rozpościerał się ocean ludzki, widać było tysiące zrozpaczonych uciekinierów. Niektórzy z nich na widok świateł przejeżdżającego samochodu rzucali się na ogrodzenie.
— Czy w Sajgonie zdają sobie sprawę, co tu się dzieje? — spytał Aubie poważnym tonem.

— Nie — odpowiedziała Laurence krótko.

— No tak, czy w ogóle można wyobrazić sobie taki koszmar!

Barbarzyństwo jest niewyobrażalne... Konsul Stanów Zjednoczonych powiedział mi, że jego kraj przygotowuje się do ewakuacji swoich obywateli. Anglia robi to samo.

— Dobrze pojęta dobroczynność zaczyna się od nas samych...

— Dobrze pojęta dobroczynność powinna się zacząć od wypowiedzenia Japonii wojny! — stwierdził konsul. — Nie można pozwolić wilkowi, by bezkarnie mordował owieczki.

Na końcu długiej, wyboistej drogi znajdował się obóz, składający się z dwudziestu wojskowych namiotów rozstawionych wokół wielkiego ogniska.

— Panowie Japończycy uważają się za najbardziej cywilizowane istoty na planecie — powiedział konsul z przekąsem — a nawet nie wiedzą, że można palić w piecu węglem, więc palą wszystko, co im wpadnie w ręce. Japońska okupacja w Chinach to jeden wielki pożar.

Rozdział 23

Delahaye wjechał do koncesji francuskiej aleją Joffre. Kiedy minęło się pilnowaną przez kilkunastu japońskich żołnierzy barierę z drutu kolczastego i dwa karabiny maszynowe, długa aleja prowadziła do samego serca chińskiego miasta, gdzie tłoczno było od samochodów, kulisów ciągnących wózki i riksze. Warsztaty rzemieślników stały ciasno, słychać było nieustający ryk klaksonów. Zwarte grupki mężczyzn i kobiet dyskutowały z ożywieniem wokół straganu sprzedawcy chińskiej zupy, stojącego pod dużym parasolem.

— Nawiasem mówiąc — zmienił temat Aubie — chociaż jesteś moją żoną, nie mogę umieścić cię w apartamentach konsulatu. Atak Japończyków w lipcu trzydziestego siódmego zmusił nas do przyjęcia kilkudziesięciu Chińczyków, „przyjaciół Francji”. Oczywiście znalazłem dla ciebie mieszkanie. Rodzina Haertzlów oferuje ci gościnę tak długo, jak będzie to potrzebne.

— Mam nadzieję, że nie będę dla nich ciężarem zbyt długo — odpowiedziała Laurence.

— Możesz się tym nie niepokoić. Haertzlowie nie narzekają na ciasnotę. Zaraz dojedziemy do ich rezydencji. Dziś wieczorem wydają przyjęcie na trzysta osób z okazji zwycięstwa Maroussi.

— Domyślam się, że to imię konia?

— Klaczy. Wspaniałej, karogniadej, czteroletniej klaczy, która pokonała w zeszłym tygodniu wszystkie ogiery na szang-hajskim hipodromie, na oczach dwustutysięcznej publiczności. Bukmacherzy międzynarodowej koncesji, zaślepieni brytyjskim szowinizmem, przyjmowali zakłady osiem do jednego przeciwko Maroussi. No i stąd to przyjęcie.

Samochód skręcił w aleję wysadzaną topolami. U jej końca wznosił się ogromny budynek, coś jakby pałac Tudorów z dwoma strzelistymi wieżyczkami. W otaczającym go parku paliły się setki pomarańczowych pochodni. Ponad gwarem rozmów unosiły się dźwięki jazzowej orkiestry. Czy państwo Haertzelowie byli najbardziej ekstrawagancką parą w Szanghaju? Trudno odpowiedzieć z całą pewnością, ponieważ w tym pierwszym porcie świata konkurencja w tej dziedzinie, choćby tylko wśród przybyszów z Zachodu, była ogromna.

Petrus Haertzel należał do najbogatszych ludzi w Chinach, uwzględniając wszystkie „koncesje” i wszystkie rasy. Urodził się w roku 1883 w Szanghaju, w części francuskiej Bundu, dzielnicy handlowej najeżonej drapaczami chmur, wznoszącej się nad portem na rzece Huangpu. Jego ojciec, Szlomo, przybył tu z Gdańska przez San Francisco i w roku 1850, niedługo po powstaniu francuskiej koncesji, otworzył pierwszy sklep z futrami. W tamtych czasach wśród bogatych Chińczyków zapanowała moda na futra, ale nie futra pandy czy mandżurskiego tygrysa, które uważano za zbyt pospolite, lecz na skóry wydry, karibu i północnokanadyjskiego niedźwiedzia — szykowniej sze, cieplejsze, stanowiące nowość. Ich wartość wzrosła tak bardzo, że w ciągu kilku lat liczba traperów zwiększyła się trzy-, cztero- albo i pięciokrotnie. Spory między Alaską a kanadyjską północą doprowadziły w końcu do wybuchu tak zwanej wojny futrzanej.

Jednak Petrus Haertzel nie przejął po ojcu handlu skórami. Od dzieciństwa zdradzał większe skłonności do zawodu jubilera,

wykonywanego przez stryja. Tak jak to często bywa z dziećmi, bardziej ujęła go osobowość stryjaska niż praca, o której nie miał pojęcia.

W odróżnieniu od surowego Szlomo, jego brat Nomy, stryj Petrusa, wiódł żywot hulaki. Był kawalerem i stale utrzymywał dziesięć kochanek, dziewięć chińskich dziewczyn oraz najkosztowniejszą ze wszystkich rosyjską awanturnicę, rzekomo wdowę po zrujnowanym księciu, którą zdmuchnął sprzed nosa najbogatszym mieszkańcom Szanghaju podczas licytacji. Podejmowane przez stryja Nomy'ego co trzy lata podróże, podczas których sprzedawał klejnoty i kupował nowe, wprawiały dzieciaka w zachwyty.

Jakże mogło być inaczej? Transakcje odbywały się w jubilerskiej dzielnicy Antwerpii, a podróż z Szanghaju na koniec Europy pełna była przygód. Najpierw należało wsiąść w Bundzie na statek płynący do Władywostoku, a następnie przebyć sporą część kuli ziemskiej koleją transsyberyjską, jadąc bezkresnymi równinami Syberii i Rosji, by potem wsiąść w Moskwie lub Sankt Petersburgu do ekspresu mknącego przez Europę. W miarę posuwania się na zachód, dziki i płaski krajobraz przeistaczał się stopniowo w romantyczne doliny, a pasażerowie byli coraz bardziej cywilizowani i elegancy.

Od osiemnastego roku życia Petrus zaczął pracować jako jubiler. Jego działalność wyglądała tak, jak to sobie wyobrażał. Co trzy lata wybierał się w podróż do Antwerpii statkiem i pociągiem — pięć miesięcy w jedną stronę, tyle samo z powrotem. Do kosztów podróży doliczał nieprzewidziane wydatki, czyli okup, jaki należało płacić rozbójnikom i innym bandytom, jacy trafiali się po drodze.

Właśnie podczas jednej z takich wypraw, wracając do Szanghaju koleją transsyberyjską, poznał Olgę — bynajmniej nie w salonie pierwszej klasy, a w chacie zastępującej stację kolejową w jakiejś syberyjskiej osadzie. Olga wraz z rodzicami niecierpliwie czekała na pociąg. Była piękną nastolatką o błękitnych oczach, pod czapką skrywała rude włosy upięte w kok.

Wysoki wzrost i lekki chód dowodziły płonącej w niej energii, a potrzebowała jej bardzo, bo w wieku szesnastu lat pełniła obowiązki głowy rodziny. Opiekowała się rodzicami — dwojgiem wynędzniałych i zrozpaczonych staruszków. Pochodzili z zauralskiej wioski, a tamtejsze getto po pogromie zostało spalone. Jakimś cudem rodzina Meyersonnów zdołała uciec i brnąć nocami przez śnieg, dotarła do najbliższej stacji kolejowej.

Petrus pomógł Meyersonnom wsiąść do pociągu i wniósł do wagonu starą walizkę, która stanowiła jedyny ich bagaż. Ojciec — z pejsami, w czarnym kapeluszu — usnął na ławce w wagonie pierwszej klasy, żona zasnęła przytulona od niego. Idąc za radą Olgi, Petrus postanowił ich nie budzić. Kiedy przybyli do Port Artur w Mandżurii, chiński kontroler zauważył, że oboje nie żyją. Olga przyjechała razem z Petrusem do Szanghaju.

Goście krążyli po parku, a zwłaszcza wokół suto zastawionych stołów. Pod pergolą orkiestra jazzowa skłaniała mężczyzn i kobiety z najlepszego towarzystwa do kręcenia biodrami w rytmie lambeth-walka.

Na przyjęciu u Haertzlów w ich szanghajskim pałacu aż lśniło od bogactwa. Kobiety miały na szyjach potrójne sznury pereł i suknie wieczorowe od Molyneux lub Lanvina. Wszyscy mężczyźni ubrani byli w obowiązkowy kolonialny strój wyjściowy: biały smoking, muchę i szeroki jedwabny pas.

Upłynęło sporo czasu, nim Olga powitała konsula i jego towarzyszkę. Idąc przez salę, w której odbywało się przyjęcie, gawędziła przez chwilę z każdym gościem. Laurence zastanawiała się, co tak niezwykłego ma w sobie ta kobieta? Skąd bierze się jej urok? Nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Olga dobiegała pięćdziesiątki i obcisła suknia zdradzała zbyt obfite kształty. Jej powieki stały się cięższe, a jednak błękitne oczy Olgi Haertzel, z domu Meyersonn, zachowały młodzieńczy blask. Dotarła w końcu do Aubiego i pozdrowiła go różnym:

— *Dobryj wieczier*, witaj, konsulu.

Konsul ruchem ręki odmówił przyjęcia kieliszka z szampanem, podanego na srebrnej tacy przez chińskiego lokaja w peruce i białych rękawiczkach.

— Nie mam czasu — powiedział — pędzę do konsulatu... Przedstawiam ci Laurence. Przyjechała do Szanghaju, by szukać swojego syna.

— Idź już, gruboskórny niedźwiedziu — powiedziała Olga z twardym słowiańskim akcentem, obdarzając jednocześnie Laurence promiennym uśmiechem.

Laurence również serdecznie się uśmiechnęła.

Pani domu, która nadużyła nieco jaskrawoczerwonej szminki i cieni do powiek, a także szampana i wódki, podeszła do niej i objęła ją wpół.

— Odpreź się, moja droga, twoja podróż zakończona, koszmar minął.

— Jeszcze nie osiągnęłam celu — zauważyła Laurence.

— Wszystko po kolei, siostrzyczko.

Wolną ręką wzięła kieliszek szampana i podała go Laurence.

— Najpierw musimy uczcić twoje przybycie. Zaniepokojona Laurence odwróciła się do Olgi.

— Moja walizka...

— Tak, wiem, twoja walizka jest w bagażniku delahaye'a tego niedźwiedzia Aubiego. Mój *butler* na pewno zdążył już zanieść ją do twojego pokoju.

Uprzedzając pytanie Laurence, Olga wyjaśniła:

— Reginald Barrymore, mój *butler*, czyli majordomus. W tym fachu Anglicy są niezrównani, taktowni i dyskretni. Dostaniesz niebieski pokój, najładniejszy z pokoi przeznaczonych dla przyjaciół. Będziesz naszym gościem tak długo, jak uznasz to za stosowne. Nie przestrasz się, jeżeli usłyszysz jakieś hałasy dochodzące z góry. Przyjeliśmy z Petrusem, moim mężem, pod nasz dach około pięćdziesięciu osób, które znalazły się w trudnej sytuacji. — Olga popatrzyła z ciekawością na Laurence. — Ile lat ma twój syn?

— Dwadzieścia trzy.

— Młodo wyglądasz jak na matkę dwudziestotrzyletniego syna... Nie wiedziałam, że uczucia macierzyńskie mogą być tak silne. Dwadzieścia trzy lata? To już nie jest porzucone niemowlę. Weź jednak pod uwagę, siostrzyczko, że nigdy nie miałam dzieci, więc trudno mi powiedzieć, czy byłabym w stanie wyruszyć na poszukiwania dwudziestotrzyletniego syna. Natomiast dla dwudziestotrzyletniego kochanka mogłabym zrobić wszystko...

Mrugnęła znacząco, co skonfundowało Laurence do reszty i sprawiło, że się zaczerwieniła. Pani domu zaciągnęła gościa na taras, z którego szerokie schody prowadziły do parku, kilka metrów od pergoli, gdzie wokalista zaintonował właśnie *Such a wonderful world*.

— Jak się dowiedziałaś, że twój syn jest w Szanghaju? Uciekł z Europy? Jesteście Żydami?

— Nie jesteśmy.

— Nic nie szkodzi. Jak się dowiedziałaś, że jest w Szanghaju?

— Timo został porwany na Morzu Chińskim. Jest przetrzymywany właśnie tutaj, gdzieś w porcie, na jednym ze statków zacumowanych przy Bundzie.

— Ależ to ogromny teren! — zauważyła Olga. — Nie wystarczy przechadzka pod drapaczami chmur, żeby go odnaleźć.

— Liczę na twoją pomoc.

— Nie zostawię cię w potrzebie, siostrzyczko — zapewniła Rosjanka. — Tylko że w tej chwili mam mnóstwo obowiązków wobec osób, które bardzo potrzebują mojej pomocy.

Spostrzegła pytające spojrzenie Laurence.

— Świat stanął na głowie — wytłumaczyła. — Znam prześladowania Żydów z dzieciństwa i okresu dorastania w Rosji. Przeżyłam trzy pogromy. Podczas trzeciego uszłam z życiem, uciekając koleją transsyberyjską do Chin. To było ponad trzydzieści lat temu i myślałam, że tylko rosyjscy Żydzi są prześladowani. A potem w trzydziestym trzecim w Niemczech do władzy doszedł Hitler. Od tego czasu mnóstwo Żydów ucieka z Niemiec i Austrii, ale też z Europy Środkowej.

Amerykańskie porty nie chcą ich przyjmować, więc przybywają do Szanghaju i są w skrajnej nędzy. — Na twarz Olgi powrócił uśmiech. —

Nie martw się o syna, prędzej czy później go znajdziemy. Masz jakieś wskazówki, poza tym że przypuszczalnie znajduje się gdzieś w tej portowej dżungli? Laurence zastanowiła się chwilę i powiedziała:

— Wiem, że został porwany przez piratów generała Lao Sana.

Olga wybuchnęła perlistym śmiechem.

— W takim razie naprawdę nie musisz się niepokoić, siostrzyczko.

Słyszałam niejedno o generale Lao Sanie. Twojemu synowi nie grozi nic strasznego, możesz mi wierzyć. Mówiłaś, że ma zaledwie dwadzieścia trzy lata? W tym wieku ma się dużo siły.

— Chciałabym zrozumieć... — zaczęła zaniepokojona Laurence.

— Lao San, generał piratów, jest tajemniczą istotą.

— A na czym polega ta tajemnica?

Olga wzięła z tacy przechodzącego obok kelnera kieliszek wódki i wypłała jednym haustem.

— Ach, siostrzyczko — westchnęła, wyraźnie pokrzepiona — gdybyś była kochanką tego młodzieńca, uważałabym, żeby nie wzbudzić twojej zazdrości. Ale skoro jesteś jego matką... No cóż, powiem ci. Generał Lao San jest kobietą.

Laurence otworzyła usta ze zdumienia.

— Jest się czemu dziwić, siostrzyczko, wiem o tym... Masz przed sobą jedną z niewielu osób w Szanghaju, które wiedzą, kim naprawdę jest ten generał piratów. To kobieta, ma około trzydziestu lat i nigdy nie opuszcza luksusowego jachtu zacumowanego przy Bundzie. Tylko jej pełnomocnicy i więźniowie widują jej twarz.

— Więźniowie? — powtórzyła Laurence.

— Nie bój się, więźniowie bynajmniej nie są maltretowani, wręcz przeciwnie. Z winy Lao Sana zdarzyła mi się kiedyś podobna przygoda. Trzy lata temu pewien młody mężczyzna należący do mojego otoczenia został porwany przez jej ludzi z parowca kursującego między Szanghajem i Japonią. Tylko że ten chłopiec był moim kochankiem. Ależ on był przystojny, siostrzyczko! Nazywał się Alosza i był synem carskiego oficera, który w latach dwudziestych wraz z całą rodziną uciekł do Szanghaju przed komunistyczną zarazą. Alosza... dwadzieścia lat, umięśnione smukłe ciało, nieustrudzony kochanek, włosy jasne jak ukraińska pszenica i oczywiście niebieskie oczy...

— Dlaczego „oczywiście”? — spytała nieco zdezorientowana Laurence.

— „Oczywiście”? — powtórzyła Olga i ściągnęła brwi. — Ach, tak! Dlatego „oczywiście”, że Alosza został porwany właśnie z powodu swoich pięknych błękitnych oczu. Tak więc twój syn również ma piękne błękitne oczy...

Laurence skinęła głową.

— Wszystko jasne! — wykrzyknęła Olga głosem wyraźnie rozgrzanym mieszanką wódki i szampana. — Lao San, kobieta trzydziestoletnia, pragnie dziecka. Tylko zrozum mnie dobrze, nie chodzi jej wcale o macierzyństwo jako takie. Ona pragnie mieć dziecko o błękitnych oczach. Skąd wiem? Powiedział mi

O tym Alosza, który wciąż jeszcze był w niej zakochany, gdy spotkałam go trzy lata po porwaniu. Piraci Lao Sana porywają atrakcyjnych młodych mężczyzn, koniecznie błękitnookich,

1 przywożą ich swojej królowej, żeby zrobili jej dziecko. Jediną torturą, jaką muszą znosić, jest uprawianie miłości.

— A więc, o ile dobrze zrozumiałam, Timo jest zmuszany... — wykrztusiła Laurence.

Olga wybuchnęła śmiechem.

— Ależ tak, siostrzyczko! Twój synalek musi pieprzyć się z generałem. Ale nie martw się, ten generał jest całkiem urodziwy. Lao San jest może trochę zbyt drobna, ale o zmysłowych kształtach, ma ładną buzię i czarne aksamitne oczy.

Większość porwanych na całym świecie mogłaby zazdrościć losu jej ofiarom.

Laurence, oniemiała ze zdumienia, zastygła bez ruchu, przerażona tym, co usłyszała, i co przekraczało jej wszelkie wyobrażenia. Olga to dostrzegła.

— Ależ Laurence, uśmiechnij się. W dzisiejszych czasach ginie tylu ludzi, że powinniśmy cieszyć się z każdych narodzin. Pomyśl, jakie to dla ciebie szczęście!

Strzeliła palcami, przywołując jednego z wystrojonych jak operetkowi lokaje Chińczyków.

— Chodź tu, *mużykl*

Chińczyk przybiegł drobnymi kroczkami, a Olga poprawiła mu perukę.

— *Muzyk*, przygotujesz nam dwa *slingery*: wódka, whisky i szampan.

Musimy uczcić szczęśliwe wydarzenie. Moja droga przyjaciółka Laurence wkrótce zostanie babcią!

Następnego dnia wieczorem w parku Haertzlów odbyło się kolejne przyjęcie. Tym razem zamiast czarnoskórych jazzmanów przygrywała orkiestra kameralna złożona z białych.

Z trudem przeciskając się przez tłum gości i pomagając sobie przy tym łokciami, Petrus Haertzel, ubrany w niebieską marynarkę w prążki, w słomkowym kapeluszu i z goździkiem w butonierce, machał do Olgi i Laurence. Metr za nim szedł łysy pulchny Chińczyk. Gdy Petrus wreszcie do nich dotarł, skłonił się, by ucałować ich dłonie. Zrobił to z tak naturalnym wdziękiem, że Laurence uśmiechnęła się mimo woli. Nalany Chińczyk, który wydał jej się wierną kopią pana Chenga, uznał za stosowne obdarzyć obie kobiety czymś, co uznał zapewne za ujmujący uśmiech, a co w rzeczywistości było wstrętnym grymasem.

— Piękne przyjęcie — stwierdził Petrus, zwracając się do żony. —

Wydaje mi się jednak, że twoja orkiestra nędzarzy nie Hra zbyt wesoło.

— Moja orkiestra złożona jest z najlepszych żydowskich wirtuozów z Europy Środkowej — powiedziała Olga. — Doprawdy, jesteś o ciężały jak syberyjski niedźwiedź, stworzony do dansingów za Bundem, z kryształową kulą obracającą się pod sufitem i fordanserkami w obcisłych kieckach i jedwabnych pończochach w motylki, po dolarze za taniec.

— Przynajmniej oszczędza mi to smrodu koszernej kuchni, który musimy znosić w zamian za goszczenie w naszym domu tych panów i ich rodzin. Porzygać się można!

Olga zwróciła się do Laurence:

— Musisz wiedzieć, moja siostrzyczko, że te antysemitki wypowiedzi, które przypominają mi to, co słyszałam w dzieciństwie podczas pogromów w carskiej Rosji, wychodzą z ust Żyda. Przyjrzyj się dobrze, przed tobą stoi syn Abrahama, który jest antysemitą!

— Nie jestem niczym synem, tylko synem mojego ojca...

— Twojego ojca Szlomo Haertzla, który dał ci imię Samuel... Olga znów odwróciła się do Laurence.

— Ponieważ ten wytworny pan wcale nie nazywa się Petrus. Jego imię to Samuel!

— Wybacz proszę, droga Olgo, mam na imię Petrus, ponieważ tak postanowiłem. Dokonałem tego wyboru na cześć znakomitego wina z Bordeaux, dokładnie z Pomerol, prawdziwego cudu cywilizacji zachodniej i chrześcijańskiej. Mówię o Chateau Petrus.

— ...którego, nawiasem mówiąc, spożywasz niemało.

— Mam to szczęście. — Na twarzy Petrusa znów pojawił się uśmiech, łagodząc zaostrażający się ton rozmowy. — Konkluzja: nazywam się Petrus i nie jestem Żydem!

Petrus położył dłoń na ramieniu tłustego Chińczyka, który w swoim przekonaniu zachował się stosownie do sytuacji, wykrzywiając się w uśmiechu.

— Droga Laurence, dziś rano Olga prosiła mnie, bym wytrzasnął ci kogoś, kto pomoże odnaleźć twojego syna... Pan Tu jest właśnie osobą, o jaką ci chodzi.

Chińczyk, usłyszawszy swoje imię, skłonił się, co nadało mu jeszcze bardziej służalczy wygląd.

— Przedstawię ci go w dwóch słowach. Pan Tu jest wyjątkowym nikczemnikiem, najgorszą wszą, jaką można znaleźć w Szanghaju, choć w tym mieście bynajmniej nie brakuje wyróżniających się przedstawicieli tego gatunku.

Laurence popatrzyła na Petrusa oczami okrągłymi ze zdziwienia.

— Nie przejmuj się — uspokoił ją Petrus. — To bydlę nie mówi naszym językiem.

Pan Tu nie zareagował, wciąż tylko wykrzywił się w tym swoim wstrętnym uśmiechu.

— Pan Tu nie zna również angielskiego... Ponieważ ani ty, ani Olga, ani ja nie znamy chińskiego, zastanawiasz się pewnie, w jakim języku możemy się porozumieć. Otóż dogadamy się w jidysz, ponieważ obecny tu nędznik, pan Tu, wyraża się bardzo poprawnie w języku Żydów z Europy Środkowej i Rosji, gwarze skądinąd przykrej dla ucha, którą ja, rzecz jasna, nie władam.

— Pan Tu dobrze rozumie jidysz — odezwała się Olga — ale mówi językiem pidgin. W zasadzie pidgin to język amerykański wymawiany na chiński sposób. Natomiast pan Tu posługuje się pidgin jidysz, czyli chińskim sposobem wymawiania jidysz.

— Pidgin jidysz to bardzo ciekawy język — potwierdził Petrus. — Myślę, że gdy Marsjanie przybędą na Ziemię, tego właśnie języka będą używali. Krótko mówiąc, droga Olgo, zechciej wyświadczyć nam przysługę i posłużyć się swym jidysz dla dobrej sprawy.

Płomiennoruda Rosjanka zaczęła tłumaczyć na jidysz kolejne pytania przyjaciółki.

— Czy zna pan generała Lao Sana? — spytała Laurence. Oczywiście — odrzekł pan Tu. — Znam tę damę, podobnie jak wiele innych osób w Szanghaju, choć nigdy jej nie widziałem.

— Czy może pan nawiązać z nią kontakt?

— Nie. Ta dama jest bardzo trudno dostępna. Jest pilnie strzeżona.

— Strzeżona przez swą armię? Hu ich jest?

— Powiadają, że ma ponad czterystu piratów, groźnych jak mandzurskie tygrysy. Nie jest to jednak jej jedyna ochrona. Powiadają też, że jest na usługach angielskich tajnych służb.

Pan Tu znów uśmiechnął się obrzydliwie, a jego pidgin jidysz stał się jeszcze bardziej syczący, kiedy dodał:

— Generał Lao San, bardzo dziwna osoba. Ma trzydzieści lat i piętnastoletnią córkę, ciemnowłosą jak matka, pochodzi z Filipin. Każe porwać młodych białych o niebieskich oczach, żeby mieć dziecko o niebieskich oczach. Ale ona nie może już mieć dziecka, więc po dwóch, trzech miesiącach każe zabijać porwanych młodych ludzi, którzy nie mogli zrobić jej dziecka.

Laurence przeszedł dreszcz. Olga zapytała:

— Moja przyjaciółka uważa, że można skontaktować się z panią Lao San za pośrednictwem kupca imieniem Ma Cho-kin... Czy pan go zna?

— Szacowny Ma Cho-kin, mój dobry przyjaciel — potwierdził pan Tu.

— Bardzo dobry pomysł, żeby on spotkać panią Lao San. On jeden zdolny przekazać jej wiadomość.

Laurence ogarnęła fala szczęścia. Trwało to jednak bardzo krótko, ponieważ pan Tu dodał z tym samym przerażającym uśmiechem:

— Tylko mały problem. Dobry przyjaciel Ma Cho-kin miał zatarg z japońską Kempeitai, która podejrzewała, że sprzedaje broń generałowi Czang Kajszekowi i że jest szpiegiem na usługach Anglii. Wczoraj wieczorem znaleziono szacownego Ma Cho-kina w jego mieszkaniu na Bundzie. Zabitego.

Rozdział 24

Pani generał Lao San rozkoszowała się cygarem, przesuając jednocześnie palcem po swoich czarnych kręconych włosach. Siedziała na fotelu naprzeciwko kanapy, na której Timo strząsał / siebie resztki snu, i dokonywała oceny swojego gościa — gościa poniekąd mimo woli — rozpatrując jego dobre i złe strony.

— Trzeba przyznać, że ma pan ładne oczy, panie Timo, w kolorze lekkiego błękitu, bardzo jasne. Ten kolor przypomina mi morze Celebes, po którym wraz z moim ojcem pierwszy raz płynęłam statkiem.

— Niezmiernie się z tego cieszę, droga pani — rzucił sucho Timo.

— Widzę również, że ma pan bardzo kształtne dłonie. Przeniosła się na oparcie kanapy. Wzięła go za rękę i przybliżyła ją do swojej twarzy.

— Doprawdy, ma pan bardzo piękne ręce. Tylko indonezyjscy chirurdzy mogą pochwalić się tak pięknymi dłońmi. Nie jest pan jednak Indonezyjczykiem.

— Nie. Trochę mnie to martwi, ale jestem Francuzem. Taka jest prawda.

— Niestety... — westchnęła, ale zaraz dodała: — W gruncie rzeczy to bez znaczenia, bo nie jest pan również chirurgiem.

Timo wolał nie komentować tak dziwaczego stwierdzenia.

— Muzyk? — spytała pani generał.

Ograniczył się do przeczącego ruchu palcem. Z wolna jego rozdrażnienie mijało. Rąbek sari muskający policzek, słodki pudrowy zapach perfum, cichutki szmer, gdy jedna noga odziana w jedwab otarła się o drugą sprawiły, że rytm jego serca wyraźnie przyspieszył. Starał się zachować spokój, ale napięcie rosło, coraz silniej czuł je w skroniach.

Czy ta kobieta zdawała sobie sprawę z pomieszania, w jakie wprowadzała swojego więźnia? Wstała z oparcia kanapy i przeszła przez salon, by usiąść do pianina. Podniosła mahoniową pokrywę... Rozległa się przerażająca kakofonia, potok fałszywych nut, jazgot metalicznych dysonansów. Zdezcelowane pianino było tak rozstrojone, jak tylko to możliwe, a niewzruszona Lao San grała bardzo kiepsko. Nie odwracając głowy, spytała Tima podniesionym głosem:

— Poznaje to pan? — I nie czekając na odpowiedź, powiedziała: — *Dear old swanny...* Naprawdę bardzo piękna amerykańska melodia.

Kakofonia umilkła równie nagle, jak wybuchła. Lao San zdjęła palce z klawiatury, zamknęła pianino, wstała i podeszła do Tima. Po drodze otworzyła skrzynkę z cygarami i wzięła długą zapalną, żeby ponownie zapalić hawanę. Nie miał wątpliwości: Lao San była prawdziwą miłośniczką cygar. Rozkoszowała się dymem, ssała cygaro i gryzła je, jakby z drapieżną zachłannością. Timo znów miał nieodparte wrażenie, że ten sposób palenia hawany jest typowy dla nałogowych pokerzystów.

— Bardzo lubię amerykańską muzykę — oznajmiła. — Te melodie są porywające i zarazem lekkie.

Timo uniósł brwi.

— Muzyka amerykańska jest pełna subtelności — mówiła. — Dlatego właśnie uwielbiam ją grać.

Czy była to autoironia ze strony Lao San i dowód przewrotnego poczucia humoru? Znów usiadła na oparciu kanapy.

— Ameryka jest najwspanialszym krajem — ciągnęła. —

Nie tylko z powodu muzyki... Również z powodu piękna krajobrazów, wspaniałych miast, przemysłu, armii, literatury...

— A także urody amerykańskich mężczyzn — dodał Timo z pogardą.

— To prawda, Amerykanie są wspaniali — zgodziła się Lao San. —

Wielcy, szerocy w ramionach, mają wyraźnie zarysowane mięśnie, są

opaleni, mają jasne kręcone włosy i niebieskie oczy. Jak widać, poza kolorem oczu daleko panu do mojego ideału mężczyzny.

— Na szczęście niewiele kobiet myśli tak jak pani — westchnął nieco urażony Timo. — Mało która kobieta tak dokładnie określa przedmiot swojego pożądanego.

Lao San uśmiechnęła się jeszcze promiennie. Mimo pożółkłych od tytoniu zębów uśmiech ciemnowłosej królowej piratów, wodza morskiej armii, emanował czarem przenikającym serce Tima. Intensywne spojrzenie czarnych oczu, podkreślonych czarnym ołówkiem, w połączeniu ze zmysłowym zapachem sprawiało, że krew pulsowała w jego skroniach.

— Kto tu mówi o pożądanym? — zdziwiła się Lao San. Sposób, w jaki ta kobieta na niego patrzyła, jej wyszukane maniery i uwodzicielski uśmiech sprawiły, że zaczął odczuwać krepujące napięcie w okolicach podbrzusza.

Lao San wstała z oparcia kanapy. Timo przez moment obawiał się, że znów siądzie do pianina, ale na szczęście opadła na fotel naprzeciwko niego, unosząc przy tym sari. Zgrabne nogi w jedwabnych pończochach, wysokie obcasy...

— Pożądanie nie ma tutaj nic do rzeczy — powiedziała. Pochyliła się, żeby strząsnąć popiół z cygara do popielniczki stojącej na niskim stoliku obok niej, ukazując przy tym ciężkie piersi za satynowym woalem.

— Stany Zjednoczone to wielki i piękny kraj. Od zeszłego roku inwestuję tam cały mój majątek. Ulokowałam pieniądze w nowojorskich hotelach i przemyśle automobilowym w Chicago. Kupiłam winnice w okolicach Los Angeles, jestem właścicielką całej kamienicy na Market Street w San Francisco,

co pozwoli mi stać się z osoby posiadającej prawo pobytu w Stanach Zjednoczonych obywatelką amerykańską. Za dwa lata, a może prędzej, będę miała paszport z amerykańskim orłem.

Timo uznał, że czas już wziąć aktywniejszy udział w rozmowie, choćby po to, by nieco przewietrzyć umysł.

— Moje gratulacje. Wyznam jednak, generale, że trudno mi powiązać ze sobą różne wątki pani wypowiedzi: biali mężczyźni o błękitnych oczach, pożądanie, które nie ma nic do rzeczy, pani ponoć kolosalna fortuna, paszport z amerykańskim orłem... Trochę się w tym gubię.

— A jednak wszystko jest spójne, drogi Timo. Oczywiście, pomijając pożądanie... — zaznaczyła z dziwnym wyrazem twarzy. — Ameryka jest najwspanialszym krajem. Ma tylko jedną wadę, ale za to poważną: jest krajem rasistowskim. Aby żyć szczęśliwie w Ameryce, trzeba być białym.

— Nadal nie rozumiem...

— To proste, młody człowieku. W gruncie rzeczy nie zależy mi na tym, by zostać Amerykanką. Wiem zresztą, że nigdy nie będę nią naprawdę. Mam ciemną karnację Indonezyjek i Filipinek. Moja piętnastoletnia córka nie ma dostępu do szkół dla WASP-ów. Musiałam zapewnić jej trzech nauczycieli, którzy przygotowują ją do studiów na Uniwersytecie Stanforda.

— Ciągle jednak nie rozumiem, dlaczego porywa pani blondynów z niebieskimi oczami.

— Bo chcę mieć dziecko o blond włosach i z niebieskimi oczami!

Przecież to proste...

Timo nadal nie rozumiał.

— A więc chce pani dziecka o blond włosach i z niebieskimi oczami? — powtórzył.

— Tak, chcę dziecka o blond włosach i z niebieskimi oczami, ponieważ chcę, żeby było stuprocentowym Amerykaninem, prawdziwym WASP-em! Żeby mogło w pełni korzystać ze swego majątku i nie musiało znosić pogardy pań i panów z lepszego towarzystwa.

— Ale żeby dziecko miało blond włosy i niebieskie oczy, nie wystarczy ojciec posiadający te cechy... — zauważył Timo.

— Oczywiście, jest to jednak niezbędnym warunkiem — ucięła Lao San.

— Tak czy inaczej, żaden z panów białej rasy o jasnych włosach i niebieskich oczach, których tu sprowadziłam, nie był w stanie zapewnić mi dziecka. Żaden z nich nie stanął też na wysokości zadania i nie dał mi rozkoszy... Co prawda nie tego od nich wymagałam. — Nagle przybrała zatroskany wyraz twarzy. — I co ja z panem zrobię? Ma pan co prawda niebieskie oczy, w całkiem ładnym odcieniu, przyznaję to, nie jest pan jednak blondynem... Konkluzja: jeśli chodzi o dziecko, nie interesuje mnie pan.

— Proszę więc mnie uwolnić... — zasugerował Timo.

— To zbyt niebezpieczne. Mam na karku Kempeitai. Jeżeli wypuszczę pana na Bundzie, pójdzie pan prosto do komisariatu francuskiej koncesji i powie, gdzie był więziony. Francuska policja współpracuje z Japończykami. Proszę więc samemu wyciągnąć wnioski...

— Proszę przyjąć do wiadomości, generale, że jestem uciekinierem z francuskiego obozu karnego. Nie bardzo mi się uśmiecha wizyta we francuskim komisariacie.

— Być może. Nie mogę jednak ryzykować.

— Wybór jest prosty — podjął Timo — albo mnie pani uwolni, albo mnie pani zamorduje.

— Nie mam najmniejszej ochoty pana mordować — zapewniła pani generał. — Wiem, niektórzy twierdzą, że zabijam moich nieproduktywnych kochanków. To kłamstwo. Zdarzyło się raz, jeden jedyny raz, że któryś z nich zginął. Chciał uciec z mojego jachtu, gdy płynęliśmy do Manili, gdzie właśnie zamierzałam go wypuścić. Niestety, skądinąd niezwykle przystojny, przedostał się do systemu wentylacyjnego i ugrzązł w jednym z przewodów! Biedny chłopiec...

— Straszna śmierć — stwierdził Timo obojętnie.

— Dobrym rozwiązaniem byłoby wypuszczenie pana w któryś z portów na Pacyfiku — ciągnęła Lao San. — Niestety,

na Huangpu pełno jest japońskich kutrów patrolowych, a ujścia Jangcy pilnują krążowniki. Nie sposób wydostać się z Szanghaju. Co ja mam z panem zrobić?

Wstała, szeleszcząc sari i patrząc dziwnie na Tima. Usiadła obok niego, odłożywszy uprzednio cygaro do popielniczki. Ich rozchylone wargi się połączyły. W pierwszej chwili Timo był zaskoczony tym pocałunkiem o smaku hawany, ale zaraz dał się ponieść namiętności. W tym samym momencie ręka Lao San trafiła między jego nogi. Kobieta jęknęła cicho, wyczuwając rozkoszną twardość.

Po upływie trzech dni wódz armii zażądał rozejmu. Leżąc z głową przytuloną do piersi kochanka, z włosami zlepionymi od potu, przeciągnęła się, mówiąc:

— Mój kochany, jak tak dalej pójdzie, grozi nam niebezpieczeństwo.

— No dobrze, zgadzam się na zawieszenie broni...

— Ale krótkotrwale — uściśliła Lao San. — Na razie jestem głodna jak wilk. Każę podać coś do jedzenia.

Sypialnia urządzona była w amerykańskim stylu podobnie jak reszta statku: łożo z baldachimem rodem z burdelu w San Francisco, z pościelą pomiętą po trzech dniach tornada, intars-jowana komoda i mahoniowa toaletka z lustrem przywodzące na myśl Boston, małe biurczko z czarnego drewna, surowe niczym kwakier z Nantucket i fotel na biegunach porwany gdzieś w Luizjanie.

Lao San przeszła kilka kroków, całkiem naga, nim włożyła jedwabny szlafrok. Timo stwierdził, że nie zdoła długo opierać się tej prowokacji.

Postanowił więc wytrwać na posterunku i jeśli trzeba polec.

Kelner o karmelowej skórze, ubrany w nieskazitelnie białą marynarkę zapiętą pod szyją, spodnie do kolan i sandały, postawił na okrągłym stole z ciemnego drewna pokrytego laką tacę pełną wiktuałów — kurzych skrzydełek, sajgonek, miseczek z sosami oraz ciasteczek serowych owiniętych w liście palmowe gotowanych na parze. Lao San powiedziała ostro parę zdań po chińsku i kelner-pirat, zmieszany i przerażony, upadł przed nią na kolana. Gdy wstał i wyszedł zgarbiony z pokoju, Timo odrzucił wymięte prześcieradło, którym był owinięty w pasie, i wyskoczył z łóżka. Nie podobał mu się sposób, w jaki jego kochanka

potraktowała nieszczęsnego pirata-kelnera. Postanowił wyrazić swoje zdanie po chińsku, licząc na to, że ją zaskoczy.

— Nie lubię, kiedy ktoś zwraca się do ludzi jak do niewolników — wydukał z trudem.

Lao San popatrzyła na niego zdumiona.

— Mówisz po chińsku? Mogłam się domyślić. Nauczyłeś się miłości od Chinek, to oczywiste, w przeciwnym razie nie potrafiłbyś tak rozkosznie wykonać „podmuchu wulkanu”. Wciąż drzę.

— A ci biali, twoi blondyni o niebieskich oczach, którzy nie zostali wprowadzeni w arkana chińskiej miłości, jak się zachowywali? — spytał Timo już po francusku.

— Biali, blondyni o niebieskich oczach i inni, mają nader wysokie mniemanie o sobie, jeśli chodzi o sztukę kochania. Mylą się. To zwyczajni głupcy. Doprawdy, żal mi Europejek i Amerykanek. Nic dziwnego, że stały się purytankami lub lesbijkami. Niewiele rozkoszy mogą znaleźć w miłości!

— Spośród tych wszystkich przystojnych chłopców, których kazałaś porwać, naprawdę żaden nie wykazał się talentem?

— Talentem?! — Lao San zaklęła po chińsku. — Naprawdę nie miało to nic wspólnego z talentem. Od Londynu po Paryż czy San Francisco, wszyscy są tacy sami! Niezdary. Mechaniczne pieszczoty. Brutalna penetracja, nie mówiąc już o tym, że popełniają podstawowy błąd, jeśli chodzi o akt zmysłowy. — I dodała po chińsku: — Nie należy gasić ognia, dopóki nie roznieci się pożaru.

— Oczywiście rozkosz i pośpiech nie idą w parze — zgodził się Timo.

— Pamiętam jednak pewnego chłopca w twoim wieku, Rosjanina z Szanghaju imieniem Alosza. Wyznał mi, że w tajniki sztuki miłosnej został wprowadzony przez starszą od siebie o dwadzieścia lat Rosjankę. Nazywała się Olga. Uczyniła ze swego kochanka mistrza sztuki miłosnej, delikatnego, uważnego, pełnego zapału, czułego.

Lao San nie przypuszczała, że jej słowa mogły przypomnieć jeńcowi o kobiecie, która również była starsza od niego o dwadzieścia lat. Lao San nie mogła tego wiedzieć, nie miało to zresztą najmniejszego znaczenia: Timowi nie przyszło do głowy nic podobnego. Laurence, której imię wzywał, szlochając w „Gnieździe węży”, całkiem znikła z jego pamięci. Chińskie potrawy, które przyniósł kelner, okazały się wyśmienite i wprawiły kochanków w figlarny nastrój. Pochłaniając kolejne sajgonki, Lao San śmiała się serdecznie ze sposobu, w jaki Timo wymawiał chińskie słowa.

— W zasadzie takim pidgin mówią najczęściej chińscy kupcy — stwierdziła.

— Nie jestem kupcem.

— Jeśli chodzi o pidgin, masz ku temu predyspozycje... Dokładniej rzecz ujmując, mówisz chińskim pidgin. Możesz powtórzyć to, co przed chwilą powiedziałeś?

— Powiedziałem: *Shean yun saome hong* — uśmiechnął się szeroko.

Lao San wybuchnęła szalonym śmiechem, niezrażony Timo również.

— A twoim zdaniem, co to znaczy? — spytała Lao San, ocierając łzy spływające po policzkach.

— To znaczy: „Przestań traktować tego człowieka jak niewolnika”.

Lao San zaprzeczyła energicznym ruchem ręki, znów dusząc się ze śmiechu.

— Wcale tego nie powiedziałeś. Powiedziałeś... — urwała, próbując opanować śmiech. — Powiedziałeś: „Przestań traktować tego człowieka jak plandekę rikszy”.

— Powiedziałem: *hong* — zaprotestował Timo.

— Nie. Powiedziałeś: *hong*\

Timo wziął skrzydełko kurczaka, które pomalował pędzelkiem sosem kolendrowym, uniósł je do ust i wpił się w nie zębami.

— Co za różnica... — mruknął.

— Inna intonacja... Timo, przecież to wyraźnie słyhać. Wam, białym kolonizatorom, wydaje się, że jesteście tacy mocni, a nie potraficie wychwycić tak oczywistej różnicy.

Kochankowie wynurzyli się na powierzchnię łoża dopiero następnego dnia wieczorem. Byli rozluźnieni, ich serca ukojone, dusze w rozkwicie. Lampy zalewały obszerną kabinę Lao San migotliwym światłem. Z zewnątrz dochodziły odgłosy ruchu ulicznego na Bundzie. Gdy Timo zaspokoił swoje pożądanie, znów zaczął wyczuwać, co prawda słabszy, ten sam trupi odór, który chwycił go za gardło, gdy przybył na jacht. Zwłoki o wzdętych brzuchach wciąż pływały po powierzchni Huangpu. Lao San siedziała przy czarnym łąkowym stoliku, ubrana w szlafrok z białego jedwabiu, i stawiała pasjansa. Zapaliła hawanę i dym cygara stłumił smród gnijących trupów.

— Umiesz grać w karty? — spytała pani generał. Zaskoczony Timo przełknął ślinę. *Low profile*, powiedział Ted

Rooster. „Nie wychylać się, nigdy nie dać po sobie poznać, że jest się graczem, a zwłaszcza że jest się »manipulatorem«. Działać w ukryciu i nigdy nie pokazywać swoich prawdziwych możliwości...”.

— Zasady pokera zna każdy — odpowiedział, wzruszając ramionami, by okazać, że nie ma wielkich umiejętności w tej dziedzinie.

— To moja pasja — wyznała Lao San. — Przyznam też bez fałszywego wstydu, że uważam się za jednego z najlepszych graczy na kontynencie azjatyckim.

— Nie mógłbym rościć sobie pretensji do aż tak wysokiego poziomu — powiedział Timo.

Wstał i włożył szlafrok z czarnego jedwabiu, ze złotym smokiem na plecach.

— To zwykła rzecz, mój kochany — pocieszyła go Lao San. — Młodzi ludzie nie mają doświadczenia, a doświadczenie jest podstawowym atutem dobrego pokerzysty.

Timo usiadł naprzeciwko niej. Kobieta jednym ruchem zebrała rozłożone przed sobą karty i zaczęła je tasować, trzymając między kciukami i palcami wskazującymi. Robiła to bardzo szybko, co wskazywało na dużą wprawę. Timo od razu to zauważył, stwierdził jednak, że jest na poziomie zaawansowanego amatora. Lao San podała mu talie, żeby przełożył. Kątem oka spostrzegł kartę leżącą na spodzie: as trefl. Ciekawe, czy będzie rozdawała spod spodu? Rzeczywiście, ruchem palca serdecznego przydzieliła sobie ostatnią kartę. Teraz Timo uznał, że pani generał przewyższa zręcznością zwykłego amatora. Lao San paliła hawanę jak prawdziwy pokerzysta.

— Jak wiesz, ukochana, jestem bez pieniędzy. Nie mam więc co postawić, a tym samym i co stracić, a poker bez ryzyka pozbawiony jest wdzięku...

Po rozdaniu spod spodu Lao San wykonała „lewe przełożenie”. Piękna przywódczyni piratów z minuty na minutę okazywała się coraz bardziej wprawną pokerzystką.

— Najpierw zagramy bez pieniędzy. Zobaczę, czy w ogóle warto z tobą grać. Jeśli okaże się, że tak, zastanowimy się, jak załatwić kwestię stawek. Karty?

Timo wymienił trzy karty, a ona jedną.

— Zaczynaj licytację — rzuciła, przesuwając cygaro z jednego kącika ust w drugi.

— Beze mnie...

— Rezygnujesz? — spytała zaintrygowana Lao San. — Mógłbyś pasować, czekać na moją odzywkę i sprawdzić.

— Nie muszę sprawdzać, mój ukochany generale... Masz w ręku karete asów.

Oszupiała pani generał Lao San odłożyła karty na stół i wyjęła cygaro z ust.

— Przenikasz wzrokiem karty?

— Jestem tylko dobrym obserwatorem.

Gdy minął moment zaskoczenia, Lao San spojrzała na niego uważnie.

— No tak, najwyraźniej jesteś doskonałym graczem... — stwierdziła.
Wstała i zaczęła przechadzać się w zamyśleniu po kabinie.

— Masz rację, mój drogi Timo, w pokera trzeba grać na pieniądze, a ty ich nie masz... Musimy więc znaleźć dla ciebie pieniądze.

— Chyba stać cię na drobną pożyczkę... — zaryzykował Timo.

— To niezgodne z regułami gry — odpowiedziała zakłopotana Lao San.

— Zrobię to jednak, jeśli dowiem się, w jaki sposób mi ją zwrócisz.

— Zwrócę, wygrywając...

— A jeśli przegrasz?

— Możesz być pewna, że postanowiłem ograć cię na znaczne sumy.
Kobieta zatrzymała się nagle, jakby przyszedł jej do głowy jakiś pomysł.
Usiadła obok Tima.

— Znasz kogoś, dla kogo jesteś cenny, bardzo cenny, bezcenny?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem... Dlaczego o to pytasz?

— Myślę, że znalazłam sposób na twoje kłopoty finansowe. Proponuję posunięcie proste, błyskotliwe, szybkie i oszczędne. Po raz pierwszy zażadam okupu.

— Dziwny pomysł... — mruknął Timo.

— Wcale nie. Pomysł jak najbardziej na miejscu. Jeden z twoich dobroczyńców wpłaci sumę za twoje uwolnienie, a ja tę sumę przekażę tobie. Dzięki temu będziesz dysponował funduszami wystarczającymi na parę ładnych rozgrywek.

— W twoim rozumowaniu jest mała luka, miła strażniczko. Wśród moich znajomych nie widzę nikogo, kto zechciałby sięgnąć do portfela, by dopomóc mojej skromnej osobie.

— To wielka szkoda — westchnęła zmartwiona Lao San.

— Chyba żeby... — zastanowił się Timo. — Chyba żeby pewna kobieta udała się w tej sprawie do pewnego majątnego kupca chińskiego w Sajgonie.

— Może lepiej skontaktować się bezpośrednio z tym Chińczykiem? — zauważyła Lao San.

— Dość trudno do niego dotrzeć... Kobieta, o której mówię, jest żoną wysoko postawionego francuskiego urzędnika w Sajgonie. Łatwo będzie przekazać jej wiadomość, a ona skontaktuje się z Chińczykiem. O ile w Azji działa jeszcze poczta.

— Dla generała Lao Sana poczta w całej Azji zawsze będzie działać — stwierdziła kobieta stanowczo.

— W takim razie należy skontaktować się z Laurence, żoną Maurice'a Lemaire'a, urzędnika w sajgońskim pałacu Norodom. Chyba że opuściła Sajgon...

— Gdziekolwiek znajduje się ta kobieta, organizacja generała Lao Sana zdoła się z nią skontaktować.

— Czy możesz mi podać, mój aniele, wysokość okupu? Na ile mnie wyceniasz?

— Wyceniam cię na milion dolarów szanghajskich.

— Pochlebiasz mi...

Twarz Tima rozjaśnił uśmiech, którego Lao San nie mogła zrozumieć. Zastanawiał się bowiem w tej chwili, czego pan Cheng zażąda i do jakich upokorzeń zmusi Laurence w zamian za taką sumę.

Rozdział 25

Olga podała Laurence papierosa. Siedziały na przednim siedzeniu chevroleta.

— Jest dziesiąta rano, a Ward Street już jest zakorkowana — stwierdziła.

— Od roku ruch w getcie żydowskim stał się koszmarem. Dojazd do synagogi Beth Aaron zajmie nam pół godziny. Sytuacja jest z dnia na dzień coraz gorsza.

— Nie wygląda jednak na to, żeby było tu dużo samochodów — zauważyła Laurence.

— To nie Samochody tamują ruch, to handlarze. Codziennie rano tworzy się tu bazar, który z każdym dniem zajmuje coraz więcej miejsca, teraz doszedł już do środka ulicy. Uciekinierzy przybyli tu miesiąc, dwa czy sześć miesięcy temu, wyprzedają to, co im zostało z garderoby, przedmiotów osobistego użytku, pamiątek. Za stoiska służą im walizki.

— Oczywiście Chińczycy przybywają tłumnie, żeby kupować...

— Nie tylko...

Chevrolet powoli torował sobie drogę.

— Kupują nie tylko Chińczycy — mówiła dalej Olga. — Anglicy, Amerykanie, Francuzi też korzystają z okazji. Życie płynie... Nawet tu, na drugim końcu świata. Życie płynie dalej.

Synagoga Beth Aaron pośrodku Ward Street mogła pomieścić ponad osiemset osób. Nie wyższa od czteropiętrowych budyn-

ków, z zewnątrz wyglądała nieefekownie, jednak wewnątrz podziwiać można było marmurowe kolumny, trybunę z mahoniem, stół modlitewny inkrustowany złotem i drogimi kamieniami. Było to jedno z najbardziej epatujących przepychem miejsc Szanghaju. Od roku 1936 synagoga Beth Aaron stała się też najbardziej luksusową jadłodajnią świata. Rozstawiono ogromne stoły, słychać było brzęk sztućców: tysiąc pięćset osób spożywało tam w milczeniu swój jedyny dzienny posiłek.

Sir Victor Sassoon szybkim krokiem przeszedł przez synagogę, a jego obcasy stukały głośno o kamienną posadzkę. Żaden z nieszczęśników siedzących przy stole — kobiet, mężczyzn, dzieci — nie pozdrowił go, on także nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Zbliżył się do Laurence i Olgi, które weszły właśnie do środka, i przywitał się z nimi.

— Cóż za wykwintne ucałowanie dłoni, sir Victorze — powiedziała Olga. — I cóż za elegancja: szary alpakowy garnitur, jedwabna kamizelka i krawat, a jak lśnią pana szpakowate włosy! To pomada? Proszę mi zdradzić.

— To sekret pewnej damy dworu byłej cesarzowej Chin, przykro mi, droga Olgo... Twoja przyjaciółka jest kobietą wielkiej urody.

— Moja przyjaciółka Laurence porzuciła słodycz Sajgonu, by odnaleźć swego syna zaginionego w Szanghaju — wyjaśniła Olga.

Sir Victor Sassoon przyjrzał się Laurence z zainteresowaniem.

— Zaginął w Szanghaju? Co chcesz przez to powiedzieć? Czy jest Żydem? Przyplłynął tu statkiem? Jeżeli tak, to skąd? To dziwne, nie wygląda pani na Żydówkę... Chyba że tak jak Olga, jest pani aszkenazyjką przybyłą z Rosji.

Laurence stwierdziła, że sir Victor Sassoon jest interesujący. Był narodowości angielskiej i miał tytuł lorda, ale jego ciemna cera bardziej przywodziła na myśl Indie czy Pakistan niż brzegi Tamizy. Ubiór, prosty na pierwszy rzut oka, był jednak oszałamiająco zbytkowny. Same buty z krokodylej skóry kosztowały tyle, ile wyżywienie dziesięciu uciekinierów przez rok; za

spinki do mankietów zapłacił fortunę, a diamentowa szpila w krawacie godna była antwerpskiej giełdy.

— Proszę zauważyć — mówił Sassoon — że łatwo się pomylić co do pochodzenia ludzi, szczególnie Żydów. Na przykład mała Lea Bellaich przybyła parę dni temu z Damaszku. A propos, wiedzą panie z pewnością, że Syryjczycy, podobnie jak Irakijczycy, prześladują Żydów równie brutalnie jak naziści. Krótko mówiąc, rodzice Bellaich mają włosy czarne jak smoła, a osiemnastoletnia Lea jest blondynką w typie nordyckim!

— Sir Victorze — przerwała mu Olga — moja przyjaciółka Laurence szuka syna...

— Syna? — zdziwił się Sassoon. — Ach, no tak! — Popatrzył na Laurence. — Ale ile lat ma ten młody człowiek?

— Dwadzieścia trzy — odparła Laurence. — To mój syn z pierwszego małżeństwa.

— Młodo wyszła pani za mąż, droga pani...

— Sir Victorze — prychnęła Olga — przestań się zachowywać jak stary Żyd i powiedz mi, czy słyszałeś coś o goju imieniem Timo.

— Nie...

— Z tego; co wiem, moja siostrzyczka Laurence podejrzewa, że wpadł w łapy pewnej kobiety, herszta armii piratów, znanej jako generał Lao San.

— Lao San...? — powtórzył zdziwiony sir Victor. — Myślałem, że ta wilczyca ma swoją norę na Filipinach.

— A więc o niczym nie wiesz — skwitowała Olga.

— Ale mogę się dowiedzieć.

Laurence musiała przyznać, że sir Victorowi nie brakowało wdzięku. Miał subtelne rysy, a jego spojrzenie było żywe i głębokie.

— W tej chwili poświęcam cały mój czas Żydom — podjął sir Victor. — Skąd mam wziąć choćby minutę, żeby szukać jakiegoś goja? Doprawdy, Olgo, chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak się poświęcam. Sytuacja robi się tragiczna. Szanghaj jest jedynym portem na świecie, który przyjmuje Izraelitów. Już

nie tylko getto jest przepełnione — w najmniejszym pokoiku mieszka tam co najmniej dziesięć osób. Nasi bracia Żydzi zaczęli osiedlać się poza koncesją i gettem, w sąsiedniej dzielnicy chińskiej. A tam żyje się poniżej wszelkich granic nędzy... Naprawdę poświęcam całe moje życie naszym braciom.

— Gdybyś był katolikiem, załatwiłabym ci aureolę świętego — powiedziała Olga kpiąco. — Znajdziesz się w końcu na ikonie w jakiejś petersburskiej cerkwi.

— A wiesz, ile wpłaciłem do konsystorza w ciągu minionego roku? Milion taeli, milion Szanghaj skich dolarów. Milion meksykańów! — zaprotestował sir Victor.

— Nędzny harpagonie — zagrzmiała Olga — powiedz mi raczej, jakie zyski przyniosły ci przez ten czas twoje interesy! Sto razy tyle?

Płomiennowłosa Rosjanka otworzyła torebkę, wyciągnęła pękatą szarą kopertę i wręczyła ją Victorowi.

— Co to jest?

— Wsparcie finansowe dla uciekinierów. Sto tysięcy Szanghaj skich dolarów.

— Nie spodziewałem się tego ze strony Petrusa. Słuchając jego słów, myślałem, że nie jest zdolny do solidarności ze swoją rasą.

— Masz słuszość, Petrus nie jest ani trochę solidarny. Uważa zresztą, że Żydzi nie są rasą, że nie istnieje coś takiego jak Żyd, a w każdym razie on sam nie jest Żydem ani nie należy do żadnej rasy. Nie poczuwa się więc do solidarności z nikim. To nie Petrus daje ci te pieniądze, stary sknero, tylko ja.

Cztery dni później przed ogrodzeniem posiadłości Haertzlów, w porze popołudniowej herbaty, pojawił się szofer sir Victora. Był to Chińczyk mandżurskiego pochodzenia, ubrany w czarnych garnitur i białe rękawiczki. Zdjąwszy czapkę, podał Oldze list.

Droga Olgo — pisał sir Victor — zechciej powiedzieć swojej przyjaciółce Laurence, że mogę przekazać jej pewne informacje, które zapewne ją zainteresują. Szczerze oddany...

— Widzisz, moja Laurence — powiedziała Olga — mówiłam ci, że sir Victor poszuka śladów twojego syna i że je znajdzie.

Olga nieco się myliła. Sir Victor nie musiał szukać tych informacji, ponieważ przyszły do niego same. Wydarzyło się to poprzedniego dnia, w należącym do Victora Sassoon apartamencie w Catay Mansion. Prawdę mówiąc, żydowski bogacz z Szanghaju był właścicielem całego Catay Mansion, najwyższego budynku na Bundzie, liczącego sześćdziesiąt pięter.

Odbyło się tam potajemne i niezwykle ważne spotkanie. Uczestniczyli w nim poza Victorem Sassoonem dwaj wyżsi oficerowie Kuomintangu, wysłannicy generała Czang Kaj-szeka, przybyli w tajemnicy z Nankinu, oraz delegat Military Intelligence 5, urzędujący w Hongkongu sangwiniaczny pułkownik Doherty. Celem spotkania było zorganizowanie pomocy dla chińskiej armii narodowej, a Victor Sassoon pełnił rolę skarbnika.

Pod koniec spotkania Doherty poprosił sir Victora na stronę.

— Pani generał Lao San, która należy do naszych przyjaciół, skontaktowała się ze mną, by przekazać wiadomość pewnej damie, skądinąd bardzo pięknej. Miałem okazję poznać ją na szanghajskim lotnisku. Nazywa się Laurence. Mieszka obecnie u Haertzlów, rozumie pan jednak, że nie mogę skontaktować się z nią osobiście.

Tak więc Olga przypisywała sir Victorowi zasługi, których on sam nie mógł przypisać wyłącznie sobie. Jednak gdy przebogaty Sassoon przyjął Laurence w salonie swojej luksusowej posiadłości Bableway, dwa kroki od alei Joffre (a za to bardzo daleko od getta!), nie omieszkał wspomnieć o ogromnym wysiłku, jaki włożył w zdobycie tych wiadomości.

— Nie było to łatwe, lecz w końcu się udało... A to przecież najważniejsze... Mniejsza jednak o mnie, czuję, że pani się

niepokoi. Czy to dobre wiadomości? Z jednej strony z pewnością tak, z drugiej jednak...

— Błagam pana, sir Victorze, proszę powiedzieć mi prawdę.

— Prawda jest taka, że pani syn Timo żyje. Rzeczywiście jest więźniem herszta piratów zwanego generałem Lao San i znajduje się tutaj, gdzieś w szanghajskim porcie.

Timo żył, Laurence ciężar spadł z serca. Ale był więźniem Lao San — poczuła ukłucie zazdrości.

— Przejdźmy teraz do sprawy znacznie mniej przyjemnej — podjął Sassoon. — Generał Lao San za uwolnienie pani syna domaga się okupu w wysokości miliona Szanghajskich dolarów.

— To kolosalna suma! — wykrzyknęła Laurence.

— Komu pani to mówi, droga pani! Tyle właśnie wydaję rocznie na pomoc dla żydowskich uciekinierów. Proszę mi jednak wierzyć, to się kiedyś zmieni. Pewnego dnia wyślę Hitlerowi rachunek.

Gdy Laurence wróciła rollsem Sassoona do rezydencji Haertzlów, poddała się rozpacz. Tego popołudnia nie odbywało się żadne przyjęcie i Petrus z Olgą wypoczywali, delektując się drinkami pod pergolą. Z okien drugiego piętra dochodziły dźwięki muzyki: odbywała się próba orkiestry smyczkowej Haertzlów.

— Nie płacz, Laurence — powiedziała Olga. — Nalej sobie wódki, spojrzysz trzeźwiej na życie.

Pstryknięciem palców przywołała kelnera i wydała mu polecenie. Petrus siedział z boku i sączył whisky. Był odprężony i wydawało się, że nie obchodzi go przygnębienie Laurence. Między jedną a drugą łąką, między jednym a drugim otarciem oczu chusteczką zdała sobie z tego sprawę i poczuła złość.

— Milion szanghajskich dolarów — powtórzyła Olga. — Niezła sumka. Odwróciła się do męża.

— Masz jakiś pomysł?

— Skąd wziąć milion dolarów? Nie mam tyle. Przykro mi.

Olga wzruszyła ramionami, żeby dać mężowi do zrozumienia, że nie wierzy w ani jedno jego słowo.

— Ty, stary sknero, zaraz mi poradzisz, żebym poprosiła Victora Sassoona — mruknęła.

— To prawda — przyznał Petrus. — Victor Sassoon jest w Szanghaju jedyną osobą, która może wysupłać taką sumę, nie rujnując się jednocześnie. Niestety, nie jest dla nikogo tajemnicą, że Sassoon jest skąpy jak wesz. Aszkenazyjski lichwiarz, który udaje wielkiego filantropa.

— W Saj gonie być może udałoby mi się znaleźć milion dolarów — odezwała się Laurence, patrząc w dal. — Zwróciłabym się do przyjaciół mojego męża... Niestety, „Journal de la Concession” z dzisiejszego ranka zamieścił wiadomość, że połączenia lotnicze są zawieszane na miesiąc w związku z koniecznością naprawy pasów startowych. Jeśli zaś chodzi o drogę morską... Odkąd Japończycy zaczęli podbijać południowe Chiny, odkąd zdobyli Kanton i Hongkong, do Saj gonu nie kursują żadne statki. — Może twojemu synowi uda się uciec — podsunęła ostrożnie Olga, próbując pocieszyć przyjaciółkę.

— Z tego, co słyhać, generał Lao San nie jest kimś, kto pozwoliłby uciec swojemu więźniowi — stwierdziła Laurence.

Olga ze współczuciem zrozumiała, co naprawdę znaczą słowa tej zakochanej kobiety. Czytała między wierszami: Laurence zastanawiała się, czy jej ukochany Timo nie jest aby zachwycony niewolą. To zazdrość doprowadzała ją do rozpacz.

Lao San sięgnęła po szkolny zeszytek w różowej okładce. Otworzyła go na pierwszej stronie, gdzie czarnym atramentem zapisana była kolumna cyfr.

— Timo, mój aniele, znów przegrałeś. Dopisuję więc tysiąc dolarów.

— Kto nie ma szczęścia w kartach, ma szczęście w miłości — westchnął Timo.

— Naprawdę tak uważasz? — Lao San wzięła do ręki karty przed kolejnym rozdaniem.

Siedząc po drugiej stronie stołu stojącego w wielkiej sypialni, której kochankowie nie opuścili od tygodnia, Timo przyglądał się generałowi piratów. W jego bladobłękitnym spojrzeniu widać było dziwne rozmarzenie.

— Myślę, że miałem dużo szczęścia, padając ofiarą porwania — stwierdził. — Gdybym wiedział, że będę porwany przez ciebie, zgłosiłbym się na ochotnika, i to dawno temu.

— Gdybym wiedziała o twoim istnieniu, wysłałabym moją armię do Sajgonu, a nawet do Paryża, żeby cię porwać. Będę jednak musiała cię uwolnić.

— Nie możesz mnie uwolnić, póki nie dostaniesz okupu. Należy przecież trzymać się jakichś zasad...

Podniósł się, obszedł stół i stanął za nią. Czule otoczył ją ramionami.

— Szanujący się porywacz nie wypuszcza więźnia przed zainkasowaniem okupu. Taka jest zasada!

Lao San schyliła głowę, by ucałować dłonie kochanka. Wstała i przytuliła się do niego.

— Na razie ani śladu okupu. Nie mogę więc pozwolić ci odejść. Nadal jestem niewolnicą mojego więźnia.

Pod koniec dnia, przekształciwszy uprzednio łożę w pole bitwy, bohaterowie czułych zmagających się na tymczasowe zawieszenie broni. Lao San wstała pierwsza, przeciągnęła się przed wielkim tremo, zbliżyła do niego twarz, stwierdziła, że wygląda okropnie („Mam sińce pod oczami większe niż same oczy”), ziewnęła z zadowoleniem, włożyła różowy szlafrok i usiadła na łóżku naprzeciwko kochanka.

— Mój drogi Timo — powiedziała, gładząc go po policzku — wysokość twojego karcianego długu staje się niepokojąca. To już ponad dwieście tysięcy dolarów.

— Przecież zgodziłaś się udzielić mi pożyczki...

Lao San uśmiechnęła się i położyła palec na jego nosie.

— Niezupełnie. Zgodziłam się przekazać ci twój okup, a to nie to samo. Powiedz mi, ukochany, jak ty to robisz, że za każdym razem

przegrywasz? Nie rozumiem tego. Mój instynkt pirata i najlepszego pokerzysty Azji mówi mi, że coś tu jest nie tak. Moim zdaniem grasz, żeby sprawdzić.

— Co ty opowiadasz, aniele?

— Grasz i przegrywasz, żeby zrozumieć, jak licytuję. Nie zaprzeczaj. Chcesz wiedzieć, kiedy blefuję i czy wtedy na mojej twarzy nie pojawia się jakiś szczególny wyraz, czy nie widać tego po moich palcach, czy nie strzepuję inaczey popiołu z cygara.

— Co ty mówisz, Lao San, ukochana?

— Ukochana? Być może... Ale prawdziwy pokerzysta nie zawaha się zrujnować ukochanej osoby. To jest gra.

— Może nadal będę przegrywał, gdy postawię milion dolarów mojego okupu?

— Już ja się o to postaram... Ale na razie, powtarzam, jeszcze tego okupu nie dostaliśmy. W dodatku nic nie wskazuje na to, żebyśmy mieli go kiedyś dostać.

— A to dlaczego? — spytał Timo, zbity z tropu.

— Ponieważ milion dolarów, serce moje, to suma, którą czasem trudno jest zdobyć. Nie mamy żadnej gwarancji, że ta dama... ta Laurence, zdoła tego dokonać.

— Jestem pewien, że ma w Sajgonie przyjaciół, którzy jej w tym pomogą. Lao San pokręciła głową z powątpiewaniem.

— Laurence nie może liczyć na swoich przyjaciół, bo nie znajduje się w Sajgonie. W tej chwili przebywa w Szanghaju, mieszka u Petrusa i Olgi Haertzlów, bogaczy z francuskiej koncesji.

— Czego ona szuka w Szanghaju? — spytał zaskoczony Timo.

Lao San pogładziła go po włosach.

— Nie domyślasz się? Pomimo napiętej sytuacji, pani Laurence Lemaire udała się do Szanghaju, by uwolnić swego ukochanego, więźnia krwiożerczej królowej piratów imieniem Lao San...

— To niemożliwe... Nie wierzę w to! Jak ona śmiała?

— Co w tym złego? — Lao San zdziwiła reakcja kochanka. — To normalne u zakochanej kobiety. Dla zachowania pozorów udaje twoją matkę.

— To już szczyt wszystkiego! — wykrzyknął Timo, wyskakując z łóżka.

— Miesza się do nie swoich spraw i jeszcze udaje moją matkę!
Wciągnął szybko spodnie i zaczął spacerować po pokoju. Był wściekły. Lao San próbowała go uspokoić.

— Opanuj się. Ta kobieta darzy cię wielkim uczuciem. Gotowa jest się poświęcić, zrujnować, być może umrzeć dla ciebie.

— Bardzo przepraszam, generale Lao San, ale ja jej o nic nie prosiłem. Może sobie zachować te piękne uczucia dla bohaterów swoich powieści.

— Uderzył się dłonią w czoło. — A teraz udaje moją matkę!

— Wiesz, mówią, że jest bardzo piękna — powiedziała Lao San uspokajającym tonem. — Zaczynam być o nią zazdrosna.

— Niepotrzebnie! — warknął Timo, przestając nad sobą panować. — Niepotrzebnie, bo nie chcę jej nigdy więcej widzieć! Nigdy, rozumiesz?!

— Przecież nie możesz mieć jej za złe, że chce zapłacić za ciebie okup, zdobyć milion dolarów...

— Jeżeli jest teraz w Szanghaju, to nie zdoła zgromadzić miliona dolarów...

— Dla pięknej białej kobiety w Szanghaju wszystko jest możliwe — stwierdziła Lao San łagodnie i trochę smutno, po czym przerwała nerwową przechadzkę Tima po pokoju, stając przed nim i chwytając go za nadgarstki.

— Uspokój się i posłuchaj mnie, kochany. Może się zdarzyć, że będziemy musieli się rozstać, nawet przed odebraniem okupu.

— Chcesz mnie uwolnić wbrew mojej woli?

— Nie żartuję... Tutaj zaczyna być dla mnie niebezpiecznie. Mój przyjaciel, kupiec Ma Cho-kin, został zamordowany przez

Kempeitai. Dwa dni temu aresztowali innego mojego przyjaciela. Jeśli będą go torturowali, powie, gdzie się ukrywam. Kiedy zrobi się naprawdę gorąco, będziesz musiał odejść. Moi ludzie wysadzą cię na Bundzie.

— Nie spodziewałem się tak złej wiadomości — powiedział Timo niepewnie. — Kiedy będę musiał odejść?

— Za tydzień, może wcześniej.

— Co ja bez ciebie zrobię? Lao San przytuliła się do niego.

— Przestań, Timo, mój aniele, od urodzenia radziłeś sobie beze mnie, więc na pewno sobie poradzisz.

— Nie... W moim życiu coś się zmieniło. Nic nie będzie takie jak przedtem. Bez ciebie wszystko będzie inne.

Lao San puściła go i odeszła kilka kroków, żeby ukradkiem otrzeć łzy.

— Timo, ukochany, będziesz musiał bardzo na siebie uważać. Ulice Szanghaju są niebezpieczne.

Przygnębiony Timo opadł na fotel. W jego spojrzeniu była pustka. Lao San mówiła dalej:

— I nie zapominaj, że gdyby w Szanghaju coś ci się stało, masz przyjaciółkę, która nad tobą czuwa.

— Nie rozumiem...

— Ta kobieta, Laurence, mieszka u Haertzlów, w alei Joffre, w koncesji francuskiej — wyjaśniła Lao San.

Timo zerwał się na równe nogi i popatrzył kochance prosto w oczy.

Milczał przez chwilę, a potem warknął:

— Wolę zdechnąć!

Rozdział 26

Dziesiątego dnia przy śniadaniu Olga postanowiła przeciąć wreszcie bolesny wrzód.

— Niepokoję się, droga Laurence. Martwisz się o syna, prawda? Chcesz go uwolnić, ale okup jest zbyt wysoki.

— Tylko Ma Cho-kin mógłby mi pomóc. Niestety...

W niebieskich oczach Rosjanki pojawił się dziwny błysk.

— Moja droga, nie wolno tracić nadziei! Nigdy, przenigdy. Kiedy byłam dzieckiem, mój ojciec mawiał: „Kozacy są czasem tak pijani, że zapominają o pogromie”. Wiem, co mówię... Nie ma sytuacji bez wyjścia, i z twojej sytuacji również jest wyjście.

— Victor Sassoon? — spytała Laurence niepewnie. Olga nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Co to, to nie... Petrus ma rację, Sassoon nigdy nie da miliona dolarów, nawet gdyby zakochał się w tobie bez pamięci.

Laurence spojrzała na Olgę z zaciekawieniem.

— A co tu ma do rzeczy moja osoba?

— Z jakiej planety przybywasz? — spytała rozbawiona Olga. — Tutaj, w Szanghaju, bogacze, właściciele milionów Szanghajskich dolarów, nie szzczędzą pieniędzy, by zafundować sobie ładną kobietę.

— Ale te kobiety to prostytutki — stwierdziła Laurence, wciąż zdziwiona.

— Fe, jakie brzydkie słowo! W Szanghaju mówi się o roz-

koszy, o rozkoszy wymienianej na pieniądze, które dostarczają innych rozkoszy. Na przykład Petrus...

— Petrus zadaje się z prostytutkami? — zdziwiła się Laurence.

— Miłość w Szanghaju nie jest zawodem, lecz sztuką! Na całym świecie artyści żyją ze swojej sztuki.

— Skoro to sztuka... — mruknęła Laurence zupełnie zbita z tropu.

Rosjanka mówiła dalej:

— Chińska sztuka miłosna jest znacznie bardziej wyrafinowana od naszej.

— Tylko że to wyrafinowanie łączy się z prostytutką. Olga nie odpowiedziała. Nie doszła jeszcze do sedna sprawy, do celu, jaki sobie wyznaczyła, a było nim wskazanie przyjaciółce sposobu, w jaki może zdobyć milion szanghajskich dolarów.

— Najbogatsi Chińczycy cenią sobie niezwykle pewną grę erotyczną: otóż panowie ci uwielbiają urządzać przetargi, których obiektem jest kobieta.

Laurence poczuła, że jej serce bije mocniej.

— Do czego zmierzasz? Olga się zaczerwieniła.

— Jest to dawna tradycja, którą kultywuje się w Szanghaju i innych wielkich portach, wszędzie tam, gdzie są wykształceni Chińczycy. „Długie szaty”, dzięki skrzyniom pełnym dolarów, mogą sobie pozwolić na najpiękniejsze dziewczyny. Ceny na takich aukcjach dochodzą do dwustu tysięcy.

— Niestety, moja droga, mnie nie można wystawić na licytacji — stwierdziła Laurence, wciąż nie mając zielonego pojęcia, w jaki sposób mogą dotyczyć jej słowa przyjaciółki.

— Od kilku lat wśród Chińczyków zapanowała moda na białe kobiety — mówiła dalej Olga głosem, który nagle stał się bardzo słodki. — Rynek opanowały Rosjanki. Jeśli o nie chodzi, ceny na aukcjach są znacznie wyższe niż za najpiękniejsze *sing-song*. Anastazja Nikolska, którą ci przedstawiłam, bierze udział w przetargach co dwa, trzy miesiące.

Ostatnim razem

pevien kupiec, który przybył tu specjalnie w tym celu z Kantonu, wygrał przetarg, podnosząc ofertę do ośmiuset tysięcy meksykańów.

Laurence zerwała się z miejsca z rozpalonymi policzkami i drżącymi wargami.

— Teraz rozumiem, do czego zmierzasz. Proponujesz, żebym się sprostytuowała.

— Znowu! — parsknęła Olga. — W kółko powtarzasz to słowo: prostytutka, prostytutka... Nawet jezuici są bardziej elastyczni niż ty.

— Jezuici nie nazywają rzeczy po imieniu, aleja owszem! — krzyknęła Laurence.

— Otóż nie! Nie wiesz zresztą, o czym mówię. Jak myślisz, dlaczego bogaci Chińczycy mieliby interesować się białymi kobietami?

Kobietami, które nie znają wymyślnych pozycji, nie potrafią grać na chińskiej lutni i deklamować poematów...

— Och, nie jestem taka naiwna. Myślę, że Chińczycy używają białych kobiet do tego samego, do czego używa się wszystkich dziwki na całym świecie. Mam ci to narysować?

Niebieskie oczy Olgi błyszczały, gdy wkładała cravena wyjętego z papierośnicy Laurence do swojej fifki, przyglądając się jednocześnie przyjaciółce.

— Wydaje ci się pewnie, że „długie szaty” zachowują się niczym żołdacy z waszych wojsk kolonialnych? Droga Laurence, ich rozkosze są dużo bardziej wyszukane, ich zmysłowość znacznie subtelniej sza. Oni po prostu chcą się pokazać, afiszować się swoim bogactwem. Wydać milion dolarów na kobietę, z którą nawet nie będą się kochali...

— Milion dolarów, mówisz... — Teraz Laurence zapaliła papierosa. — Wiedziałam, że nie mówisz tego wszystkiego ot, tak sobie.

— Próbuję tylko znaleźć rozwiązanie twojego problemu. Chodzi o okup... zapomniałaś?

— Wiesz dobrze, że nie myślę o niczym innym. Ale wystawić się na licytację...

— Moje rosyjskie przyjaciółki, między innymi piękna Anastazja, zapewniały mnie, że to dostarcza niezwykłych i niepokojących wrażeń... wstydu, podniecenia...

— Dziękuję ci bardzo. Zostawiam twoim rosyjskim przyjaciółkom ich perwersyjne rozkosze. Ja nigdy nie zgodzę się na taką nikczemność. Wystawić się na licytację... Nigdy!

— Nie ma co tak się gorączkować, moja droga — westchnęła Olga. — Zrobisz, co zechcesz, i nikt cię nie będzie zmuszał do wzięcia tego miliona meksykańów. Zastanów się jednak. Dziś wieczorem wydajemy przyjęcie... Potem mi odpowiesz. — Olga zamilkła, popadając w zadumę. — Dlaczego właściwie wydajemy to przyjęcie? — odezwała się w końcu. — Nie wiem... Wiem tylko tyle, że to będzie bal maskowy, podczas którego wszyscy mają być przebrani za psy. To pomysł Petrusa. — Pokręciła ze smutkiem głową. — Byłam wczoraj z wizytą u Lei Bellaich. Ta dziewczyna mieszka z rodzicami w okropnej norze w chińskiej dzielnicy na obrzeżu getta i międzynarodowej koncesji. Po południu Japończycy dokonali egzekucji około setki młodych ludzi, nacjonalistów i komunistów, na samym środku ulicy. Poprzączepiali im do pleców tabliczki i zabijali strzałem w głowę. Japończycy popełniają zbrodnie kilkaset metrów od naszego domu, a Petrus chce, żebyśmy przebierali się za psy!

Ściśle rzecz biorąc, Petrus Haertzel nie domagał się od swoich gości, żeby „przebrali się za psy”. Zażyczył sobie po prostu, żeby każdy z zaproszonych miał na sobie coś, co symbolizowałoby najlepszego przyjaciela człowieka. Chciał dać przez to do zrozumienia, że wydawane przez niego przyjęcie przy świetle pochodni i dźwiękach muzyki Haydna (trzeba było przecież zapewnić Orłowi jakieś zajęcie), zostało urządzone po to, by uczcić wznowienie psich wyścigów, po dokonaniu naprawy toru, który ucierpiał w wyniku japońskiego bombardowania.

Zaproszeni goście postarali się spełnić życzenie gospodarza. Większość kobiet założyła na szyje obroże, nie wykazując się tym samym inwencją, choć niektóre z obróżek zostały obstalowane u złotników z Down King Road i zrobione były z cienkich złotych płytek wysadzanych diamentami. Jakaś upojona dżinem Amerykanka w średnim wieku miała dwoje uszu wilczura przymocowanych do diadem i prowadziła dyskusję z czerwonym na twarzy Anglikiem, który uznał za stosowne obstalować sobie puchatą kamizelkę w czarno-białe łaty, przypominającą umaszczenie dalmatyńczyków...

W przerwie między kolejnymi radosnymi powitaniem, pocałunkami i okrzykami: „O, psiakość, ależ pan pięknie wygląda”, Olga, podsycająca atmosferę wódką i szampanem, zaciągnęła Laurence do stojącego na uboczu stolika.

— Podjęłaś decyzję w sprawie okupu? Zgodzisz się zostać konkubina chińskiego bogacza?

— Zastanawiałam się nad tym przez cały dzień. Jeżeli to jedyny sposób, żeby zdobyć ten milion... Ale nie zgadzam się na licytację!

— To dobrze, droga Laurence... Cieszę się z twojej decyzji, choć wydaje mi się, że podczas aukcji mogłabyś doznać nieoczekiwanej rozkosznych wrażeń... Ale mniejsza z tym. Najważniejsze, żebyś uratowała życie syna. Jeśli chodzi o licytację, możesz jej uniknąć. Rozmawiałam z Petrusem, a on znalazł rozwiązanie.

— Petrus wie?! — wykrzyknęła oburzona Laurence.

— Nie przejmuj się, Petrus to żaloszny *muzyk*, zdeprawowany rozpustnik, który zdradza mnie przez okrągły rok z różnymi *sing-song*, żydowski renegat, zdrajca swoich braci i prawie antysemita. Jest jednak bardzo zręczny, gdy trzeba wyciągnąć kogoś z kłopotów, i zawsze jest dyskretny.

— I jakież to rozwiązanie znalazł twój godny podziwu Petrus? — szepnęła Laurence.

— Nie bądź taka nerwowa, pomyśl raczej o pieniądzach, które zdobędziesz... Jeśli chodzi o Petrusa, to posłuchaj: on zna

jednego z najbogatszych ludzi w Szanghaju, który chętnie weźmie cię jako konkubinę w zamian za milion meksykańów, i to bez licytacji.

— Doskonale... — zgodziła się Laurence niechętnie. — A o kim mowa?

— Już go poznałaś — powiedziała Olga. Czowała się trochę niezręcznie. — Ruchem głowy wskazała samotnego mężczyznę stojącego w odległości kilku metrów od nich. — Cóż za niezwykły zbieg okoliczności, droga siostrzyczko! Twój rycerz znajduje się tak blisko ciebie.

Laurence wpatrywała się w tłum

— Nie rozumiem, nie widzę nikogo, kto by... Mężczyzna odwrócił się. Laurence zamarła.

— Tylko nie on! Olgo, błagam cię, to jakiś koszmar... Szeroki w ramionach Chińczyk ubrany w biały garnitur opinający znaczną tuszę, o krągłej twarzy i lśniącej czaszce okazał się panem Tu, kupcem z żydowskiego getta, tym samym, który poza chińskim, nie potrafił porozumieć się w innym języku niż pidgin jidysz, a którego sam Petrus nazwał jednym / . najpodlejszych ludzi w Szanghaju. Zauważywszy obie kobiety, obdarzył je okropnym uśmiechem.

— Nigdy nie zostanę konkubiną takiego potwora! — wykrzyknęła Laurence — Nigdy!

— Uspokój się, Laurence. Pan Tu nie jest potworem. W chwili obecnej terytorium Chin przemierzają tysiące potworów. Mordują, gwałcą, rozstrzelują niewinnych ludzi na ulicach, zakłuwają bagnetami matki z dziećmi... Pan Tu do nich nie należy. On chce tylko złożyć hołd twojej niezwykłej urodzie.

— Jest odrażający!

— Jest bogaczem.

— Nigdy nie zdołam...

— Nikt nie wymaga od ciebie, żebyś się w nim zakochała.

— Ale czy on zadowolony jest z związku platonicznego?

— Droga przyjaciółko, powiedzmy sobie jasno: nie oczeku-

jesz chyba, że dostaniesz milion dolarów za nic, za samą tylko przyjemność podziwiania twej osoby? Zapewniam cię, że pan Tu nie zachowa się jak żołdak.

Olga nie powiedziała jednak całej prawdy. Wiedziała bowiem, jak pan Tu traktuje swoje konkubiny i jakie upokorzenia muszą znosić.

Wczesnym wieczorem następnego dnia Olga odprowadziła Laurence do białego rollsa pana Tu, czekającego na nią przed bramą posiadłości.

Mandzurski szofer w czarnej wciętej marynarce i spodniach do konnej jazdy obszytych lśniąca miękką skórą stał na baczność z czapką w ręku. Do kobiet podszedł młody mężczyzna w zbyt obszernym garniturze i za długich spodniach marszczących się na butach, o żywym spojrzeniu i nastroszonych włosach.

— Witam szanowne panie.

— Pan Tu czeka na panią — zwrócił się do Laurence. — Urządził na pani cześć wielkie przyjęcie.

Laurence nie odpowiedziała. Olga postanowiła przerwać kłopotliwe milczenie.

— Karoca przyjechała po księżniczkę — powiedziała. — No już, nie rób miny jak na pogrzebie! Najbogatszy Chińczyk w Szanghaju urządził dla ciebie przyjęcie. To nie powód, żeby rzucić się do Huangpu.

Pan Tu potrafił się zachować. Powitał gościa u wejścia luksusowej willi w zachodnim stylu, ubrany w długą szatę z czarnego jedwabiu. Zgiął się przed Laurence w niskim ukłonie. Powiedział coś po chińsku, a tłumacz przełożył to na francuski.

— Pan Tu każe pani powiedzieć, że pani wizyta przynosi mu zaszczyt. Z niecierpliwością oczekuje chwili, gdy weźmie pani udział w przyjęciu i pozna jego przyjaciół.

Parter książęcego pałacu pana Tu zajmowało tylko jedno ogromne pomieszczenie o ścianach obitych żółtym i czerwonym jedwabiem, z około dwudziestoma sofami. Światło licznych świeczników wprawiało cienie na ścianach w niespokojny taniec.

Łagodna i zarazem rytmiczna muzyka łączyła się ze słodkim zapachem drewna sandałowego. Pośrodku wielkiej sali, w świetle żółtego elektrycznego światła padającego z prostokątnej plafonier, wokół owalnego stołu siedziało dziesięciu Chińczyków w długich szatach. Pan Tu dał znak Laurence, by do nich podeszła. Szła wyprostowana, jakby zbliżała się do skraju przepaści. Kątem oka dostrzegła orkiestrę złożoną z prześlicznych dziewcząt o upudrowanych twarzach, oczach podkreślonych tuszem. Siedzący wokół stołu goście przywitali ją przesadnymi ukłonami, lustrując jednocześnie od stóp do głów bez najmniejszego skrepowania. Szacowny sześćdziesięcioletni Chińczyk w okrągłych okularkach oblizał lubieżnie górną wargę.

Pan Tu powiedział jakieś zdanie, które wzbudziło wesołość biesiadników. Młody człowiek przetłumaczył z kamienną I warzą: Pan Tu wydaje dzisiaj bankiet czterdziestu dań. Pani będzie czterdziestym pierwszym.

Laurence zacisnęła zęby. Wiedziała, jakie okropieństwa ją czekają. Postanowiła z godnością stawić im czoło. Student pełniący obowiązki tłumacza, nadal z twarzą pozbawioną wyrazu, powtórzył jej polecenie pana Tu, wydane oschłym tonem.

Za stołem znajduje się parawan. Proszę tam pójść i się rozebrać. Zostanie pani tylko w pantoflach.

Naga Laurence z wysoko uniesioną głową weszła w krąg światła zalewającego stół, jakby dzięki dumie mogła zapomnieć o upokorzeniu, jakim było wystawianie się na lubieżne spojrzenia „długich szat”. Czuła dziwny dreszczyk, od którego stwardniały jej sutki.

— Pan Tu prosi, żeby podeszła pani do stołu. Laurence posłuchała.

— Pan Tu mówi: bliżej!

Zrobiła dwa kroki do przodu i znalazła się parę centymetrów od twarzy Chińczyka w okrągłych okularach. Mężczyzna, nie wstając z krzesła, odwrócił się w jej stronę. Położył dłonie na biodrach Laurence i przesunął je wzdłuż lędźwi. Miękkim ruchem zsunął się z krzesła i uklęknął przed nią. Przyjrzał się jej włosom łonowym i wydał pełen uznania pomruk, który podjęli pozostali biesiadnicy. Jego ręce przesunęły się ku wnętrzu ud i Laurence zaniknęła oczy. Palce Chińczyka sunęły dalej. Skapitulowała. Godziła się na to rozkoszne poniżenie.

Rozdział 27

— Uczciwość wymaga, żebym cię wypuściła, mój ukochany — szepnęła Lao San, tuląc się do kochanka.

— Najwyraźniej pragniesz się mnie pozbyć. Czyż nie spędzamy razem miłych chwil? Dzielimy czas między pokera, kiedy to przegrywam beznadziejnie, oraz łóżko, w którym znajdujemy się w tej chwili i w którym tracę całą energię.

Przytulił Lao San i szepnął jej do ucha:

— Pani generał, wciąż cię pragnę. To obsesja. Przyznaję się do winy.

— Przecież narzekasz, że tracisz energię.

— Nic na to nie poradzę. To szalona miłość, pasja, która innie pochłania.

— Masz twarz anioła, mój kochany, i niebieskie oczy uwodziciela... Nie ma w tobie nic z onieśmiałego kochanka!

— Onieśmiałego... no, nie wiem — odparł Timo poważnie. — Ale z całą pewnością jestem zakochany. Jak ja sobie bez ciebie poradzę?

— Będziesz musiał.

— Dlaczego nie przyjmiesz mnie jako oficera do swojej m inii? Ty będziesz generałem, a ja drugim generałem. Albo coś w tym rodzaju.

Lao San wyswobodziła się z objęć kochanka, odrzuciła nakrycie i wstała. Włożyła szlafrok i usiadła przed toaletką. Sięgnęła po szczotkę i zaczęła czesać włosy.

— Musisz odejść, Timo, mój ukochany — powiedziała głucho. — Moi oficerowie i moi ludzie w Szanghaju ostrzegają mnie: Japończycy są na moim tropie, prędzej czy później pojawią się tutaj. Jeśli nie znikniesz, twoje życie będzie w niebezpieczeństwie.

— Co Japończycy mają ci do zarzucenia?

— Żartujesz sobie? Nie? A więc ci wyjaśnię: w przeszłości zdarzało się, że niektóre z moich załóg opanowywały japońskie statki, pozbawiając pasażerów biżuterii i portfeli. Japończycy są niezwykle pamiętliwi.

— A więc ucieknijmy razem. Ależ tak, ucieknijmy!

— W tej chwili ucieczka jest niemożliwa. Kempeitai nadzoruje Bund i nabrzeża, dziesiątki kutrów patrolowych kontrolują Huangpu. Nie zwlekaj, Timo, odejdz. Kiedy będziesz w Szanghaju, idź do nocnego klubu zwanego Trzy Bramy. Jego właściciel jest moim przyjacielem. Nazywa się Lulu i pochodzi z Marsylii.

Timo powtórzył machinalnie:

— Lulu i Trzy Bramy. Chciałbym wiedzieć, dlaczego to właśnie uczciwość nakazuje ci mnie wypuścić? — spytał nagle.

Lao San otworzyła skrzynkę z cygarami, wyjęła hawanę i zapaliła. Odwróciła się, wypuszczając kłęb dymu.

— Dlaczego uczciwość nakazuje cię wypuścić? — powtórzyła. — Dlatego że okup został zapłacony.

Timo uniósł się na łóżku.

— Okup za mnie zapłacony? Jak to możliwe?

— Możliwe, i to w najprostszy sposób — odpowiedziała Lao San ze słodkim uśmiechem. — Wskazana przez ciebie osoba, niejaka Laurence Lemaire, wpłaciła co do grosza żadaną sumę.

— Milion dolarów! Laurence zapłaciła milion dolarów... W głowie mi się to nie mieści. — Zastanowił się, jakby szukał

wy tłumaczenia. — Na pewno pojechała do Sajgonu i wróciła — stwierdził.

— To niewykonalne — orzekła Lao San. — Port lotniczy jest od miesiąca w remoncie, żaden samolot nie może wystartować ani wylądować. Nie można też skorzystać z transportu morskiego, ponieważ wszystkie połączenia z południowymi Chinami są zawieszono z powodu wojny. Kanton jest obleżony.

— Milion dolarów! Ale w jaki sposób Laurence mogła...

— Zapewne znalazła kogoś, kto pożyczył jej tę sumę — stwierdziła Lao San. — W Szanghaju istnieją kolosalne fortuny... Należy do nich na przykład majątek Petrusa Haertzla.

Timo uśmiechnął się dziwnie.

— Ten pan z pewnością kazał sobie drogo zapłacić za wyświadczenie takiej przysługi — rzucił.

Dzięki swoim kontaktom Lao San wiedziała, w jaki sposób Laurence zdobyła okup. Poinformowano ją, że została konkubina odrażającego pana Tu. Doniesiono jej też, że dwa razy w tygodniu odwiedzała „gabinet lektury” należący do „żydowskiego pośrednika” oraz że delikatna i elegancka Laurence nie miała za złe tego, jak traktował ją pan Tu i jego przyjaciele w „długich szatach”. Lao San wstała i powiedziała tylko:

— Spotyka się czasem ludzi szczodrych i bezinteresownych...

Podeszła do stolika, na którym leżały rozrzucone poprzedniego wieczoru karty i żetony do gry w pokera. Usiadła i z cygarem w ustach zaczęła zbierać talię i sortować żetony.

— Są na tej ziemi ludzie szczodrzy — podjęła — ale ja, mój drogi, do nich nie należę. Przegrałeś w pokera dwieście tysięcy dolarów...

Wstała i podeszła do inkrustowanej komody. Wsunęła szufladę i wyjęła z niej kopertę, po czym wróciła do stołu.

— Masz więc do dyspozycji pieniądze pochodzące z twojego okupu. Ze względów praktycznych zażądałam dolarów amerykańskich w banknotach, a nie meksykańów w złocie, czyli

miliona dolarów, od którego odejmuję teraz dwieście tysięcy na poczet twojego długu — powiedziała, rozdierając kopertę.

Z wprawą przeliczyła banknoty, rozdzieliła je na dwie kupki i tę większą pchnęła, posługując się krupierskimi grabkami, w stronę Tima.

— Teraz zagramy na poważnie. Czekam.

Nad Szanghajem zapadał zmrok. Smok nocy ryczał we wnętrznościach miasta, zawieszając na niebie miliony świateł. Obudzony z najgłębszego snu Timo usłyszał ciężki stukot końskich kopyt, a potem walenie do drzwi kabiny. Gdy otworzył oczy, Lao San potrząsała go za ramię.

— Pospiesz się, Timo, Japończycy nadchodzą. Zorientował się, że pani generał jest już ubrana w spodnie

i marynarkę. Wyskoczył z łóżka, wciągnął spodnie i koszulę. Drzwi kabiny otworzyły się i do środka wbiegł mężczyzna. Timo rozpoznał w nim wodza piratów, którzy go pojmali. Tym razem człowiek, prawdopodobnie pierwszy zastępca Lao San, zamienił strój korsarza chińskich mórz na szary garnitur w białe prążki. Pirat przeistoczył się w światowca. Gdy Timo skończył się ubierać, odwrócił się i stwierdził, że Lao San znikła. Pirat-światowiec uprzedził jego pytanie.

— Generał Lao San już uciec. Próbować umknąć Kempeitai. My też się spieszyć.

Z korytarza dobiegł odgłos kroków, a potem trzaśnięcie drzwi.

— Tędy — rzucił pirat, kierując się w głąb pomieszczenia. Podniósł dywan i otworzył klapę.

— Szybko! Pan się spieszyć!

Jego poleceniu towarzyszył rozkazujący ruch ręki, po czym pirat zniknął w otworze wjazdu. Timo nie zwlekał. Ktoś walił pięściami w drzwi. Zanim i on zszedł pod podłogę, zgarnął w pośpiechu garść dolarów, zostawiając cały okup, milion

dolarów na stole. Karciane przeznaczenie nie chciało orzec, które z nich — on czy Lao San — jest zwycięzcą.

Plan ucieczki z „Santa Balboa”, opracowany zapewne przez panią generał, polegał na przedostaniu się przez drzwi wycięte w kadłubie na pokład dżonki przycumowanej do burty jachtu. W ten sposób Timo i jego przewodnik wymknęli się żołnierzom Kempeitai, przeskakując z pokładu na pokład dżonek i sam-panów przycumowanych na Huangpu. Gdy znaleźli się na tylnym pokładzie sporych rozmiarów dżonki, Timo dostrzegł ożywienie na nabrzeżu. Japońscy żołnierze z bagnetami na karabinach, popychali kolbami smukłą kobietę, prowadząc ją na pokład wojskowego kutra. Timo przystanął z otwartymi ustami... Lao San została właśnie aresztowana przez Kempeitai.

Naprzeciwko hotelu Cathay Mansion pirat-dżentelmen, rozkładając ręce, dał Timowi do zrozumienia, że tu ich drogi się rozchodzą. W dowód przyjaźni powiedział po francusku *atioul*, składając dłonie jak do modlitwy.

Timo przez chwilę nie rozumiał, o co mu chodzi, w końcu odpowiedział takim samym ukłonem, z rękami ułożonymi w podobny sposób.

— *Adieu*, przyjacielu, *adieu* — powiedział. — Martwię się o Lao San. Nie rozumiem, jak to się stało, że została aresztowana. Dlaczego nie uciekała tą samą drogą, co my?

Mężczyzna skłonił się znowu w buddyjskim pozdrowieniu. Przylepiony do twarzy uśmiech świadczył o tym, że nie zna zbyt dobrze francuskiego. Wskazał ręką kierunek.

— Nanking Street... *Goodplace* — powiedział tylko. Timo zaczekał, aż kierujący ruchem Sikh da mu znak, że może przejść na drugą stronę, i zniknął w tumulcie połyskującej światłami Nanking Street.

Ożywienie panujące na ulicach międzynarodowej koncesji nie budziło jego niepokoju, przeciwnie, działało nań kojąco. Kulisi dźwigający na plecach bele materiałów lub gawędzący

przy straganach z zupą nie wydawali się wrogo nastawieni. Świetliste chińskie neony przeplatały się z szyldami w języku angielskim. Najwyżej czternastoletnia śliczna Chinka o upudrowanej twarzy, umalowanych ustach i włosach natartych olejem kokosowym wysiadła z rikszy i przeszła przed nim, przecinając chodnik w drodze do lokalu Chiński Flaming, strzeżonego przez portiera ubranego w narzucony na ramiona czarny płaszcz, szamerowaną marynarkę i czapkę z piórami. Dziewczyna przyjrzała się cudzoziemcowi i obdarzyła go promiennym uśmiechem, mówiąc: *Hello, hansu mei!*

Ile pieniędzy wziął, opuszczając statek? Timo wsunął ręce do kieszeni marynarki. Wyciągnął prawą dłoń, ściskając w niej zwitek banknotów. Otworzył ją dyskretnie i przeliczył... Załedwie sto dolarów. Sprawdził zawartość lewej kieszeni. Jeszcze mniej: sześćdziesiąt. Musiał więc jak najprędzej znaleźć miejsce, o którym mówiła Lao San. Nocny klub Trzy Bramy znajdował się na Shantong Street, w ciemnej uliczce oddalonej około kilometra od Bundu, opodal bogatej alei Edwarda VII, stanowiącej granicę koncesji francuskiej. Była to dzielnica ponurych palarni opium, w których biali w pomiętych ubraniach i o wyglądzie upiorów pogrążali się w nieskończonym mroku; gdzie odrażające prostytutki, mające za sobą zbyt długą karierę w lokalach na Fuchow Road, łapały za rękaw podchmielonych marynarzy, między nigdy niewysychającymi kałużami stęchłej wody.

W tym niezbyt przyjemnym otoczeniu lokal Trzy Bramy prezentował się całkiem przyzwoicie. Na szyldzie widniały chińskie znaki i trzy domki z dachami jak pagody. Portier, Chińczyk o wystających kościach policzkowych, miał na sobie czarne spodnie oraz bezrękawnik z żółtego jedwabiu. Z wnętrza dobiegała muzyka, a cienkie dziewczęce głosy nuciły łagodną i zarazem rytmiczną melodię.

W holu na spotkanie Tima wyszedł osobnik rasy mieszanej, koło czterdziestki, ostrzyżony najeża, z krostami na policzkach.

Jakby na przekór panującej w tej dzielnicy atmosferze, nie pozwalał sobie na jakąkolwiek niedbałość w stroju i dodał do smokinga celuloidowy gors.

— Francuz? — spytał. Timo skinął głową.

— Mógłbym się założyć — powiedział tamten. — Nigdy zresztą się nie mylę. Przez dziesięć lat pracowałem jako fizjonomista w Rajskim Ptaku na Nanking Street.

— Ja nie jestem specjalistą, ale wiem, że pochodzi pan z Marsylii.

— No tak, mój akcent...

— ...nie pozostawia wątpliwości — dokończył Timo.

— Co ja na to poradzę? Moja matka wyszła za oficera wojsk kolonialnych, który po zakończeniu służby zabrał nas do Marsylii. Wychowałem się w Goudes. Na chrzcie dano mi imię Lucien, ale już w szkole nazywali mnie...

— Lulu — przerwał mu Timo. — W szkole nazywali pana Lulu! — powtórzył.

— A skąd pan o tym wie? — zdziwił się mężczyzna. — Widzimy się po raz pierwszy.

— Mamy wspólną przyjaciółkę. — Timo zniżył głos. — To kobieta wielkich zalet, która używa tytułu generała. Rozumie pan?

— Owszem — odpowiedział poważnie Lulu.

Wskazał palcem sufit; z góry dobiegały dźwięki melode-klamacji oraz odgłosy kroków.

— Proszę do mojego biura.

Zamknawszy za sobą drzwi, Lulu usiadł naprzeciwko swego rozmówcy i wyjaśnił półgłosem:

— Musimy zachować dyskrecję. W tej chwili gościmy u nas dwóch japońskich generałów. Odkąd chińskie dzielnice znalazły się pod okupacją, panowie oficerowie z Kraju Wschodzącego Słońca zaczęli odwiedzać mnie systematycznie i bawić się przez całą noc. W zasadzie nie mają prawa wstępu do koncesji, ale jak się pan domyśla, niewiele sobie z tego robią. Nawet się

nie pofatygują, żeby włożyć cywilne ubrania. Jak pan zapewne zauważył, w tej dzielnicy pełno jest Chińczyków. Setki i tysiące gniezdzą się na tutejszych podwórkach. Pewnego dnia któryś z moich Japończyków skończy z poderżniętym gardłem w jakimś ciemnym zaułku. Proszę mi wierzyć, nie będę wylewał łez.

Timo miał zamiar powiedzieć mu, co go sprowadza, lecz Lulu, jako niepoprawny gaduła, nie dał mu dojść do słowa.

— A szczytem wszystkiego jest to, że Japończycy ogromnie cenią sobie mój lokal, być może jest on jedynym, który ich interesuje. Wie pan dlaczego?

— Hm... nie.

— Z powodu naszej specjalności, której lokal zawdzięcza swoją nazwę: Trzy Bramy. Teraz pan rozumie?

— To znaczy... nie do końca...

— Trzy bramy — roześmiał się Lulu — no przecież... Mój lokal słynie z tego, że niektóre moje dziewczyny oferują klientom wszystkie „trzy bramy”!

— Przyznaję, że nadal nie rozumiem — powiedział zdeorientowany Timo.

— Ech, dzieciaku! Mam ci to narysować? Chińczycy nie cenią sobie tych praktyk, uważając je za poniżające. Przed pojawieniem się Japończyków jedynymi klientami korzystającymi z „trzech bram” byli zdeprawowani Anglicy lub Amerykanie. Ale Japończycy to inna historia. Do „trzech bram” dodają jeszcze przemoc. Dziewczyny muszą krzyczeć, jakby były gwałcone, i błagać o litość. Ci Japończycy są chorzy! Zabijają dla przyjemności, torturują dla rozkoszy... Wracając do pana, czy ma pan pieniądze?

— Sto sześćdziesiąt dolarów.

— Będzie pan musiał zarabiać na życie — stwierdził Lulu, zakłopotany.

— Jaki jest pana zawód?

— Artysta kabaretowy.

— A dokładniej?

— Sztuczki karciane, iluzjonista...

Lulu zerwał się na równe nogi i rozłożył ramiona.

— Nie zdaje pan sobie sprawy, jakie pan ma szczęście... Magik w Szanghaju! Nie musi się pan bać o swoją przyszłość, bowiem jest świetlana i wypisana złotymi literami na frontonie Wielkiego Świata. Następnego dnia w południe Lucien, zwany Lulu, alfons i właściciel Trzech Bram, przedstawił nowego lokatora jednemu ze swoich przyjaciół, panu Tangowi. Był to pulchny pięćdziesięcioletni, łysiejący Chińczyk, niezwykle bogaty, właściciel domu gry i rozkoszy znanego na całym Dalekim Wschodzie, zwanego Wielki Świat. Każdej nocy i przez część poranka tłoczyli się tam wokół kilkudziesięciu stołów do gry w ruletkę, madżonga i pokera wszyscy hazardziści Szanghaju — od białych „taipanów” z koncesji po najędzniejszych kulisów. Stosy zielonych banknotów przechodziły z rąk do rąk, przy jazgocie chińskiej orkiestry, przerywanym niekiedy rozpaczliwymi okrzykami zrujnowanych graczy. Głuchy odgłos uderzającego o bruk ciała samobójcy nie zwracał niczyjej uwagi. Setki prostytutek na wszystkich szczeblach zawodowej hierarchii schlebiały wygrywającym, udając przy tym, że obrażają je obsceniczne zaczepki, których im nie szczędzono. Między stolikami przechadzali się transwestyci, umalowani, jakby szli na bal karnawałowy, z pogardliwie wykrzywionymi ustami.

O szóstej wieczorem personel Wielkiego Świata przygotowywał się do obłężenia, które trwać miało aż do południa następnego dnia. Krupierzy w złotych marynarkach układali żetony w pudełkach i karty w przegródkach, a muzycy chińskiej orkiestry stroili instrumenty. Tang, właściciel lokalu, podziękował Lulu za przyprowadzenie magika. Po obejrzeniu kilku karcianych sztuczek *close up* Chińczyk był wniebowzięty.

— Młody człowieku, ja się panem zajmę. To, co pan robi / z kartami, jest niezwykle! Co wieczór o drugiej recital przed czterdziestoma daniami. Siada pan przy stole i olśniewa „długie szaty”.

— Muszę się zastanowić — powiedział Timo.

— Nad czym? — zdziwił się Tang — Daję panu pięćset dolarów za każdy wieczór.

— Jak długo musiałbym występować?

— Nie bardzo długo, nie bardzo — odparł Chińczyk uspokajająco. — Będzie pan miał przerwę po każdej turze gości.

— To znaczy?

— Co dwie godziny.

— Przykro mi, panie Tang, ale przy tej stawce i biorąc pod uwagę, jak ciężko musiałbym pracować, nie zamierzam zostać pana pracownikiem. Będę jednak pańskim klientem.

— Rozumiem. — Twarz Tanga stężała. — Poker! Chce pan zarabiać na życie, grając w pokera. Mógłbym zakazać panu wstępu do Wielkiego Świata, ale nie zrobię tego ze względu na przyjaźń z Lulu. — Wyciągnął tłusty palec w jego stronę. — Lecz niech pan uważa! Chińczycy mają bzika na punkcie kart, a zwłaszcza pokera. Stawiają fortuny i potrafią przegrywać, ale jeśli będzie pan oszukiwał, nie będę mógł nic dla pana zrobić. Jeżeli zostanie pan przyłapany na gorącym uczynku, może się pan spodziewać przykrości.

Gdy zapadł wieczór, Lulu i Timo wrócili do klubu Trzy Bramy.

Dziewczyny przygotowywały się do nocnej pracy. Było ich sześć, sześć kwiatów Szanghaju, z czarnymi lub białymi orchideami za uchem, bransoletkami na nadgarstkach, czarnymi oczami podkreślonymi tuszem, o czerwonych ustach. Dwie z nich zaliczały się do *hai-su-yu*, co oznacza właśnie „trzecią bramę”. Ich kariera kończyła się, gdy miały dwadzieścia trzy do dwudziestu pięciu lat, i z tego to powodu, by zrekompensować straty ponoszone z powodu „podeszłego wieku”, do katalogu swych usług dołączyły praktykę przypisywaną dawnym mieszkańcom Sodomy. Droga przez trzecią bramę prowadziła do emerytury.

Cztery pozostałe dziewczyny pracujące u Lulu, z których

żadna jeszcze nie świętowała piętnastych urodzin, współczuły starszym koleżankom. W głębi duszy lękały się, że także ich kariera skończy się w podobny sposób i zostaną nieszczęsnymi „trzecimi bramami”. Szacunek okazywany „nestorkom” był formą egzorcyzmu, mającego odpędzić złowrogą wizję przyszłości.

W niezwykle złożonej hierarchii kwiatów Szanghaju wszystkie cztery miały rangę *sing-song*, dziewczyn do towarzystwa i *taxi-girls*, były uroczymi dziewczynkami z lokali międzynarodowej koncesji. Zdarzało im się od czasu do czasu przekształcać się w *hansu mei*, co w języku pidgin naśladowało angielskie określenie *handsome man* — odnosząc się do ich sposobu zaczepiania białych klientów słowami: *hello, hansu mei!*, czyli „witaj, przystojniaku!”, czemu towarzyszyło puszczenie oka. Mei-li miała czternaście lat i rangę *shu-yu*, co znaczyło „gabinet lektury”, elitę kurtyzan Szanghaju. Kształciła się w miłosnym zawodzie, odkąd skończyła cztery lata, ponieważ dla „długich szat” sztuka ta nie ograniczała się bynajmniej do żenującego obściskiwania, jakiemu oddawali się ludzie Zachodu. Wymagała umiejętności deklamowania wierszy, śpiewania romantycznych pieśni i gry na chińskiej lutni. Mei-li lubiła przychodzić do klubu Lulu i śpiewać tęskne pieśni w wielkim salonie, gdzie odbywały się przyjęcia. Nigdy nie znikwała z klientami w którymś z pokoi.

Mei-li miała jednak bardzo określone plany dotyczące białych.

Nazywano ich „taipanami” i byli to najważniejsi klienci Lulu, a dla niej stanowili doskonałą partię. Rzecz jasna, nie niepokoila się zbyt o swoją przyszłość. Wiedziała, że nigdy nie upadnie tak nisko, by pod koniec kariery znaleźć się w błocie „trzecich bram”. W najgorszym razie skończy jako konkubina bogatego obywatela Szanghaju, miłośnika poezji, malarstwa i muzyki... Jednak, gdyby spotkała „taipana”, jej los mógł

odmienić się całkowicie. Nie byłaby wówczas konkubina, lecz żoną. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Tima, zauważyła, że jest zatroskany. Powitała go na swój sposób formułką, którą uważała za odpowiednią w stosunku do wszystkich białych: *hello hansu mei!* Uśmiechnęła się do niego, ukazując błyszczące białe zęby i czerwone wargi.

— Ty nieszczęśliwy. Cierpienia miłosne są największym smutkiem. Zdziwił się, że dziewczyna tak dobrze mówi po francusku, a Mei-li odpowiedziała mu, że nauczyła się tego w szkole jezuickiej, co oczywiście było kłamstwem. Zauważyła dziwny kolor jego oczu. Czy Timo był przystojny? Chińska dziewczyna nie miała na ten temat zdania. Mężczyźni byli dla niej gatunkiem, na który polowała. Tygrys nie zastanawia się nad kolorem oczu antylopy.

Timo natknął się na tygrysy, przychodząc koło północy do Wielkiego Świata na partię pokera. Najpierw prawdziwe: pół tuzina schwytych w Mandżurii przez traperów bestii, o gęstym rudym futrze w biało-czarne pręgi, o mięśniach grających pod skórą i długich wąsach. Były rozdrażnione, przemierzały tam i z powrotem klatkę stojącą w wielkiej sali na parterze.

Wokół stolika, przy którym usiadł, także nie brakowało drapieźników. Byli to sami Chińczycy. Pięciu brzuchatych mężczyzn w koszulach z rękawami podwiniętymi na zachodni sposób, przyglądających się uważnie przeciwnikowi. Timo poczuł strużkę potu spływającą między łopatkami. Zdjął marynarkę. Przypadło mu w udziale pierwsze rozdanie. Rozkładając karty na dwie kupki, zobaczył dwa czarne asy i postanowił „rozdać je” sobie. Końcem serdecznego palca przesunął zgrabnie karty, nie spuszczać z oka gracza siedzącego naprzeciwko. Perfekcja, z jaką wykonał ten ruch, przepełniła go szczęściem.

Przestał docierać do niego huragan dźwięków Wielkiego Świata, nie słyszał już głosów tłumu ani ryku tygrysów. Unosił się lekko na fali swej niezrównanej wirtuozerii.

Gdy wrócił do lokalu Lulu, była ósma rano. Wszyscy domownicy spali. Właściciel zostawił mu na kontuarze w recepcji kartkę.

Jest szósta rano, idę spać. Zajmij drugi pokój w głębi korytarza na pierwszym piętrze. Mei-li czekała na Ciebie, a potem poszła, była bardzo smutna. Aż tutaj dotarły do nas wieści o tym, że w Wielkim Świecie pewien młody „taipan” ograł do cna kilkunastu „niebiańskich”. Czy to o Tobie mowa? Śpij dobrze, hansu mei. Lulu.

Nad Szanghajem wstawał mglisty dzień. Wyczerpany Timo wspinał się po schodach do swojego pokoju. Lao San była w jego sercu, ciążyła mu samotność i brak ukochanej.

Rozdział 28

Lao San, najdroższa, czy żyjesz? Czy cię torturowali? Czy nadal cię dręczą? Zakochany w piracie, i to w dodatku generale! W innych czasach, gdy powierzchownie podchodził do ludzi i rzeczy, Timo uznałby tę sytuację za temat do żartu, teraz jednak wcale nie było mu do śmiechu. Miłosne rozterki pozbawiają bowiem człowieka wielu jego cech, takich jak poczucie humoru i dystans do świata.

Marsylczyk Lucien zaczynał mieć już dość nieustannego wypytywania.

— Czy Lao San żyje? — nagabywał go Timo.

— Zadałeś to pytanie sto razy.

— Czy jest w Szanghaju?

— Tak nam się wydaje. Zapewne znajduje się w głównej siedzibie Kempeitai, w chińskiej dzielnicy Nantao, nawiasem mówiąc, zniszczonej przez Japończyków bombami zapalającymi...

— Co to znaczy „nam”?

— Lao San podała ci moje imię i mój adres, a to przecież znaczy, że jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Domyślasz się więc, że posiada też innych przyjaciół w Szanghaju i gdzie indziej.

— Mówisz o siatce? Siatce szpiegowskiej?

— Mężczyźni i kobiety dobrej woli powinni wymieniać się informacjami, by przeciwstawiać się Japończykom. Kraj

Wschodzącego Słońca wciąga właśnie w wojnę całą planetę. Należy o tym pamiętać... Musimy uwolnić się od Japończyków, a ty musisz uwolnić się od tej obsesji... Lao San była wspaniałą kobietą. Żyła tak, jak jej się podobało, i podejmowała ryzyko, jeśli uznawała to za stosowne.

— Chcesz przez to powiedzieć, że nie żyje?

— Wybacz, Timo, ale w końcu dojdzie do tego, że podniosę głos. Poza Japończykami nikt w Szanghaju nie wie, co stało się z Lao San. Nie trać czasu i przestań się mazać. Sam mi opowiadałeś, że poznałeś piekło obozu na Poulo Condore. Przypomnij sobie o tym i ciesz się życiem, korzystaj z rozkoszy Szanghaju. To największy port świata, a został stworzony w tym właśnie celu: dla rozkoszy! Pieniądzy ci nie brakuje, w ciągu jednego wieczoru spędzonego na pokerze w Wielkim Świecie zdobędziesz środki do życia na co najmniej miesiąc, i to fundując sobie wszystkie *sing-song* z Nanking Street.

Partie pokera na drugim piętrze Wielkiego Świata przebiegały jak najpomyślniej. Wirtuoz Timo działał na terytorium francuskim, lecz wcale go to nie niepokoiło. Wielki Świat znajdował się jakby gdzie indziej, obdarzony nieoficjalnym statusem eksterytorialności. Przez całą noc i część poranka największa szulernia na świecie rozbrzmiewała dźwiękami przywodzącymi na myśl wnętrze wulkanu. Tygrysy, które uznano za hałaśliwe, a przy tym wydzielające nieco zbyt intensywny zapach, zostały odesłane do ojczystej Mandżurii. Zastąpiły je tancerki z Bali, których nie spuszczały z oka grupy Amerykanek ostrzyżonych na chłopczyce i pewna Francuzka o wyglądzie opóźnionej w rozwoju nastolatki, do której właściciel lokalu, pan Tang, zwracał się uniżonym „Dzień dobry, Claude Rivière, witam wielką pisarkę”.

Każdego wieczoru żebracy tracili swoje kilka taeli, ogrywani w trzy karty przy wydatnej pomocy innych żebraków. Co

wieczór podczas „bankietów czterdziestu dań” bogacze w długich szatach szastali dolarami, licytując przepiękne Rosjanki o smukłych udach oraz chińskich transwestytów. Co wieczór Timo wygrywał. Co wieczór, upojony swoją wirtuozerią, Timo oszukiwał.

Pod koniec marca 1938 pan Tang wezwał wirtuoza do swego gabinetu.

— Mój panie, wygrywa pan zbyt często, a więc oszukuje — stwierdził. —

Jest pan wielkim artystą, to prawda. Jak dotąd nikt nie przyłapał pana na gorącym uczynku. Kazałem moim krupierom pana obserwować, ale bez skutku. Pańskie ręce są zbyt szybkie, oko za nimi nie nadąży. Ze względu na przyjaźń Lulu nie zakazuję panu wstępu do Wielkiego Świata, ale niech się pan ma na baczności. Inni też pana obserwują, a nie wyglądają na miłych ludzi. O nie! Wcale nie są mili. Pozbawił pan pewne osoby dużych pieniędzy. To nieostrożność, drogi panie, poważna nieostrożność!

— Uważałem, żeby dobierać się do skóry tylko najbogatszym — powiedział Timo, udając, że to ostrzeżenie nie zrobiło na nim wrażenia.

— To, co im odebrałem, nie powinno zakłócić ich snu.

— Poważny błąd w ocenie, drogi przyjacielu, kolosalny błąd, całkowite zaślepienie. Nieważne jest te kilka meksykanów, które przegrali. Dla „długich szat”, kupców, bogatych handlarzy to, co zniknęło w pańskiej kieszeni, nie ma większej wartości. Niektórzy jednak, panie pokerowy magiku, stracili znacznie więcej: stracili twarz, a to w Azji bywa źródłem zajadłej nienawiści.

— Nie mam wpływu na to, że ktoś żywi wobec mnie nieprzyjazne uczucia.

— Ostrożnie, panie piękniśiu. Ludzie, o których mówię, nie znają określenia „nieprzyjazne uczucia”. Niektórzy z nich utrzymują prawdziwe armie dla ochrony swoich interesów. Ich żołnierze to zwerbowani bandyci. W tej chwili zatrudnia się roninów, japońskich dezertersów lub bandziorów z armii Czang

Kaj-szeka. Może mi pan wierzyć, że nieprzyjazne uczucia nie należą do arsenału broni, jaką się posługują. Bardziej do ich stylu myślenia pasuje nóż wbity w plecy.

Następnego wieczoru Timo przyszedł do Wielkiego Świata koło jedenastej wieczorem. Czuł się nieswojo, jakby trawiła go jakaś choroba. Od przymusowego uwolnienia ze „szponów” Lao San i przybycia do Szanghaju grał w pokera, nie stosując się do zaleceń swego mistrza, Teda Roostera (*Low profile, boy. Lowprofile...* — wygrywać tak, by nie rzucało się to w oczy). Tym razem postanowił zachować się zgodnie z podstawową zasadą zawodowego gracza: nigdy nie zabawiaj się kartami, jeśli nie jesteś w najwyższej formie. Zresztą tego wieczoru w gigantycznej speluncie panowała niedobra atmosfera, Timo wyczuwał skierowaną ku niemu wrogość. Przy stoliku, przy którym zwykle grywał, wolne było jedno miejsce, jakby czekało właśnie na niego. W tłumie Wielkiego Świata pachniało pułapką. Śledzono go. Gdy mimowolnie odwracał głowę, dostrzegał podejrzanych osobników — Chińczyków ubranych na zachodni sposób, w znoszonych jasnych garniturach, obserwujących uważnie każdy jego gest. Chińczyków czy Japończyków? Być może i jednych, i drugich. Roninów, o których mówił pan Tang, i najemnych morderców z szanghajskich slumsów, którzy stawili się na spotkanie... Postanowił wrócić do Trzech Bram.

W alei Edwarda VII prowadzącej do Bundu i koncesji międzynarodowej panował o tej porze największy nocny ruch. Timo wmieszał się w tłum kulisów przeciskających się między straganami, rikszami, rowerami i amerykańskimi samochodami. Przyspieszył kroku i spojrzał za siebie... Dwaj Azjaci, których zauważył już w Wielkim Świecie, ubrani w kasztanowe garnitury i borsalino, starali się nie stracić go z oczu. Jakieś pięćdziesiąt metrów po lewej zaczynała się Shantong Street. Timo z bijącym sercem przyspieszył kroku. Na Shantong

Street, uliczce ciemniejszej niż rozświetlona tysiącami chińskich szyldów i lampionów aleja Edwarda VII, nie było tak tłoczno. Timo ruszył biegiem... Usłyszał suchy trzask, potem poczuł, jak coś rozdziera mu plecy, drugi strzał i drugie uderzenie na wysokości prawego ramienia. Ogarnęło go dziwne gorąco, nogi odmówiły posłuszeństwa, jego ciało stało się bezwładne, runął na bruk. Zobaczył twarz uśmiechniętej Lao San wyłaniającą się z kałuży krwi, a potem zapadła cisza głębokiej nocy.

Rozdział 29

Wieczór taki sam, jak wszystkie inne: w rozświetlonych ogrodach swojego pałacu w stylu Tudorów Haertzlowie wydawali przyjęcie. Z powodu antysemityzmu, narastającego ostatnimi miesiącami w Niemczech i gdzie indziej, Olga przekształciła swoje *garden parties* w wieczory charytatywne na rzecz żydowskich uciekinierów przybywających coraz liczniej do szanghajskiego portu.

Było ich już ponad sto tysięcy i Żydowski Komitet Pomocy pod przewodnictwem sir Victora Sassoon'a mógł tylko przyznać się do bezsilności, nie będąc w stanie przyjść z pomocą wszystkim tym nieszczęśnikom. Lekarze od rana do nocy mieli do czynienia z chorobami ubóstwa — skrajnym wychudzeniem, gruźlicą. Pojawiały się przypadki cholery i szkorbutu oraz poronienia.

Pewien pochodzący z Niemiec lekarz, który pracował swego czasu dla Ligi Narodów w tropikalnej Afryce, zaniepokoił się na widok różowej plamy szpecącej skroń młodej i pięknej Lei Bellaich. Przerażony, powiadomił władze Czerwonego Krzyża oraz Victora Sassoon'a, że wśród żydowskiej społeczności Szanghaju pojawił się trąd.

W tak trudnej sytuacji Olga Haertzel postanowiła uciec się do wszystkich możliwych sposobów, by zdobyć pieniądze. Nie wystarczało jej już to, że utrzymuje orkiestrę smyczkową i gości

oraz żywi uciekinierów, których liczba zbliżyła się tymczasem do setki. Tak więc dziewczyny, rekrutujące się spośród jej „lokatorek”, ubrane w białe szaty, z wiankiem laurowym na głowach — na wzór dziewczynek przystępujących do pierwszej komunii — krążyły wśród gości, zbierając datki. „Taipanowie” i ich żony, a także bogaci Chińczycy i ich kosztowne rosyjskie konkubiny byli w ten sposób zmuszeni, by sypnąć groszem. W zamian za pieniądze — same w sobie niemałe, lecz śmieszne wobec morza potrzeb — Olga postanowiła oferować swym gościom przedstawienia. Tego wieczoru, pod koniec marca 1938, na okrągłej estradzie wybudowanej w kącie ogrodu, występował treser, trzymający na łańcuchu brunatnego niedźwiedzia.

Olga pokazała go Laurence.

— Wiesz, siostrzyczko, co jest najbardziej niezwykle w tym człowieku? Otóż przybył on aż z Rumunii, z Karpat. Podróżował z tym zwierzęciem i dziesięcioletnią córeczką, nie znając żadnego języka poza jidysz. W dzisiejszych czasach wszyscy Żydzi przybywający do Szanghaju dokonali niezwyklego wyczynu, ale on, Mojsze Abrahamowicz, bije wszelkie rekordy. Przemierzył pół planety z małą dziewczynką i niedźwiedziem, który musi ważyć ponad trzysta kilogramów! Wyobrażasz sobie? Kierowcy autobusów, maszyniści lokomotyw, kapitanowie statków mówili mu: „Możemy zabrać ciebie i twoją córkę, ale nie niedźwiedzia”. A on im na to: „Mój niedźwiedź to moje źródło utrzymania. Jeśli go zostawię, córka i ja umrzemy z głodu”.

Olga spostrzegła nagle, że Laurence jej nie słucha, pogrążona w myślach. Nie czyniła jej z tego powodu wyrzutów.

Sir Victor Sassoon pojawił się przed bramą rezydencji Haertzlów, wysiadając z rollsa, koło pierwszej nad ranem. Wyfraczony *butler* nie krył zdziwienia na widok sir Victora powracającego na przyjęcie, które opuścił godzinę wcześniej.

Sir Victor nie bywał na rautach u Haertzlów, tak jak Petrus nie bywał na przyjęciach Sassoon. Odkąd jednak Olga zamie-

niła swoje wieczorki w imprezy charytatywne, Victor Sassoon pokazywał się na nich, by nikt nie mógł powiedzieć, że nie solidaryzuje się ze swoimi braćmi.

— Wybacz, Olgo, muszę porozmawiać z twoją przyjaciółką na osobności — powiedział zatroskany.

Przeczuwając straszną nowinę, Laurence poprosiła, żeby Olga została przy niej.

— Niech i tak będzie — zgodził się Sassoon. — Przekazano mi właśnie przez telefon wiadomość, że pani syn został znaleziony w koncesji międzynarodowej, a dokładniej na Shantong Street.

Słyszając, jak poważnym tonem to mówi, Laurence wcale się nie ucieszyła.

— Co się stało? — spytała szybko.

— Madame, wydaje się, że pani syn jest ranny...

— Wydaje się?

— Prawdę mówiąc, pani syn został znaleziony nieprzytomny na ulicy.

Przewieziono go do szpitala Świętego Pawła.

— Natychmiast tam jadę.

— Nie. Pani syn nie odzyskał jeszcze przytomności. Główny chirurg, doktor Howards, specjalnie przybył do szpitala w środku nocy, żeby osobiście przeprowadzić operację.

— Nie odzyskał przytomności... — powtórzyła Laurence. — Będzie go operował główny chirurg... Co się stało?

Sassoon nie ukrywał zakłopotania.

— Wygląda na to, że był to... Powiem prawdę: pani syn został dwukrotnie postrzelony z rewolweru.

Laurence oparła dłoń na przedramieniu Olgi, jakby chciała poczuć jej obecność i szukała u niej oparcia. Miała zamęt w głowie.

— A więc to w ten sposób uwolnił go generał Lao San? Zdumiony Sassoon uznał, że to rozpacz podyktowała jej tak dziwne słowa.

— Najwyraźniej.

— Czy jego życiu grozi niebezpieczeństwo? — spytała Laurence pewniejszym głosem, wracając do rzeczywistości.

— Lekarze nie mogą wypowiedzieć się na ten temat przed operacją. Czekają panią trudne godziny. Chirurg będzie mógł panią przyjąć dopiero jutro po południu.

— Czy wiadomo, kto go napadł?

— Nie mam pojęcia — powiedział Sassoon przepraszająco.

— Policja nie trafiła na żaden ślad?

— Wolałem nie powiadamiać policji. Wydarzyło się to w angielskiej dzielnicy koncesji międzynarodowej. Brytyjscy policjanci często są nazbyt wnikliwi.

Laurence, niczego nie rozumiejąc, popatrzyła ze zdziwieniem na Sassoon. Olga natomiast zachowała pełne aprobaty milczenie.

Sassoon skłonił się przed Laurence.

— Całym sercem jestem z panią, moja droga. Proszę pamiętać: jutro po południu, szpital Świętego Pawła.

Szpital Świętego Pawła był najnowocześniejszym ośrodkiem leczniczym w Szanghaju. Z punktu widzenia Olgi był miejscem nader nieodpowiednim, ponieważ znajdował się pod zarządem niemieckiej wspólnoty koncesji międzynarodowej. Od roku 1933, a więc od przejęcia władzy przez Adolfa Hitlera, nazistowska zaraza rozprzestrzeniła się wśród niemieckich mieszkańców Szanghaju. Coraz częściej zdarzało się spotykać na Nanking Street albo Peking Street panów o mieszczańskim wyglądem z opaską ze swastyką na ramieniu. Niemieckie dzienniki publikowały antysemickie artykuły. Przybywający do Bundu z Europy uciekinierzy opisywani w nich byli jako wstrętny zawszony motłoch. Tak więc fakt, że Olga zgodziła się towarzyszyć Laurence do tej okrytej hańbą dzielnicy i szpitala nieprzyjmującego Żydów, był z jej strony dowodem wielkiej przyjaźni.

Doktor Howards, Anglik, kiedyś pracował jako lekarz wojskowy, potem zrobił karierę w koloniach Imperium Brytyjskiego — najpierw w Arabii, potem w Indiach — wreszcie przyjął

proponowaną mu posadę w szpitalu Świętego Pawła w Szanghaju. Cieszył się reputacją chirurga o pewnej ręce, czego trudno byłoby się domyślić po jego wyglądzie. Był wychudzony, miał zapadnięte policzki i czarne podkrażone oczy, które wydawały się jeszcze ciemniejsze w kontraście z siwymi włosami. Doktor Howards miał wszystkie cechy wieloletniego palacza opium. Kiedy obie kobiety usiadły w brydżowych fotelach w jego gabinecie, zwrócił się do Laurence dobrym francuskim, ale mówił powoli, niemal z bólem.

— Pani Lemaire, tak więc ten młody człowiek, którego operowałem dziś w nocy, jest pani synem?

— Nie żyje? — jęknęła Laurence.

Howards pokręcił głową, ale w tym geście nie było nic pocieszającego.

— Żyje — wyjaśnił ledwo słyszalnym głosem, który wydawał się dobywać z ogromnym wysiłkiem. — Teraz mogę już nawet stwierdzić, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

— Doktorze — wtrąciła Olga — bardzo proszę, niech pan nam powie, na ile poważna jest sytuacja.

— Sytuacja w rzeczy samej jest bardzo poważna — powiedział lekarz, zwracając zmęczone oczy na Laurence. — Pani syn, madame, odniósł rany, których konsekwencje mogą być nieodwracalne. Został dwukrotnie postrzelony w plecy. Pierwsza kula przeszła ciało w górnej części lewego ramienia, nie powodując istotnych uszkodzeń. Druga jednak utkwiała w części lędźwiowej kręgosłupa i ta kula... Samo jej wydobycie przebiegło pomyślnie. Niestety spowodowała znaczne uszkodzenia.

Kręgi lędźwiowe zostały zmiażdżone. Pani syn jest sparaliżowany.

Czy w spojrzeniu Laurence widniała panika, przerażenie, czy po prostu niezrozumienie? Doktor Howards pomimo zmęczenia uznał, że musi udzielić jej wyjaśnień:

— Ma bezwładne wszystkie kończyny. Jest więc całkowicie sparaliżowany.

Te straszne słowa uderzyły w serce Laurence niczym grom. Ukryła twarz w dłoniach i całym jej ciałem wstrząsnął szloch.

Olga chciała wstać, lecz Laurence ruchem ręki dała jej znać, żeby nie ruszała się z miejsca. Wyjęła z torebki chusteczkę i osuszyła oczy. Wyprostowała się nagle, jakby pragnąc zapanować nad sobą nie tylko moralnie, ale i fizycznie.

— Chce pan przez to powiedzieć, doktorze, że Timo będzie sparaliżowany do końca życia?

— Droga pani, przy obecnym stanie wiedzy medycznej nikt nie może wypowiedzieć się na ten temat definitywnie.

Laurence wstała, jakby niezdecydowana.

— Czy można go zobaczyć?

— A po co? — zdziwił się lekarz. — Zresztą, jeśli pani sobie życzy...

Może go pani zobaczyć, ale on nie zobaczy pani.

Olga również wstała, a doktor Howards podniósł się powoli, wsparty obiema rękami o biurko. Gdy obie kobiety podeszły do drzwi, powiedział do Olgi:

— Madame Haertzel... Olga się odwróciła.

— Pragnę zaznaczyć, jak bardzo cenię to, co pani robi.

— Dziękuję, doktorze — odpowiedziała nieco zaskoczona Olga.

— Nie ma powodu dziękować, droga pani. Proszę przyjąć do wiadomości, że oddaję do jej dyspozycji moje umiejętności lekarskie.

Wiem, co prawda...

— Tak — weszła mu w słowo Olga — wie pan, że lekarzy nam nie brak. Mamy ich dziesiątki, wszystkich możliwych specjalności. Oczywiście wszyscy żyją w nędzy...

— Niestety — westchnął Howards — w szpitalu Świętego Pawła pracy z pewnością nie dostaną.

— Ani nigdzie indziej — uzupełniła Olga. — Przede wszystkim brakuje nam leków.

— Domyślam się. Tutaj jednak wszystkie zapasy trzymane są pod kluczem. Naziści sprawują kontrolę nad całym szpitalem. Robią wszystko, żeby Żydzi nie mieli czym się leczyć... Może być pani pewna, że jeśli będę mógł pani pomóc, z pewnością to zrobię. Jeśli zaś o to chodzi... — Spojrzał na Laurence. —

Jeśli o to chodzi, madame, jutro będzie można przewieźć pani syna. Musi opuścić szpital.

— Coś mu grozi? — zdziwiła się Laurence.

— Czy można wiedzieć, co przyjdzie do głowy hitlerowcom, zwłaszcza gdy są lekarzami? Mój przyjaciel Victor Sassoon poinformował mnie, że pani syna postrzelili japońscy bandyci. Czy byli to jednak roninowie na żołdzie pechowych pokerzys-tów, czy agenci Kempeitai? Wpisałem pani syna do akt jako ofiarę wypadku ulicznego. Nie chciałbym, żeby naziści ze Świętego Pawła wyobrazili sobie, że mają do czynienia z angielskim agentem.

— Angielskim agentem? — zdumiała się Olga i spytała poważnym tonem: — Czyżby w Szanghaju działali brytyjscy szpiedzy? Nie mogę w to uwierzyć!

Howards uśmiechnął się blado.

— W rzeczy samej, to niedorzeczne przypuszczenie, droga Olgo. Trudno jednak pojąć tok rozumowania ludzi, którzy pozdrawiając się w korytarzu, podnoszą rękę do góry. Kiedy ma się do czynienia z szaleńcami, trzeba przewidywać nieprzewidywalne. Trzeba trzymać się tej prostej reguły, żeby przetrwać.

Timo spał. Jego głowę ułożono troskliwie na poduszce, ręce na białej kołdrze. Diagnoza określała jego stan jako śpiączkę, lecz on wyglądał na pogrążonego w głębokim i regenerującym śnie. Nagle w ziejącej pustką przepaści całkowitego braku świadomości miał przedziwne widzenie. Najpierw poczuł dłoń dotykającą pieszczotliwie jego czoła, niczym falę nieskończonej błogości. Potem z otchłani wyłonił się obraz Lao San. Pani generał piratów spoglądała na niego czarnymi błyszczącymi oczami, włosy miała rozwiane, uśmiechała się porozumiewawczo, trzymając w palcach cygaro.

Laurence spostrzegła, że wargi Tima lekko zadrżały. Zbliżyła do nich twarz i usłyszała szept: „Moja ukochana, moja najukochańsza”.

Rozdział 30

15 kwietnia 1938. Sajgońskie lotnisko Tan-Son-Nhut pogrążone już było w ciemnościach, gdy Laurence, w czerwonym kostiumie, z włosami upiętymi w kok, zeszła po kilku stopniach żelaznych schodków, wysiadając z dakoty.

W tej samej chwili trawiastym pasem startowym ruszył w kierunku DC3 oldsmobile o wysokim zawieszeniu, pełniący rolę ambulansu.

Maurice Lemaire wyszedł na spotkanie Laurence niespiesznym, miękkim krokiem. Laurence zdjęła okulary, a Maurice kapelusz. Schylił się, by ucałować jej dłoń, ale kobieta przytuliła się do niego.

— Tak bardzo za tobą tęskniłam... Lemaire również objął żonę.

— Zapomniałem już, jaka jesteś piękna. W Szanghaju musiałaś zrobić furorę. „Długie szaty” z pewnością rozplywały się w zachwytach.

Laurence drgnęła. Czyjej mąż wie, co zdarzyło się w Szanghaju? Czy miała to być aluzja do noszącego „długą szatę” osobnika zwanego panem Tu?

— Znasz określenie „długie szaty”? — zapytała, by rozproszyć niepokój.

— Moja droga, mam do czynienia ze światem chińskiej

kultury od bardzo dawna. Jeszcze teraz zdarza mi się niekiedy mówić po kantońsku.

Przerwał i łagodnie odwrócił żonę w kierunku samolotu.

— Spójrz, wynoszą twojego podopiecznego. Nie chcesz tego przypilnować?

— Jest w dobrych rękach. Pielęgniarka, którą przysłałeś mi samolotem, jest bardzo kompetentna. Znalazłeś dla niego łóżko w szpitalu?

— To niemożliwe. Ryzyko jest zbyt duże.

— Ryzyko? Przecież to ty jesteś szefem policji.

— Szefem policji — nie. Jestem administratorem do spraw specjalnych, a to zupełnie co innego. W Sajgonie istnieje jednak policja, prawdziwa policja, która podlega gubernatorowi generalnemu Heuziemu. To on posłał twojego przyjaciela na Poulo Condore. O tym nie należy zapominać.

— Przecież ten twój Heuzie nie może wiedzieć wszystkiego.

— Od dłuższego czasu podejrzewam, że należy do pewnej organizacji... Tak czy inaczej, w tej chwili znajduje się we Francji. Oficjalnie ma urlop z powodu pogrzebu kogoś z rodziny. Skorzysta z tego, żeby przejść na emeryturę. To nieistotne, bowiem nawet przebywając w Paryżu, Heuzie z pewnością ma wtyczki w Sajgonie. Uznałem, że lepiej będzie umieścić Tima w mieszkaniu, w którym będzie miał lepsze warunki niż w szpitalu. Z portu lotniczego do Sajgonu prowadziła droga wysadzana sosnami parasolowymi i wysypana tłuczoną cegłą. Po obu jej stronach w nocnej ciszy połyskiwały pomarańczowe światełka na groblach pól ryżowych. Wieśniacy wracali do domów, bezgłośni niczym mrok, powolnym krokiem, jak ich woły o zakręconych rogach. Laurence opuściła szybę i wciągnęła wieczorne powietrze.

— Azja i jej zapachy...

— A czym teraz pachnie w Szanghaju? — spytał Lemaire.

— W Szanghaju unosi się odór śmierci.

— A skoro o tym mowa... Wygląda na to, że twój młody przyjaciel ledwo wymknął się jej pazurom.

— Obawiam się, że teraz wymyka się życiu — westchnęła Laurence.

— Lekarze nie są dobrej myśli?

— Przypuszczają, że w najlepszym wypadku będzie mógł poruszać jedną ręką. Pozostanie jednak całkowity paraliż nóg.

— Czy cierpi?

— Wypadek zdarzył się trzy miesiące temu. Przez kilka tygodni był w śpiączce. Cierpienie pojawiło się, gdy odzyskał przytomność. Pierwsze dni były przerażające. Na szczęście pewien angielski lekarz dostarczył mi morfinę.

Doktor Howards miałby ogromne trudności ze zdobyciem choćby najmniejszej ampułki środka znieczulającego. Niewielkie ilości morfiny, którą zdołał wygospodarować pomimo nadzoru nazistów ze szpitala Świętego Pawła, służyły, by ulżyć w agonii dogorywającym żydowskim uciekinierom. Laurence nie śmiała jednak wspomnieć o panu Tu, nawet pośrednio i nie wymieniając jego imienia.

Nie zdziwiła się, widząc, gdzie jej mąż zatrzymał samochód. Chwilę później nadjechał ambulans. Zapewne drobną złośliwością ze strony Maurice'a Lemaire'a było umieszczenie kochanka swojej żony w mieszkaniu, w którym przedtem się z nią spotykał.

— To elegancki dom: niskie stoły pokryte laką, porcelana z epoki Ming.

Ponadto znajduje się przy ulicy Lorner, sto metrów od ulicy Catinat...

Masz dobry gust, mój drogi...

— To zwyczajny łut szczęścia — powiedział Lemaire, zasuwając zasłony. — Jeden z moich współpracowników poinformował mnie, że tu właśnie, przy ulicy Lorner, jest wolna garsoniera w stylu orientalnym.

Zwróć uwagę, droga Laurence, jakie figle płata los! Powiadają, że mieszkał w niej podczas swoich pobytów w Sajgonie słynny literat Pierre Loti. Teraz ty będziesz odwiedzała to miejsce. Z tego wniosek, że ten dom przyciąga pisarzy. Ot, Daleki Wschód i jego magia...

Pośrodku salonu ustawiono szpitalne łóżko, a obok niego stolik z medycznymi utensyliami.

— Musisz mi wybaczyć, że zaburzyłem nieco harmonię tej alkowy — powiedział Lemaire. — To najprzyjemniejsze miejsce w domu i uznałem, że tutaj właśnie najlepiej będzie umieścić twojego paralityka. Istnieje obawa, że o ile jakiś cud nie postawi go na nogi, spędzi tu sporo czasu.

— Mój drogi, odnoszę wrażenie, że nieszczęśliwie mu współczujesz — zauważyła Laurence.

— Doprawdy, droga przyjaciółko, przedstawiasz mnie sobie w zbyt czarnych barwach. Ten chłopiec zostanie teraz otoczony troskliwą opieką i będzie się cieszył twoją przyjaźnią. Czegóż więcej mu trzeba?

Intuicja nie myliła Laurence. Maurice z trudem panował nad narastającą w nim od dawna złością. Wszystko, czego dotąd dokonał, by przyjść z pomocą Timowi, zrobił wyłącznie dla żony. Dołożył wszelkich starań, żeby oszczędzić jej zmartwień. Teraz wiedział już, co zdarzyło się w Szanghaju, jakie upokorzenia zniosła Laurence i jak zachował się ten chłystek, Timo, arogancki prostak, przekraczający wszelkie granice przyzwoitości. Administrator miał ochotę udusić go własnymi rękami i wściekał się, ponieważ w ten sposób pogrzyłby swoją ukochaną żonę w czeluści rozpacz.

Laurence pomogła ułożyć chorego na łóżku. Ponieważ rana znajdowała się w okolicy kości krzyżowej, położono go jak zwykle na brzuchu.

Oszołomiony laudanum ranny wydał tylko cichy jęk. Maurice Lemaire obrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa. Laurence pochyliła się nad Timem, pogładziła go delikatnie po włosach, pocałowała w ucho i szepnęła:

— Bądź spokojny, mój ukochany, nasza podróż się zakończyła. Odtąd będziemy już razem.

Nadszedł maj roku 1938, niosąc ulewne deszcze. Sytuacja w Chinach i zbrodnie, jakich dopuszczali się Japończycy,

czający się już za Górami Tonkińskimi, nie robiły wrażenia na białych mieszkańcach Sajgonu, przejawiających niepoprawną bez troskę i bezmyślność. Państwo Lemaire podczas kolejnych przyjęć i innych spotkań towarzyskich, od których nie sposób było się wykręcić, ze smutkiem patrzyli na zaślepienie swoich rodaków. Czternastego lipca w pałacu Norodom, a także podczas święta Towarzystwa Sportowego, które odbyło się pod koniec sierpnia w Country Clubie, oboje doszli do tego samego wniosku: otumanieni egoizmem, żądzą pieniądza i prowincjonalnymi plotkami Francuzi nie zdawali sobie sprawy, że wkrótce niebo spadnie im na głowy.

Nadszedł wrzesień i minęła duszna pora deszczowa, a Timo wciąż nie wymówił ani słowa. Doktor Howards i francuski lekarz w Sajgonie, który odwiedzał chorego co tydzień, stwierdzili zgodnie: porażenie rdzenia kręgowego wywołało wstrząs neurologiczny, który spowodował afazję i utratę mowy.

Laurence spędzała przy ukochanym całe dnie. Podczas pierwszych tygodni po powrocie do Sajgonu siedziała na krześle koło jego łóżka i pilnowała, by kroplówka działała bez zarzutu, ocierała mu czoło i usta wilgotną szmatką. Przemawiała też doń bez ustanku — co prawda nie mógł mówić, ale może chociaż słyszał?

Nie odzyskał czucia — i nie wiadomo było, czy kiedykolwiek je odzyska — odzyskał jednak wzrok i słuch. Najpierw powróciła zdolność widzenia, potem zaczął słyszeć, choć odgłosy wciąż jeszcze docierały do niego jak z otchłani. Pewnego dnia stwierdził, że znajduje się w luksusowo urządzonego pokoju, i poczuł, że jest przywiązany do łóżka — co było mylnym wrażeniem spowodowanym przez paraliż. Dopiero po paru dniach upewnił się, że nie znajduje się w zaświatach, a po kilku minutach spostrzegł odwróconą plecami Laurence, która napełniała strzykawkę zawartością małej ampułki. Od tego dnia pilnował się, by otwierać oczy tylko wtedy, gdy był pewien, że nikt go nie widzi. Zgodnie z zaleceniami lekarzy, którzy zaznaczali, że trze-

ba mówić do chorego, by stymulować połączenia nerwowe, Laurence uważała za swój obowiązek prowadzić rozmowę, czyli właściwie monologować przez cały dzień, co powodowało, że zwracała się do niego jak do dziecka, a Timo odnosił niemiłe wrażenie, że jest infantylna. Z wolna zaczęła powracać świadomość. Znow uratuje go nienawiść. Paraliż to kolejne więzienie. Kiedyś się z niego wydostanie.

Pierwszą osobą, której Timo dał do zrozumienia, że nie jest w stanie śpiączki, był Yen-fu, syn pana Chenga. Młody Chińczyk przyszedł złożyć wizytę swojemu przyjacielowi i dawnemu nauczycielowi pod koniec grudnia 1938. Stan jego zdrowia wciąż się pogarszał. Choroba, systematycznie i bezlitośnie wyniszczała organizm. Jego członki były jeszcze bardziej wychudzone, oczy jeszcze większe, płuca ze świstem chwytały powietrze. Chłopak wiedział, że śmierć wkrótce zwycięży.

Towarzyszący synowi pan Cheng odciągnął Laurence na bok.

— Droga przyjaciółko — powiedział do niej — twój podopieczny znajduje się w sytuacji trudnej do zniesienia. Nie może się poruszać, nie pozbawiaj go więc dodatkowo prywatności, oddal się nieco od niego.

— Mam go zostawić? — oburzyła się Laurence. — Proszę nie zapominać, że Timo wymaga nieustannej opieki.

— Sajednak rzeczy, którymi nie ty powinnaś się zajmować. I'rzyślę ci do pomocy dwie Chinki. Jeśli chcesz, by Timo pozostał twym kochankiem, nie traktuj go jak dziecko.

Jeden z tragarzy niosących lektykę Yen-fu wziął go na ręce i posadził na krześle obok łóżka Tima. Yen-fu milczał przez chwilę i spostrzegł, że jego przyjacielowi dziwnie drgają powieki. Wolno i wyraźnie, aby mieć pewność, że zostanie zrozumiany, powiedział po chińsku:

Miło cię zobaczyć, drogi bracie. Wydaje mi się, że słyszysz mnie i rozumiesz. Jeśli tak, otwórz oczy. Nikt poza mna cię nie widzi.

Timo uniósł jedną powiekę, ukazując bladobłękitny błysk oka, ironiczny i nieugięty.

Podczas kolejnych tygodni przynoszono Yen-fu co wieczór. Był w coraz gorszym stanie, z trudem oddychał, jego głos stał się niemal niesłyszalny, a oczy zapadnięte. Nie stracił jednak radości życia. Zachowanie Tima wydawało mu się zabawne i wywoływało uśmiech na jego twarzy.

— Laurence nie podejrzewa, że wszystko słyszysz i możesz mówić? — spytał go w końcu.

— Nie — zapewnił Timo. — Zresztą nie próbuje zastawiać na mnie żadnych pułapek. Mówi do mnie, jakby przemawiała do domowego zwierzątka. Wiesz, to bardzo dziwne wrażenie, kiedy ktoś cię traktuje jak pieska pokojowego. Usta jej się nie zamykają. Wiem, że lekarze kazali jej mówić do mnie bez przerwy, żeby pobudzić mój mózg. No i mówi, gada bez końca, sama do siebie... Któregoś dnia poproszę ją, żeby trochę się przymknęła.

— Niedługo minie dziesięć miesięcy, odkąd tak leżysz na brzuchu — zauważył Yen-fu. — Współczuję ci bardzo z powodu twojego cierpienia, drogi bracie.

Wymawiając te słowa, Yen-fu zaniósł się tak gwałtownym i ostrym kaszlem, że przez chwilę Timo obawiał się, czy się nie udusi.

— Mam dla ciebie dobrą wiadomość — mówił dalej Yen-fu, otarłszy łzy, które napłynęły mu do oczu. — Od kilku miesięcy mój ojciec poszukiwał za pośrednictwem swoich ludzi Sawaka-Be.

— A kto to taki? — zdziwił się Timo. — Co to ma wspólnego ze mną?

— Sawak-Be jest czarownikiem mieszkającym w laotańskiej dżungli.

Leczy wszystkie choroby i stawia na nogi paralityków. Wczoraj wieczorem przybył nad brzegi Mekongu. Ze względu na ciebie. Za kilka miesięcy będziesz zdrowy, będziesz chodził, pokazywał magiczne sztuki w Oddechu Smoka. Pamiętasz? To lokal w Szolonie należący do mojego ojca.

Yen-fu zauważył, że ta wiadomość nie zrobiła na przyjacielu wrażenia.

— Najwyraźniej nie wierzysz w moc czarownika z laotańskiej dżungli... Myślisz: dlaczegóż więc nie uleczył nieszczęsnego Yen-fu? Odpowiedź jest prosta. Sawak-Be leczy, ale nie tworzy życia. Ja nigdy nie należałem do świata żywych. Urodziłem się tylko po to, by mu się przyglądać.

Czyżby czarownik Sawak-Be do swego arsenału środków terapeutycznych zaliczał strach? Jego wygląd budził grozę. Był niski, o

szerokiej klatce piersiowej, na biodrach miał kawałek zgrzebnego sukna w brązowym kolorze. Jego twarz była okrągła i płaska, a włosy potargane. Przybył do garsoniery przy ulicy Lorner w pierwszych dniach 1939 roku, w asyście prawdziwej świty. Poza panem Chengiem na czele orszaku i Yen-fu siedzącym w fotelu, w pokoju znalazło się jeszcze pięć osób. Po obu stronach Sawaka-Be ustawili się wojownicy z dżungli, równie krzepcy i równie odpychający jak on. Zza ich pleców spoglądały uważnie dwie ubrane na czarno stare Chinki.

— Mój drogi Timo, wybiła godzina przemiany — oznajmił pan Cheng.

— Nadeszło zmartwychwstanie, jak mówią katolicy. Powstanie z grobu.

Wielmożny pan Sawak-Be, geniusz laotańskiej dżungli oraz rzeki Mekong, przybył cię uzdrowić.

Czarownik podszedł do leżącego na brzuchu Tima. Przyklęknął i przyjrzał się uważnie jego niebieskim oczom. Włożył dłoń w jego włosy, po czym przesunął nią aż do karku, który ścisnął między kciukiem i największym palcem, wywołując u chorego ryk bólu. Podniósł się i urywanymi zdaniem powiedział coś do Chenga. Ten przetłumaczył:

— Wielmożny Sawak-Be mówi, że może uleczyć tę ranę. Trzeba będzie być mu posłusznym, wykazać się cierpliwością i pogodzić z cierpieniem. Te dwie Chinki, które z nim przyszły, zostaną tu, będą nacierały cię maściami o dobroczynnym działaniu, zajmą się twoją toaletą, będą cię kąpały.

Cheng umilkł na chwilę, a potem dodał:

— Sawak-Be ma nadzieję, że masz jakiegoś wroga. Mówi,

że chęć zabicia wroga to najskuteczniejszy czar. Siły ukryte w człowieku są przeogromne. Jego własna moc, choć jest wielkim czarownikiem i czerpie siłę z mroków zamierzchłej przeszłości, jest niczym wobec ich potęgi. Nienawiść to nasz najpewniejszy sprzymierzeniec. Zapomnienie i wybaczenie są węzłami, które unicestwiają swoim jadem. Nienawiść ratuje życie.

Laurence usłuchała poleceń Sawaka-Be. Zrobiła to dla dobra Tima, choć domyślała się, że były one zainspirowane przez Chenga. Nie zajmowała się więc jego toaletą, skoro ten obowiązek przejęły dwie Chinki. Nie przemawiała już do niego przez cały dzień, ponieważ teraz spędzała przy nim nie więcej niż godzinę dziennie. Przez pozostały czas hołubiła go w myślach i w swej kolonialnej willi na płaskowyżu pisała intymny dziennik, porzuciwszy tworzenie powieści.

Nie ulegało wątpliwości, że stan zdrowia Tima wciąż się poprawia, i nie była to bynajmniej kwestia ślepego optymizmu. Pod datą pierwszego kwietnia 1939 Laurence napisała w pamiętniku: *To nie jest żaden kawał czy primaaprilisowy dowcip w złym guście. Wczoraj Timo przemówił. Przemówił do mnie. To kolejny dowód na to, że jest z nim coraz lepiej. Już miesiąc temu mój ukochany otworzył oczy. Wreszcie znów zobaczyłam jego błękitne dziecięce spojrzenie. Również miesiąc temu został położony na plecach, a na jego twarzy zagościł wyraz bezgranicznego szczęścia. Potem usiadł w bardzo twardym fotelu. Zaczął poruszać palcami lewej ręki. A teraz przemówił... Szpitalny lekarz dziwi się, widząc, w jakiej kolejności następuje poprawa: „Logicznie rzecz biorąc, powinien najpierw zacząć mówić ” — powiedział. Ten człowiek nauki zapomina, że Timo leczony jest według zasad innej medycyny, zapewne więc inne metody powodują inną kolejność osiąganych rezultatów. Na nowo usłyszałam więc słodki i stanowczy głos mojego ukochanego. „Dziękuję za to, co dla mnie zrobiłaś... ”, powiedział. „ To wszystko zwyczajna rzecz, odparłam, ponieważ cię kocham ”. Spuścił wzrok i nie dowiedziałam się, czy moje słowa wprowiły*

go w zakłopotanie, czy uszczęśliwiły. Chciałam go pocałować, ale powstrzymałam się — bałam się, że mnie odepchnie. Wiem teraz, że nadejdzie dzień jego wyzdrowienia, a wraz z nim powrócą moje cierpienia. Nigdy nie zaznam spokoju.

Pod koniec kwietnia, pewnego wieczoru, Yen-fu jak zwykle złożył wizytę swojemu przyjacielowi. Stan zdrowia młodego Chińczyka pogorszył się jeszcze bardziej. Wychudzone nogi nie mogły już znieść ciężaru łubków, jego strój z żółtego jedwabiu zawierał prawie samo powietrze, a właściwie słaby powiew z trudem chwytanego oddechu. Był niemal niewidoczny w silnych ramionach służącego.

— Miałem nadzieję, że znów zobaczę twój pokaz magii — powiedział — lecz czas płynie tak szybko...

— Mój stan się polepsza — stwierdził Timo — ale już nigdy nie będę magikiem. Prawa strona mojego ciała nie reaguje, myślę, że pozostanie sparaliżowana.

— Mam jednak nadzieję, że powrócisz do Oddechu Smoka. Uświetniłeś tam tak wiele wieczorów... Tak czy inaczej, ja już nigdy nie zobaczę twojego pokazu.

— Daj spokój, Yen-fu, nie wolno się poddawać.

— Mój pobyt na ziemi nie potrwa już długo. Tydzień, może dwa...

— Spójrz na mnie, Yen-fu — nalegał Timo, starając się mówić przekonująco. — Wypływam na powierzchnię. Kto by się tego spodziewał? Wiem, że pewnego dnia będę mógł chodzić. Może nastąpi to za dwa lata, może prędzej... Ból jest czasami nie do zniesienia, dni wloką się w nieskończoność, ale światło jest już blisko. Uwierz mi, nigdy nie wolno się poddawać.

Yen-fu uśmiechnął się smutno. Z jego piersi dobył się chrapliwy odgłos, jakby powolne westchnienie.

— To znaczy, że uważnie słuchałeś rad Sawaka-Be. Pielęgnowałeś w sobie nienawiść i żądzę zemsty.

Timo przytaknął z zadowoleniem.

— To dzięki niej powraca siła moich mięśni. Leżałem

i wszystkie moje członki były sparaliżowane. Głód zemsty dał mi siłę, by wstać i iść dalej przez życie, żeby móc go zaspokoić.

— Nienawiść to stęchłe bagnisko, jej gorączka bardzo szybko wyniszcza organizm.

Timo nie odpowiedział. Nie dotarł do niego sens słów przyjaciela.

— A Laurence? — spytał Yen-fu.

Timo otworzył szeroko oczy, zdziwiony tak niestosownym pytaniem.

— Tak, Laurence — powtórzył młody Chińczyk. — Przyglądałem się jej, czuwa nad tobą, z niepokojem wygląda oznak poprawy twojego zdrowia.

— Laurence mnie drażni! — warknął Timo.

Yen-fu dał znak służącemu, by przysunął jego fotel bliżej przyjaciela.

— Ogarnia mnie zmęczenie, mój drogi bracie... — wyszeptał. — Wkrótce staniesz na nogi, a wówczas nadejdzie czas, byś otworzył oczy.

Nienawiść pozwoli ci się podnieść, później jednak przestanie być użyteczna. Trzeba będzie ukręcić jej łeb... Tylko to pozwoli ci osiągnąć pokój ducha, ukojenie. Uśmiech Buddy.

Tydzień później odwiedził Tima pan Cheng. Było to pod koniec dnia, w porze, którą jego syn zwykle wybierał na wizyty.

— Yen-fu umarł dziś w nocy — powiedział. — Nie mógł już jeść i oddychał z takim trudem... Miał nadzieję, że dotrwa do twojego kolejnego pokazu magii. Niestety... Mam dla ciebie wiadomość przekazaną przez mojego ukochanego syna. To były jego ostatnie słowa. Tej nocy, nim stracił przytomność w moich ramionach, wyszeptał: „Powiedz Timowi, żeby nie zapomniał... Uśmiech Buddy!”.

Rozdział 31

Timo uśmiechał się po raz pierwszy od powrotu z Szanghaju. Stał pośrodku salonu oparty na dwóch kulach i spoglądał na Laurence, zadowolony z niespodzianki, jaką jej zrobił.

— Ukochany — mówiła — ukochany, kto by przypuszczał?

— Dziś rano przyszedł do mnie Sawak-Be w towarzystwie swojej asysty i pana Chenga. Powiedział, że jest pierwszy wrzesnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku i że maści oraz kąpiele spełniły już swoje zadanie... Pan Cheng podał mi kule, a ludzie z asysty Sawaka-Be pomogli mi wstać. Widzisz przed sobą efekt najdziwniejszej sztuki magicznej w całej mojej karierze. Proszę państwa, sensacja! Uzdrawienie paralityka! Laurence podeszła do Tima, posłuszna nieodpartemu magnetycznemu impulsowi. Objęła go i oparła głowę na jego piersi.

- Prawie zapomniałam, jaki jesteś piękny — szepnęła. Przesunęła czule dłońią po jego plecach.

- No cóż — westchnął Timo — złamanie kręgosłupa... I ego nie przeżyłby nawet rekin.

- Ale ty jesteś gorszy od ludojadów — mówiła Laurence, rozpinając jednocześnie guziki jego jedwabnej piżamy.

- Uważaj! — krzyknął. — Jestem w niestabilnej pozycji, moje stopy ledwie opierają się o podłogę, mięśnie nóg są w zaniku, prawa ręka wciąż jest bezwładna.

— Nie chodzi mi o prawą rękę...

— Laurence, to nie jest odpowiednia chwila — protestował Timo.

— Ależ przeciwnie — wymruczała — trzeba sprawdzić, czy rzeczywiście powstałeś na dobre z łoża boleści...

— Ty chyba oszalałaś!

Przesunęła dłoń w dół i dotknęła twardniejącego członka. Timo poczuł na uchu jej gorący oddech i usłyszał szept:

— W pełni dysponujesz swoją bronią. Czas się nią posłużyć.

— Ostrożnie... — Timo cofnął się o krok. Kochankowie upadli na łóżko, drewniane kule z trzaskiem

zsunęły się na podłogę. Timo próbował wstać, lecz Laurence zdecydowanym gestem pchnęła go, jedną rękę kładąc mu na ustach, drugą wsuwając w spodnie od piżamy.

Dlaczego chwile szczęścia trzeba zawsze opatrywać komentarzem?, zastanawiał się Timo. Przecież to, co nazwane, bezpowrotnie ginie. Może to przypadek pisarzy? Laurence mogłaby ograniczyć się do westchnień, mogłaby go ostatecznie spytać, czy sprawiła mu rozkosz, a on odpowiedziałby, że tak. Po co jeszcze dodawać: „Odnależliśmy się na nowo. Teraz będziemy żyli jedno dla drugiego”. Zezłościło go to.

Kiedy wyszła z łazienki, poprawiając włosy, oznajmiła poważnie:

— Dziś jest ważny dzień.

— No dobrze, kochaliśmy się — burknął Timo. — Nie jest to jednak jakieś wydarzenie o światowym znaczeniu.

Uniósł się na łokciach, a kiedy zorientował się, że nie może dosięgnąć kul, zdenerwował się jeszcze bardziej. Poczzerwieniał na twarzy.

— Czy nie można się po prostu pieprzyć, pieprzyć dla przyjemności i nie robić z tego czegoś wysublimowanego, nie pakować do tego miłości? Czy w ogóle jest taka możliwość i czy jesteś w stanie wziąć to pod uwagę?

Laurence zamarła bez ruchu, z uniesionymi rękami. Po chwili uśmiechnęła się i z lekkim wyrzutem powiedziała:

— Czyżbyś robił się niegrzeczny? Okiełznaj duszę wojownika, spróbuj odnaleźć spokój i ukojenie.

— Uśmiech Buddy? Wiem — mruknął Timo gniewnie. — Podaj mi kule!

Laurence pospiesznie wykonała jego polecenie, mówiąc:

— Oto towarzyszyki twej wielkości.

Timo wyszarpnął jej kule, nawet nie dziękując. Usiadła obok niego, ale on odsunął się na brzeg łóżka. Urażona Laurence powiedziała nieco chłodniejszym tonem:

— Dzisiaj zacząłeś chodzić i dzisiaj znów się kochaliśmy. To nie jest bez znaczenia.

Naburmuszony Timo zaczął umieszczać kule pod pachami.

— Dzisiejszy dzień jest jednak ważny z innego powodu — ciągnęła Laurence.

Zaciekawiony Timo znieruchomiał, przeczuwając ważną nowinę.

Zapadła niezręczna cisza, nim Laurence wypowiedziała te słowa:

— Pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego wojska niemieckie wkroczyły do Polski. W rezultacie dzisiaj Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę.

— To rzeczywiście ważny dzień — powiedział po chwili Timo. — Trzeci września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego... Francja w stanie wojny...

— Jestem jedną z niewielu osób w Sajgonie, które o tym wiedzą — zaznaczyła Laurence.

Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie wywołane tą straszliwą wiadomością, Timo znów wpadł w zły humor.

— No jasne, jesteś dobrze poinformowana. Żona wielkiego gliniarza ma oczywiście najświeższe informacje.

— Wkrótce i sajgońskie gazety zamieszczą tę wiadomość. — Laurence zdziwił gniewny ton kochanka.

— Pozwól, że wyrażę się ściślej — powiedział Timo. — Żona wielkiego gliniarza? Nie, raczej żona wstrętnego gliniarza!

— Czy można wiedzieć, dlaczego tak mówisz? — spytała Laurence spokojnie.

— Dlaczego? Dlatego że to twojemu mężulkowi zawdzięczam pobyt w obozie karnym na Poulo Condore, i to wcale nie wśród więźniów politycznych, tylko kryminalnych, w piekle zwanym „Gniazdo węży"! W towarzystwie potworów, rozumiesz? Największych zbrodniarzy całej Azji, dzikich bestii!

— Niedorzeczność twoich słów przypisuję stanowi, w jakim się znajdujesz — odpowiedziała chłodno Laurence.

Timo uznał aluzję do swojego kalectwa za dodatkową obrazę.

— No jasne, paraliż dotyka nie tylko rąk i nóg. Dotyka też i mózgu, nieprawdaż? Jestem więc obłąkany!

— Nie jesteś obłąkany, a Maurice nie ma nic wspólnego z twoim uwięzieniem.

— Wolne żarty! — parsknął Timo.

Wykonał kilka nieskoordynowanych ruchów, rzucając kule na podłogę.

— Podaj mi kule! — wrzasnął.

— Mógłbyś powiedzieć „proszę". — Laurence zrobiła dwa kroki i podniosła kule.

Podawała mu je, mówiąc przy tym sucho:

— Mógłbyś być na tyle miły, żeby powiedzieć „proszę, podaj mi kule"!

Wyrwał je z jej ręki.

— A „dziękuję"? — nalegała Laurence. Furia Tima osiągnęła apogeum.

— Właśnie na to czekasz!!! — ryknął.

— Słucham?

— Tylko czekasz, żebym ci dziękował. „Dziękuję, kochanie, że pojechałaś po mnie do Szanghaju, że mnie tu przywiozłaś". I takie będzie całe moje życie! Będę musiał dziękować ci przez całe życie!

Laurence, nie spiesząc się, skończyła upinać włosy. Wygładziła fałdy sukni, przeszła przez pokój, żeby wziąć torebkę, i stanęła przed kochankiem.

— Nie żądam, żebyś okazywał mi wdzięczność. Nie żałuję niczego, co zrobiłam. Być może jednak zacznę wątpić, czy na to zasłużyłeś. Nie chcę, żebyś okazywał mi wdzięczność w jakikolwiek sposób. Oczekuję zaledwie elementarnej grzeczności.

Maurice Lemaire był zaskoczony, widząc zdenerwowanie Laurence. Ona zaś w swym rozdrażnieniu w ostrych słowach wyraziła zdziwienie z powodu jego zdziwienia.

— Chciałabym wiedzieć, gdzie ty masz głowę — gderiała. — Francja wypowiedziała wojnę, a ty się dziwisz, że się niepokoję! Nie wierzę własnym uszom.

— Francja jest daleko, moja droga. Trochę potrwa, nim Niemcy dojdą aż tutaj.

— Zgłupiałeś, czy to jakiś potworny egoizm?! — krzyknęła. — Myślę o cierpieniu Francji.

— Ten patriotyzm przynosi ci zaszczyt — powiedział Lemaire, a jego ironiczny ton pogorszył tylko humor żony.

— Francja to moja ojczyzna! Chciałabym przypomnieć ci, że w odróżnieniu od ciebie mam tam rodzinę, cztery siostry, wszystkie zamężne, a ich mężowie zostali zmobilizowani.

— Mobilizacja to jeszcze nie wojna... — próbował uspokoić ją Lemaire.

— Zostaw te bzdurne slogany panu Paulowi Reynaudowi — przerwała mu Laurence. — Niemcy zaatakowały Polskę, potem zaś zwrócą się przeciwko Francji. Jak to możliwe, żeby tak wysoko postawiony urzędnik jak ty powtarzał podobne głupstwa... Oczywiście, że mobilizacja oznacza wojnę!

Przez pierwsze miesiące po wypowiedzeniu wojny życie w Indochinach toczyło się zwykłym rytmem, choć niektórzy niepokoiли się o swoich krewnych w Europie.

Kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia Maurice Lemaire został wezwany do pałacu Norodom przez dyrektora

gabinetu nowego gubernatora Unii Indochińskiej, generała Catroux, który przedtem pełnił funkcję rezydenta w Maroku. Dawny oficer afrykańskiego kontyngentu francuskich wojsk kolonialnych oznajmił bez ogródek:

— Panie administratorze, generał Catroux postanowił zamknąć granice z Chinami.

— Nie do mnie należy wyrażanie opinii na ten temat — powiedział administrator. — Wie pan dobrze, jakie będą konsekwencje takiego posunięcia. Odtąd linia kolejowa Doumer przestanie być połączeniem z prowincją Yunnan. Amerykańska broń przywieziona do Hajfongu dla wojsk generała Czang Kaj-szeka nie będzie mogła dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Domyślam się, że w tym właśnie celu Japończycy wywarli na pana nacisk.

— Oczywiście. Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby odmówić mikadowi tej drobnej grzeczności... Niepokoi mnie co innego. Proszę mi opowiedzieć, jak wygląda sytuacja, jeśli chodzi o działania antyfrancuskie.

— Nacjoniści, intelektualiści „powracający z Francji”, którzy są aktywistami lub syndykalistami, wykazują dużą zręczność polityczną. Ich zdaniem Japończycy wkrótce rozpoczną okupację Indochin. W związku z tym zmniejszą się wpływy francuskie. Niemniej znają Japończyków i wiedzą, jaką pogardę mają oni dla innych narodów Azji, i boją się ich barbarzyństwa. Wietnamscy nacjoniści nie będą więc ich wspomagali.

— A więc nie podejmie pan żadnych działań skierowanych przeciwko nim?

— Dlaczego miałbym aresztować nacjonalistów? Skoro lojalnie opowiadają się za unią z Francją, czy można uważać ich za wywrotowców?

— Nie aresztuje pan nikogo?

— Uwaga kierowanych przeze mnie służb zwrócona jest na komunistów. Stwierdziliśmy, że w Tonkinie przebywa niejaki Ho Chi Minh, osobnik niezwykle niebezpieczny, którego doradcą jest Borodin z Kominternu. Wszystko wskazuje na to, że przed końcem roku będziemy mieli do czynienia z komunistycznym przewrotem. Przyszłość Indochin naznaczona jest piętnem przemocy.

Również przyszłość Tima zdawała się nie mieć wiele wspólnego z pogodzeniem się z losem i spokojem. Mało go obchodził uśmiech Buddy. Gdy przyjrzał się dobrze posążkom Buddy, które znalazł w swoim mieszkaniu — dawny lokator zostawił ich około setki — zauważył, że nie wszyscy Buddowie uśmiechają się jednakowo. Buddowie chińscy zdali mu się bardziej dwuznaczeni niż indyjscy, syjamscy lub khmerscy, którzy mieli spokojne oblicza, natomiast ci pierwsi uśmiechali się jakby z lekkim rozbawieniem, zadowoleni ze splatanego figla czy wyrządzonego psikusy.

Tak czy inaczej zarówno ironiczny na chińską modłę, jak i przepełniony spokojem w stylu khmerskim Budda i jego uśmiech oddalone były o tysiące kilometrów od stanu umysłu Tima. Pragnienie wyrównania rachunków z Maxence'em, a także byłem przyjacielem Hansem, zajmowały go teraz bez reszty i niewiele w tym było z buddyzmu. Dlatego wypowiedzenie wojny mogło pomieszać mu szyki. Przypuszczał, że teraz trudno będzie dostać się do Francji. Policja stała się nieufna i na pewno wnikliwie zweryfikuje jego tożsamość. Dysponował jedynie fałszywym paszportem wystawionym przez konsula Aubiego w Szanghaju, na nazwisko Luciena Lebigota. Ten dokument nie budził zaufania. Ponadto opatrzony był szanghajskim stemplem... Z całą pewnością posiadacz takiego paszportu natychmiast po przybyciu do kraju wyląduje za kratkami. Potrzebował więc innych dokumentów, wystawionych w Sajgo-nie i bardziej wiarygodnych. Był pewien, że nadejdzie dzień — może za rok, za dwa, ale nie więcej niż trzy lata — kiedy odzyska pełną władzę nad wszystkimi kończynami. Wówczas pojedzie do Francji, odnajdzie Maxence'a i go zabije. Nie

podjął jeszcze decyzji dotyczącej Hansa, ale z dnia na dzień, zaciskając z bólu zęby podczas wykonywania ćwiczeń rehabilitacyjnych, był coraz bliższy wniosku, że towarzysz z lat młodości, nieustraszony eksplorator dzielniczy Hal, poszukiwacz przygód z Sebasto, Hans, również zasłużył na karę.

W styczniu 1940 roku, a więc cztery miesiące po wypowiedzeniu wojny Francji, Japończycy wciąż nie pojawili się w Sajgonie. Okupowali tylko górną część Tonkinu, gdzie zdarzyło się kilka zbrojnych incydentów z udziałem wojsk kolonialnych, kontrolowali też yunnańską linię kolejową, wykorzystując ją do swoich celów, a więc do pokonania wojsk generała Czang Kaj-szeka.

Timo z wolna odzyskiwał władzę w rękach i nogach, choć prawa strona nadal nie była w pełni sprawna. Osiem dni wcześniej, w dzień Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, zamienił kule na laskę. Aby uczcić to wydarzenie, wsiadł do rikszy, która zawiozła go do Szolonu.

W Oddechu Smoka pan Cheng uściskał go tak mocno, że o mało nie zgruchotał na nowo kręgosłupa i wsunął mu do kieszeni marynarki Tima gruby zwitek dolarów — wart tym więcej, że podczas wojny cena zielonych banknotów znacznie wzrosła.

— To na poczet twoich przyszłych występów w Oddechu Smoka — powiedział i dodał: — Skoro już chodzisz, nie zapomnij odwiedzić grobu Yen-fu. Może zechcesz spalić na nim wotywnie pieniądze? To sprawia przyjemność zmarłym. — Cheng nie musiał mówić: „Spal banknot wotywny z wizerunkiem uśmiechniętego Buddy”. — W ten sposób uszczęśliwisz mojego kochanego Yen-fu.

Timo zrozumiał go, ale uśmiech Buddy, pokój, ukojenie... Miał co innego w głowie.

Pierwszym krokiem do osiągnięcia ostatecznego celu było zdobycie wiarygodnych fałszywych dokumentów i wymyślenie jakiegoś sposobu, żeby dostać się do Francji. Kiedy rozważył to zagadnienie, doszedł do wniosku, że istnieje tylko jedno zadowalające rozwiązanie: jedynie Maurice Lemaire może dostarczyć mu dobre fałszywe dokumenty. W tym celu należało na nowo nawiązać czułe stosunki z Laurence. Od trzeciego września Laurence nie pojawiła się przy ulicy Lormer, ale nie przywiązywał do tego wagi. Piękna i dumna Laurence Lemaire znów przyjdzie, wystarczy kiwnąć palcem. Musi tylko dowiedzieć się, że jest wzywana.

Gilbert Giu pojawił się na początku stycznia 1940, w samą porę, by pomóc Tomowi w realizacji jego morderczych planów.

— Opowiedziano mi o twoich przygodach w Szanghaju — powiedział Wietnamczyk. — Cóż za odyseja...

— A co u ciebie? — spytał Timo, uśmiechając się szeroko. — Jaki był twój los?

— Ja również znalazłem się w niewoli. Łódź, na którą nas zabrano, została doholowana przez piratów generała Lao Sana aż na wysokość Hue, gdzie nas porzucili. Dryfowaliśmy przez parę godzin i w końcu zgarnęli nas żołnierze Bao Dai.

— Jego Wysokości Bao Dai! — poprawił go Timo.

— Już nie używam określenia „Jego Wysokość”, gdy mowa o nim — odparł Gilbert. — Nie używam też słowa „cesarz”. Chyba że czasem wymknie mi się „cesarz kasyn"! Myślałem, że szczęście mi sprzyja, gdy prowadzono mnie do cesarskiego pałacu w Hue. Nie wpadłem przecież w ręce władz francuskich. Przypuszczałem, że Bao Dai nie może nie wiedzieć, jak zaangażowałem się w walkę po jego stronie. Myślałem, że zostanę przyjęty w wielkiej Sali Rady. Otóż nic podobnego! Kazał mnie zaniknąć w lochu, razem z bandytami i rozbójnikami. Jak zwykle przyszedł mi z pomocą nasz przyjaciel Cheng, dzięki któremu po dwóch miesiącach zostałem wypuszczony. Raz jeszcze potrafił przemówić językiem odwołującym się do rozsądku, dobrze znanym nawet Bao Dai.

— A więc zrezygnowałeś z walki politycznej? — spytał ostrożnie Timo.
— Nie. Dla mnie walka o niepodległość Wietnamu trwa nadal, jednak nie walczę już pod sztandarem nacjonalizmu. Nacjonałiści nie pragną równości ani zlikwidowania nędzy, chcą tylko zająć miejsce Francuzów. Wstąpiłem do partii komunistycznej.

Timo nie ukrywał zdziwienia.

— W tej chwili komuniści są prześladowani — mówił Gilbert z błyskiem w oku. — Służba bezpieczeństwa zamyka ich, więzi i torturuje. Mówiąc o moim przystąpieniu do partii komunistycznej, powierzam ci tajemnicę, której nie możesz nikomu zdradzić, bo naraziłbyś mnie na śmierć. Jestem pewien twojej prawości.

— Cheng o tym wie?

— Jasne, że nie! Wszyscy wiedzą, że Cheng jest wielkim przyjacielem administratora Lemaire'a. Kto wie, jakie przysługi wyświadczają sobie ci dwaj... Chociaż ty też utrzymujesz bliskie stosunki z małżonką administratora...

— Czyżby? — zdziwił się Timo.

— Nie udawaj niewiniątka, o tym wiedzą wszyscy.

— Wiesz, nie mam zwyczaju się nikomu zwierzać.

— Ach, tego się nie obawiam. Mam za to nadzieję, że chętnie słuchasz zwierzeń.

— Chciałbyś, żebym słuchał i przekazywał ci ich treść? No proszę, nie tracisz głowy! Widzę, że dobrze opanowałeś metody komunistów: liczy się skuteczność. Muszę cię rozczarować. Laurence, która rzeczywiście jest moją kochanką, nie ma dostępu do informacji, jakimi dysponuje jej mąż.

— Ale wystarczyłoby, żeby spróbowała się dowiedzieć...

— Może... nie wiem. Na razie nie ma sprawy, ponieważ się z nią pokłóciłem. Nasze przyjacielskie stosunki zostały zerwane.

— To bez sensu — mruknął Gilbert.

— Zgadza się z twoją opinią, drogi towarzyszu, życie jest zbyt krótkie, by pozbawiać się obecności tych, których darzymy

uczuciem. Napiszę więc do Laurence list, oczywiście miłosny. Ponieważ nie odzyskałem w pełni władzy w prawej ręce, pomożesz mi w tym. Przyda się twój piękny charakter pisma annamickiego intelektualisty. Liczysz na moje milczenie co do twojej działalności politycznej? Ja za to oczekuję od ciebie dyskrecji co do treści listu. Sam rozumiesz, że zakochany mężczyzna nie lubi, gdy wszem wobec rozpowiada się o jego uczuciach. Czułby się wówczas, jakby widział wędną różę. Wietnamczyk popatrzył na Tima z niedowierzaniem. Nie wiedział, czy mówi poważnie, czy też bezczelnie wyśmiewa się z tanich romansów tak lubianych przez Wietnamki. „Jakby widział wędną różę"! Nie mógł się w tym połapać.

Rozdział 32

Dobre nowiny bywają złudne. Za ich odświętnym wyglądem kryją się potwory, zamki z kart, które burzy pierwszy podmuch wiatru. Laurence obdarzona była sercem czułym i prostolinijnym. Uwierzyła, że list Tima jest szczery.

Moja Ukochana, czemu mnie porzuciłaś? Zapewne nie miałem racji, przemawiając tak ostro. Z powodu kalectwa przepelnia mnie złość. Jeśli trzeba błagać Cię o przebaczenie, padam na kolana, depczę moją dumę. Moja bezwstydna Laurence, kiedy znów Cię zobaczę, pytam siebie ze smutkiem.

Minęła wiosna, a lato... lato było zbyt krótkie.

Laurence rozplakała się, czytając ten list. Poczowała przyływ czułości, miłosne uniesienie. Timo posłużył się groźną bronią, i to w dodatku o podwójnej sile rażenia: z początku jej serce przepelniała radość na myśl, że kochanek o niej pamięta, że cierpi z powodu ich rozstania, a ona przecież znosiła niewypowiedziane męki, nie mogąc go widywać. Gdy uporowała się z tymi uczuciami, pojawił się podziw pisarki.

Zdumiona ostatnimi dwoma zdaniem listu, Laurence złożyła broń. Jako istota o czystym sercu, duszy przepelnionej miłością, nie była w stanie wyobrazić sobie, jak niskimi pobudkami kierował się Timo. Całymi dniami zastanawiał się, co powinno

być w tym liściku. Uważał, że ma wszelkie szanse powodzenia: zakochana kobieta, mówił sobie, nie przestaje być zakochana z dnia na dzień, ani nawet po trzech miesiącach. Złapie się więc na haczyk i czym prędzej wróci. Mimo wszystko ostrożnie, strofował samego siebie, wystarczy jeden błąd, niezręczne sformułowanie i rybka może się urwać z wędki. Trzeba więc działać przezornie i zręcznie...

Pewnego dnia doznał objawienia. W jego umyśle zajaśniało błyskotliwe rozwiązanie. Otwierając jedną z szuflad intarsjowanej komody w japońskim stylu, znalazł dwa zdjęcia, pozostawione tu całe dziesięciolecia temu przez byłego lokatora. Na jednym z nich uwieczniony został sam marynarz-literat, przebrany za gejszę, z makijażem i minoderyjnym spojrzeniem. Na odwrocie zdjęcia napisał dużymi literami:

Na cóż ci, niedoskonała kurtyzano, To, żeś nigdy nie poznała Tego, co martwi oplakują.

Drugie zdjęcie przedstawiało poetę odzianego w biały mundur kapitana fregaty, w towarzystwie urodziwego majtka w berecie z pomponem. Na odwrocie twórca zamieścił następujący wierszyk:

Czemu mnie porzuciłeś, bezwstydney Eugeniuszu? Kiedy znów cię zobaczę?, pytam siebie ze smutkiem. Minęła wiosna, a lato... lato było zbyt krótkie.

Timo zrozumiał, że ma przed oczami formułkę, którą wyśle Laurence: „Moja bezwstydna Laurence, kiedy znów Cię zobaczę, pytam siebie ze smutkiem. Minęła wiosna, a lato... lato było zbyt krótkie”. Jeżeli to nie zadziała i Laurence nie ulegnie jego poetyczności, sprawa jest beznadziejna. Zastąpił „bezwstydnego Eugeniusza” „bezwstydną Laurence” — było to może trochę naciągane, ale w końcu, czemu nie? Potrzebował

Laurence choćby za cenę przypisania sobie autorstwa tych linijek, a więc plagiatu, czyli haniebnego oszustwa.

Zgodnie z przewidywaniami Tima Laurence Lemaire udała się do byłej garsoniery dawnego oficera marynarki. Jej miłość nie straciła nic na intensywności, wprost przeciwnie. Kiedy w jej oczach stał się poeta, czułe przywiązanie do niego było teraz już nie gorące, a wręcz płomienne. — Nigdy już się nie rozstaniemy — powiedziała. — Przysięgnijmy, że nigdy więcej nie będziemy się kłócili.

— W rzeczy samej, to zbyt głupie — przyznał Timo. — Obiecuję ci, że więcej nie będę doprowadzał do awantur między nami. — Po raz pierwszy poczuł się trochę niezręcznie, gdy dorzucił: — Chcę, żebyśmy byli szczęśliwi.

Podniesiona na duchu i uszczęśliwiona Laurence, mając umysł wolny od trosk, wróciła do pisania powieści. Jej bohaterowie obrazili się zapewne nieco za to, że porzuciła ich na tak długo, i jakby niechętnie pojawiali się na kolejnych stronach, lecz powiew twórczego wichru sprawił, że praca ruszyła wkrótce pełną parą.

Aby podolać pisarskim obowiązkom, Laurence spotykała się z kochankiem tylko późnymi popołudniami i opuszczała go, gdy annamiccy pracownicy Towarzystwa Gazowego zapalali latarnie na ulicy Catinat. Starła się poskromić namiętność swojego kochanka. „Musisz dbać o zdrowie” — mówiła.

Ta troska była dla Tima korzystna pod dwoma względami. Z jednej strony, perspektywa ciągłych czułych zbliżeń z Laurence budziła w nim umiarkowany entuzjizm, z drugiej zaś oszczędzał siły i mógł dzięki temu aż do świtu w swoim szolońskim apartamencie zaspokajać dwie piętnastoletnie żonglerek z Mandżurii, występujące w Oddechu Smoka — Lin-hao oraz Chao-sin.

Jednak najważniejsza sprawa nie posunęła się do przodu ani o krok. Jak wybrać się do odległej Francji, skoro jego prawa

ręka wciąż była bezwładna? Jak posłużyć się rewolwerem? Używając lewej ręki? Wciąż o tym myślał. Żądza zemsty, która umożliwiła mu staniecie na nogi, trawiła go niczym płomień.

Każdego dnia Timo odsuwał na później chwilę, gdy odkryje karty. Będzie wtedy musiał, jak gdyby nigdy nic, przedstawić Laurence powód, dla którego doprowadził do jej powrotu. „Laurence, bądź tak miła, poproś męża o fałszywe dokumenty dla mnie. Będę też potrzebował broni i punktu zaczepienia we Francji. Jest wojna, więc może być trudno...”. Jeśli tak to ujmie, plan będzie z góry skazany na niepowodzenie. Oczywiście, że zakochana kobieta zrobi wiele, żeby sprawić przyjemność kochankowi. Z miłości do niego może skłócić się z całym światem, zrujnować się, porzucić życie w dostatku i skazać się na nędzę... Jednak prośba, którą zamierzał przedstawić kochance, była zgoła innej natury. Laurence nigdy nie pozwoli mu odejść, a już szczególnie po to, by podjął ryzykowną podróż do Francji, w dodatku w celu popełnienia zbrodni... Musiałby jej opowiedzieć wszystko o swoich sprawach. A wówczas administrator Lemaire byłby niezmiernie zdumiony...

Często nieszczęśliwe wydarzenia powodują, że inne sprawy układają się pomyślnie. Timo zorientował się wkrótce, że dramatyczne wydarzenia rozgrywające się we Francji mogą pomóc w rozwiązaniu jego problemów.

Był początek czerwca 1940 roku. Tydzień wcześniej do Sajgonu dotarła wieść, że armia francuska została zmuszona do odwrotu w Ardenach. Rząd uciekł z Paryża do Bordeaux, wszystkie drogi pełne były uchodźców, wędrujących tłumnie nieszczęśników, narażonych na ataki pikujących sztukasów. Koloniści mieli zatroskane miny. Wśród białych mieszkających w Unii Indochińskiej niewiele było takich, którzy nie mieliby krewnych we Francji. Laurence zastanawiała się, czy czołgi Guderiana nie dojdą aż do Saint-Ló, i obawiała się, że wkrótce dostanie wiadomość, iż któraś z jej sióstr została wdową.

Timo nie miał się o kogo niepokoić. Martwiło go jednak, że obecność Niemców, zwłaszcza w Paryżu, może dodatkowo utrudnić realizację jego planów.

Administrator Lemaire również nie miał żadnej rodziny we Francji, o której los musiałby się martwić. Niemniej klęska poniesiona przez francuską armię bardzo go zaniepokoiła. Był pewien, że wietnamscy wichrzyciele skorzystają z okazji, by rozpocząć działania wywrotowe, więc ze zdwojoną energią zaczął ścigać komunistów. Z powodzeniem: setki przesłuchań w ponurych i zakurzonych biurach służb bezpieczeństwa wykazały, że wkrótce w Tonkinie wybuchnie powstanie. Zanosilo się na to i w delcie Mekongu, i może nawet w Sajgonie i Szolonie, i to jeszcze przed końcem 1940 roku.

Timo zdziwił się, słysząc łomot do drzwi o tak wczesnej porze. Spojrzał na zegarek: siódma. Wstał, włożył kimono, a następnie, podpierając się laską, skierował się do drzwi wejściowych.

Gdy je otworzył, przetarł oczy. Ktoś pukał, a nie zobaczył żywej duszy. Jego spojrzenie przyciągnął sporych rozmiarów dziwny podłużny kształt leżący na trawniku. Serce zaczęło bić mocniej w jego piersi, podszedł bliżej. Przedmiot zawinięty był w gazety. Nagle wzdrygnął się, ponieważ zrozumiał, że ma kształt ludzkiej postaci; spod papieru wystawała para skórzanych sandałów. Poczul w żołądku ucisk strachu. Ktoś zapukał do jego drzwi, żeby dać mu znać, iż w jego ogrodzie podrzuciono trupa. Nagle przeniknął go poranny chłód, zaczął drżeć.

Podszedł do zwłok na tyle blisko, żeby móc ich dotknąć, i końcem laski odsunął gazety. Ogarnęła go zgroza. Twarz w niczym nie przypominała ludzkiej twarzy. Była to raczej kula z ziejącymi otworami — dwoma w miejscu oczu, jednym tam, gdzie kiedyś był nos i jednym zamiast ust — w każdym z nich roily się robaki, pijawki i małe kraby. Dlaczego podrzuciono te zwłoki, przesiąknięte wodą, właśnie w jego ogrodzie? Poranny wiatr uniośl papier owijający szyję, na której zawieszono cienki sznureczek. Przyczepiona była do niego całkiem sucha kartka. Napisano na niej czarnym atramentem:

Gilbert Gui. Zdrajca na usługach Francuzów. Szpieg.

Cheng przybył do garsoniery Tima koło dziesiątej rano. Na ulicy Lerner panował zwykły ruch — riksze, samochody i tłum rowerzystów.

— Rikszarz, za pośrednictwem którego przekazałeś wiadomość, dotarł do mnie zaledwie pół godziny temu — wyjaśnił. — Byłem w ogrodzie. To potworne, wstrętne. Biedny Gilbert.

Cheng przechadzał się w tę i z powrotem po salonie. Nie mógł dojść do siebie po okropnym widoku okaleczonego ciała wietnamskiego przyjaciela. Nagle zatrzymał się przed Timem.

— Podziwiam twoją zimną krew. Widziałem w życiu wiele strasznych rzeczy, ale to... Tymczasem ty...

— Ja przeżyłem szok dwie godziny temu — odpowiedział Timo spokojnie. — Miałem czas, żeby ochłonąć.

— Jeżeli o mnie chodzi, nieprędko o tym zapomnę. Biedny Gilbert, biedny chłopak...

— Domyśla się pan, kim są mordercy? Cheng popatrzył na Tima z niedowierzaniem.

— Co się z tobą dzieje? Upadłeś na głowę, mój drogi? Wytłumacz mi, czy to było pytanie, czy prowokacja? — Chińczyk uderzył się dłonią w czoło.

— Czy domyślam się, kim mogą być mordercy? Jak można być do tego stopnia nieświadomym tego, co dzieje się teraz w Indochinach? Słyszałeś kiedyś o komunistach? — Opanował się. — Po drodze wstąpiłem do siedziby służby bezpieczeństwa. Zostawiłem wiadomość dla mojego przyjaciela Lemaire'a. Wkrótce tu będzie.

W rzeczy samej, administrator specjalny pojawił się na

miejscu godzinę później. Nim to nastąpiło, Timo dokonał dziwnego spostrzeżenia: obie Chinki zajmujące się gospodarstwem, wychodząc z pracy, przeszły przez ogród. Wietnamski kucharz również kilka razy minął trupa. Tak więc wiadomość

O okropnym znalezisku musiała rozejść się po okolicznych domach, a tymczasem nikt nie przyszedł go oglądać. Czyżby Wietnamczycy byli tak taktowni i dyskretni, a może obojętni? Timo podejrzewał, że przyczyną tego było zupełnie co innego... Strach.

Chociaż Maurice Lemaire ubierał się elegancko, a nawet w sposób dość wyszukany, jego pulchne kształty, siwy wąsik na krągłej twarzy i pozbawiona włosów czaszka nadawały mu wygląd urzędnika rodem z fars Courteline'a. Za to jego spojrzenie było twarde i bezlitosne.

Wszedł do ogrodu sam, a czarną półciężarówkę, którą przyjechał, zaparkował przy krawężniku. Pochylił się nad umęczonym ciałem i przyglądał mu się przez kilka chwil, po czym szybkim krokiem przemierzył zwirowaną alejkę i wszedł do domu.

Powitał Chenga serdecznym uściskiem dłoni.

— Dzięki za wiadomość, drogi przyjacielu...

Zwrócił się do Tima, patrząc na niego groźnie, z pogardliwie wykrzywionymi ustami.

— Domyślam się, że jest pan mieszkańcem tego domu. Nazwisko?

— Lucien Lebigot — odpowiedział Timo spokojnie.

— Proszę pokazać mi swoje dokumenty...

Timo, trochę zaskoczony, podpierając się laską, pokuśtykał do intarsjowanej komody, otworzył szufladę i wrócił z paszportem, który podał Lemaire'owi. Administrator przekartkował dokument.

— Wystawiony w Szanghaju... Dobrze. Zna pan człowieka, którego zwłoki leżą w ogrodzie?

— Tak. O ile to rzeczywiście Gilbert...

— Zabójcy paskudnie go urządzili — stwierdził Lemaire tonem, w którym nie było cienia współczucia. — I zostawili swój podpis. Dawny nacjonalista Gilbert przyłączył się do komunistów. A komuniści przede wszystkim wykańczają nacjonalistów. Proszę mnie nie pytać dlaczego. Sposób myślenia azjatyckich marksistów jest dla mnie nieprzenikniony.

Czy dysponuje pan jakimiś informacjami, które mogłyby mnie zainteresować?

— Nie.

— Gdyby przyszło panu coś do głowy, proszę się ze mną skontaktować. Jestem administrator Lemaire. Proszę nie przychodzić do biura służby bezpieczeństwa, w tej chwili panuje tam spory tłok. Proszę zwrócić się do mnie za pośrednictwem Chenga, a ja przyjadę do pana.

W ciągu następnych tygodni umysł Tima był znacznie mniej zaprzątnięty przerażającym losem, jaki spotkał nieszczęsnego Gilberta niż kontaktem nawiązanym z administratorem Le-maire'em. Miał więc już sposób, żeby się z nim spotkać. Na wszelki wypadek manewr osaczający rozpoczął od rozmowy z Laurence.

— Jestem wstrząśnięty potwornym morderstwem, którego ofiarą padł mój przyjaciel Gilbert — powiedział. — Nie ma wątpliwości, że ten potworny czyn ma na celu zastraszenie mnie.

— Nie rozumiem — zdziwiła się Laurence — przecież spór między wietnamskimi nacjonalistami i komunistami nie dotyczy cię pod żadnym względem.

— Twoja naiwność doprowadza mnie do rozpacz, moja biedna Laurence. Myślisz, że ciało Gilberta znalazło się w moim ogrodzie przypadkiem? Stało się tak dlatego, że jestem podejrzany o współpracę z francuską policją.

— Naprawdę tak ci się wydaje? Tak? To znaczy, że zwariowałeś!

— Potrzebuję broni, rozumiesz? — mówił dalej Timo, nie zwracając uwagi na słowa kochanki. — Potrzebna mi jest do obrony przed tymi zbrodniarzami komunistami.

— Powinieneś poprosić mojego męża... — powiedziała rozbawiona Laurence.

Timo zmierzył ją groźnym spojrzeniem.

— Teraz ja cię spytam, czy mówisz poważnie? Nie zapomniałem jeszcze, że to Lemaire, twój mąż i zdeprawowany gliniarz, był inicjatorem mojego aresztowania. Zostałem zatrzymany przez dwóch ludzi należących do jego służb. Trudno by mi było prosić o rewolwer człowieka, który posłał mnie do obozu karnego.

— Ten zdeprawowany gliniarz, jak go określasz — odpowiedziała Laurence — nie jest w najmniejszym stopniu odpowiedzialny za twoje aresztowanie. Wręcz przeciwnie... — Zawiesiła na chwilę głos, żeby dodać wagi słowom. — Wręcz przeciwnie, to właśnie on zorganizował twoją ucieczkę z obozu.

— Chyba żartujesz? — Timo zaśmiał się gorzko.

— Wcale nie. Znam tę sprawę w najdrobniejszych szczegółach. Wiem na przykład, że trzeba było wyeliminować pewnego więźnia imieniem Pham, z którym zamierzałeś uciec, i zastąpić go Gilbertem, uważanym za znacznie pewniejszego. Może zainteresuje cię fakt, że łódź, na którą natrafiliście, wcale nie znalazła się tam przypadkiem i należała do pana Chenga?

Zaskoczony Timo, dla którego te wiadomości były gromem z jasnego nieba, opadł na fotel.

— Masz jakieś dowody na to, o czym mówisz?

— Jakie to ma znaczenie? Nie myśl już o przeszłości i przestań wyobrażać sobie, że cały świat chce cię skrzywdzić. Masz w sobie tyle żalu, gniewu, nienawiści, nie wiem czego jeszcze... Musisz odnaleźć wewnętrzny spokój.

— Tylko nie wyciągaj mi znów tego twojego pulchniutkiego Buddy z jego głupim uśmiechem...

— Masz nerwy napięte jak postronki, ukochany... Potrzebujesz jakiegoś zajęcia. Dlaczego nie wrócisz do zawodu magika?

— Do tego potrzebne są dwie ręce.

— A poezja? Pamiętam jeszcze list, który od ciebie dostałam: „Moja bezwstydną Laurence, kiedy znów cię zobaczę, pytam siebie ze smutkiem. Minęła wiosna, a lato... lato było zbyt krótkie”. Tylko

prawdziwy poeta potrafi napisać coś tak ładnego. Mówisz, że potrzebne są ci dwie ręce, ale poeta niczego nie potrzebuje.

— A mnie jednak czegoś brak.

Gdzie się podział francuski rząd?, zastanawiał się Lemaire. Władza wykonawcza opuściła Bordeaux i za swą siedzibę obrała Vichy.

Marszałek Pétain spotkał się z Hitlerem w Mon-toire, a François Darlan, jeden z pięćdziesięciu czterech admirałów francuskiej marynarki, twierdził, że jeńcy wojenni przebywający w Niemczech wkrótce wrócą do domów.

W Indochinach komuniści metodycznie mordowali nacjonalistów.

Każdego tygodnia, każdego dnia natrafiano na zwłoki któregoś z nich, umęczonego w wyrafinowany sposób albo siedzącego w porzuconej rikszy, gdzieś przy ulicy Catinat, z kulą w głowie.

— To przecież nie jest odpowiednia chwila — powiedział tylko administrator Lemaire, kiedy gubernator Unii Indochińskiej, generał Catroux we własnej osobie, oznajmił mu, że właśnie został odwołany przez rząd Vichy.

— Co panu zarzucają? — zapytał.

— Oficjalnie mają mi za złe zamknięcie granicy z Chinami, co spowodowało odcięcie dostaw broni dla armii Czang Kaj-szeka.

— Bzdury! — prychnął Lemaire. — W rzeczywistości podejrzewają, że jest pan zwolennikiem de Gaulle'a.

— Oczywiście. Od razu został wyznaczony mój następca. Jest nim szef sztabu marynarki dalekowschodniej, admirał Jean Decoux. Może mi pan wierzyć, że w tym wypadku nie ma najmniejszego ryzyka gaullistowskich sympatii. Trudno o większego obrońcę zasad moralnych.

— Komuniści wykorzystają osłabienie Francji, a admirał Decoux każe nam pokutować za grzechy. Zapach kadzidła zamiast oparów opium. W nocy z 22 na 23 listopada 1940 roku wybuchło w Kochin-chinie, wśród pól ryżowych i wysokich traw delty, powstanie komunistyczne, potwierdzając w ten sposób przewidywania administratora Lemaire'a. Służby bezpieczeństwa, którymi dowodził, nie były więc zaskoczone. Rozpracowano już trzysta komunistycznych komórek, aresztowano pięciuset działaczy, w tej liczbie także kilku nacjonalistów, zakazano publikacji czterestu dzienników — nie tylko komunistycznych, ale też antyfrancuskich. Kiedy po raz pierwszy w Indochinach na pagodach i budynkach publicznych pojawiły się czerwone sztandary ze złotą gwiazdą, kolonialiści wraz z wojskiem i administratorem Lemaire'em na czele, zdążyli już przejść do kontrataku.

Z początku Timo nie interesował się rebelią, która szalała w wioskach delty Mekongu. Myśl o zemście nie była już drążącą go od wewnątrz chorobą. Stała się teraz jakby więzieniem, w którym stale przebywał. Pewnego wieczoru zauważył daleko na południu czerwieniącą na niebie łunę. Pomyślał, że gdzieś w delcie wybuchł duży pożar. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mogło się to wiązać z działaniami wojennymi. Kilka dni później, nieco po północy, gdy wkładał klucz do zamka drzwi mieszkania przy ulicy Lorner, przeraził go huk potężnych detonacji. Wybuchła właśnie manufaktura pirotechniczna w Szolonie, pełna petard przygotowanych na zbliżające się święto *Tet*. Pogratił sobie, że nie został aż do rana ze swymi dwiema kochankami, żonglerkami z Mandżurii.

Laurence była zdziwiona, a czasem urażona zachowaniem Tima. Oburzała ją obojętność ukochanego wobec tragicznych wypadków.

— Jak to możliwe, że tak zupełnie nie obchodzi cię, co się dzieje? Zrujnowana Francja, która poniosła tak straszliwą klęskę, musi stawić czoło w Kochinchinie komunistycznemu powstaniu, pierwszemu w historii, które wybuchło na terenie kolonii, a ty nic! Kto wie, czy to nie pierwsze oznaki zapowiadające upadek francuskiego imperium... Czy chociaż trochę interesuje cię to, co mówię?

— Oczywiście, kochanie...

— Nie. Ciebie nie interesuje to, co mówię, tak samo jak nie interesujesz się mną. Istnieje jednak coś, co przyciąga twoją uwagę, co wyłącza cię z otoczenia, dręczy cię, a nas rozdziela. Może kiedyś dowiem się, kim jest moja rywalka.

— Ależ nie masz żadnej rywalki...

— Och, nie mam na myśli kobiety. Moją rywalką jest obsesja, którą pielęgnujesz i która przeszkadza ci mnie kochać.

— Żadna obsesja nie przeszkadza mi cię kochać, bo kocham cię do szaleństwa!

— No jasne! Zapomniałam...

Pod koniec grudnia 1940 roku nikt nie wątpił, że organizatorzy pierwszego komunistycznego powstania w Kochinchinie poniosą dotkliwą klęskę. Liczba ofiar w szeregach powstańców sięgała setek, po drugiej zaś stronie zginęło tylko około trzydziestu notabli i urzędników tubylczego pochodzenia, „sługusów administracji kolonialnej”.

Biali odetchnęli z ulgą. Żaden z nich nie zginął podczas komunistycznej rebelii, której uczestników uznano za „zwykłych bandytów”. Zaczęto znów odwiedzać lokale w dzielnicy Norodom — Continental — Catinat i sączyć aperitify.

Od czasu do czasu, kiedy zaniepokojona opóźnieniem w pracach nad książką Laurence postanawiała zaprzestać na parę dni wizyt, Timo urządzał sobie małą eskapadę do Continentalu. I ubił dyskretną elegancję tego miejsca, z kelnerami w białych marynarkach ozdobionych złotymi epoletami, którzy potrzęsali

shakerami niczym marakasami. Puszyste dywany, wysokie stołki przy barze — wszystko to przypominało atmosferę wielkich hoteli europejskich, dając schronienie przed azjatycką egzotyką.

— Słyszał pan najnowszą wiadomość? — spytał go Georges, szef barmanów, który od czterdziestu lat walczył z malarią za pomocą koniaku z wodą sodową i nosił na twarzy ślady tej bezlitosnej walki.

— Wiadomość? — powtórzył Timo, siadając na jednym ze stołków. — Niech zgadnę... Admirał Decoux postanowił zamienić biały mundur na kimono samuraja...

— Niestety, to nie pora na żarty — powiedział barman. — Dzisiejsza gazeta potwierdza pogłoskę o tym, że trzy dni temu w delcie, w pobliżu My Tho, wymordowano całą rodzinę Francuzów.

Podał Timowi wymięty egzemplarz „Quotidien de la Colonie”.

Zaciekawiony Timo wziął gazetę i ją rozłożył. Barman zaniepokoił się, widząc nagłą zmianę na jego twarzy.

— Nie czuje się pan dobrze? Rozumiem, to okropne. Cztery osoby zamordowane, w tym dwoje dzieci, jedno miało dwa i pół roku, drugie sześć... Wyobraża pan sobie?

— Rodzina Orsinich... — szepnął Timo, wstrząśnięty tą straszną wiadomością.

— Tak — potwierdził Georges, zaciekawiony. — Znał ich pan?

— Znałem — odpowiedział Timo głucho.

— Ale przecież nie poznał ich pan na Poulo Condore?

— Nie. To stara historia...

— Głowa rodziny, Antoine Orsini, był swego czasu strażnikiem w obozie. Kiedy przeszedł na emeryturę, żona nie chciała wracać do Francji. Mieli trochę oszczędności i kupili gospodarstwo pięćdziesiąt kilometrów na południe od Sajgonu.

— Pani Orsini była dobrą kobietą.

— A więc naprawdę ich pan znał... Timo złożył gazetę i położył ją na barze.

— Wolę nie wiedzieć, co z nimi zrobiono.

— Ma pan rację — pokiwał głową barman. — Między nami mówiąc, co komu przyjdzie z tego, że się dowie, iż matka i dziecko zostali przebici jednym uderzeniem bagnetu.

Timo wstał. Był blady jak płótno. Georges zdziwił się, widząc, jak wychodzi bez słowa z baru.

— Niczego pan nie zamówił — zauważył. — Może chce się pan czegoś napić?

Nie odwracając się, i podnosząc lewą rękę zamiast pozdrowienia, młody mężczyzna powiedział:

— Potrzeba mi tylko powietrza... Chcę tylko odetchnąć świeżym powietrzem!

Rozdział 33

— Pan Cheng przekazał mi, że ma pan interesujące informacje — powiedział Lemaire pogodnie. — Zgodnie z obietnicą, przybywam do pana domu, ale mój czas jest cenny, panie Lebigot. Nawiasem mówiąc, czy Lebigot to pana prawdziwe nazwisko?

— Nie. Przyjechałem do Sajgonu w listopadzie tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku z paszportem na nazwisko Timothee Lamy.

— I Lamy również nie jest pana prawdziwym nazwiskiem?

— Nie — powiedział Timo spokojnie. — Nazywam się Auber, Timo Auber.

Administrator specjalny, który dotąd przechadzał się wolno po orientalnym salonie apartamentu przy ulicy Lerner oświetlonym słońcem późnego poranka, usiadł na drewnianym fotelu. Położył teczkę z brązowej skóry na niskim stoliku i rozpostarł ramiona w geście zadowolenia.

— Właśnie zyskał pan u mnie punkt. Czułbym się urażony, gdyby nadal ukrywał pan przede mną prawdę. Pomyślałbym wówczas, że uważa mnie pan za głupca.

— Co to, to nie — powiedział zimno Timo.

— Nie, nie ma mnie pan za głupca — przyznał Lemaire — raczej ma mnie pan za nic. Nie mieliśmy dotąd szczęścia, choć to nie jest najodpowiedniejsze słowo, porozmawiać ze sobą,

ale mam wrażenie, że znam pana całkiem dobrze. Uważam pana za osobnika godnego pogardy. Zaczniemy jednak od początku. Dlaczego tu przyszedłem. Jest pan ponoć w posiadaniu informacji, które mogą być przydatne moim służbom... Moim zdaniem, nie dysponuje pan niczym podobnym. Czy się mylę?

— Dobrze znałem Gilberta i rodzinę Orsinich, wszyscy zostali zamordowani. Mam więc powody przypuszczać, że grozi mi niebezpieczeństwo.

— I powody, żeby mi o tym powiedzieć — uzupełnił Lemaire. — Bzdury... Pana życiu nic nie zagraża i wie pan o tym bardzo dobrze. Gilbert został zamordowany, ponieważ komuniści podejrzewali, że jest jednym z moich informatorów. Jeśli chodzi o rodzinę Orsinich, to po prostu padli ofiarą rabusiów. Jeżeli wydaje się panu, że wichrzyciele mordują ludzi, z którymi coś pana łączyło, na przykład po to, żeby pana zastraszyć, byłby to przejaw paranoi. Lemaire wlepił w Tima brązowe oczka.

— Chodzi panu po głowie pewna dziwna myśl, mój drogi, tak dziwna, że zajmuje pana bez reszty. To się nazywa *idée fixe* albo inaczej obsesja. Zdaje mi się, że lekarze używają określenia „mania”. Krótko mówiąc, chodzi o zemstę.

Timo musiał zmobilizować wszystkie siły, by zachować kamienną twarz. Nie wiedząc, co powiedzieć, udał zdziwienie.

— Ma pan bujną wyobraźnię, panie administratorze, powinien pan pisać powieści, tak jak pańska szanowna małżonka.

Maurice Lemaire poczerwieniał na twarzy, a jego policzki wydeły się niczym u rozwścieczonego indyka.

— Nie mieszaj pan do tego Laurence, bardzo proszę. — Rozpiął kołnierzyk koszuli, poluzował krawat i odetchnął głęboko. — Tak, żądza zemsty, bezlitosna, zimna nienawiść... Utrzymuje pan, że w Wietnamie grozi panu niebezpieczeństwo i dlatego chce pan uciec do Francji i dostać broń. Czy dobrze zrozumiałem?

— Pana wnioski dowodzą wielkiej przenikliwości.

— I wyobraża pan sobie, że przełknę taką bzdurną bajeczkę? Powiedzieć panu prawdę? Oto ona: chce pan pojechać do Paryża, żeby zastrzelić Maxence'a Ruffauda.

Timo otworzył usta ze zdumienia. Próbował wybełkotać coś w rodzaju „pierwsze słyszę”, co nie zabrzmiało przekonująco, zresztą Lemaire nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Administrator pochylił się w stronę stolika, sięgając po skórzaną teczkę. Wyjął z niej czerwoną kartonową aktówkę zawiązaną tasiemką i rozwiązawszy ją, wyciągnął fotografię.

— Proszę popatrzeć — powiedział. Timo przyjrzał się zdjęciu.

— Czy to bankiet „dwustu rodzin”? — spytał.

— Prawie. To zdjęcie zostało zrobione w październiku tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, w pewnym wielkim hotelu w Clermont-Ferrand. Pan Michelin zaprosił swoich przyjaciół, potentatów przemysłowych, aby zmobilizować ich do świętej wojny przeciwko Frontowi Ludowemu. Oprócz organizatora tej niewinnej potańcówki, rozpozna pan zapewne słynnego Schullera, właściciela perfumerii, surowego pana Lessieura od produktów spożywczych, i otoczonego białym kółeczkiem, pańskiego przyrodniego brata, Maxence'a Ruffauda!

— Mogę mu tylko powinszować doskonałych znajomości.

— Widzi pan, ja uważam, że jego znajomości są raczej podejrzane.

Proszę popatrzeć na tę wysoką postać na drugim planie, w głębi sali.

Nazywa się Eugene Deloncle. Oczywiście to nazwisko nic panu nie mówi. Nic dziwnego, ponieważ nie interesuje się pan światem zewnętrznym, nie wie pan o niczym. A więc powiem panu, że Eugene Deloncle jest jednym z przywódców tajnej organizacji skrajnej prawicy, noszącej nazwę La Cagoule ⁵. Zdjęcie, które trzyma pan w rękach, zostało zrobione podczas bankietu urządzonego na rzecz sfinansowania tej przestępczej organizacji przez szefów wielkich przedsiębiorstw.

— Pierwszy raz widzę Maxence'a Ruffauda — powiedział Timo.

— To zdjęcie nie jest zbyt wyraźne. Chwileczkę... Z teczki wyjął gazetę, którą rozłożył przed sobą.

⁵ *cagoule* (franc.) — habit, maska

— „La Gerbe”⁶. Rzecz jasna, tytuł tego tygodnika niewiele panu mówi. Informuję więc pana, że po klęsce francuskiej armii marszałek Pétain podpisał haniebny rozejm i natychmiast powołał do życia kolaboracyjny reżim. „La Gerbe” jest podłym szmatławcem, który wynosi pod niebiosa marszałka Pétaina, wychwala niemieckie zwycięstwa, głosi wizje nowej Europy i nienawiść do Żydów.

Podał gazetę Timowi.

— Proszę przyrzeć się tej fotografii po prawej stronie, szerokiej na trzy szpalty. U góry znajduje się tytuł *Utworzenie w Paryżu Jeunes de la Francisque*. Proszę przyrzeć się dobrze trzem osobom, które uśmiechają się do nas ze zdjęcia. Najpierw ten najmłodszy, z opaską na ramieniu ze znakiem przypominającym topór, ściślej mówiąc, obosieczny topór frankoński, *la francisque*. Ta twarz nie jest panu znana?

Timo nie mógł ukryć zdumienia.

— Ależ tak, nie ma mowy o pomyłce! — potwierdził Lemaire. — Ten młody człowiek z *francisque*, przedstawiony tu jako przywódca tej partii francuskich nazistów, nazwanej Bojownikami o Europę Jutra, to nikt inny, jak Anselme Du-reuil, pana przyjaciel z lat dziecińczych.

Najciekawsze zaś jest to, co może pan potwierdzić, że już w młodości, już wtedy, gdy był pana współnikiem w grze w trzy karty, kazał się nazywać Hans, a nie Anselme. Przykład wcześniej ujawnionej germanofilii.

Timo podniósł zdziwione spojrzenie na administratora. Lemaire uprzedził jego pytanie.

— Skąd wiem o tym wszystkim? Powiedzmy, że mój zawód polega na tym, żeby wiedzieć to, o czym nie wiedzą inni...

* *gerbe* (franc.) — snop, wiązka, garść

⁶ *cagoule* (franc.) — habit, maska

Prawdę mówiąc, zacząłem od trzeciej osoby na tej fotografii, tej, która stoi po prawej stronie pańskiego przyrodniego brata Maxence'a, od człowieka, na którego nie zwróciłbym uwagi, gdyby nie pan.

Timo przeczytał na głos podpis pod zdjęciem: *Leon Heuzié, doradca Jeunes de la Francisque, wiernych marszałkowi...*

— Oczywiście — mówił Lemaire — Heuzié nie jest już takim znowu młodzieńcem, nie może więc być działaczem ruchu młodzieżowego. Za to pański przyrodni brat, który stoi u jego boku, ma zaledwie trzydzieści pięć lat, może więc bez skrepowania pełnić funkcję przewodniczącego.

— Teraz naprawdę zobaczyłem twarz Maxence'a Ruffauda... Wygląda na twardego człowieka, nie jest stary...

— No, wie pan, jest starszy od pana zaledwie o dziesięć lat — zgodził się Lemaire. — Muszę też powiedzieć, że nie jest do pana podobny. Jeśli chodzi o władczy wygląd, odziedziczył go po swojej matce, jej zdjęcie też mam... Wracając do Leona Heuziégo. Ten pan jest od dwóch lat na emeryturze. Był oficerem artylerii podczas pierwszej wojny światowej, potem rozpoczął karierę w administracji zamorskiej Francji, kończąc ją właśnie tutaj, dwa lata temu, jako gubernator generalny Kochinchiny. Ten bydlak jest przesiąknięty ideami Maurrasa... Zaczyna pan rozumieć?

— Nie — odpowiedział zdezorientowany Timo.

— A przecież to proste. — W ton Lemaire'a wkradła się irytacja. — To właśnie ten dżentelmen, gubernator generalny Kochinchiny, Heuzié, spowodował pana aresztowanie w okolicach katedry i wysłanie pana na Poulo Condore. W tej historii, która... hmm... pośrednio wiązała się z moją osobą, zainteresowało mnie kilka szczegółów. Wszcząłem więc śledztwo. Wie pan, nie przypadkiem zajmuję takie stanowisko. Mam wielu przyjaciół w pewnych specyficznych służbach. Byłem więc w stanie odtworzyć pana historię. Nie będę jej panu opowiadał, bo ją pan zna. Nie wie pan jednak, że aby osiągnąć swój cel, pana brat posłużył się członkami pewnej „czarnej” sekretnej

organizacji, to znaczy organizacji o ukierunkowaniu skrajnie prawicowym, podlegającej La Cagoule, finansowanej między innymi przez niego. Do jej członków zalicza się komisarz, który prowadził w Paryżu śledztwo w sprawie śmierci anty-kwariusza Joncaille'a, gubernator Kochinchiny, Leon Heuzie, i pewien sajgoński urzędnik, na którego gubernator wywarł presję, dysponując danymi dotyczącymi pewnej delikatnej sprawy obyczajowej...

Timo pobladł, jego wargi drżały.

— Maxence to morderca! — krzyknął. — Działał z rozmysłem!

— Tak więc doszliśmy do końca rozumowania — mówił dalej Lemaire

— a jednocześnie do punktu wyjścia. Opętany myślą o zemście, chce pan pojechać do Paryża, zdobyć broń i zabić swojego przyrodniego brata, wiedząc doskonale, że tylko on mógł przyczynić się do pana uwięzienia.

Milczenie Tima było potwierdzeniem tych słów.

— A więc nie myliłem się... Być może bierze też pan pod uwagę, by zgotować taki sam los Anselme'owi Dubreuilowi. W końcu to on, o ile jestem dobrze poinformowany, zdradził miejsce pańskiej kryjówki Maxence'owi. Z wiadomymi konsekwencjami.

Timo i tym razem nie odpowiedział. Co innego zaprzętało jego myśli.

— A śmierć mojej matki... W jednym z listów Hans zapewnił mnie, że nie był to wypadek.

— Nikt nie uważa, że to był wypadek. Śledztwo doprowadziło do konkluzji, że była to zbrodnia, ale siatka Maxence'a, która dokonała skutecznej infiltracji prefektury policji, doprowadziła do umorzenia sprawy.

Timo wstał, przeszedł parę kroków po salonie, po czym znów usiadł, oszołomiony, jakby ta wiadomość sprawiła, że stracił orientację.

— A więc moja matka została zamordowana...

— Nie ma żadnych wątpliwości — powiedział krótko Le-

maire. — Mężczyźni jadący samochodem, który potracił ją na bulwarze Sebastopol, nigdy nie zostali odnalezieni z bardzo prostej przyczyny: nikt ich tak naprawdę nie szukał.

Administrator wstał, dając przez to do zrozumienia, że nie ma zbyt wiele czasu, i ten ruch wyrwał Tima z zamyślenia.

— Oto więc moja propozycja — podjął Lemaire. — Zorganizuję pański powrót do Francji.

— Przepraszam, ale trochę mnie to dziwi. Skąd bierze się taka przychylność dla mnie?

Po raz pierwszy od początku rozmowy administrator dał wyraz niechęci, jaką od lat darzył Timo.

— Względy? O nie, myli się pan. Nie darzę pana żadnymi względami. Żadnymi względami, żadną sympatią ani cieniem szacunku, niczym podobnym. Raczej z niechęcią przyznaję, że jest pan mimo wszystko człowiekiem. Traktuje pan w sposób skrajnie wulgarny osobę, która jest mi droga i która popełniła ten błąd, że uczyniła pana wybrankiem swego serca. Jej uczucia wobec pana są absurdalne i niezrozumiałe, są jednak faktem.

— Niech pan mi oszczędzi tej przemowy zdradzonego męża — przerwał mu Timo, który postanowił odpłacić pięknym za nadobne. — Nie zasługuję na miłosne uniesienia pańskiej cudownej małżonki? Niech będzie. Wybrała mnie jako przedmiot swej subtelnej miłości? O nic jej nie prosiłem. Nie mam zamiaru pozwolić zamknąć się w klatce przez Laurence Lemaire tylko dlatego, że nie jestem jej obojętny. „Kocham cię, więc do mnie należysz! Lepiej, żebyś był grzeczny”. Proszę przyjąć do wiadomości, panie wielki policjancie, specjalisto od intryg, donosów, aresztowań, a nawet tortur, że nigdy nie będę niczyją zabawką.

— Jakoś pan nie protestował, kiedy się pana wyciągało z kłopotów.

— To znaczy, kiedy pan mnie wyciągał z kłopotów? — parsknął Timo, z coraz większym trudem panując nad złością. — Laurence przywiozła mnie tu z Szanghaju, kiedy byłem ciężko ranny. Rzeczywiście, był to gest przyjaźni. Czy to

znaczy, że mam jej bez końca dziękować? Przyjaźń polega między innymi na tym, że nie oczekujemy od przyjaciela podziękowań. Ale tutaj chodzi o dowód miłości, a więc powinienem bić pokłony aż po kres moich dni... Nie prosiłem Laurence o nic, ani żeby jechała do Szanghaju, ani żeby przywoziła mnie do Sajgonu w specjalnym samolocie z pielęgniarką na pokładzie i flaszką laudanum. Nie prosiłem jej nawet o zapłacenie tego kolosalnego okupu ani o zdobycie na niego środków w sposób, jaki ona sama uznała za stosowny.

— To już jest podłość — wycedził Lemaire, który także zaczynał tracić zimną krew.

— Każdy postępuje tak, jak uważa za właściwe, żeby osiągnąć cel. Nie widzę w tym żadnej podłości — odparł Timo. — Skoro pańska szanowna małżonka jest tak subtelną istotą, proszę ją zapytać, skąd, u licha, wzięła milion dolarów szanghajskich na okup...

Lemaire zrobił się purpurowy jak kogut przygotowujący się do walki.

— Jest pan łajdakiem, pańska niewdzięczność okrywa pana hańbą.

— O tak, jestem niewdzięcznikiem! Nie tylko wobec pana żony, ale i wobec pana...

— Niech pan się dowie, że pańska ucieczka z Poulo Condore odbyła się nie bez mojego współudziału — odpowiedział Lemaire, zarazem wściekły i pełen pogardy.

— Pana też o nic nie prosiłem. Zwłaszcza zaś o ułatwienie mi ucieczki za cenę zamordowania człowieka, z którym łączyła mnie przyjaźń.

Timo zbliżył się tak, że Lemaire czuł jego oddech na swojej twarzy.

— Między Phamem, moim współwięźniem w „Gnieździe węży”, a mną, istniała prawdziwa przyjaźń, rozumiesz pan? Przyjaźń bezinteresowna, która nie domaga się podziękowań.

Cofnął się parę kroków i zrobił głęboki wdech, starając się nad sobą zapanować.

— Skończmy z tym — wyrzucił z siebie. — Tym razem sprawa jest jasna: zgadza się pan załatwić mój powrót do Francji i dostarczyć mi broń.

Czego oczekuje pan w zamian?

Teraz i Lemaire się uspokoił.

— Zostanie pan kurierem. Tutaj jesteśmy z dala od wszystkiego, daleko od Francji, a przede wszystkim od Anglii...

Lemaire z niesmakiem skonstatował, że na twarzy Tima maluje się wyraz niezrozumienia.

— Widać, że nie interesuje się pan niczym prócz swojej żalosalnej osoby i małosłownej zemsty. Proszę więc przyjąć do wiadomości, że znaczna część Francji, w tym Paryż, już od sześciu miesięcy jest pod niemiecką okupacją. Rząd narodowego zniewolenia kierowany przez marszałka Petaina kolaboruje z okupantem. Ruchem oporu kieruje z Londynu pewien generał nazwiskiem de Gaulle. Wielu wyższych urzędników i oficerów, a także zwykłych żołnierzy, opuściło już Indochiny, by udać się do Londynu i przyłączyć do Wolnej Francji. Inni gaulliści, do których się zaliczam, uznali, że lepiej będzie, jeśli zostaną w Indochinach po to, by we właściwym momencie sprzeciwić się admirałowi Decoux, pozbawić go stanowiska i aresztować. Potrzebujemy instrukcji. Jakie są zapatrywania de Gaulle'a na Indochiny? Tego nie wiemy. Nie możemy nawiązać kontaktu z Londynem, ponieważ służby admirała Decoux, który jest człowiekiem Petaina, deptają nam po piętach.

— Chce pan, żebym pojechał do Londynu? — spytał zdziwiony Timo.

— Nie. Pojedzie pan do Paryża. Podam panu nazwisko i adres osoby, z którą ma się pan skontaktować. Osoba ta ma powiązania z generałem de Gaulle'em i przekaże panu szczegółowe wskazówki z Londynu, następnie wróci pan i o wszystkim mi powie.

— Jak długo to potrwa?

— Trudno powiedzieć. Może sześć miesięcy, a być może całą wieczność. Lemaire zauważył, że jego rozmówca jest wyraźnie zaniepokojony.

— Tak, nie będę ukrywał, że to niebezpieczna misja — ciągnął. — Niemcy mają na swoich usługach specjalną policję, gestapo, stosującą szczególnie brutalne metody i stanowiącą europejski odpowiednik japońskiej Kempeitai. Mogą też liczyć na wsparcie kolaboranckiej policji oraz milicji podlegających Pétainowi, a także pewnym małym ugrupowaniom pronazis-towskim, takim jak Jeunes de la Francisque pańskiego przyrodniego brata.

— A jeśli chodzi o Maxence'a...

— Jak pan poradzi sobie z jego zabiciem? Nie mam pojęcia i mało mnie to obchodzi. Nasza umowa polega na tym, że ja załatwiam panu przejazd do Paryża. Na podstawie mojej instrukcji nasz łącznik dostarczy panu pistolet. Musi pan uważać, żeby nie aresztowało pana gestapo albo francuska policja. W takim przypadku z pewnością zostanie pan rozstrzelany lub zgilotynowany. Niech się pan nie łudzi, że to dowód troski z mojej strony. Po prostu musiałbym znaleźć innego kuriera, co oznaczałoby konieczność oderwania kogoś z potrzebnych mi ludzi od innych bardzo istotnych zadań.

— Kiedy może mi pan załatwić wyjazd?

— Za miesiąc, może dwa. W Tan-Son-Nhut wylądować dakota francuskiego towarzystwa Albatros. Samolot zawiezie pana do Marsylii, która znajduje się w strefie nieokupowanej. Do tego czasu gotowe będą pana dokumenty, czyli paszport i książeczka wojskowa. Pieniądzy dostarczy panu Cheng, który popiera ruch oporu we Francji. Również w dowód poparcia otrzyma pan od niego adres przewodniczącego Kongregacji Kantończyków w Paryżu, który jest przyjacielem pana Chenga. Jak z pana znajomością chińskiego? A dialektu kantońskiego? Czy potrafi pan się wypowiadać w sposób zrozumiały?

— Na pewno potrafię rozśmieszyć rozmówcę.

Nic nie zdołałoby rozśmieszyć Laurence podczas dwóch miesięcy poprzedzających wyjazd Tima. Płakała, kiedy kocha-

nek oznajmił jej tę radosną wiadomość. Potem płakała coraz mniej. Wreszcie, zamiast wylewać łzy, pogrążyła się w melancholii. Wciąż na nowo czytała list, który Timo napisał do niej, gdy się pokłócili: „Moja bezwstydna Laurence, kiedy znów cię zobaczę, pytam siebie ze smutkiem. Minęła wiosna, a lato... lato było zbyt krótkie”.

Wciąż dopatrywała się w tych linijkach autentycznego talentu poetyckiego, teraz jednak widziała w nich zapowiedź swojej przyszłości. „Minęła wiosna, a lato... lato było zbyt krótkie”. Oto, co ją czeka bez ukochanego. Wiele jesieni i zbyt wiele zim.

Dakota towarzystwa Albatros wystartowała z Tan-Son-Nhut pewnego ranka na początku stycznia 1941 roku. Zgodnie z zasadami aeronautyki, dwusilnikowiec rozpędził się pod wiatr, potem zawrócił na niewielkiej wysokości, i raz jeszcze przemierzył przestrzeń nad lotniskiem. Laurence pomachała, a potem zanosła się szlochem.

Rozdział 34

W Paryżu brzuchaty żandarm o krótkich wąsach i ciężkim spojrzeniu, w przyciasnym mundurze, nie był wcale miłszy od Niemców w butach z cholewami, którzy sprawdzali dokumenty przy wszystkich wyjściach z Dworca Liońskiego.

— Pan się urodził w Saj gonie?

— W Sajgonie, w Unii Indochińskiej — odpowiedział Timo. Żandarm odnosił się z wyraźną niechęcią do stojącego przed nim przystojniaka. Zamknął paszport i podał go Timowi.

— Stosunek do służby wojskowej?

— Zwolniony. Powypadkowy paraliż prawego ramienia. Żandarm dokładnie obejrzał książeczkę wojskową.

— Dobrze. Wszystko w porządku — powiedział niechętnie. — Po co przyjechał pan do Francji?

— Ale przecież... Sajgon to Francja!

— Bez żartów, proszę!

Timo uznał, że lepiej się nie spierać.

— Mój ojciec był bardzo chory i został przewieziony do Francji trzy lata temu, w czerwcu tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku — wyjaśnił. — Od roku nie docierają żadne wiadomości. Przyjechałem tu, bo chcę spróbować się z nim spotkać, być może ostatni raz przed jego śmiercią.

— Spróbować się z nim spotkać? Pewnie pan nawet nie

wie, gdzie on jest — skonstatował z ironią wojskowy, mrużąc oczy, dumy ze swej przenikliwości.

— Przebywał w domu opieki w Ardenach... Podczas niemieckiej ofensywy został ewakuowany. Od tego czasu nie mam o nim żadnych wiadomości.

— Może już nie żyje...

— Niestety, biorę pod uwagę taką możliwość...

— Jak pan zamierza go odnaleźć?

— Mam adres jednego z jego przyjaciół, to major Leroy, ulica Grenelle dwadzieścia pięć.

— Major? — ożywił się żandarm.

— Tak, major Leroy ukończył Saint-Cyr w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku, tak samo jak mój ojciec.

— W porządku, jest pan wolny.

Gdy Timo schodził powoli po schodach prowadzących do metra, na jego ustach pojawił się lekki uśmiezek. Maurice Lemaire miał rację: kruk krukowi oka nie wykołę. Wojskowi pomagają sobie wzajemnie, otaczając opieką również krewnych kolegów po fachu.

Tak więc przewidywania Lemaire'a były trafne. Poza niemal dwudziestoczęterogodzinną podróżą z Marsylii w przepelnionym pociągu przyjazd do Francji odbył się bez przeszkód. Timo odetchnął z ulgą paryskim powietrzem. Był to jeden z pierwszych letnich dni. Kobiety nosiły lekkie sukienki w kwiaty. Na skrzyżowaniach stały niemieckie tablice informacyjne, wskazujące drogę do najważniejszych zabytków. Uliczny sprzedawca gazet w kraciastej czapce, koszuli z krótkimi rękawami i spodniach do kolan krzyczał na całe gardło, że tego dnia — 22 czerwca 1941 roku — Niemcy wkroczyły do Związku Radzieckiego i Armię Czerwoną czeka rychła klęska.

Gilbert Leroy pochodził z wojskowej rodziny, zamiłowanie do służby ojczyźnie odziedziczył po ojcu, dziadku, a nawet dalszych przodkach. Po nich też dostał w spadku skromnie

umeblowany apartament mieszczący się nieopodal Ministerstwa Wojny. Po zawieszeniu broni, z powodu drastycznej redukcji sił zbrojnych major Leroy został przeniesiony do rezerwy. Ta przedwczesna emerytura nie zakończyła jednak jego działalności wojskowej. Jako oficer wywiadu i zastępca dowódcy drugiego biura sztabu głównego ani przez sekundę nie zamierzał złożyć broni, tylko dlatego że został odstawiony na boczny tor. Kiedy 18 czerwca de Gaulle wygłosił swój słynny apel, nawiązał kontakt z Francuzami przebywającymi w Londynie i pod pseudonimem Corvisart włączył się do walki podziemnej, oddając na usługi zwolenników de Gaulle'a swoje kwalifikacje zawodowego oficera wywiadu i współpracując ze służbami brytyjskimi.

W razie zdemaskowania uznany zostałby przez Vichy za zdrajcę. Pozostał jednak francuskim oficerem wiernym tradycji, ideałom moralnej prawości, poświęcenia i gotowym bez wahania oddać życie za ojczyznę. — Mój przyjaciel Lemaire pisze, że jest pan kurierem — stwierdził, przeczytawszy list polecający, który podał mu Timo. — Nazywa się pan Lemoigne... Występuje pan jako syn Charles'a Lemoigne'a, wieloletniego attache wojskowego w Sajgonie.

— Oficjalnie nawiązałem z panem kontakt, żeby go odnaleźć...

— Tak, rozumiem. To dobra przykrywka. W razie czego, jeśli zajdzie taka potrzeba, będę w stanie odnaleźć jego ślad, o ile jeszcze żyje... Jaki jest prawdziwy powód pańskich odwiedzin?

— Maurice Lemaire prosi generała de Gaulle'a o instrukcje dotyczące Indochin.

— Oczywiście Wolna Francja na pewno wypowie się na temat kwestii indochińskiej — zapewnił oficer, lekko zniechęcony. — Ale na razie mamy inne priorytety. Niemcy właśnie wkroczyły do Związku Radzieckiego, w końcu do wojny włączą się Amerykanie. Tylko kiedy? Tego nikt nie wie! W tej chwili Wolna Francja interesuje się przede wszystkim sytuacją w Al-

gierze. Rozumiem, co ma na myśli mój przyjaciel Lemaire: co zrobić z admirałem Decoux? Skontaktuję się z Londynem. Zanim jednak otrzymamy odpowiedź, może minąć kilka tygodni, a nawet miesięcy. Nim wróci pan do Sajgonu, trzeba będzie znaleźć panu jakieś mieszkanie i środki utrzymania.

— Przypuszczalnie mogę liczyć na wsparcie Kongregacji Kantończyków w Paryżu, chyba że jest prześladowana przez Niemców.

— Nie. Każdy ma swoją specjalność. Japończycy ścigają Chińczyków, a Niemcy Żydów. Mówi pan po chińsku?

— Potrafię sklecić parę zdań po kantońsku — powiedział Timo przepraszająco.

— W ramach wymiany przysług będę pana prosił o informacje na temat Chińczyków w Paryżu. Chodzi o to, czy są skłonni uczestniczyć w niesieniu pomocy Żydom, czy też wręcz przeciwnie, ustosunkują się wrogo do działalności tego rodzaju. Taka wiedza może być użyteczna. Tak czy inaczej, będzie pan musiał znaleźć jakieś oficjalne zajęcie, jakąś pracę dla stworzenia pozorów.

— Przydałaby mi się broń — powiedział Timo.

— A na co panu broń? — zdziwił się oficer. — Chce się pan bawić w partyzanta? Niemcy aresztują pana przy pierwszej kontroli. — Leroy nie czekał nawet na odpowiedź Tima. — Zanim zamieszka pan u swoich chińskich przyjaciół, może pan tymczasem zająć służbówkę na siódmym piętrze. Proszę zachowywać się spokojnie, nie hałasować, nie rozrabiać. Dyskrecja jest podstawą działalności wywiadowczej.

Jak spotkać się z Maxence'em Ruffaudem? To pytanie nie dawało Timowi spokoju. Leroy nie chciał załatwić mu broni, a poza tym Timo nie bardzo wyobrażał sobie, żeby mógł dopytywać się o tak ważną osobę, jak Maxence Ruffaud, nie podając jakiegoś wiarygodnego powodu. Stwierdził, że poradzi sobie sam, zarówno jeśli chodzi o broń, jak i o Maxence'a.

Wspólnota chińska w Paryżu liczyła kilkaset osób, w większości pochodzących z Kantonu. Ich obecność datowała się od końca dziewiętnastego wieku, kiedy to wracający z kolonii żołnierze przywieźli do stolicy modę na azjatyckie rozkosze. Kantończycy otworzyli liczne palarnie opium i kilka „gabinetów lektury” — dancinów, ku wielkiej radości artystów i inteligencji, a także żołnierzy, w większości oficerów marynarki, którzy lubili powspominać dawne dobre czasy, wyciągnawszy się na macie i pociągając z bambusowej fajki przy świetle świec. W roku 1910 palarnie zamknięto, a Chińczycy z Paryża zajęli się prowadzeniem restauracji oraz importem egzotycznych towarów. Potem moda na chińszczyznę z wolna minęła. W Belleville i Menilmontant, gdzie w czasach rozkwitu na początku wieku utworzyło się małe Chinatown, liczba kanton-skich rodzin malała z roku na rok. Kiedy wybuchła wojna i nie sposób już było zdobyć produktów pochodzących z Azji, zamknięto sklepy i restauracje. Od 1940 roku Chińczycy z Belleville żyli w skrajnej nędzy.

— Czy można mnie uważać za przewodniczącego Kongregacji Kantończyków w Paryżu? — spytał szanowny Ho Yu, w długiej szacie, o pokaźnym brzuchu i twarzy okrągłej niczym księżyc w pełni. — W Paryżu jesteśmy tylko kongregacją nędzarzy. — Zrobił kolisty ruch ręką. — Jeszcze dwa lata temu moja restauracja Belleville-Kanton była pełna gości w południe i wieczorem, a teraz sam pan widzi, jest całkiem pusta. Timo skinął głową. Sala jadalna restauracji na wzgórzach Menilmontant, należącej do przewodniczącego Kongregacji Kantończyków, w rzeczy samej była pusta.

— Mój przyjaciel Cheng, brat w triadzie Trzech Harmonii, przysłał pana aż do mnie, abym panu pomógł. Obawiam się niestety, że może to nie być łatwe; kongregacja i ja sam z trudem zdobywamy środki, żeby wyżywić się i ogrzać. Mam odłożone pieniądze, ale w dolarach... Zapewne pan ma jakieś środki?

— Zacznę niepokoić się za jakiś miesiąc.

— Jeśli wówczas znajdzie się pan w krytycznej sytuacji, spróbujemy znaleźć rozwiązanie. Proszę się nie martwić, nie dam panu umrzeć z głodu. Jeżeli nie ma pan gdzie mieszkać, dysponuję kilkoma mieszkaniami w tej dzielnicy. To mieszkania nędzarzy, mieszkania moich rodaków, którzy z powodu biedy wrócili do Kantonu.

— Chętnie je zobaczę. Może da się mieszkać w którymś z nich.

— Mówi pan po kantońsku?

— Powiedzieć, że znam kantoński, byłoby przesadą, ale potrafię wyrazić to, co myślę.

— Wie pan, nigdy nie jest dobrze mówić, co się myśli.

— Nie to chciałem powiedzieć.

W Café de la paix nieopodal opery niemieccy oficerowie sączyli drinki, korzystając z chłodu letnich wieczorów i rozmawiali z pięknymi kobietami, posługując się łamanym „rozejmowym” francuskim.

Od przyjazdu do Paryża Timo wciąż się zastanawiał, po co właściwie tu przybył. Czy należało się w tym wszystkim dopatrywać uknutego przez Lemaire'a planu, by mu w czymś przeszkodzić? Przekazał wiadomość, ale nie otrzymał obiecanego przez Lemaire'a rewolweru. Major Leroy był zdumiony tym żądaniem. Wyglądało na to, że administrator specjalny z pałacu Norodom chciał się go po prostu pozbyć i odsunąć od swojej żony. Minęło półtora miesiąca, Timo włóczył się po Paryżu bez grosza przy duszy i zastanawiał się, jak przeżyje następny tydzień. Major Leroy niechętnie pozwolił mu na dalsze korzystanie ze służbówki, ale zupełnie nie interesował się jego sytuacją materialną. Nie przyjął go zresztą więcej ani nie pomógł znaleźć mu jakiejś pracy dla zachowania pozorów. Wobec takiego zbiegu niekorzystnych okoliczności Timo zastanawiał się, czy nie wpadł w pułapkę, znajdując się w Paryżu na swego rodzaju wygnaniu, co było zemstą dyskretną i okrutną, zemstą w stylu iście azjatyckim.

Słowo „zemsta” przypomniało mu o jego planach i raz jeszcze pozwoliło otrząsnąć się z przygnębienia. Wszystko w swoim czasie. We właściwej chwili zdobędzie rewolwer. Będzie strzelał lewą ręką? Przypuszczalnie tak. Ucząc się karcianych sztuczek, stał się praktycznie oburęczny. Zachowując właściwą kolejność, pierwszą rzeczą było odnalezienie Maxence'a, a przed nim — Hansa.

Nie musiał wykazać się wielkimi umiejętnościami detektywistycznymi, by odnaleźć siedzibę Jeunes de la Francisque. Wejście do budynku znajdującego się na bulwarze Montmartre ozdobione było dwoma sztandarami — francuskim i flagą ugrupowania, czerwoną, z obosiecznym toporem *francisque* w białym kręgu. Przed wejściem przechadzało się dwóch młodych ludzi w czarnych mundurach, przypominających strój do konnej jazdy, i w czarnych furażerkach ozdobionych pomponami. Byli w dobrym nastroju i wesoło gawędzili. Timo wielokrotnie mijał siedzibę Jeunes de la Francisque, idąc chodnikiem po tej samej stronie lub po przeciwnej. Przyglądał się nieskazitelnym strojom bojówkarzy, wielkiemu portretowi marszałka Pétaina zawieszonemu na balkonie pierwszego piętra nad wejściem. Po prawej stronie zaś widniał wielki afisz, ukazujący niemieckiego żołnierza na tle wschodzącego słońca, trzymającego w ramionach niemowlę, na co czułym okiem spoglądała matka dziecięcia.

Nagle ktoś klepnął go w ramię i złapano go za obie ręce. Timo znalazł się między dwoma bojówkarzami. Gdy minął strach i zaskoczenie, uśmiechnął się. Ci dwaj młodzi ludzie, właściwie wyrostki, nie chcieli zrobić mu nic złego.

— Może by odwiedził pan nasz lokal? — powiedział jeden z nich, niski brunet. — Ciagle widzimy, jak pan przechodzi koło nas.

Drugi z nich, pryszczaty i wysoki, dodał:

— Nie ma pan odwagi wejść i się przywitać?

— Jest pan nieśmiały... — zauważył ten pierwszy. Kilka metrów przed budynkiem puścili jego ręce.

— Czeka na pana przyjaciel — oznajmił mały brunet.

— Pan Anselme Dubreuil rozpoznał pana, wyglądając przez okno. Twierdzi, że jest pan jego bliskim przyjacielem, przyjacielem z dzieciństwa. Wielu Francuzów byłoby dumnych z przyjaźni z panem Anselmem Dubreilem!

Czy młody bojówkarz żartował sobie z niego? Na wszelki wypadek Timo powiedział:

— Dumny? Ależ ja jestem dumny, i to jak! Trudno o większy powód do dumy...

Hans — w czarnym mundurze z szerokim pasem i spodniach do konnej jazdy! Timo przez chwilę zastanawiał się, czy nadal przebywa w rzeczywistym świecie. Za zawalonym papierami biurkiem stał jego dawny towarzysz gry w trzy karty i pokerowy współnik, który nie stracił nic z łobuzerskiego wyglądu. Oto miał przed sobą byłego tresera myszy z liceum imienia Karola Wielkiego, pomocnika słynnego Roostera — z kosmykiem włosów opadającym na oko i uśmiechem gotowym na wszelkie psoty... Jednak w czarnym mundurze i przed ścianą, na której nad skrzyżowanymi sztandarami Francji oraz organizacyjnym z *francisque* zawieszono wielkie zdjęcie wąsatego marszałka, wyglądał tak niezwykle, że Timo zastanawiał się, czy przypadkiem nie śni.

— Dlaczego po prostu nie wszedłeś i nie powiedziałeś, że chcesz się ze mną spotkać? — powiedział z wyrzutem Hans, obchodząc biurko z rozpostartymi ramionami.

Stanął przed Timem, zlustrował go od góry do dołu i przytulił.

— Jesteś kruchy, jak ranna ptaszyna — stwierdził, rozluźniając uścisk. — Ach, mój drogi Timo, przyjacielu, myślałem, że nie żyjesz. Tak dawno się nie widzieliśmy... Kiedy to było?

— Pięć lat temu.

— Masz rację, pięć lat — potwierdził Hans. — Mój Boże, jak ten czas leci.

— Zależy to od tego, gdzie się go spędza...

Timo nie mógł się zorientować, jakie uczucia żywi do niego Hans. Przez chwilę obawiał się, że każe od razu go aresztować,

ale przyjaciel wydawał się uszczęśliwiony spotkaniem. Czyżby nie wiedział, co mu się przytrafiło?

— Skąd przybywasz? — spytał Hans.

— Z Sajgonu.

— No jasne, z Sajgonu, wyleciało mi z głowy! Przecież to tam wyjechałeś, i to w pośpiechu.

Hans rzucił okiem na zegarek.

— Wpół do pierwszej. Zabieram cię do restauracji, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

— Ależ skąd — mruknął zmieszany Timo.

— Nie ma nic lepszego niż dobry obiad, żeby uczcić spotkanie przyjaciół po latach. Jesteś elegancko ubrany, więc nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy zamówili stolik w porządnym lokalu. Dimitri może być?

Kotlety pożarskie, bałtyckie śledzie i zakąski u Dimitriego były wyśmienite. Doskonale chablis, które Hans zamówił na prośbę Tima, miało głęboki smak i pozostawiało leciutkie mrowienie pod językiem.

— Masz rację, Timo, nie ma co pić wódki w południe, to zbyt ryzykowne!

Okna restauracji wychodziły na ogrody Palais-Royal. Szum wiatru w liściach kasztanowców mieszał się z gwarem rozmów. Kelnerzy w białych marynarkach, puszyste dywany, porcelanowe i srebrne nakrycia: Dimitri, sanktuarium kuchni rosyjskiej w Paryżu, które bynajmniej nie domagało się od swoich gości kartek na żywność.

Timo przyglądał się klienteli siedzącej w sali jadalnej, a Hans, który to zauważył, powiedział:

— Tak, dobrze widzisz. Dwóch generałów Wehrmachtu, dwóch admirałów Kriegsmarine i z pół tuzina oficerów sztabowych... To miejsce bardzo przypadło do gustu wyższym oficerom niemieckiej armii. Ponadto Dimitri jest wyjątkowo modnym miejscem. Dopiero co wybuchła wojna między Niemcami a Związkiem Radzieckim, to zaostrzy nam apetyt, nim dojdziemy do Moskwy!

— A pozostali klienci?

— Cywile to przemysłowcy i ludzie interesu. Zauważyłem też pewnego dyplomate, pana de Brinon, który pełni w Paryżu obowiązki ambasadora Francji we Francji.

— Ambasador Francji we Francji? Ciekawe... — skomentował Timo.

— W związku z sytuacją polityczną tworzą się niekiedy dziwolągi — stwierdził Hans z uśmiechem. — Jednak epoka, w której żyjemy, jest szczególnie doniosła. Zmieniamy świat! Nadeszła rewolucja, której Francja tak bardzo potrzebowała!

Timo nie podniósł wzroku znad talerza z zakąskami.

— Wybacz mój wybuch entuzjazmu. Mamy sobie tyle do powiedzenia. Pomówmy raczej o tobie. Jak nastroje w Sajgonie? Nie za dużo tam Icków?

— Masz na myśli Żydów? — poprawił go spokojnie Timo. Jakby próbując sobie przypomnieć, dodał: — W czasach naszego dzieciństwa kręciliśmy się po ulicach, gdzie było mnóstwo Żydów. O ile dobrze pamiętam, w ogóle nie zwracałeś na nich uwagi.

— Masz rację, byłem zaślepiony! Teraz wiem, że to oni są odpowiedzialni za wojnę. Za tę ostatnią, a także za tę z tysiąc dziewięćset czternastego. Maxence Ruffaud, honorowy przewodniczący Jeunes de la Francisque, otworzył mi oczy.

— A właśnie, Maxence Ruffaud. Co też porabia mój przyrodni brat?

— Jak to, nie wiesz? — zdziwił się Hans. — Maxence pełni funkcję ministra zaopatrzenia.

— Urzęduje w Paryżu?

Hans zmierzył przyjaciela spojrzeniem pełnym politowania.

— Sajgon jest naprawdę na końcu świata... Nie wiesz nawet, że siedziba rządu francuskiego znajduje się teraz w Vichy! Tam właśnie, u boku marszałka, podejmowane są wysiłki, by podnieść Francję z upadku... A skoro już się zgadało, pomówmy o nim...

— O marszałku?

— Nie. O twoim bracie. Czy wiesz, że to człowiek wyjątkowej prawości?

— Chętnie w to wierzę...

— Nie będziesz więc zaskoczony, jeśli powrócę do dramatycznych wydarzeń, które były twoim udziałem.

— Jeśli sobie życzysz...

— Tak jak ci pisałem, Maxence nie ma nic wspólnego ze śmiercią antykwariusza Joncaille'a. Również nie za jego sprawą tobie przypisano tę zbrodnię i skazano cię zaocznie na śmierć. Mieliście spotkać się w jakimś hotelu w Sajgonie, twój przyrodni brat i ty...

— W hotelu Continental — uściślił Timo. — Byłem tam i czekałem...

— Maxence'a zatrzymały interesy. Opóźnił wyjazd o dwa miesiące. Udał się do Continentalu, ale ciebie tam nie zastał.

— Miałem drobne kłopoty...

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Maxence wróci za jakiś czas. Będzie szczęśliwy, mogąc cię spotkać.

— I oddać mi moją część spadku — dokończył Timo żartobliwie. — Może byłoby prościej, gdybym to ja pojechał do Vichy? Nagle spojrzenie Hansa stało się intensywne i podejrzliwe.

— Nie — uciął. — Wyjazd do Vichy nie jest prostą sprawą. Potrzebne są glejty, przepustki, ausweisy.

Timo nie nalegał.

— W najbliższych dniach zamierzam odwiedzić grób Roostera, a także mojej matki. Powiedz mi prawdę o jej śmierci. Czy to rzeczywiście było zabójstwo?

— Niestety, drogi Timo, muszę to potwierdzić w jak najbardziej formalny sposób. Twoja matka została zamordowana. Sprawę zatuszowano, a śledztwo umorzono z nieznanych nam powodów.

Major Leroy zgodził się w końcu przyjąć lokatora mieszkającego w służbówce. Nie pofatygował się jednak, żeby

zaprosić go do salonu. Uznał, że Timowi wystarczy krzesło przy kuchennym stole, na którym stał jeszcze kubek ze śniadania. Młody człowiek nie przypadł majorowi do gustu. Na pierwszy rzut oka dostrzegł w nim kombinatora, co dla francuskiego oficera z tradycjami nie było dobrą referencją.

— O czym chciał pan ze mną rozmawiać? — spytał major. — Proszę mówić szybko, nie znoszę tracić czasu.

— Chciałbym porozmawiać o Anselmie Dubreuilu.

— Przywódcy Jeunes de la Francisque?

— Tak. O przywódcy nazistowskich gówniarzy we Francji. Nawiązałem z nim kontakt.

Timo poznał po spojrzeniu oficera, że major złapał przynętę.

— Zjedliśmy obiad u Dimitriego, ja i on, a wczoraj wieczorem byliśmy w Café de la paix, by następnie udać się na spotkanie cyklistów w Val' d'Hiv... Ściślej mówiąc, Anselme Dubreuil jest moim przyjacielem z dzieciństwa.

— Taka przyjaźń może okazać się bardzo użyteczna — stwierdził Leroy, zachwycony tą nowiną. — Proszę pod żadnym pozorem nie tracić z nim kontaktu!

— Mogę zrobić znacznie więcej, oczywiście za pana zgodą... Hans zaproponował mi pracę w swoim sekretariacie. Pomyślałem sobie, że skoro nie mam pracy, a więc ani źródła utrzymania, ani odpowiedniej przykrywki, to może być interesujące rozwiązanie.

— Interesujące? — Leroy osłupiał. — To nie jest właściwe słowo.

Interesujące? — powtórzył. — Ależ to cud, tak to trzeba nazwać!

Prawdziwy cud! Czy pański przyjaciel Dubreuil określił, na czym będzie polegać ta praca?

— Wyjaśnił, że zadaniem jego organizacji jest demaskowanie pasożytów społecznych, a mianowicie czarnorynkowych handlarzy i Żydów. O ile dobrze zrozumiałem, chodzi przede wszystkim o Żydów!

— Przyjmie pan tę pracę u DubreUILa — stwierdził krótko Leroy. — Dzięki temu będziemy zorientowani w planach dotyczących aresztowań Żydów.

Na twarzy Tima odmalowało się zadowolenie.

— Poza tym, że będę mógł informować o aresztowaniach Żydów, moje stanowisko pozwoli mi na przeniknięcie do otoczenia Maxence'a Ruffauda.

Leroy spochmurniał.

— Ruffauda? Ministra zaopatrzenia Vichy?

— Tego samego. Jest również honorowym przewodniczącym ruchu Jeunes de la Francisque. Prędzej czy później pojawi się w Paryżu. Skoro będę w pobliżu, będę mógł bez trudu dokonać egzekucji.

— Egzekucji? — powtórzył zdziwiony oficer.

— O ile dostarczy mi pan broń — uściślił Timo.

— Jest pan skończonym głupcem, mój młody przyjacielu. Ruch oporu nie ma żadnego interesu w zamordowaniu kogokolwiek, przynajmniej w tej chwili. Zabicie Maxence'a Ruffauda byłoby czystym idiotyzmem.

Zostałby pan natychmiast rozstrzelany, a my nie mielibyśmy już dostępu do informacji na temat planów antyżydowskich kolaborantów... O ile mnie pamięć nie myli, już drugi raz domaga się pan ode mnie broni. Pan jest chory, mój przyjacielu, nieuleczalnie chory, brak panu piątej klepki! Ruch oporu nie ma nic wspólnego z romantyzmem, niech pan to sobie wbije do głowy. Liczy się tylko informacja. Tak więc niech pan przyjmie tę pracę i nie zwraca na siebie niczyjej uwagi ! W ciągu tygodnia doprowadzę do pana spotkania z osobą, której będzie pan przekazywał informacje dotyczące działań przeciwko Żydom.

Major zerwał się z miejsca i wyszedł z kuchni, trzaskając drzwiami. Timo słyszał jego głos dobiegający z wnętrza mieszkania. Mówił do siebie, jakby nie wierzył w głupstwa, które usłyszał: „Broń! Ten chłystek chce dostać broń! A po co mu ta broń, ja się pytam? Chce na własną rękę rozprawić się z całą niemiecką armią?”.

Timo czuł się niezręcznie, pełniąc funkcję osobistego sekretarza przywódcy ruchu Jeunes de la Francisque. Maniakalny

antysemityzm młodych nazistów, zwolenników marszałka Pétai-na, w pierwszych dniach wydał mu się dziwaczny, ale z czasem zaczął dochodzić do wniosku, że ma on charakter wręcz zbrodniczy.

Czarnorynkowi handlarze, których rycerze nowego porządku również mieli rzekomo tropić, mogli spokojnie zbijać fortuny, ponieważ Jeunes de la Francisque zajmowali się tylko poszukiwaniem Żydów, a dokładniej Icków, Mośków, Gudłajów... jak pisały o nich gadzinówki, takie jak „Je suis partout” lub „La Gerbe”, którymi zaczytywali się młodzi ludzie.

Całymi dniami ci pełni chwały wojownicy, walczący dziarsko u boku zwycięzcy, tworzyli kartoteki, mając za źródło informacji całe stosy donosów. Od czasu do czasu któryś z tych drobnych urzędasów ludobójstwa zaczynał drzeć się: „Śmierć Żydom!”, tak sobie, bez żadnego powodu, chyba że po to, by przypomnieć o sensie swojego istnienia.

O ile Timo nie zastanawiał się nad sensem swojego własnego istnienia, to z coraz bardziej narastającą irytacją zastanawiał się nad powodem swojego przybycia do Paryża. Szpiegował Anselme'a Dubreuil'a, tak jak kazał mu Leroy, ale zdobył niewiele informacji. Powód tego był prosty: przywódca Jeunes de la Francisque nie był obdarzony duszą wojownika i mało go obchodziły przyszłe antyżydowskie działania. Bardzo za to przypominał samego Tima: był hulaką pełną gębą, świetnym kompanem, i co wieczór zabierał go ze sobą do restauracji czy kabaretów, pełnych umundurowanej klienteli. Wspecjalizował się w uwodzeniu „szarych myszek” należących do personelu pomocniczego armii niemieckiej. Zdarzało się więc, że Timo kończył wieczór w towarzystwie ładniutkiej sekretarki Kommandantur w mieszkaniu przy ulicy Saint-Charles, które teraz zajmował.

Pod koniec listopada major Leroy powiadomił go listownie, że osoba, której ma przekazywać informacje o działaniach antyżydowskich, przybyła właśnie do Paryża. *Mężczyzna używa imienia Sami. Ma ponad pięćdziesiątkę. Spotka go pan w kawiarni Le Cluny na bulwarze Saint-Michel o godzinie siedemnastej. Będzie siedział w głębi sali i czytał „La Gerbe”.*

Zbliżał się już koniec listopada i w Paryżu było coraz chłodniej. Sami siedział przy stoliku, na którym stała szklaneczka grzanego wina, ubrany był w brązowy garnitur i kaszmirowy płaszcz. Na stole, poza egzemplarzem „La Gerbe”, położył filcowy kapelusz w kolorze czekoladowym. Na widok Tima wstał, jakby zobaczył zjawę. Timo zdziwił się, ale nim doszedł do jego stolika, tamten znów miał kamienną twarz. Tylko pełne żaru czarne oczy nieznajomego przypatrywały mu się uważnie, jakby chciał zyskać pewność, że nie zaszła pomyłka.

— Tak, jestem Sami — powiedział — A pan jest Lemoigne? Timo potwierdził.

— To pana pseudonim? — zapytał mężczyzna.

— Można tak powiedzieć. A to pańskie imię?

— Sami to zdrobnienie od Samuel, to moje prawdziwe imię. Czy my się aby nie znamy?

— Nie przypuszczam.

— A ja mam wrażenie, że tak. Kiedyś musieliśmy się już spotkać...

— Był już najwyższy czas, żebyśmy się spotkali — stwierdził Timo.

— Wiem, ale nie mogę działać na wszystkich frontach naraz. Przybywam z Hiszpanii, gdzie musiałem znaleźć przemytników, którzy nie byłiby jednocześnie bandytami. Trudna sprawa.

— Tutaj kolaboranci i Niemcy przygotowują zakrojoną na wielką skalę operację przeciwko Żydom.

— Jest pan ponoć dobrze poinformowany...

— W rzeczy samej. Pracuję u Anselme'a Dubreuila.

— Anselme'a Dubreuila? W Jeunes de la Francisque? I co pan wie?

— Kolaboranci tworzą w tej chwili kartotekę paryskich Żydów. Wiedzą o wszystkich przybyszach z zagranicy, skąd pochodzą, ile mają dzieci. Z dokumentów, które wdziałem, wynika, że policja francuska przygotowuje wielką łapankę z pomocą żandarmerii, bojówek i ugrupowań nazistowskich, takich jak Jeunes de la Francisque.

— Zamierzają złapać wszystkich Żydów?

— Może tylko uciekinierów z zagranicy — odpowiedział Timo. — Mają zostać zamknięci w obozie na przedmieściu, w Drancy. Następnie...

— A następnie wywiezieni do obozów koncentracyjnych w Niemczech i w Polsce... Czy orientuje się pan, kiedy ma się odbyć ta operacja?

— Ci z Jeunes de la Francisque chcieliby, żeby stało się to jak najszybciej. Pomstują z powodu opóźnienia i wykrzykują, że policja to zażydzona hołota. Najpóźniej za rok przeprowadzona zostanie czystka na ogromną skalę.

— Najpierw należałoby zająć się dziećmi, one pierwsze powinny uciec.

— Za granicę?

— Nie. Wielu Francuzów mieszkających na wsi zgodziło się ukrywać Żydów. Musimy działać szybko.

Nagle Sami znieruchomiał, jakby doznał objawienia.

— Mam! — wykrzyknął, uśmiechając się lekko. — Wiem, gdzie się spotkaliśmy i kim pan jest. Pan mnie nie poznał?

— Nie — powiedział Timo przepraszająco. — Pana twarz naprawdę nie wydaje mi się znajoma.

— Właściwie nic dziwnego. A jednak był pan moim gościem w Szanghaju przez trzy miesiące. To było trzy lata temu. Już pan sobie przypomina?

— Nie, z trzech miesięcy po moim wypadku w Szanghaju nie pamiętam zupełnie nic.

— To możliwe — zgodził się mężczyzna. — Skoro moja twarz nie wywołuje żadnych wspomnień, może moje nazwisko spowoduje, że pojawią się jakieś skojarzenia.

Zamilkł na chwilę i rozdzielając starannie sylaby, powiedział:

— Nazywam się Haertzel, Samuel Haertzel. W Szanghaju byłem znany pod imieniem Petrus.

Rozdział 35

Czy nazwa Szanghaj mogła przywieść Timowi na myśl coś lub kogoś innego niż Lao San, czułą panią generała o ciemnych włosach, ciemnych oczach i gorącym oddechu pachnącym cygarami? Zapomniał o wszystkim, co wydarzyło się w Szanghaju. O wszystkim prócz niej.

Czasem, gdy był sam w mieszkaniu na ulicy Saint-Charles, zdarzało mu się zwracać na głos do generała rządzącego jego sercem: „Gdzie jesteś? Czy żyjesz?, pytał. Czy ludzie z Kempeitai zlitowali się nad tobą? Czy spędzę resztę życia, nie mając poza tobą nikogo w sercu, w głowie, w najbliższej z myśli, w najprostszym gościu? Czy będę musiał pogodzić się z tym, że nigdy cię nie zobaczę, że nigdy nie poczuję twego ciała leżącego przy moim?”. Odnawiała się bolesna rana i tylko myśl o zemście przynosiła ukojenie i zapomnienie.

— To imię, Petrus... też nic panu nie mówi? — dopytywał się mężczyzna.

— Mieszkał pan u mnie, w mojej szanghajskiej rezydencji przez trzy miesiące, ale niestety był pan w śpiączce. Doktor Howards przychodził dwa razy dziennie, żeby podawać panu morfinę i zmieniać opatrunki.

— Z tamtego okresu nie pamiętam nic, zachowałem tylko mgliste wspomnienie bólu. Nie mógłbym powiedzieć panu, jak wyglądał doktor Howards.

— Wyglądał jak człowiek pełen godności, odważny i gotów

poświęcić życie dla innych — powiedział Petrus dziwnym tonem.

Otrząsnął się, jakby chcąc odpędzić ogarniającą go melancholię. — Pewna bardzo piękna kobieta, więcej niż piękna, opiekowała się panem niezwykle troskliwie. Czy nadal pozostaje pan z nią w kontakcie?

— Mieszka w Sajgonie — powiedział Timo obojętnie.

— Pisała powieści, prawda? Jakiś czas temu znalazłem jej książkę w księgarni, niedaleko stąd. *Metyska o zielonych oczach*. Kupiłem ją, uważam, że jest bardzo wzruszająca.

— Laurence ma wielki talent. — Głos Tima był tak lodowaty, że Petrus milczał przez chwilę, po czym dodał:

— Cieszę się, że pana widzę, drogi Timo. Doktor Howards obawiał się, że będzie pan sparaliżowany do końca życia. Pamiętam, jak pana przyjaciółka, Laurence Lemaire, opowiadała nam, że jest pan wybitnym magikiem. Wrócił pan do zawodu?

— Minie nieco czasu, nim do niego wrócę. Moja prawa ręka nadal nie jest sprawna.

— Mimo wszystko, gdy myślę o tym, w jakim stanie był pan wtedy, odnoszę wrażenie, że mam do czynienia ze zjawiskiem zmartwychwstania. — W jego czarnych oczach znów błysnął głęboki smutek. — Czy imię Olga też nic panu nie mówi?

— Kiedy wróciliśmy do Sajgonu, Laurence często mi o niej opowiadała. Przedstawiła ją jako niezwykłą kobietę.

— To była rzeczywiście cudowna istota — westchnął ciężko Samuel. — I taką pozostanie w mojej pamięci, moja ukochana Olga. Moja cudowna Olga...

— Nie żyje? — zapytał Timo tak twardo, że aż sam się wzdrygnął.

— Można użyć innego słowa — powiedział Samuel — choć to teraz bez różnicy. Można by bowiem powiedzieć, że Olga została zamordowana, i byłaby to najświętsza prawda. Po konferencji w Monachium, pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego i niedługo po pańskim wyjeździe z Szanghaju, Niemcy z koncesji międzynarodowej zaczęli paradować

w brunatnych koszulach i opaskach ze swastyką. Olga była oburzona. Pewnego wieczoru, kiedy wracała z synagogi Beth Aaron, jej samochód został zatrzymany przez defiladę nazistów w wysokich butach i spodniach do konnej jazdy, w kepi i ze sztandarami. W żyłach Olgi, mojej kochanej, mojej słodkiej Olgi, płynęła gorąca krew, wrzuciła więc pierwszy bieg i wbiła się w tłum. Następnego dnia w „Shanghai Bildzeitung”, gazecie niemieckich mieszczan, która stała się nagle gazetą hitlerowską, można było przeczytać, iż „żydowska suka dopuściła się zamachu przeciw Rzeszy, wjeżdżając rozpedzonym samochodem w grupę patriotów świętujących urodziny Fuhrera i raniąc wiele osób”. Kiedy w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym wybuchła wojna, hitlerowcy z Szanghaju strasznie się rozbestwili. Grupki mężczyzn ze swastykami na rękawach zaczęły napadać na Anglików z Nanking Street. Olga na pewno się bała, ale niczego po sobie nie pokazywała... Pewnego ranka, kiedy byłem w mieście, pod mój dom zajechały dwa samochody, z których wysiadło kilkunastu mężczyzn w marynarkach i miękkich kapeluszach. Wdarli się do środka, wyjęli pistolety maszynowe i zaczęli strzelać. Doktor Howards opiekujący się żydowskimi uciekinierami mieszkającymi na piętrze i Olga próbowali ich powstrzymać. Zostali zabici. Potem mordercy weszli na górę i zabili wszystkich mieszkańców domu. Było tam wtedy ze stu tych biedaków, a przeżyły tylko cztery osoby, cztery skrzypaczki, które ćwiczyły w łazience kwartet Beet-hovena.

— Zabili sto osób! — wykrzyknął Timo ze ściśniętym gardłem.

— I właśnie wtedy zostałem Żydem — zakończył Samuel, unosząc kieliszek z grzaniem winem. — *Mazel towl* No i teraz przemierzam Francję, Belgię i Hiszpanię, próbując ocalić tych Żydów, których jeszcze można ocalić. To wyczerpująca praca, mój chłopcze, praca *muzyka*, nieszczęsnego *muzyka*. W końcu zapłacę za to głową.

— Niech pan nie będzie pesymistą.

— Nie jestem pesymistą. Kiedy Niemcy mnie aresztują, zostanę rozstrzelany. Pewnie wobec śmierci nie będę dzielniejszy niż inni, ale moja dusza będzie spokojna. A nawet szczęśliwa, ponieważ spotkam się z Olgą w raju nieszczęsnych *muzyków*.

Timo znów zobaczył Samuela po dwóch tygodniach. Ze względów bezpieczeństwa spotkanie odbyło się w południe, w kawiarence w górnej części bulwaru Saint-Michel, naprzeciwko pałacu Luksemburskiego, na skrzyżowaniu z ulicą Soufflot. Wewnątrz aż roiło się od studentów pobliskich uczelni, robotników budowlanych, sprzedawczyń ze sklepów mieszczących się na bulwarze Saint-Michel, licealistów, nauczycieli... i czyniony przez nich zgiełk gwarantował poufność rozmów.

— Co myślą pana koledzy z pracy o obecnych wypadkach? — spytał Samuel.

— Wszyscy uważają, z moim eks-przyjacielem Hansem na czele, że zbyt długo zwleka się z uregulowaniem problemu żydowskiego w Paryżu. Kipią gniewem, ponieważ wielka łapanka przekładana jest z tygodnia na tydzień.

— My na to nie narzekamy...

— Mam konkretne informacje — powiedział Timo, zniżając głos. — Członkowie Jeunes de la Francisque natrafili na ślad kilku żydowskich rodzin przybyłych z Kaukazu, które mieszkają w warsztatach futrzarskich na ulicy du Sentier. Chcą na własną rękę dokonać ich aresztowania, żeby pokazać Vichy, jak się niecierpliwią. To może nastąpić w ciągu tygodnia.

— Wypadki następują zbyt szybko — stwierdził Samuel. — Nie zdążę zorganizować ich ucieczki.

— Powinni przynajmniej zmienić miejsce pobytu.

— Oczywiście — przyznał Haertzel tym samym ponurym tonem — ale ja nie mam do dyspozycji żadnych kryjówek.

— Być może znam rozwiązanie. Wiem o istnieniu pustych mieszkań...

— W Paryżu?

— W Menilmontant. Możemy iść tam od razu, nie warto tracić czasu.

Chłopaki z Jeunes de la Francisque chcą się jak najszybciej wykazać.

Minęły dwie godziny, nim Timo i Samuel dotarli do Menilmontant.

Niemcy i bojówkarze kontrolowali prawie wszystkich. Na bulwarach i w korytarzach metra ustawiono bramki. Trzeba było czekać na swoją kolej czasami nawet pół godziny, przytupując w tłumie na grudniowym mrozie.

— Jacyś nerwowi ci rycerze nowego porządku — zauważył Samuel, wysiadając z metra na stacji Philippe-Auguste.

— Boją się zamachów — wyjaśnił Timo. — Moi szanowni towarzysze z Jeunes de la Francisque zostali poinformowani o możliwości aktów terrorystycznych ze strony komunistów.

— Podjęli jakieś środki ostrożności?

— Nie. Dla Jeunes de la Francisque oznaczałoby to zbyt wielki honor wyświadczony komunistycznym robakom. Gdyby na przykład umieścili worki z piaskiem przy wejściu do swojej siedziby, czuliby się poniżeni.

— Te gnojki mają zbyt wysokie mniemanie o sobie. To najgorsza ze słabości.

Pan Ho Yu zginał się w tysiącach ukłonów. Akurat tym razem jego restauracja nie była pusta. Przy dwóch czteroosobowych stolikach siedzieli robotnicy w kraciastych kaszkietach, właśnie kończyli jeść ryż po kantońsku i kaczkę w sosie słodko-kwaśnym.

— Udało mi się zdobyć nieco zapasów — oznajmił Chińczyk — ale niedużo... Niestety, nie mam już nic, co mógłbym podać...

— Nie przyszliśmy tu, żeby jeść — przerwał mu Timo. — Mój przyjaciel Samuel szuka mieszkań.

— Mam wszystko, co trzeba. Dużo wolnych mieszkań, odkąd Chińczycy odjechali do kraju.

— Dyskretnych mieszkań — dodał Samuel. Kantończyk uśmiechnął się słodko.

— Bardzo dyskretne mieszkania. Podziemia, w głębi podwórka... bardzo dyskretne.

— Możemy je zobaczyć? — spytał Petrus. Timo położył mu rękę na ramieniu.

— Szkoda czasu. Szanowny pan Ho Yu wyświadczył mi już tę grzeczność i pokazał te miejsca. Są to zatechłe nory, bez wody i elektryczności. Przydadzą się tylko na kilka tygodni, żeby ocalić tym ludziom życie.

— Ocalić życie — przytaknął Chińczyk. — Bardzo ważne, ocalić życie.

— Niech będzie. Potrzebuję miejsca dla piętnastu osób na trzy tygodnie

— powiedział Samuel.

— Mam dwa małe mieszkanie, sto metrów stąd, w opuszczonej szwalni, bardzo się nadadzą — zapewnił Chińczyk.

— Ile będzie kosztował wynajem?

— Tysiąc franków... — powiedział Kantończyk i dodał ze służalczym uśmiechem: — Dziennie.

— Przecież to cena trzech apartamentów w Lutetii! — wykrzyknął Haertzel.

— A więc proszę iść do Lutetii — odpowiedział Chińczyk, wciąż tym samym służalczym tonem. — Ale w Lutetii nie uratować życia!

— Wykorzystuje pan sytuację — westchnął zrezygnowany Samuel. —

Skoro taka jest cena, chciałbym jednak zobaczyć to miejsce. Nora za cenę pałacu... tylko wojna może doprowadzić do takich paradoksów...

Kiedy koło trzeciej po południu Timo szedł bulwarem Montmartre, usłyszał odgłos eksplozji i poczuł przyływ gniewu. Przechodnie wokół niego biegli w panice, wpytując, co się stało. Patrol niemieckich żołnierzy w szyku dwójkowym zmierzał sprężystym krokiem do miejsca zamachu. Kierujący ruchem policjanci zatrzymywali samochody, wymachując gorączkowo białymi pałkami. Z budynku wydobywały się gęste kłęby czarnego dymu, siedziba Jeunes de la Francisque została zaatakowana.

Gniew Tima brał się stąd, że bombę rzucono o niewłaściwej porze.

Jeszcze parę minut i byłoby po mnie. Taka amatorszczyzna, to zwykła głupota... Poprzedniego dnia major Leroy poinformował go o mającej się odbyć akcji:

— Jutro, dwudziestego drugiego grudnia, planowany jest zamach na siedzibę Jeunes de la Francisque. Członkowie ruchu oporu podjadą citroenem i wrzucą ładunek dynamitu do bramy budynku na bulwarze Montmartre sześćdziesiąt cztery. Nastąpi to między dwunastą a drugą po południu, w porze obiadu, żeby uniknąć ofiar śmiertelnych.

— To będą ludzie z tajnych służb?

— Pan żartuje? To będą żółtodzioby, które wyobrażają sobie, że zdołają zastraszyć Jeunes de la Francisque. Przydają nam się wygłupy tych dyletantów, oznaczają bowiem dodatkowe zajęcie dla Niemców, co pozwala nam pracować w spokoju. Tak więc jutro proszę nie wracać zbyt szybko z obiadu, a potem zameldować się, gdy tylko będzie to możliwe. Amatorzy, prawdziwi amatorzy! Ponad godzina spóźnienia, myślał Timo. Pojawił się przed budynkiem w tym samym czasie co strażacy i policyjna furgonetka. Przed wejściem leżały rozrzucone ciała, nieruchome pośród gruzów, w czarnych uniformach ubielonych kurzem eksplozji. Nim policjanci kazali rozejść się gapiom, Timo od razu rozpoznał jedną z ofiar. Hans wyglądał, jakby spał. Miał twarz białą niczym klaun, a środek jego czoła przecinała cienka czarna strużka zastygłej krwi.

— A więc pana przyjaciel z dzieciństwa, Anselme Dubreuil, nie żyje — powiedział Leroy, zapalając lampę wiszącą pod sufitem salonu, do którego Timo miał już teraz prawo wstępu. — To musi być przykre, stracić przyjaciela z dzieciństwa.

— Dla mnie nie — powiedział Timo. — Gdyby Hans nie zginął w zamachu dziś po południu, mógłbym zabić go własnymi rękami.

— Podobnie jak Maxence'a Ruffauda? — oficer skrzywił się z ironią. — Przykro mi, ale on również nie zginie z pana ręki.

— Nie rozumiem...

— Ależ proszę pana, dwukrotnie prosił mnie pan o broń, by zamordować Ruffauda. Otóż minister Ruffaud nie jest bynajmniej pana przyjacielem z dzieciństwa, tylko pańskim przyrodnim bratem.

— O czym pan mówi? — Timo, udał zdumienie.

— Wydaje się panu, że oficer wywiadu, taki jak ja, co prawda na emeryturze, ale wciąż prowadzący działalność, przyjmie w swoim domu nieznanego, choćby nawet miał rekomendacje, nie próbując zdobyć o nim informacji? Z ciekawości? Nie, to zwykła ostrożność. Tak więc Anselme Dubreuil nie żyje. Z jednej strony to dobra wiadomość, a z drugiej — spory kłopot.

— Nie przestaję o tym myśleć — zgodził się Timo. — Zamach nastąpił o wiele za późno, powinienem wtedy być już w biurze. Policja może uznać moją nieobecność za podejrzaną.

— Oto i konsekwencje amatorszczyzny tych niedorostków. Tak, ta godzina spóźnienia stawia nas w paskudnej sytuacji. A z tego wynika, co następuje: wraca pan do Sajgonu. Pana obecność w Paryżu staje się zbyt niebezpieczna. Za godzinę na wszystkich murach będzie pana zdjęcie. Tak więc jutro wyrusza pan w drogę do Marsylii. Stamtąd dakota towarzystwa Albatros zabierze pana do Indochin. Przelot nad Morzem Śródziemnym będzie najniebezpieczniejszy, ale po lądowaniu w Tunisie nic już panu nie grozi. Jakies zastrzeżenia?

— Miałem przekazać instrukcje z Londynu, dotyczące tego, jak mają postępować gaulliści w Indochinach.

— Zgadza się. Oto instrukcje: na razie nie należy robić nic. Praktycznie rzecz biorąc, najważniejsze jest, by sprawować ścisły nadzór nad działaczami ruchu oporu. Proszę wyraźnie

oznajmić Lemaire'owi, że pod żadnym pozorem i w żadnym razie nie należy podejmować próby obalenia admirała Decoux. Mogłoby to nastawić nieprzychylnie Japończyków. Admirał Decoux działa zgodnie z ich interesem. Mając go pod bokiem, nie muszą okupować całych Indochin, a mogą korzystać z portów, kolei i lotnisk... Tak więc nie ruszać admirała Decoux, chociaż to zawzięty zwolennik Petaina. Odwet Japończyków mógłby być bardzo brutalny.

_ Przekażę tę wiadomość co do słowa — obiecał Timo.

_ Nie jest to nic skomplikowanego... Jeżeli w Indochinach chce pan nadal prowadzić walkę z nazistami, proszę nawiązać kontakt z majorem Gordonem.

— Jak go znajdę?

— Niech pan spyta swojego przyjaciela Chenga, będzie wiedział.

— Chenga? — zdziwił się Timo zupełnie zbity z tropu.

— Tak, Chenga, dobrze pan usłyszał. Jeśli chodzi o zamordowanie pańskiego przyrodniego brata, przykro mi, ale nic nie mogę dla pana zrobić. To wszystko, szerokiej drogi.

Rozdział 36

Administrator Lemaire spytał Tima, jak minęła droga. Była to z jego strony zwykła grzeczność, mało go obchodziło, czy kochanek jego żony musiał znosić trudy podróży. Gdyby wyprawa Tima zakończyła się nieszczęśliwie, nie zmartwiłby się szczególnie, nawet mimo łez Laurence. Wypytał go niechętnie, starając się okazać, że nie dba o jego odpowiedzi.

— Wyjazd z terytorium Francji odbył się bez przeszkód?

— Przekroczenie linii demarkacyjnej jest dość trudne. Niemcy i milicja kontrolują wagony, szukając Żydów i bojowników ruchu oporu. Po raz kolejny doceniłem, jak dobre są dostarczone przez pana fałszywe dokumenty.

Nie zwracając uwagi na komplement, administrator Lemaire zadał jedyne pytanie, na które rzeczywiście chciał znać odpowiedź:

— A jakie są nastroje w Tunisie?

— W Tunisie wojskowi są zapalonymi zwolennikami marszałka.

Kontrola w porcie lotniczym była bardziej drobiazgowa niż te, które przeprowadzają Niemcy we Francji.

— Tego się obawiałem — westchnął Lemaire.

— Jeśli chodzi o Indochiny, rozkazy z Londynu są takie, żeby nie robić nic.

— Bardzo cieszy mnie decyzja Wolnej Francji. Bałem się,

że będą żądali ode mnie zawarcia przymierza z wietnamskimi wicherzycielami albo będą nawet chcieli stworzyć wraz z nimi wspólną siatkę ruchu oporu. Połączenie sił z wujaszkiem Ho przeciw Decoux i Japończykom to mrzonka.

— Przynajmniej z pana punktu widzenia... — stwierdził Timo.

— Zbyt długo zwalczałem komunistów, a także wietnamskich nacjonalistów, zbyt wielu z nich przesłuchiwałem, by mieć jakiegokolwiek złudzenia — wyjaśnił administrator. — Nienawidzą Francuzów.

Oczywiście zdają sobie sprawę, że Japończycy są nazistami Dalekiego Wschodu i że admirał Decoux jest zażartym petainistą, nie znaczy to jednak, że chcieliby przyłączyć się do gaullistów. Tak więc generał ma rację: nie należy robić nic.

— Poza obserwowaniem działaczy ruchu oporu.

— Nie są trudni do odnalezienia. Są w jeszcze większym stopniu zwolennikami Petaina niż sam Decoux.

— Nie przeszkadza im antysemityzm?

— Wręcz przeciwnie, większość z nich uważa antyżydowskie prawa ustanowione przez marszałka i wprowadzone w całych Indochinach przez admirała Decoux za przydatne i służące odnowie Francji — wyjaśnił Lemaire i dodał drwiąco: — Czyżby pan hrabia nagle zainteresował się czymś innym prócz końca własnego nosa? Wątpię. A właśnie, jak się miewa pańska żądza zemsty, która tak absorbowowała cały pański rozumek? Czy udało się panu wreszcie wykończyć swojego przyrodniego brata?

— Dobrze, że pan o tym wspomniał. — Na Timie napastliwy ton administratora nie zrobił żadnego wrażenia. — Skłonił mnie pan do wyjazdu do Francji, wmawiając, że pański kontakt, ten major Leroy, dostarczy mi broń. Nic takiego nie nastąpiło. Okłamał mnie pan.

— Biedny głupku! Wierzy pan we wszystko, co się panu powie. A teraz ten gówniarz chce bawić się w mężczyznę. Mówi o antysemityzmie!

— Postanowiłem walczyć z tą podłością — oznajmił Timo twardo i stanowczo.

— Niech pan się lepiej zajmie tym, do czego pan się nadaje — doradził mu Lemaire. — Karcianymi sztuczkami i uganianiem się za spódniczkami.

— Za spódniczkami pańskiej żony... — sprostował Timo z lekkim uśmiechem, i zaraz się poprawił: — Ale ma pan rację, nie tylko pańskiej żony.

Nagle jego uśmiech zniknął. Lewą ręką złapał administratora za kołnierz i krawat. Zaskoczony Lemaire spurpurowiał.

— Puść mnie pan — sapnął.

— Jasne, że pana puszcze. Najpierw jednak chcę wbić do pańskiego parszywego łba dwie rzeczy. Chce pan mnie upokorzyć tą swoją pogardą, obelgami, oburzeniem? Według pana nie jestem godny, by buntować się przeciwko antysemityzmowi? Nie jestem godny, żeby uważać się za mężczyznę? W takim razie, kto jest tego godny? Może pan? Czy naprawdę jest godne mężczyzny, żeby spędzić, tak jak pan to robi, całe życie na szpiegowaniu, nadzorowaniu ludzi, którzy buntują się przeciwko kolonialnemu wyzyskowi? Czy na tym polega rola mężczyzny, że torturuje ludzi i wydaje rozkazy, żeby ich zabijać?

— Puść mnie pan — wycharczał Lemaire. — Puść mnie pan albo każe pana aresztować!

— Nie radzę, panie administratorze. Wkrótce poszedłby pan w moje ślady, za kraty. Jeśli zaś chodzi o pańską małżonkę, proszę przyjąć do wiadomości, że mam dla niej jedynie uczucie przyjaźni.

Rozluźnił uchwyt. Lemaire rozpiął kołnierz i odetchnął.

— Tak, przyjaźni — podjął Timo. — Gdybym jej to wyznał, załamałaby się. Co mogę na to poradzić? Ale to pan, panie superpolicjancie, pan upokorzył ją naprawdę. Ożenił się pan z Laurence dla zachowania pozorów, żeby zdobyć pozycję w wyższych sferach Sajgonu, tej żalostnej prowincjonalnej dziury. Nigdy pan jej nie pieścił, ponieważ nienawidzi pan

kobiecego ciała. Co ja mówię, kobiece ciało budzi w panu wstręt, gorzej, budzi strach. I to pan mnie poucza, jak należy traktować Laurence!

— Niczego pan nie zrozumiał. Wszystko, co dla pana zrobiłem, zrobiłem dla niej — wyznał Lemaire. — Z miłości do niej.

— Z miłości? Niech pan nie mówi o rzeczach, o których nie ma pan pojęcia. I proszę przestać mi wmawiać, że zrobił pan cokolwiek dla mnie. Wszystko, co pan zrobił, zrobił pan dla samego siebie. Zaproponował pan Laurence wymianę godną człowieka takiego jak pan: „Znieważam cię, ale ratuję twój kochanek...”. A teraz, panie administratorze, skończyło się. Napiszę do Laurence, żeby powiadomić ją o moim powrocie.

Porozmawiamy, ona i ja, o przyszłości. I o przyjaźni. I obejdziemy się bez pana, wstrętny gliniarzu.

Lemaire szybkim krokiem podszedł do drzwi. Wychodząc, odwrócił się jeszcze i rzucił:

— Obejdziecie się beze mnie? Wątpię. Ponoć potrafi pan sprawić, by zniknęły gołąbki i króliczki. Ze mną jednak ci się nie uda, mój mały. Nie masz takiego dużego cylindra, gnojku. Możesz mi wierzyć, parszywy gliniarz Lemaire nie znika tak łatwo.

Następnego dnia Timo napisał do Laurence list, a właściwie tylko krótki bilecik, w którym informował, że wrócił do Sajgonu i chce się z nią zobaczyć. Używał przy tym najprostszych sformułowań. Nie było tam niczego takiego jak „kochanie” ani „ukochana”, żadnej „bezwstydnej Laurence”. Mówił w nim o przemijaniu, o życiu, które płynie dalej, o ułudach, które znikają, oraz o przyjaźni, która odnosi zwycięstwo, triumfując nad miłością.

Laurence była uszczęśliwiona listem od kochanka. Maurice Lemaire doniósł jej już o jego przybyciu i zносиła męki na myśl, że Timo może się do niej nie odezwać. Przysłał jednak liścik, a więc jej dusza została uleczona.

Jednak jego treść wprawiła ją w pomieszenie. Kiedy przestali się kochać, Laurence przeciągnęła się i powiedziała:

— Moje ciało oczekiwało cię jak zbawcy, mesjasza. Jak ziemia pustyni oczekuje deszczu.

Timo raz jeszcze stwierdził, że jego kochanka przejawia skłonność do wypowiedzania się w sposób, w jaki mówią bohaterowie jej powieści, ale postanowił tego nie komentować.

— Ja nie jestem zaspokojony — westchnął, kłapiąc jej sutki. — Wracam do źródła twych tajemnych rozkoszy, których zbyt długo byłem pozbawiony.

Uniosła mu głowę, pociągając delikatnie za włosy, i dotknęła ustami jego rozpalonych warg. Położył się obok niej, a ona przytuliła się do niego.

— Napisałeś w liście dziwne rzeczy — szepnęła. - Nie wszystko zrozumiałam.

— Wyraziłem w nim to, co leży mi na sercu.

— Niepokoi cię upływ czasu?

— Mam dwadzieścia siedem lat, nie jestem już dzieckiem. Cechą dzieciństwa jest bez troska, nieprzejmowanie się upływem czasu.

— Przestajesz być dzieckiem! Ta wiadomość zapowiada wiele szczęśliwych wydarzeń... Zastanówmy się teraz, dlaczego napisałeś, że „życie płynie dalej”.

— Widziałem Hansa, mojego przyjaciela z dzieciństwa, kilka sekund po śmierci. Zginął w zamachu. Poczulem coś dziwnego. Jego życie unosiło się w powietrzu niczym latawiec tańczący wśród chmur.

— Śmierć jest tylko kresem wcielenia. Uwalnia nas od ciężaru życia — powiedziała Laurence.

— Na szczęście wrażenie, które wtedy odniosłem, było znacznie radośniejsze.

— A znikające złudzenia?

— Przez całe lata prześladowała mnie tylko jedna myśl: myśl o zemście.

— Domyślałam się tego. O co chodziło?

— Chodziło mi o człowieka, którego uważałem za sprawcę wszystkich moich nieszczęść. Czy rzeczywiście on jest wszystkiemu winny? Zemsta jest tylko złudzeniem. Gdybym go zabił, i tak nie zmieniłbym przeszłości. Złudzenia nigdy nie przynoszą tego, czego się po nich spodziewamy. Znikają.

— Przemawiasz językiem mądrości — stwierdziła Laurence z podziwem, zaciekawiona i trochę zaniepokojona. — A przyjaźń, od której nic nie jest silniejsze, nawet miłość? Przyznaję, że to zdanie mnie zdziwiło.

— Przyjaźń nie jest ślepa, nie domaga się wyłączności, nie jest obsesją — odpowiedział Timo. — Nie pozbawia swoich wybrańców wolności. Jest porozumieniem i wyrozumiałością. Przyjaźń trwa przez całe życie. Gdy Timo wykladał zalety przyjaźni, twarz Laurence tężała.

— O ile dobrze zrozumiałam, chciałbyś, żeby łączyła nas tylko przyjaźń?
— zapytała głucho.

— „Tylko przyjaźń” — powtórzył Timo. — Przyjaźń jest czymś doskonałym. Po cóż owijać w bawełnę? Miłość prędzej czy później kończy się wojną. Przyjaźń jest pokojem. — Ściągnął brwi. — Zapomniałem, jak to było... aha! „Przyjaźń jest uśmiechem Buddy”.

— Przestań mieszać do tego Buddę — zdenerwowała się Laurence, zrywając się z łóżka. — Jeżeli chcesz, żebyśmy zostali przyjaciółmi, wolę, żebyśmy od razu się rozstali.

Timo również wstał i stanął za Laurence, obejmując ją czule.

— Dlaczego mielibyśmy się rozstawać, skoro spędzamy razem takie cudowne chwile? — szepnął. — Ale jeśli tak trzeba, jeśli odrzucasz moją propozycję, w takim razie się rozstańmy.

Laurence odwróciła się i objęła go.

— Dobrze, zgadzam się, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Uniosła ku Timowi twarz, a on dostrzegł w pięknych zielonych oczach kochanki morderczy błysk.

— Zgadzam się pod jednym warunkiem. Pod warunkiem,

że będziesz mi wiemy. Jeśli mnie zdradzisz, przestaniemy być przyjaciółmi.

Laurence niczego nie rozumiała, pomyślał rozczarowany Timo. Albo udaje, co na jedno wychodzi.

— Nie mogę złożyć takich ślubów wierności. Zresztą nie bardzo rozumiem, dlaczego miałyby dotyczyć tylko mnie. A co z tobą?

— Ja będę ci wierna aż do śmierci. Wiesz o tym.

— No dobrze, niech będzie... Obiecuję ci, że będę wierny — zgodził się zbity z tropu Timo.

— Dałeś mi słowo...

Uwolniła go z objęć i poprawiła kimono.

— W gruncie rzeczy — dodała rozbawiona — muszę przyznać, że tak postrzegana przyjaźń też jest niezła.

No dobrze, tylko że jemu, Timowi, wcale nie podobała się przyjaźń postrzegana w taki właśnie sposób. Wielkie dzięki!

Kiedy po tygodniu namiętnych zmagania odzyskał przytomność umysłu, postanowił, że odtąd trzymać się będzie starej i sprawdzonej koncepcji przyjaźni, która nie dba o cielesną wierność.

W Oddechu Smoka Cheng nie posiadał się z radości na widok Tima.

— Nie było cię prawie rok! Świetnie wyglądasz. Twoja prawa ręka ma się lepiej? Mógłbyś już wrócić do sztuk magicznych? Wiesz dobrze, że tu czeka cię fortuna! Chińczycy jak zawsze pragną być mamieni sztuczkami... Przypuszczam, że potrzebujesz pieniędzy?

— Cóż stałoby się ze mną bez pana, panie Cheng? — spytał Timo na poły ironicznie, na poły z powagą.

Cheng wyjął z kieszeni marynarki ogromny portfel, a z niego plik banknotów, który podał Timowi.

— Wiedziałem, że jest pan szczodry, panie Cheng, ale czyż mogłem przypuszczać...

— Przypuszczać co, mój chłopcze?

— Czyż mogłem przypuszczać, że jest pan angielskim agentem? Major Leroy w Paryżu dał mi do zrozumienia, że pracuje pan na rzecz angielskich tajnych służb. Pytał mnie, czy chcę nadal prowadzić walkę przeciwko nazistom — wyjaśnił Timo zaskoczonemu Chengowi.

— A chcesz?

_ W Paryżu niejedno zrozumiałem. Miałem do czynienia z młodymi ludźmi, Francuzami w czarnych mundurach, którzy na ustach mieli tylko jedno: „śmierć Żydom”. Te chłystki z Jeunes de la Francisque powoływały się na marszałka Pétaina. A admirał Decoux także powołuje się na Pétaina... Wystarczy zresztą spojrzeć na wielkie portrety, które admirał kazał umieścić na fasadzie pałacu Norodom, żeby pozbyć się wszelkich wątpliwości. Tak, gotów jestem walczyć przeciwko admirałowi Decoux.

— Ta postawa przynosi ci zaszczyt — oznajmił Cheng.

— Nie zasługuję na pochwały. Czułbym się podle, gdybym zgadzał się na tę niegodziwość i nic w tej sprawie nie robił. — Popatrzył na Chenga z porozumiewawczym uśmiechem. — Tak więc pan przewodniczący Kongregacji Kantończyków w Sajgonie należy do tajnych służb Jego Wysokości.

— Od tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku. Czyli od japońskiej napaści na Mandzurię. Obawiałem się, że wojska Kraju Wschodzącego Słońca doprowadzą do straszliwej klęski Chin. Nie myliłem się. Podczas spotkania najważniejszych członków mojej triady Trzech Harmonii w Hongkongu postanowiliśmy oddać naszą sieć na usługi Anglików. Z tej właśnie przyczyny mój brat z triady, szacowny Ma Cho-kin, został zamordowany w Szanghaju przez Kempeitai.

_ I z tej właśnie przyczyny skontaktuje mnie pan z majorem Gordonem. Płonę z niecierpliwości, żeby zacząć dla niego pracować.

— Major Gordon przybędzie do Sajgonu jeszcze dziś wieczorem, wracając z Czungingu, dokąd wycofał się generał

Czang Kaj-szek — oznajmił Cheng. — Obserwuję cię uważnie, Timo, i potwierdza się moje pierwsze wrażenie. Wyglądasz, jakby ci było lżej na duchu. Czyżbyś zdołał ukrećić łeb swojej obsesji?

— O jakiej obsesji pan mówi? — spytał Timo niewinnie.

— O twoim pragnieniu zamordowania niejakiego Maxence'a Ruffauda.

— Skąd pan o tym wie?

— Leroy przysłał mi list, w którym o tym pisał. Jestem szczęśliwy, że porzuciłeś ten godny pożałowania pomysł.

— Nie bardzo sobie wyobrażam, jak mógłbym wrócić do Francji, a zwłaszcza do Vichy, i zamordować mojego przyrodniego brata!

— Maxence Ruffaud nie znajduje się już w Vichy — powiedział Cheng.

— Jest tutaj, w Sajgonie, i to od tygodnia. Mało brakowało, a przybylibyście z Francji na pokładzie tego samego samolotu.

— Maxence Ruffaud jest w Sajgonie? — Timo aż się zachłysnął.

— Został mianowany szefem gabinetu admirała Decoux. Skąd o tym wiem? To proste, twój brat również jest agentem brytyjskich służb.

— To niewiarygodne — wykrztusił Timo.

— A jednak to najprawdziwsza prawda. Kiedy przedstawiciele La Cagoule zwrócili się do niego z prośbą o finansowanie organizacji, miał na tyle przytomności umysłu, że zgodził się, a jednocześnie powiadomił o tym francuskie tajne służby. W ten sposób nawiązał kontakt z majorem Leroyem, który został jego oficerem prowadzącym. Od zawieszenia broni Ruffaud jest wtyczką Leroya na najwyższym szczeblu.

— Niech będzie, Maxence nie jest kolaborantem, nie mogę jednak zapomnieć, że to on zadenuncjował mnie jako zbrodniarza i sprawił, że wysłano mnie do obozu, gdzie tysiąc razy mogłem zginąć. A nade wszystko, jak mógłbym zapomnieć, że to za jego sprawą zamordowano moją matkę?

— Maxence Ruffaud nie jest winny zbrodni, o które go oskarżasz.

— Nie ma więc żadnych winnych żadnej z tych zbrodni...

— O nie! Zostałeś podle zadenuncjowany, i to dwukrotnie. Rzeczywiście twoja matka zginęła z ręki mordercy, ale winnym nie jest ani Maxence Ruffaud, ani Hans... Winna jest kobieta. Mathilde Ruffaud, matka Maxence'a.

— To się w głowie nie mieści — jęknął Timo. — Moja matka widziała Mathilde Ruffaud tylko raz po śmierci ojca, w dniu otwarcia testamentu, i nie była nią zachwycona.

— Mathilde nie mogła pogodzić się z tym, że miałyby ci przypaść w udziale część rodzinnej fortuny. Z tego właśnie powodu doprowadziła do zamordowania pasera Joncaille'a... żebyś został uznany za winnego zbrodni i w rezultacie pozbawiony spadku. Za to śmierć twojej matki była zabójstwem z zazdrości. Mathilde doprowadziła do uśmiercenia kobiety, która odebrała jej męża. Pomimo szorstkiej powierzchowności, pomimo całej swojej bigoterii Mathilde Ruffaut była bez pamięci zakochana. Do szaleństwa.

Timo zaczął się przechadzać po gabinecie pana Chenga.

— W tej całej historii jest kilka niejasnych szczegółów — mruknął. Zatrzymał się i popatrzył na Chenga. — W jaki sposób Mathilde dowiedziała się, o czym pisałem do Hansa? — spytał.

— Mathilde była dziwną osobą, tak przynajmniej powiedział Ruffaud majorowi Leroyowi. Łączyła niezwykłą siłę charakteru ze skrajnie prawicowymi poglądami. Odnosiła się bardzo przychylnie do La Cagoule, wkrótce też zaczęła podejrzewać Maxence'a o słabość, a nawet o zdradę. Osobiście werbowała sekretarzy pracujących dla partii politycznej stworzonej przez syna. Ich zadanie polegało na tym, żeby informować ją o zawartości wszystkich możliwych dokumentów, nawet prywatnych listów. Kiedy dowiedziała się, że jej syn chce się z tobą spotkać, nie tylko żeby oczyścić się z ciężących na nim podejrzeń, ale także by wypłacić ci należną część

spadku, postanowiła działać. Opóźniła jego wyjazd i wysłała donos do gubernatora Heuziego.

— A więc to możliwe, że Maxence nie jest sprawcą moich nieszczęść — stwierdził Timo.

Wyprostował się, jakby ogarnęły go kolejne wątpliwości.

— Lemaire powiedział, że przeciwko mnie uknuto spisek. Był w to wmieszany komisarz policji, inspektorzy, bandyci, a nawet generalny gubernator Kochinchiny, Leon Heuzie. Przecież oni nie wzięli się znikąd!

— Lemaire miał rację co do najważniejszych spraw, ale pomylił się, jeśli chodzi o osobę, która zastawiła na ciebie sidła. Nie był to Maxence Ruffaud, lecz jego matka — wyjaśnił Cheng. — Mathilde rządziła żelazną ręką. Pomagali jej w tym niektórzy członkowie La Cagoule, stworzyła swoją własną tajną siatkę, która organizowała zamachy na przedstawicieli lewicy, ministrów... a przede wszystkim porывała niemieckich i włoskich uciekinierów, którzy schronili się we Francji, by następnie przekazać ich nazistom. To właśnie osobnicy należący do tej siatki zajęli się tobą.

— Leon Heuzie również do niej należał? — spytał zdziwiony Timo.

— Heuzie nie należał tak naprawdę do organizacji i wydaje się, że działał poniekąd wbrew sobie. Nie był jednak w stanie odmówić Mathilde czegokolwiek.

— Ona również miała go w ręku z powodu jakichś ciemnych sprawek?

— Ależ skąd. Heuzie nie potrafił niczego odmówić Mathilde, ponieważ od dawna, od lat młodości, był w niej zakochany. Ot, sekrety zachodniej duszy!

— A więc Maxence nie jest niczemu winny — powtórzył Timo. — To dziwne uczucie, jakbym znów został sierotą. Może powinienem pomyśleć o nowej zemście? Może powinienem zastanowić się, czy nie zamordować Mathilde?

— Skończ wreszcie z tymi bzdurami! Mathilde Ruffaud zmarła dwa lata temu, w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat.

Pęknięcie tętniaka, śmierć nastąpiła natychmiast, bez żadnych cierpień.

Uważam, że to niesprawiedliwe po życiu tak pełnym podłości. Jak jednak się temu sprzeciwić i do kogo kierować skargi?

— Nie wiem — przyznał zrezygnowany Timo.

— A więc zapomnij o przeszłości i zmobilizuj energię do walki. Zanim przedstawię ci majora Gordona, muszę poinformować cię o kilku ważnych sprawach dotyczących dalszych wydarzeń. Nie znoszę zaskakiwać ludzi... A więc... Gordon nie jest majorem, lecz generałem. Nie jest też mężczyzną, lecz kobietą.

Timo otworzył szeroko oczy.

— Tak, tak, mój drogi Timo — powiedział Cheng z szerokim uśmiechem.

— Major Gordon to nikt inny jak generał Lao San.

— Pani generał piratów wcale się nie zmieniła — stwierdził Timo.

Lao San przysiadła się do niego na tarasie Oddechu Smoka. Była już późna noc, ale życie lokalu i kasyna właśnie nabierało tempa. Ruch przy stołach do pokera i bakarata dopiero się zaczynał.

Timo zobaczył taką samą Lao San, jaką pokochał: o ciemnych oczach pod ciężkimi powiekami, o czarnych jedwabistych włosach opadających na ramiona, ciężkich piersiach pod kasa-kicm z różowego jedwabiu. Poczul jej gorący oddech pachnący hawaną. Zbliżyła się i czule wzięła w dłonie głowę kochanka.

— Tak się bałam, że cię stracę — westchnęła.

Już chciał porwać Lao San w objęcia, kiedy podbiegła do nich mała dziewczynka, ubrana na zachodnią modłę w białą sukienkę obszytą czerwonymi wstążkami. Miała nie więcej niż trzy lata, duże jasnoniebieskie oczy, okrągłą twarzyczkę i wyraźnie zarysowane wargi. Powiedziała coś po chińsku z lekko hiszpańskim akcentem, a Lao San skinęła głową.

Frances jest moją córką — wyjaśniła. — Obiecałam jej, że dziś wieczorem pozna swojego ojca.

Timowi zaparło dech w piersiach.

— Zapytała mnie właśnie — mówiła dalej Lao San — czy to ty jesteś jej ojcem, i powiedziałam jej, że tak. Może zechciałbyś się z nią przywitać?

— W jakim języku? Mówi po francusku? — zapytał zdeorientowany Timo.

— Nie... lepiej byłoby, gdybyś powiedział „dzień dobry, dziewczynko” po chińsku.

Timo zrobił to, a matka i dziewczynka wybuchnęły śmiechem.

— Powiedziałeś: „dzień dobry, żabo” — stwierdziła Lao San.

— Przecież dobrze powiedziałem — zaprotestował Timo.

— Nie, użyłeś niewłaściwego tonu.

— No to niech będzie żaba! A ja jestem ropuch, czemu nie? Poczciwy ropuch, który już czuje, jak jego serce rośnie na widok tej małej żabki!